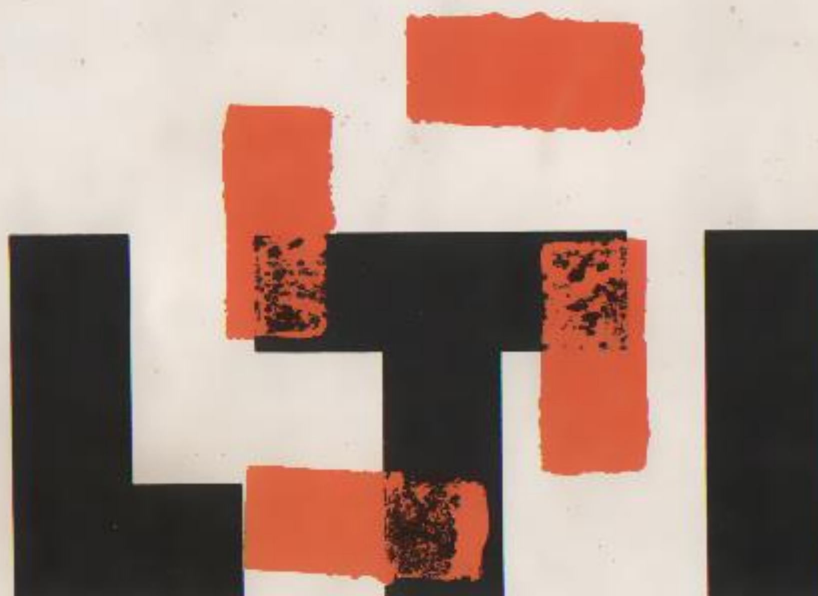


Victor Klemperer

LTI Notatnik filologa

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza

LTI
Notatnik filologa

Victor Klemperer[1]

Spis treści

---

[1] Victor Klemperer (1881-1960) urodził się w Gorzowie Wielkopolskim (ówczesnym Landsbergu) w rodzinie rabina. Jego plany życiowe były przez dłuższy czas nie skrystalizowane, przerwał nawet naukę w szkole średniej, aby terminować w domu handlowym, myślał o karierze kupca, trochę też podróżnika. Dopiero z czasem jego zainteresowania zwróciły się ku filologii. Wrócił do gimnazjum, zrobił maturę i rozpoczął studia romanistyczne w Monachium. Tam też habilitował się u słynnego romanisty Karla Vosslera.
W latach 1920-1934 był profesorem na Politechnice w Dreźnie. Usunięty przez reżim hitlerowski, coraz bardziej ograniczany w swych prawach obywatelskich i ludzkich, uratował życie dzięki małżeństwu z Aryjką i przedziwnemu trafowi, że w dniu, w którym miano go wywieźć w nieznanym kierunku, nastąpiła zagłada Drezna. Po wojnie Wykładał w Greifswaldzie i w Halle, a od 1951 r. na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie. Obok licznych prac poświęconych literaturze francuskiej (szczególnie francuskiemu oświeceniu) wyjątkowe miejsce w dorobku Klemperera zajmuje LTI, książka o języku Trzeciej Rzeszy, która z miejsca wywołała szeroki rozgłos, miała wiele wydań i jest niezwykle ceniona wśród znawców. Nosi ona podtytuł „notatnik filologa”, co wcale nie oznacza, że jej odbiorcami mogą być tylko czytelnicy obeznani z przedmiotem. Autorowi udało się bowiem przedstawić zjawiska językowe charakterystyczne dla tego okresu historii Niemiec wyjątkowo przystępnie i interesująco. Pojęcie „język Trzeciej Rzeszy” (Lingua Tertii Imperii) rozumie on zresztą szeroko: obok zagadnień czysto językowych ma na myśli również formy życia publicznego w Niemczech hitlerowskich, charakter plakatów, krój i barwę mundurów, pozdrowienia nazistowskie itp. - w myśl powiedzenia „styl to człowiek”...

Mojej Żonie Ewie Klemperer

Już przed dwudziestu laty dedykując Ci, moja droga Ewo, pewien zbiór studiów, poprzedziłem to uwagą, że o dedykacji w zwykłym sensie podarunku nie może tu być mowy, bo i tak przecież jesteś współwłaścicielką moich książek, wszystkie one bowiem są efektem duchowej wspólnoty dóbr. Słowa te pozostały aktualne do dziś.
Tym razem wszakże sprawa przedstawia się jeszcze nieco inaczej niż w przypadku wszystkich moich dawniejszych publikacji; tym razem jestem jeszcze o wiele mniej do takiej dedykacji uprawniony, a zarazem nieporównanie bardziej zobowiązany niż wtedy, gdy uprawialiśmy filologię w spokojnych czasach. Bez Ciebie bowiem nie byłoby tej książki, a i nie byłoby też od dawna tego, który ją napisał. Trzeba by wielu bardzo ciepłych słów, gdybym to chciał szczegółowo wyjaśniać. Zamiast tego przyjmij ogólną refleksję filologa i pedagoga, która jest wstępem do tych szkiców. Ty wiesz, a i ślepy by poznał, kogo mam na myśli, kiedy swoim słuchaczom mówię o heroizmie.

Drezno, Boże Narodzenie 1946
Victor Klemperer

Mowa to więcej niż krew
(Franz Rosenzweig)

Heroizm
Zamiast przedmowy

Aby uczynić zadość nowym potrzebom, język Trzeciej Rzeszy spopularyzował przedrostek ent- oznaczający likwidację pewnego stanu rzeczy (pomijam przy tym kwestię, czy chodzi o zupełne neologizmy, czy też o przejęcie do języka powszechnego wyrażeń znanych już uprzednio w kręgach specjalistycznych). W związku z niebezpieczeństwem nalotów trzeba było zaciemniać mieszkania, co z kolei wymagało codziennego „odciemniania” [Entdunkeln]. W razie pożaru dachu gaszącym nie powinny zagradzać drogi żadne rupiecie, wobec czego należało strychy „odrupiecić” [entrümpeln]. Konieczność poszukiwania nowych źródeł pożywienia sprawiała, że poczęto z kasztanów usuwać ich gorzki smak [entbittern], itd.

Dla określenia najpilniejszych zadań, jakie stawia chwila obecna, przyjęła się powszechnie forma słowna utworzona w sposób analogiczny. Nazizm nieomal przyprawił Niemcy o zagładę; wysiłki zmierzające do uleczenia ich z tej śmiertelnej choroby nazywa się dzisiaj denazyfikacją [*Entnazifizierung*]. Nie pragnę, aby to obrzydliwe słowo pozostało trwale w języku, a i nie sądzę, by tak miało być; z chwilą gdy spełni swoje aktualne zadanie, odejdzie ono w niepamięć i zachowa już tylko byt historyczny.

Druga wojna światowa dostarczyła nam niejednego przykładu na to, jak wyrażenie niezwykle żywe, któremu zdaje się być sądzona niezniszczalna egzystencja, nagle przestaje istnieć: znika wraz z sytuacją, która je zrodziła, i dopiero kiedyś, później, będzie o niej świadczyć niczym jakaś skamielina. Taki był los wojny błyskawicznej [*Blitzkrieg*] i przyporządkowanego jej przymiotnika *schlagartig*

[nagły, błyskawiczny], podobnie jak bitew wyniszczających [*Vernichtungsschlacht*] i związanego z nimi zamknięcia w kotle [*Einkesselung*], jak „kotła wędrującego" - już dzisiaj potrzebny jest komentarz, że chodzi tu o rozpaczliwe próby wyrwania się z okrążenia zamkniętych w nim dywizji - jak wojny nerwów, jak wreszcie słowa *Endsieg*, mającego podtrzymywać wiarę w to, że Hitler ostatecznie zwycięży. Przyczółek w Normandii [*Landekopf*] przetrwał w komunikatach wojennych od wiosny do lata 1944 - żył w nich jeszcze wtedy, gdy już napęczniał do niesłychanych rozmiarów; kiedy zaś padł Paryż, kiedy przyczółkiem stała się cała Francja, znikł nagle bez śladu i dopiero w przyszłości na wykładach historii pojawi się jego skamielina. Taki sam los będzie też udziałem najbardziej ważkiego słowa naszej przejściowej epoki: pewnego dnia słowo „denazyfikacja" zniknie, bo nie będzie już sytuacji, którą ono miało zakończyć.

Nim to wszakże nastąpi, upłynie jeszcze sporo czasu, muszą bowiem zniknąć nie tylko żywe ślady nazistowskich czynów, ale także nazistowska mentalność, nazistowskie nawyki myślowe oraz gleba, z której czerpią one swoja żywotność: język narodowego socjalizmu.

Ileż pojęć i uczuć zbezcześcił on i zatruł! W tak zwanym gimnazjum wieczorowym Drezdeńskiego Uniwersytetu Ludowego i w dyskusjach urządzanych przez Towarzystwo Kulturalne wspólnie z organizacją Freie Deutsche Jugend uderzało mnie często, jak bardzo młodzi ludzie - bez najmniejszej złej woli i ze szczerą chęcią zapełnienia luk i skorygowania błędów w swojej zaniedbanej edukacji - nadal trzymają się nazistowskiego sposobu myślenia. Oni sami nie zdają sobie nawet z tego sprawy; po prostu przyswojony zwyczaj językowy minionej epoki zbałamucił ich i sprowadził na manowce. Rozmawialiśmy o sensie kultury, humanizmu, demokracji, miałem wrażenie, że coś świta, że już się coś przejaśnia w tych pełnych dobrej woli głowach - kiedy nagle, a przychodziło to w sposób nieuniknioný, ktoś zaczynał mówić o jakimś bohaterskim zachowaniu czy o heroicznym oporze, czy w ogóle o heroizmie. Z chwilą kiedy pojawiał się bodaj cień tego pojęcia, znikała wszelka klarowność myśli i znowu tkwiliśmy głęboko w oparach nazizmu. I nie tylko młodzi ludzie, którzy dopiero co wrócili z frontu czy z niewoli i mieli poczucie, że niedostaje im należytej uwagi, nie mówiąc już o podziwie - nie, również dziewczęta nigdy nie mające nic wspólnego ze służbą wojskową były całkowicie owładnięte ideą opacznie pojmowanego bohaterstwa. Niewątpliwe było przy tym jedynie to, że myśląc w ten; sposób o bohaterstwie czy, żeby powiedzieć ściślej, rozmijając się myślą z jego prawdziwą istotą, nie sposób było mieć naprawdę właściwy stosunek do istoty humanizmu, kultury i demokracji.

Ale w jakich kontekstach spotykało się ze słowem „heroiczny" i wszystkimi jego pochodnymi pokolenie, które w roku 1933 nie wyszło prawie poza elementarz? Odpowiedź na to musiała być taka, że słowo to było zawsze przybrane w mundur - w trzy różne mundury - nigdy natomiast nie występowało po cywilnemu.

Tam, gdzie Hitler w *Mein Kampf* podaje ogólne wskazówki co do wychowania, na pierwszy plan wysuwa się zdecydowanie element cielesny. Lubi on bardzo wyrażenie „tężyzna fizyczna", zaczerpnięte ze słownika weimarskich konserwatystów, wychwala armię wilhelmińską jako jedyną zdrową i życiodajną instytucję zdemoralizowanego poza tym społeczeństwa, a w służbie wojskowej widzi głównie lub wyłącznie wychowanie do sprawności fizycznej. Kształcenie charakteru stoi dla Hitlera wyraźnie na drugim miejscu; jego zdaniem dokonuje się ono mniej lub więcej samo z siebie - właśnie wskutek tego, że strona fizyczna spełnia w wychowaniu rolę dominującą i spycha na dalszy plan stronę duchową. Na ostatnim natomiast miejscu, a i to niechętnie tylko dopuszczane,

traktowane podejrzliwie i obelżywie, znajduje się w tym pedagogicznym programie kształcenie intelektu i dostarczanie mu wiedzy. Nieustannie daje o sobie znać lęk przed człowiekiem myślącym, wręcz nienawiść wobec myślenia. Relacjonując początki swojej kariery, pierwsze wielkie sukcesy odnoszone na wiecach, nie mniej niż własny talent krasomówczy chwali Hitler bojowego ducha członków swojej straży porządkowej, z której to małej grupy rozwinęły się wkrótce potem SA. „Brunatne oddziały szturmowe", które są wyłącznie zbrojnym ramieniem mającym napadać na przeciwników politycznych na wiecu i wyrzucać ich z sali - oto jego właściwi pomocnicy, w bojach o serce narodu, oto jego pierwsi bohaterowie, których przedstawia jako skrwawionych pogromców wrogiej przemocy, jako wzorcowych herosów historycznych bitew staczanych w salach wiecowych [*Saalschlachten*], Podobny sposób obrazowania, tę samą mentalność i to samo słownictwo znajdujemy w relacji Goebbelsa z jego walki o Berlin, Nie duch jest zwycięzcą, nie chodzi o przekonanie ludzi; tym, co przynosi ostateczne rozstrzygnięcie na korzyść nowej doktryny, nie jest nawet wyprowadzenie słuchaczy w pole środkami retoryki, lecz bohaterstwo najstarszych stażem esamanów, „starej gwardii". Przy czym relacje Hitlera i Goebbelsa znajdują uzupełnienie w fachowej diagnozie naszej przyjaciółki lekarki, która była wtedy asystentką w szpitalu pewnej przemysłowej miejscowości w Saksonii. - Kiedy wieczorem po wiecu przywożono do nas rannych - opowiadała często – to od razu wiedziałam, z której kto jest partii, nawet jeśli leżał już rozebrany w łóżku: ci z ranami głowy zadanymi kuflem do piwa albo nogą od krzesła to byli hitlerowcy, a ci z ranami kłutymi w płucach - komuniści. - Pod względem sławy ma się rzecz z SA podobnie jak z włoską literaturą: i tu, i tam najwyższa, nigdy już potem takich szczytów nie osiągająca świetność przypada na okres początkowy.

Drugim chronologicznie uniformem, w którym występuje nazistowskie bohaterstwo, jest ubiór kierowcy wyścigowego - jego kask ochronny, okulary, grube rękawice. Nazizm popierał wszelkie rodzaje sportu, a pod względem czysto językowym wszystkie inne razem wzięte nie wycisnęły na nim takiego piętna jak sam boks. Niemniej najdobitniejszego i najczęstszego obrazu bohaterstwa dostarcza w połowie lat trzydziestych automobilista: Bernd Rosemeyer po swoim śmiertelnym wypadku jest przez pewien czas strawą dla fantazji ludowej niemal tej samej rangi co Horst Wessel[2] (Uwaga dla moich kolegów akademickich: na temat wzajemnych stosunków między stylem Goebbelsa a tomem wspomnień kobiety-pilota Elly Beinhorn, zatytułowanym *Mój mąż, kierowca wyścigowy*, można by urządzić niezwykle interesujące seminarium). Przez pewien czas zwycięzcy międzynarodowych zawodów automobilowych, za kierownicą swego wyścigowego wozu albo o niego oparci, albo nawet zagrzebani pod nim, byli najczęściej fotografowanymi bohaterami dnia. Jeśli młody człowiek nie szukał swego ideału w muskularnych - nagich lub tkwiących w mundurze SA - postaciach wojowników przedstawianych na plakatach i pamiątkowych medalach tamtych dni, to niechybnie znajdował go w kierowcach wyścigowych; wspólne obu tym wcieleniom bohatera jest nieugięte spojrzenie, wyrażające twardą stanowczość i wolę sukcesu.

W miejsce auta wyścigowego wchodzi od roku 1939 czołg, a miejsce automobilisty zajmuje czołgista. Od pierwszego dnia wojny aż do upadku Trzeciej Rzeszy wszelkie bohaterstwo na wodzie, na lądzie i w powietrzu nosi na sobie mundur wojskowy. Pierwsza wojna światowa znała jeszcze bohaterstwo cywilne poza frontem. Ale czy dzisiaj ma jakieś znaczenie pojęcie „poza frontem"? Czy istnieje

[2] Horst Wessel - młody, ale zaawansowany w hierarchii partyjnej hitlerowiec, zastrzelony w styczniu 1930 r. w nie wyjaśnionych okolicznościach i uznany za jednego z czołowych bohaterów ruchu; ułożona przez niego pieśń bojowa SA, nazwana później *Horst-Wessel-Lied*, była oficjalnym hymnem NSDAP.

egzystencja cywilna? Doktryna wojny totalnej zwraca się w sposób straszliwy przeciwko swoim autorom: wszystko jest teatrem wojny, w każdej fabryce, w każdym schronie spełnia się bohaterstwo typu wojskowego, dzieci i kobiety, i starcy umierają dokładnie taką samą heroiczną śmiercią, jaka dawniej bywała udziałem, czy zgoła mogła być jedynie udziałem młodych żołnierzy na polu bitwy - często nawet w dokładnie takich samych jak tamci mundurach.

Przez dwanaście lat pojęcie i słownictwo heroizmu w coraz większym stopniu i coraz bardziej wyłącznie były stosowane do męstwa wojennego, do postawy nacechowanej odwagą i pogardą śmierci, a ujawniającej się w sytuacji walki. Nie na próżno język nazizmu wprowadził w ogólny obieg nowy i rzadko dotąd używany przymiotnik utworzony przez neoromantycznych estetów: kämpferisch [bojowy], i uczynił go jednym ze swoich ulubionych słów. Słowo kriegerisch [wojowniczy] miało zakres zbyt wąski, kojarzyło się tylko ze sprawami wojny, było też zbyt prostoduszne, zdradzało ducha zaczepności i zaborczości. Natomiast określenie kämpferisch oznacza w sposób bardziej ogólny napiętą, nieustępliwą postawę umysłu i woli, ukierunkowaną w każdej sytuacji życiowej na realizację własnych celów przez obronę i atak. Nadużycie, jakiego dopuszczono się wobec tego słowa, pozostaje w ścisłej analogii z wyświechtaniem słowa „heroizm” wskutek wypaczonego, niewłaściwego stosowania.

- Ależ pan nas naprawdę krzywdzi, panie profesorze! Mówiąc „nas” nie mam na myśli nazistów, bo sam do nich nie należę. Ale na froncie spędziłem - z pewnymi przerwami - całe lata. Czyż nie jest rzeczą naturalną, że w czasach wojny mówi się szczególnie wiele o bohaterstwie? I dlaczego to bohaterstwo, które się wtedy ujawnia, ma być bohaterstwem fałszywym?

- Pojęcie bohaterstwa zawiera w sobie nie tylko odwagę i ryzykowanie własnym życiem. Na to zdobywa się każdy zawadiaka i każdy zbrodniarz. W pierwotnym znaczeniu heros to ktoś, kto dokonuje czynów służących dobru ludzkości. Wojna zaborcza, a zwłaszcza prowadzona z takim okrucieństwem jak wojna Hitlera, nie ma z heroizmem nic wspólnego.

- A jednak wśród moich kolegów było bardzo wielu takich, którzy nie splamili się żadnym okrucieństwem i byli głęboko przekonani - nigdy nam tego przecież inaczej nie przedstawiano - że nawet atakując i zdobywając obce tereny prowadzimy jedynie wojnę obronną i że nasze zwycięstwo wyjdzie na dobre również całemu światu. Prawdziwy stan rzeczy poznaliśmy dopiero o wiele później i o wiele za późno... I czy nie sądzi pan, że również sport może rozwijać prawdziwe bohaterstwo, że wyczyn sportowy w swoim wzorcowym charakterze może służyć dobru ludzkości?

- Niewątpliwie jest to możliwe i zapewne również w Niemczech hitlerowskich zdarzali się wśród sportowców i żołnierzy prawdziwi bohaterowie. Ogólnie wszakże biorąc, właśnie do bohaterstwa, jakie występuje w tych dwóch grupach zawodowych, jestem usposobiony sceptycznie. W obu przypadkach jest to bohaterstwo zbyt głośne, zbyt intratne, zbyt zadowalające próżność, aby mogło być autentyczne. Zapewne, owi kierowcy wyścigowi byli typowymi rycerzami przemysłu, ich karkołomne rajdy miały wyjść na korzyść niemieckim fabrykom, a tym samym ojczyźnie, i może nawet były z pożytkiem dla ogółu, przyczyniając się do udoskonalenia konstrukcji samochodów. Ale ileż tym było próżności, ile gladiatorskiego profitu! Tym zaś, czym dla sportowców są wieńce i nagrody, tym dla żołnierzy ordery i awanse. Nie, tylko w bardzo rzadkich przypadkach skłonny jestem wierzyć w heroizm, tam gdzie daje on zbyt głośno o sobie publicznie znać i gdzie w razie powodzenia zanadto się opłaca. Heroizm jest tym czystszy i większy, im jest cichszy, im mniejszy ma rozgłos, im mniej jest zyskowny dla samego bohatera, im mniej dekoracyjny. Nazistowskiemu pojęciu bohaterstwa

zarzucam jego stałe sprzężenie z elementem dekoracji, jego chełpliwość. Rzetelnego, autentycznego bohaterstwa nazizm oficjalnie w ogolenie znał. Dlatego właśnie zafałszował on i zdyskredytował całe to pojęcie.

- Czy zatem odmawia pan czasom hitlerowskim cichego i prawdziwego bohaterstwa?

- Czasom hitlerowskim nie - przeciwnie: zrodziły one najczystszy heroizm, ale, by tak rzec, po przeciwnej stronie. Myślę tu o wielu przykładach męstwa wśród więźniów obozów koncentracyjnych, o wielu odważnych działaczach podziemia. Niebezpieczeństwo cierpień i śmierci było tu nieporównanie większe niż na froncie, a o jakimkolwiek dekoracyjnym sztafażu zupełnie przecież nie mogło być mowy. Tym, co tutaj zaglądało w oczy, nie była chlubna śmierć „na polu chwały”, lecz w najlepszym wypadku śmierć zadana gilotyną. Ale i tak, choć brakowało tu zupełnie dekoracyjnej otoczki i choć bohaterstwo to było bezspornie autentyczne, ludzie ci nie byli pozbawieni pewnej wewnętrznej podpory i otuchy: również i oni wiedzieli, że należą do jakiejś armii, żywili mocną i dobrze ugruntowaną wiarę w ostateczne zwycięstwo swojej sprawy , mogli zabrać ze sobą do grobu dumną nadzieję, że ich imię powstanie kiedyś z martwych z tym większą chwałą, im bardziej haniebnego dokonano na nich teraz mordu.

Ale znam bohaterstwo jeszcze o wiele bardziej pozbawione wszelkiej pociechy, o wiele cichsze, znam heroizm, któremu brak było jakiegokolwiek wsparcia w postaci poczucia wspólnoty z jakąś armią czy grupą polityczną, jakiejkolwiek nadziei na przyszłą chwałę, heroizm nastawiony wyłącznie sam na siebie. Było to tych kilka aryjskich żon (zbyt wiele ich nie było), które wbrew wszelkim naciskom nie zgodziły się opuścić swych mężów-Żydów. Jakże wyglądał dzień powszedni tych kobiet! Jakie musiały znosić obelgi, pogróżki, razy, opluwania, jakie wyrzeczenia, kiedy swoje skąpe racje żywnościowe dzieliły ze swymi mężami, zdanymi na głodowe kartki żydowskie, gdy tymczasem ich aryjscy koledzy w fabryce otrzymywali dodatkowe przydziały dla ciężko pracujących. Jakąż musiały mieć wolę życia, kiedy leżały chore pod brzemieniem całej hańby i dręczącej nędzy, kiedy szerzące się dokoła nich przypadki samobójstw podsuwały nęcącą szansę uwolnienia się na zawsze od Gestapo! Wiedziały, że ich śmierć pociągnie za sobą nieuchronnie zgubę męża, bo oderwą go od nie ostygłych jeszcze zwłok żony-Aryjki i wyślą w śmiertelny transport. Jakiegoż potrzeba było stoicyzmu, jakiej samodyscypliny, aby upadającego ze zmęczenia, zgnębionego, zrozpaczonego męża nieustannie podnosić na duchu. W ogniu granatów na polu bitwy, w huku walącego się schronu przeciwlotniczego, nawet w obliczu szubienicy działa moment swoistego patosu, który stanowi pewne wsparcie - ale w nękającym marazmie obrzydłego dnia powszedniego, po którym ma nastąpić nieprzejrzana liczba następnych równie obrzydłych dni powszednich, cóż tutaj może podtrzymać na duchu? Pozostać w tej sytuacji silną, na tyle silną, aby temu drugiemu móc ciągle perswadować i nieustannie wbijać do głowy, że przyjdzie godzina wybawienia, że obowiązkiem człowieka jest doczekać jej, pozostać w tej sytuacji silną, kiedy się jest całkowicie zdaną na siebie, bez żadnego oparcia w grupie, bo „dom żydowski”, pomimo swego wspólnego wroga i wspólnego losu, i pomimo swego języka grupowego nie stanowi żadnej grupy - oto heroizm ponad wszelkie heroizmy.

Nie, czasom hitlerowskim zaiste nie zbywało na bohaterstwie, ale we właściwym hitleryzmie, w społeczności hitlerowców istniał jedynie heroizm spłycony, wypaczony i zatruty - wystarczy pomyśleć o wznoszonych butnie pucharach i brzęku orderów, wystarczy pomyśleć o napuszonych słowach pochlebstw, wystarczy pomyśleć o bezlitosnych mordach...

Czy rodzina słów „bohaterskich” należy do LTI? Właściwie tak, bo są one w niej gęsto rozsiane i wyrażają zawsze swoiste zakłamanie i brutalność nazizmu. Wiążą się też ściśle z hymnami pochwalnymi na cześć wybranej rasy germańskiej: wszystko bowiem, co heroiczne, jedynie z niej się wywodzi. I właściwie nie, bo wszystkie wypaczenia i spłycenia ciążyły na tej rodzinie słów już przed okresem Trzeciej Rzeszy. Dlatego wspominam tu o niej na marginesie, jakim jest przedmowa.

Jeden zwrot wszakże trzeba odnotować jako specyficznie nazistowski, a to już choćby ze względu na otuchę, jakiej był on źródłem. W grudniu 1941 Paul K. przyszedł kiedyś z pracy rozpromieniony. Przeczytał po drodze komunikat wojenny. - Marnie im idzie w Afryce - powiedział. - Czyżby się do tego rzeczywiście przyznawali - zapytałem - przecież zawsze donoszą tylko o zwycięstwach. - Piszą: „nasze bohatersko walczące oddziały” To „bohatersko” brzmi jak nekrolog, może mi pan wierzyć.

Od tego czasu słowo „bohatersko” wiele, wiele jeszcze razy brzmiało w biuletynach jak nekrolog i nigdy nie myliło.

I
LTI

Było BDM i HJ, i DAF[3], i niezliczona liczba innych podobnych skrótów.

Najpierw jako zabawa w parodię, później jako prowizoryczna pomoc dla pamięci, coś w rodzaju węzełka na chustce do nosa, a już wkrótce potem i przez wszystkie te nieszczęsne lata jako samoobrona, jako do siebie samego skierowane wezwanie SOS - widnieje w moim dzienniku signum LTI. Wygląda ono uczenie, podobnie do owych dźwięcznych obcych wyrazów, których Trzecia Rzesza tak przecież lubiła niekiedy używać: „gwarant” brzmi jakoś ważniej niż „poręczyciel”, a „dyfamacja” groźniej niż „zniesławienie”. (Może też nie każdy to rozumie, a wtedy wrażenie jest tym silniejsze).

LTI: Lingua Tertii Imperii, język Trzeciej Rzeszy.

Często przypomina mi się stara berlińska anegdota, chyba z mojego pięknie ilustrowanego Glassbrennera[4], humorysty rewolucji marcowej - ale gdzie się teraz podziewa moja biblioteka, w której mógłbym to sprawdzić? Czy celowe byłoby dowiadywać się o to na Gestapo?... - Tato - pyta więc chłopczyk w cyrku - co ten człowiek na linie robi z drążkiem? - Głuptasie, to jest drążek do utrzymywania równowagi, a on się go trzyma. - Aj, tato, a jakby go wypuścił? - Ty głuptasie, przecież się go trzyma mocno.

Mój dziennik był dla mnie w tamtych latach niejednokrotnie drążkiem-balansjerem, bez którego sto razy spadłbym w przepaść. W godzinach zniechęcenia i beznadziejności, w nie kończącej się monotonii mechanicznej pracy w fabryce, u łoża chorych i umierających, przy grobach, we własnej

[3] BDM (Bund Deutscher Mädel - Związek Dziewcząt Niemieckich) i HJ (Hitlerjugend - Młodzież Hitlera) - masowe hitlerowskie organizacje młodzieżowe. DAF (Deutsche Arbeitsfront - Niemiecki Front Pracy) - hitlerowska organizacja skupiająca przymusowo wszystkich pracujących, która zastąpiła rozwiązane w r. 1933 i zakazane związki zawodowe.
[4] Adolf Glassbrenner (1810-1876) - niemiecki satyryk i publicysta.

udręce, w chwilach największego pohańbienia, w momentach, kiedy serce fizycznie odmawiało posłuszeństwa, zawsze było mi pomocne to do siebie samego zwrócone wezwanie: obserwuj, studiuj, zapamiętaj, co się dzieje - jutro będzie to już wyglądać inaczej, jutro będziesz to już inaczej odbierał; zatrzymaj wszystko w pamięci tak, jak to się teraz jawi i jak na ciebie działa. To wezwanie, aby stawiać siebie ponad sytuacją i zachować wewnętrzną wolność, przybrało wkrótce postać zawsze skutecznej tajemnej formuły: LTI, LTI!

Nawet gdybym miał zamiar - jakiego nie mam - opublikować cały dziennik z tamtych czasów ze wszystkimi opisanymi w nim codziennymi przeżyciami, jako tytuł dałbym mu to właśnie signum. Można by je rozumieć metaforycznie. Podobnie bowiem jak zwykło się mówić o obliczu jakiegoś okresu czy jakiegoś kraju, tak samo to, co wyraża pewną epokę, można nazywać jej językiem. Trzecia Rzesza przemawia językiem przeraźliwie jednolitym. Ta monotonna jednolitość bije ze wszystkich przejawów jej życia i z całej jej spuścizny: z fanfaronady paradnych budowli i z ich gruzów, z typu żołnierza, esamana i esesmana, utrwalonego jako postać-ideał na coraz to innych i zawsze jednakowych plakatach, z jej autostrad i grobów masowych. Wszystko to jest językiem Trzeciej Rzeszy i o wszystkim tym będzie oczywiście na tych kartach mowa. Jeśli człowiek przez dziesiątki lat uprawia jakiś zawód, i uprawia go z satysfakcją, to przecież wyciska on na nim silniejsze piętno niż wszystko inne. Dlatego właśnie język Trzeciej Rzeszy - dosłownie i w sensie nieprzenośnie filologicznym - był dla mnie tym, czego się najmocniej uchwyciłem i co stanowiło mój balansjer w pustce codziennych dziesięciu fabrycznych godzin, w grozie domowych rewizji, aresztowań, udręk itd., itd.

Cytuje się często zadanie Talleyranda, że język istnieje po to, aby ukrywać myśli dyplomaty (czy w ogóle człowieka przebiegłego i o podejrzanych intencjach). Ale rzecz ma się akurat odwrotnie. To, co ktoś pragnąłby ukryć - czy tylko przed innymi, czy przed samym sobą - a także co nosi w sobie nieświadomie, właśnie język wydobywa na światło dzienne. Taki jest też chyba sens porzekadła: Le style c'est l’homme; słowa człowieka mogą być kłamliwe, ale styl jego języka ukazuje bez osłonek jego istotę.

Mój stosunek do tego właściwego (w rozumieniu filologicznym) języka Trzeciej Rzeszy układał się osobliwie. Na samym początku, kiedy jeszcze nie doznawałem prześladowań albo były one tylko nieznaczne, prawie nie chciałem o nim słyszeć. Miałem dosyć języka okien wystawowych, plakatów, brunatnych mundurów, sztandarów, ramion wyprężonych w hitlerowskim pozdrowieniu, starannie przystrzyżonego wąsika Hitlera. Uciekałem, zagrzebywałem się w swojej pracy zawodowej, prowadziłem wykłady, usilnie starając się nie dostrzegać coraz bardziej pustoszejących ławek przed sobą, pracowałem zawzięcie nad swoim osiemnastym wiekiem w literaturze francuskiej. Dlaczego miałbym sobie lekturą nazistowskiego słowa drukowanego jeszcze bardziej zatruwać życie, i tak już zatrute przez ogólną sytuację? Jeśli przez przypadek albo omyłkę wpadła mi w ręce jakaś nazistowska książka, odrzucałem ją po przeczytaniu pierwszego rozdziału. Jeśli gdzieś na ulicy ryczał głos Führera albo jego ministra propagandy, omijałem głośnik szerokim łukiem, a przeglądając gazety dbałem skrupulatnie o to, aby z obrzydliwej mazi przemówień, komentarzy i artykułów wyławiać nagie fakty, które w swojej nagości były i tak już dostatecznie ponure. Kiedy potem przeprowadzono czystkę stanu urzędniczego i utraciłem katedrę, tym bardziej usiłowałem się odizolować od współczesności. Różni niemodni oświeceniowcy, od dawna pogardzani przez każdego, kto się jako tako szanuje, Wolterowie, Monteskiusze i Dideroci byli i dawniej moimi ulubieńcami. Teraz mogłem cały czas i całą energię poświęcić swemu poważnie zaawansowanemu dziełu. Jeśli chodzi o osiemnasty wiek, to w

drezdeńskim Pałacu Japońskim[5] czułem się przecież jak ryba w wodzie; żadna biblioteka niemiecka, nawet sama paryska Biblioteka Narodowa, nie mogłaby być dla mnie lepszą kopalnią materiałów.

Ale potem spadł na mnie zakaz korzystania z bibliotek i w ten sposób wytrącono mi z ręki dzieło mego życia. A później przyszło wypędzenie z domu, a jeszcze później wszystko inne, każdego dnia coś innego. Teraz drążek-balansjer stał się moim najpotrzebniejszym przyrządem, a język aktualnego czasu przedmiotem mego najżywszego zainteresowania.

Obserwowałem coraz dokładniej, jak rozmawiają ze sobą robotnicy w fabryce, jak mówią bestie gestapowskie i jakiego języka używa się u nas, w ogrodzie zoologicznym pełnym klatek z Żydami. Większych różnic nie można tu było dostrzec; właściwie nie było żadnych. Wszyscy - zwolennicy i przeciwnicy, korzystający z dobrodziejstw systemu i jego ofiary - posługiwali się tymi samymi wzorcami.

Próbowałem te wzorce uchwycić, co okazało się pod pewnym względem niezwykle proste, wszystko bowiem, co w Niemczech drukowano i mówiono, było przecież w pełni normowane urzędowo przez partię; to, co jakoś odbiegało od jedynej dopuszczalnej sztampy, w ogóle nie docierało do publiczności. Książka i gazeta, i pismo urzędowe, i formularze jakiejkolwiek instytucji - wszystko to pływało w tym samym brunatnym sosie, a ową absolutną jednolitością języka pisanego tłumaczy się też unifikacja stylu mówionego.

Kiedy jednak dla tysiąca innych ludzi zbieranie tych wzorców mogłoby być dziecinną zabawką, dla mnie było ono niezwykle trudne i zawsze niebezpieczne, a niekiedy całkowicie niemożliwe. Kupno, a także wypożyczanie wszelkiego rodzaju książek, czasopism i gazet było bowiem człowiekowi noszącemu gwiazdę zakazane.

To, co się miało potajemnie w domu, stanowiło źródło niebezpieczeństwa i musiało być chowane pod szafami i dywanami, na piecach i karniszach, albo trzymane z węglem jako materiał na podpałkę. Żeby takie środki ostrożności okazały się skuteczne, trzeba było oczywiście mieć szczęście.

Nigdy, w ciągu całego życia, żadna książka nie wywołała w mojej głowie takiego szumu jak *Mit* Rosenberga[6]. Nie żeby była to lektura tak niezwykle głęboka, trudna lub wstrząsająca, lecz dlatego, że Clemens walił mnie tym tomem po głowie przez dobrych kilka minut. (Clemens i Weser byli to dwaj szczególni dręczyciele drezdeńskich Żydów, znani powszechnie jako Bandzior i Pluja). - Jak ty śmiesz, żydowska świnio, czytać taką książkę? - ryczał Clemens. Wydawało mu się to czymś w rodzaju profanacji hostii. - W ogóle jakim prawem masz tu książkę z wypożyczalni? - Jedynie fakt, że tom ten - co można było udowodnić - został wypożyczony na nazwisko mojej żony-Aryjki i że znajdująca się w nim kartka z notatkami uległa podarciu, nim została rozszyfrowana, uratował mnie wtedy przed kacetem.

Cały materiał musiałem uzyskiwać krętymi drogami i wykorzystywać potajemnie. A ilu rzeczy w żaden sposób nie mogłem zdobyć! Kiedy próbowałem dotrzeć do skomplikowanego sedna problemu, kiedy,

[5] Pałac Japoński - jeden z cenniejszych obiektów architektonicznych Drezna, zbudowany przez Augusta Mocnego; był do r. 1945 siedzibą bardzo bogatej Saskiej Biblioteki Krajowej.
[6] *Der Mythus des XX. Jahrhunderts* (*Mit XX wieku*) - książka, w której Alfred Rosenberg, uchodzący za głównego ideologa narodowego socjalizmu, wyłożył teoretyczne zasady tego ruchu.

krótko mówiąc, potrzebowałem fachowego materiału naukowego, wypożyczalnie często mnie przecież zawodziły, a biblioteki publiczne były przede mną zamknięte.

Niejeden czytelnik pomyśli sobie pewnie, że z pomocą mogli mi przyjść koledzy po fachu czy starsi uczniowie, którzy tymczasem doszli do różnych stanowisk - że oni mogli pośredniczyć w wypożyczaniu. Miły Boże! Do tego był potrzebny akt osobistej odwagi, podjęcie osobistego ryzyka. Jest taki ładny starofrancuski wiersz, który często cytowałem z katedry, ale w który naprawdę wczułem się dopiero później, w czasie kiedy już katedry nie miałem. Dotknięty nieszczęściem poeta wspomina smętnie licznych *amis que vent emporte, et il ventait devant ma porte*, „przyjaciół, których porwał wiatr, a wietrzno było u mych drzwi". Ale nie chciałbym być niesprawiedliwy: miałem wiernych i odważnych przyjaciół, tylko że nie byli to akurat koledzy po fachu albo choćby z dziedzin pokrewnych.

Dlatego w moich notatkach i ekscerptach pełno jest uwag w rodzaju: „Ustalić później!... Uzupełnić później!... Spróbować później odpowiedzieć!...". A potem, kiedy nadzieja na przeżycie tego „później" słabnie: „trzeba to zrobić później...".

Dzisiaj, kiedy owo „później" nie jest jeszcze zupełną teraźniejszością, ale jednak będzie nią w momencie, gdy książki wyłonią się spoza gruzu i kłopotów komunikacyjnych (i gdy będzie można z czystym sumieniem powrócić ze sfery vita activa współbudowniczego w zacisze gabinetu), dzisiaj wiem już, że jednak nie zdołam tym swoim szkicowym obserwacjom, refleksjom i pytaniom dotyczącym języka Trzeciej Rzeszy nadać kształtu skończonego dzieła naukowego.

Wymagałoby to większej wiedzy, a zapewne także dłuższego życia, niż mam do dyspozycji ja albo jakikolwiek inny człowiek. Trzeba będzie bowiem wykonać bardzo wiele specjalistycznej pracy w najróżniejszych dziedzinach: germaniści i romaniści, angliści i slawiści, historycy i ekonomiści, prawnicy i teolodzy, specjaliści nauk technicznych i przyrodniczych będą musieli drogą ekskursów i dysertacji rozwiązać bardzo wiele szczegółowych problemów, zanim jakiś śmiały i wszechstronny umysł odważy się przedstawić Linguam Tertii Imperii w jej całości pełnej ubóstwa i bogactwa zarazem. Ale wstępne rozejrzenie się w sprawach, których nie sposób jeszcze ustalić, ponieważ są ciągle płynne, praca pierwszej godziny, jak coś takiego nazywają Francuzi, zawsze jednak będzie miała wartość dla przyszłych właściwych badaczy. Sądzę, że z pożytkiem będzie też dla nich spojrzenie na swój przedmiot w stanie połowicznie dokonanej metamorfozy: jako na wpół relację o konkretnym przeżyciu, a na wpół rozważania przyodziane w naukowy aparat pojęciowy.

Ale jeśli taki jest cel mojej publikacji, to dlaczego nie przekazuję tego notatnika filologa takim, jak można go wyłuskać z bardziej prywatnego i ogólnego dziennika tamtych ciężkich dni? Dlaczego to i owo występuje w postaci syntetycznego zarysu, dlaczego punkt widzenia ówczesny tak często miesza się z punktem widzenia czasu dzisiejszego, pierwszych lat pohitlerowskich?

Chciałbym odpowiedzieć na to dokładnie. A to dlatego, że wchodzi tu w grę pewna intencja - obok celu naukowego mam na uwadze zarazem pewien cel wychowawczy.

Wiele się teraz mówi o wyplenianiu mentalności faszystowskiej, wiele się też w tym kierunku robi. Sądzi się zbrodniarzy wojennych, usuwa ze stanowisk kleine Pgs[7] („drobnych partyjniaków" - język Czwartej Rzeszy!), wycofuje z obiegu narodowosocjalistyczne książki, przemianowuje place Hitlera i

[7] Liczba mnoga od Pg (Parteigenosse) - towarzysz partyjny; oficjalny tytuł członków NSDAP.

ulice Göringa, ścina dęby Hitlera. Ale trudno się pozbyć wrażenia, że język Trzeciej Rzeszy przetrwał w szeregu charakterystycznych wyrażeń; wgryzły się one w język niemiecki tak głęboko, że zdają się już stanowić jego trwały składnik. Ileż razy na przykład słyszałem od maja 1945 roku, jak w przemówieniach radiowych, w płomiennych manifestach antyfaszystowskich, mówiąc o istocie demokracji używano słów *charakterlich* i *kämpferisch*[8]. Są to słowa z samego jądra – Trzecia Rzesza powiedziałaby: „z centrum jestestwa" - LTI. Czy sprawia to pedanteria, że mnie one rażą, czy wyłazi ze mnie belfer, który ponoć siedzi ukryty w każdym filologu?

Chciałbym na to pytanie odpowiedzieć innym pytaniem.

Co było najmocniejszym środkiem propagandowym hitleryzmu? Czy były to konkretne mowy Hitlera i Goebbelsa, ich wywody na ten czy ów temat, ich nagonka na Żydów, na bolszewizm?

Bez wątpienia nie. Znaczna część z tego była dla mas niezrozumiała albo nudna przez ciągłe powtarzanie jednego i tego samego. Jakże często widywałem w restauracjach, kiedy jeszcze nie nosiłem gwiazdy i wolno mi było do nich wchodzić, a później w fabryce, podczas dyżuru przeciwlotniczego, kiedy to Aryjczycy mieli dyżurkę dla siebie, a Żydzi drugą dla siebie, i w pokoju aryjskim było radio (i ogrzewanie, i jedzenie) - jakże często widywałem wtedy karty rzucane zamaszyście przez graczy na stół i słyszałem głośne rozmowy o racjach mięsnych i tytoniowych, i o kinie, w czasie gdy Führer lub któryś z jego paladynów wywodzili coś rozwlekle, a potem można było przeczytać w gazetach, że cały naród słuchał ich z napiętą uwagą.

Nie, to co działało najskuteczniej, to nie były konkretne mowy ani artykuły czy ulotki, plakaty czy sztandary, to nie było nic takiego, co trzeba by w siebie przyjmować poprzez świadomą myśl albo świadome uczucie.

Narodowy socjalizm wślizgiwał się w ciało i w krew tłumu pojedynczymi słowami, zwrotami, formami zdań, które narzucał przez milionkrotne ich powtarzanie i które były przejmowane mechanicznie i nieświadomie. Schillerowski dystych o „ukształconym języku, co składa słowa i myśli za ciebie", zwykło się pojmować czysto estetycznie i w sposób, że tak powiem, nieszkodliwy. Udany wers w „ukształconym języku" nie mówi jeszcze nic o poetyckiej potencji tego, kto go złożył; mając do dyspozycji język wysokiej kultury, nietrudno nadać sobie pozór poety i myśliciela.

Ale język nie tylko składa słowa i myśli za mnie: kieruje również moim uczuciem, steruje całą moją duchową istotą - tym bardziej, im bardziej bezrefleksyjnie, nieświadomie mu się poddaję. A jeśli ten ukształcony język został utworzony z elementów trujących albo jeśli zrobiono z niego nosiciela trucizny? Słowa mogą być jak maleńkie dawki jadu: połyka się je niepostrzeżenie, wydają się nie mieć żadnego skutku, a jednak po pewnym czasie występuje trujące działanie. Jeśli ktoś przez dostatecznie długi czas to, co bohaterskie i cnotliwe, nazywa fanatycznym, ten wreszcie rzeczywiście uwierzy, że fanatyk to cnotliwy bohater i że bez fanatyzmu nie można być bohaterem. Słowa „fanatyczny" i „fanatyzm" nie były wynalazkiem Trzeciej Rzeszy: ona zmieniła tylko ich walor i w ciągu jednego dnia używała ich częściej niż inne okresy historyczne przez całe lata. Było bardzo niewiele słów, które Trzecia Rzesza sama ukuła dla swego języka; może, a nawet prawdopodobnie, w ogóle takich nie było. Język nazistowski czerpie wiele swoich słów z zagranicy, większość pozostałych przejmuje od

[8] Oba te przymiotniki: charakterlich (dotyczący charakteru) i kämpferisch (bojowy), są przykładem niemałej liczby słów, które z czasem straciły swój nazistowski posmak i obecnie funkcjonują w języku bez takiego zabarwienia.

Niemiec przedhitlerowskich. Ale zmienia on walor słów i częstotliwość ich użycia, czyni własnością ogółu to, co dawniej należało do jednostki lub niewielkiej grupy, przywłaszcza na rzecz partii to, co dawniej było własnością ogółu, a przy tym wszystkim nasyca słowa, wyrażenia i formy zdaniowe swoją trucizną, czyni język posłusznym narzędziem swego straszliwego systemu, pozyskuje w języku swój najsilniejszy, swój najbardziej publiczny i zarazem najtajniejszy środek agitacji.

Myślę, że wyraźne ukazanie trucizny zawartej w LTI i ostrzeżenie przed nią jest czymś więcej niż zwykłym belferstwem. Kiedy u prawowiernych Żydów jakieś naczynie stołowe stanie się nieczyste ze względów kultowych, oczyszczają je w ten sposób, że je zakopują w ziemi. Wiele słów z nazistowskiego uzusu językowego należałoby na długi czas, a niektóre na zawsze, złożyć w zbiorowym grobie.

II
Preludium

Dnia 8 czerwca 1932 obejrzeliśmy (jak informuje mój dziennik) „niemal już klasyczny" film dźwiękowy *Błękitny anioł*. Coś, co zostało pomyślane i wykonane jako utwór epicki, po przerobieniu na dramat, a tym bardziej na film, nabiera zawsze pewnego zabarwienia banalnie sensacyjnego - stąd *Profesor Unrat* Henryka Manna jest niewątpliwie większym dziełem niż *Błękitny anioł*; niemniej wszakże jako osiągnięcie artystyczne aktorów film ten był rzeczywiście arcydziełem. W rolach głównych grali tam Jannings, Marlena Dietrich i Rosa Valetti, a i postacie drugoplanowe były autentycznie żywe. Pomimo to rozgrywająca się na ekranie akcja tylko na krótkie chwile zwracała na siebie czy wręcz przykuwała moją uwagę, nieustannie bowiem pojawiała mi się przed oczami scena z poprzedzającej film kroniki tygodnia: na tle aktorów grających w *Błękitnym aniele* albo pośród nich tańczył - a mam tu dosłownie na myśli taniec - dobosz.

Scena ta rozgrywała się po objęciu rządów przez gabinet Papena i była zatytułowana: *Rocznica bitwy skagerrackiej, warta honorowa marynarki wojennej w drodze do pałacu prezydenckiego maszeruje przez Bramę Brandenburską*.

Widziałem w swoim życiu wiele defilad, w rzeczywistości i na filmie; wiem, co to jest pruski krok defiladowy - kiedy mieliśmy musztrę na Oberwiesenfeld w Monachium, przełożeni mawiali: Musi to być co najmniej tak dobrze jak w Berlinie! Ale nigdy przedtem, a także, co znaczy jeszcze więcej, nigdy potem, podczas żadnej defilady przed Führerem ani żadnej parady norymberskiej nie widziałem czegoś podobnego jak owego wieczoru. Ci ludzie wyrzucali nogi tak, że czubki butów zdawały się wystrzelać ponad czubki nosów, i było to jakby jeden wymach, jakby jedna noga, a w postawie wszystkich tych ciał - nie: tego jednego ciała - było takie kurczowe sprężenie, że ruch zdawał się zastygać, tak jak zastygłe były już twarze, że cały oddział sprawiał w równym stopniu wrażenie martwoty, co najwyższego ożywienia. Ale nie miałem czasu, a ściślej mówiąc, nie miałem w sobie wolnej przestrzeni duchowej na to, aby rozwiązać zagadkę tego oddziału, tworzył on bowiem jedynie tło dla jednej postaci, która całkowicie nad nim dominowała i przykuwała całą moją uwagę: dla dobosza.

Ten kroczący na przedzie dobosz miał lewą dłoń z szeroko rozstawionymi palcami wpartą w biodro, czy raczej jego ciało, jakby szukając równowagi, wspierało się, ugięte, na tej lewej dłoni, gdy tymczasem prawe ramię z pałką wylatywało wysoko w powietrze, a czubek buta wyrzuconej z rozmachem nogi jakby chciał doścignąć tę pałkę. Tak więc człowiek ten unosił się skośnie w próżni, niczym pomnik bez cokołu, utrzymywany w tej pozycji tajemniczym sposobem przez skurcz mięśni od stopy do głowy, w palcach i w nogach. To, co prezentował, nie było jedynie pokazem musztry: w równej mierze jak marsz defiladowy był to archaiczny taniec, ten człowiek był w jednej osobie fakirem i grenadierem. Mniej więcej podobne napięcie i konwulsyjnie wykrzywione łamańce można oglądać w ekspresjonistycznych rzeźbach tamtych lat, słyszeć we współczesnej ekspresjonistycznej poezji, ale w samym życiu, w trzeźwym życiu najbardziej trzeźwego z miast działały one z siłą czegoś absolutnie nowego. I było to zaraźliwe. Wrzeszczący ludzie starali się docisnąć jak najbliżej maszerującego oddziału, drapieżnie wyciągnięte ramiona jak gdyby chciały się weń wczepić, szeroko rozwarte oczy jakiegoś młodego człowieka w pierwszym szeregu miały wyraz religijnej ekstazy.

Ten dobosz był moim pierwszym wstrząsającym zetknięciem z narodowym socjalizmem, który aż do tej chwili, mimo że się już przecież dokoła szerzył, uważałem za mało znaczący i przelotny wybryk niedowarzonych malkontentów. Tutaj zobaczyłem po raz pierwszy fanatyzm w jego specyficznym narodowosocjalistycznym kształcie; ta niema postać przemówiła do mnie po raz pierwszy językiem Trzeciej Rzeszy.

III
Cecha podstawowa: ubóstwo

LTI jest niezwykle uboga. Jej ubóstwo ma charakter niejako pryncypialny; wygląda to tak, jakby złożyła ona ślub ubóstwa.

Mein Kampf, biblia narodowego socjalizmu, wyszła po raz pierwszy w roku 1925 i z tą chwilą język nazizmu został ustalony we wszystkich swoich podstawowych znamionach. W wyniku objęcia władzy przez partię w roku 1933 stał on się z języka grupy językiem narodu, to znaczy opanował wszystkie publiczne i prywatne sfery życia: politykę, wymiar sprawiedliwości, gospodarkę, sztukę, naukę, szkołę, sport, rodzinę, przedszkole, nieomal żłobek (język grupy obejmuje zawsze tylko te dziedziny, których dotyczy więź grupowa, nie zaś całość życia). Oczywiście LTI rozciągnęła również swoją ekspansję, i to ze szczególną energią, na armię; ale między językiem wojska a LTI zachodzi oddziaływanie wzajemne, dokładniej mówiąc: najpierw język armii oddziałał na LTI, a następnie został przez nią skorumpowany. Dlatego o tych wpływach wspomnę oddzielnie.

Aż do roku 1945 włącznie, nieomal do ostatniego dnia – „Reich”[9] wychodził jeszcze, kiedy Niemcy przedstawiały już sobą kupę gruzów, a Berlin był okrążony - drukowano ogromną ilość wszelkiego rodzaju literatury: ulotek, gazet, czasopism, książek szkolnych, dzieł naukowych i literackich. W całej

---

[9] „Das Reich” - tygodnik prezentujący treści narodowosocjalistyczne na stosunkowo wysokim poziomie dziennikarskim, przeznaczony w znacznej mierze dla zagranicy, do którego artykuły wstępne pisywał Goebbels; wychodził od r. 1940 do połowy kwietnia 1945.

tej swojej czasowej i rzeczowej rozpiętości LTI pozostawała uboga i monotonna, przy czym słowo „monotonna” należy rozumieć tak samo dosłownie, jak poprzednio słowo „ustalony”. W miarę tego, jakie akurat możliwości nastręczało mi życie (często przychodziło mi porównywać swoją lekturę z lotem balonem, kiedy to trzeba powierzyć siebie prądom powietrznym i zrezygnować z rzeczywistego sterowania), studiowałem to *Mit dwudziestego wieku*, to znów *Kieszonkowy rocznik kupca detalicznego*, przerzucałem raz czasopismo prawnicze, raz farmaceutyczne, czytałem powieści i wiersze, jakie mogły się ukazywać w tych latach, słuchałem przy zamiataniu ulicy i w hali maszyn rozmawiających robotników. Wszędzie, w postaci drukowanej i mówionej, u ludzi wykształconych i niewykształconych, był to ten sam stereotyp i ten sam ton. I nawet u tych, którzy byli najbardziej prześladowanymi ofiarami i z natury rzeczy śmiertelnymi wrogami narodowego socjalizmu, u Żydów, panowała wszędzie, w ich rozmowach i listach, także w ich książkach, dopóki jeszcze mogli je publikować, równie wszechmocna, jak uboga i właśnie przez swoje ubóstwo wszechmocna LTI.

Przeżyłem trzy epoki niemieckiej historii: czasy wilhelmińskie, republikę weimarską i czasy Hitlera.

Republika dawała wolność słowa i pisma w wymiarze po prostu samobójczym; narodowi socjaliści otwarcie drwili, że atakując brutalnie w swoich książkach i gazetach wszelkimi środkami satyry i płomiennej filipiki państwo we wszystkich jego instytucjach i ideach przewodnich, korzystają tylko z przyznanych sobie konstytucyjnie praw. W dziedzinie sztuki i nauki, estetyki i filozofii nie było żadnych ograniczeń. Nikt nie był związany jakimś określonym dogmatem etycznym czy artystycznym, każdy mógł swobodnie wybierać. Chętnie chwalono tę wielostronną wolność duchową jako niezwykły i zdecydowany postęp w stosunku do epoki cesarskiej.

Ale czy era wilhelmińska była rzeczywiście o wiele mniej tolerancyjna?

W moich studiach nad okresem francuskiego Oświecenia uderzało mnie często wyraźne pokrewieństwo między ostatnimi dziesięcioleciami ancien régime'u a epoką Wilhelma II. Oczywiście, za Ludwika XV i XVI istniała cenzura, nieprzyjaciołom króla i bezbożnikom groziła Bastylia, a nawet kat, wydano szereg bardzo surowych wyroków - ale jeśli to rozłożyć na cały czas trwania epoki, nie było tego znów tak wiele. I nieustannie, często prawie bez przeszkód, udawało się jednak oświeceniowcom publikować i rozpowszechniać swoje pisma, a każda kara wymierzona jednemu z nich pociągała za sobą tylko wzmożenie buntowniczego piśmiennictwa i zwiększenie jego zasięgu.

Bardzo podobnie było za Wilhelma II - oficjalnie panowała jeszcze absolutystyczna i moralistyczna surowość, zdarzały się procesy o obrazę majestatu czy o bluźnierstwo albo obrazę moralności, ale prawdziwą władzę nad opinią publiczną sprawował „Simplicissimus”[10]. Wskutek cesarskiego sprzeciwu Ludwig Fulda nie dostał Nagrody Schillera, przyznanej mu za *Talizman*, ale teatr, prasa i pisemka satyryczne pozwalały sobie na stokroć ostrzejszą krytykę istniejących stosunków, niż można ją było znaleźć w stonowanym *Talizmanie*. A przejawy szczerego entuzjazmu dla każdego prądu duchowego pochodzącego z zagranicy oraz eksperymenty na polu literackim, filozoficznym, artystycznym również za Wilhelma II nie trafiały na żadne przeszkody. Dopiero w ostatnich latach cesarstwa konieczności wynikające z faktu wojny zmusiły do wprowadzenia cenzury. Ja sam po zwolnieniu ze szpitala wojskowego pracowałem przez długi czas jako biegły urzędu kontroli książek rejonu Górny Wschód, gdzie przeglądano pod kątem widzenia przepisów cenzury specjalnej całą literaturę przeznaczoną dla cywilów i wojskowych w rozległym okręgu administracyjnym, gdzie więc

---

[10] „Simplicissimus” - niemiecki tygodnik satyryczno-polityczny, wychodził w latach 1896-1944.

kryteria były nieco surowsze niż w placówkach cenzury w samych Niemczech. Jakże liberalnie tu postępowano, jak rzadko nawet tutaj wydawano jakiś zakaz!

Niewątpliwie w obu epokach, które znam z osobistego doświadczenia, panowała tak daleko idąca wolność w sferze literackiej, że bardzo nieliczne przypadki zamknięcia komuś ust trzeba uznać za wyjątki.

Skutek był taki, że nie tylko rozwijały się swobodnie ogólne gałęzie języka, jako mowa i pismo, jako forma dziennikarska, naukowa, literacka, że nie tylko istniały ogólne prądy literackie, jak naturalizm, neoromantyzm, impresjonizm i ekspresjonizm, lecz że we wszystkich dziedzinach mogły też rozwijać się całkowicie indywidualne style języka.

Trzeba pamiętać o tym, rozkwitającym do 1933 roku, a potem nagle obumierającym bogactwie, aby w pełni pojąć ubóstwo zuniformizowanego niewolnictwa, które stanowi główną cechę charakterystyczną LTI.

Przyczyna tego ubóstwa wydaje się jasna. Zorganizowany w najdrobniejszych szczegółach system tyranii czuwa tu po prostu nad tym, aby doktryna narodowego socjalizmu w każdym punkcie, a więc także w swoim języku, pozostała czysta. Wzorem cenzury papieskiej strona tytułowa książek dotyczących partii zawiera klauzulę: „Co do wydania niniejszej publikacji nie ma ze strony NSDAP zastrzeżeń. Przewodniczący Komisji Kontroli Partyjnej dla Ochrony Narodowego Socjalizmu". Do głosu dochodzi tylko ten, kto należy do Izby Literackiej Rzeszy[11] a cała prasa może publikować tylko materiał otrzymany z centrali, co najwyżej modyfikując w skromnym zakresie obowiązujący wszystkich tekst - przy czym modyfikacja ta ogranicza się do czysto zewnętrznej szaty ustalonych stereotypów. W późniejszych latach Trzeciej Rzeszy utrwalił się zwyczaj, że w piątek wieczorem w radiu berlińskim czytano najnowszy artykuł Goebbelsa dla „Reichu" - na dzień przed ukazaniem się numeru tego pisma - i w ten sposób za każdym razem aż do następnego tygodnia było wiadome, co powinno się znajdować we wszystkich gazetach objętych zasięgiem władzy nazizmu. Tak więc obowiązujący całe społeczeństwo model językowy był tworem bardzo niewielkiego grona osób. Może nawet tym, który określał, jaki język jest dozwolony, był tylko sam Goebbels, górował on bowiem nad Hitlerem nie tylko jasnością wypowiedzi, ale i regularnością wystąpień, tym bardziej że Führer mówił coraz mniej - po części, aby milczeć jak nieme bóstwo, po części dlatego, że nie miał już nic decydującego do powiedzenia; jeśli zaś taki Göring czy Rosenberg zdobyli się na jakieś własne niuanse, to minister propagandy wplatał je w swój krasomówczy melanż.

Władza absolutna, jaką sprawował monopol językowy maleńkiej grupy ludzi, a właściwie jednego człowieka, rozciągała się na całą sferę języka niemieckiego z tym większą skutecznością, że LTI nie znała różnicy między żywą mową a słowem pisanym. Albo raczej: wszystko w niej było mową, musiało być przemową, wezwaniem, rozbudzaniem namiętności. Między mowami a artykułami ministra propagandy nie było żadnej różnicy stylistycznej - dlatego zresztą jego artykuły tak dobrze nadawały się do deklamacji. Deklamować znaczy dosłownie: głośno, dźwięcznie wypowiadać, jeszcze dosłowniej: wykrzykiwać. Obowiązujący wszystkich styl był więc stylem krzykliwego agitatora.

---

[11] W ramach narodowosocjalistycznego „zglajchszaltowania" (zob. przyp. 17 na str. 42) wprowadzono na mocy ustawy z 22 września 1933 r. instytucję zrzeszającą wszystkich twórców kultury, tzw. Reichskulturkammer (Izbę Kultury Rzeszy). Jej przewodniczącym, wyposażonym w bardzo daleko sięgające uprawnienia, był Goebbels. Izba ta dzieliła się na „izby branżowe" dla różnych działów twórczości, z których jedną była Reichsschrifttumskammer (Izba Literacka Rzeszy).

I tutaj spoza jednej, jasnej przyczyny ubóstwa LTI wyłania się druga, głębsza. LTI była uboga nie tylko dlatego, że wszyscy musieli kierować się tym samym wzorcem, lecz przede wszystkim dlatego, że umyślnie ograniczała się do jednej tylko strony ludzkiej istoty.

Każdy język, który może swobodnie funkcjonować, służy wszystkim ludzkim potrzebom: jest narzędziem zarówno umysłu, jak i uczucia, środkiem informacji i rozmowy, monologu i modlitwy, prośby, rozkazu i zaklęcia. LTI służy wyłącznie temu ostatniemu. Jakiejkolwiek prywatnej czy publicznej dziedziny temat dotyczy - zresztą LTI tak samo nie zna podziału na sferę prywatną i publiczną, jak nie rozróżnia języka pisanego i mówionego - wszystko jest przemową i wszystko dzieje się publicznie. „Ty jesteś niczym, twój naród jest wszystkim" - brzmi jedno z jej haseł. Co ma oznaczać: nigdy nie jesteś sam z sobą, nigdy nie jesteś ze swymi bliskimi sam, stoisz zawsze w obliczu narodu.

Dlatego byłoby wprowadzaniem w błąd, gdybym chciał powiedzieć, że LTI zwraca się we wszystkich dziedzinach wyłącznie do woli człowieka. Kto bowiem apeluje do woli, apeluje zawsze do jednostki, nawet jeśli się zwraca do złożonego z jednostek ogółu. LTI natomiast zmierza do całkowitego pozbawienia jednostki jej indywidualnej istoty, do zagłuszenia w niej osobowości, do uczynienia z niej bezmyślnej i bezwolnej sztuki w stadzie, które się pędzi w dowolnym kierunku, atomu w toczącym się kamiennym bloku. LTI jest językiem masowego fanatyzmu. Tam, gdzie zwraca się ona do jednostki, i to nie tylko do jej woli, lecz także do jej intelektu, gdzie występuje jako doktryna, tam wpaja metody fanatyzowania i masowej sugestii.

Francuskie osiemnastowieczne oświecenie ma dwa ulubione wyrażenia, tematy i kozły ofiarne zarazem: oszustwo kapłanów i fanatyzm. Nie wierzy ono w autentyczność kapłańskich przekonań, we wszelkim kulcie widzi oszustwo, wymyślone dla sfanatyzowania społeczności i dla wyzysku sfanatyzowanych ludzi.

Żaden podręcznik oszukańczych kapłańskich chwytów - LTI nazywa to propagandą - nie został napisany z równie bezwstydną szczerością jak *Mein Kampf* Hitlera. Pozostanie dla mnie na zawsze największą zagadką Trzeciej Rzeszy fakt, że książkę tę wolno było całkowicie jawnie rozpowszechniać, co więcej: rozpowszechnianie jej było obowiązkowe, i że pomimo to mogło dojść do panowania Hitlera, panowania trwającego dwanaście lat, jakkolwiek biblia narodowego socjalizmu była w obiegu już na całe lata przed objęciem przez niego władzy. I nigdy, w całej osiemnastowiecznej Francji, słowo „fanatyzm" (wraz z należącym do niego przymiotnikiem) nie miało tak centralnej pozycji i przy całkowitym odwróceniu znaczenia nie było tak często używane, jak w dwunastu latach istnienia Trzeciej Rzeszy.

IV
Partenau

W drugiej połowie lat dwudziestych poznałem pewnego młodego człowieka, który dopiero co zgłosił się do Reichswehry jako kandydat na oficera. Jego ciotka przez powinowactwo, wdowa po moim koledze z uczelni, o poglądach bardzo lewicujących i namiętna entuzjastka Rosji radzieckiej,

wprowadzając go do naszego domu jakby się usprawiedliwiała. Jest to, mówiła, naprawdę dobry i łagodny chłopiec, który wybrał swój zawód w najlepszej wierze, nie kierując się ani szowinizmem, ani żądzą krwi. W jego rodzinie synowie od pokoleń byli pastorami albo oficerami, zmarły ojciec był pastorem, starszy brat też już studiował teologię, a więc on, Georg, za właściwe dla siebie miejsce uznał Reichswehrę, tym bardziej że był doskonały w gimnastyce, a słaby w łacinie; jego podwładni na pewno będą mieć w nim w przyszłości dobrego przełożonego.

Z Georgiem M. widywaliśmy się wtedy często, a ocenę jego ciotki uważaliśmy za w pełni trafną.

Przejawiał on w sposób beztroski i naturalny cechy zasadniczej przyzwoitości jeszcze wtedy, gdy dokoła niego nie panowała już taka zasadniczo przyzwoita atmosfera. Ze swego szczecińskiego garnizonu, gdzie oczekiwał awansu na podporucznika, przyjeżdżał wielokrotnie do nas do Heringsdorfu, chociaż idee narodowego socjalizmu szerzyły się już mocno i ostrożna inteligencja oraz oficerowie raczej unikali kontaktów z kręgami lewicowymi, a już tym bardziej z Żydami.

Wkrótce potem M. został przeniesiony jako podporucznik do pułku w Królewcu i przez szereg lat nic już o nim nie słyszeliśmy. Kiedyś tylko opowiadała jego ciotka, że przechodzi teraz przeszkolenie na pilota i jako sportowiec czuje się szczęśliwy.

W pierwszym roku rządów Hitlera - byłem wtedy jeszcze na swoim stanowisku i próbowałem jeszcze unikać wszelkiej lektury nazistowskiej - wpadł mi w ręce wydany w roku 1929 debiut, książka Maxa René Hessego, zatytułowana *Partenau*. Nie wiem, czy w samym podtytule, czy na karcie reklamowej wydawcy było napisane „Powieść Reichswehry"; w każdym razie to ogólne określenie utkwiło mi w pamięci. Pod względem literackim była to rzecz słaba - raczej nowela, choć z ambicjami powieściowymi, obok dwóch głównych bohaterów za wiele postaci-cieni, za wiele wymyślnych planów strategicznych, które mogły zainteresować tylko specjalistę, początkującego adepta sztabu generalnego; słowem, utwór ogólnie nie wyważony. Ale treść, która miała przecież charakteryzować Reichswehrę, natychmiast mnie zaciekawiła i potem ciągle powracała w mojej pamięci. Przyjaźń porucznika Partenaua z podchorążym Kieboldem. Porucznik jest wojskowym geniuszem, zawziętym patriotą i homoseksualistą. Podchorąży chciałby być tylko jego uczniem, ale nie kochankiem, i porucznik strzela sobie w łeb. Jest on pomyślany jako postać absolutnie tragiczna: zboczenie seksualne zostaje niejako wkomponowane w sposób gloryfikujący w pierwiastek heroiczny właściwy męskiej przyjaźni, a niezaspokojony patriotyzm ma chyba przypominać Heinricha von Kleista. Całość jest napisana w ekspresjonistycznym, niekiedy napuszenie tajemniczym stylu lat wojny i początku okresu weimarskiego, mniej więcej językiem Fritza von Unruha. Ale Unruh i niemieccy ekspresjoniści owych czasów byli pacyfistami, byli nastawieni humanitarnie i przy całej miłości do ojczyzny kosmopolitycznie. Natomiast Partenau jest pełen myśli rewanżystowskich, a jego plany to bynajmniej nie jakieś czyste urojenia; mówi on o istniejących już „podziemnych prowincjach", o podziemnym budowaniu „zorganizowanych komórek". Brak jeszcze tylko jakiegoś wybitnego wodza. „Tylko człowiek, który będzie czymś więcej niż wojownikiem i budowniczym, mógłby ich tajemną drzemiącą siłę przemienić w potężne i sprężyste narzędzie". Kiedy ten wódz-geniusz się znajdzie, stworzy przestrzeń życiową dla Niemców. Trzydzieści pięć milionów Czechów i innych ludów niegermańskich przesiedli na Syberię, a ich obecne tereny europejskie przypadną narodowi niemieckiemu. Ma on do tego prawo dzięki swej wyższości nad innymi ludźmi, jakkolwiek jego krew jest od dwóch tysięcy lat „zarażona chrześcijaństwem"...

Podchorąży Kiebold jest pełen entuzjazmu dla idei swego porucznika. „Za marzenia i myśli Partenaua jestem gotów umrzeć choćby jutro” - oświadcza; a do samego Partenaua mówi później: „Byłeś pierwszym człowiekiem, którego spokojnie mogłem zapytać, co właściwie oznacza sumienie, skrucha, moralność w odniesieniu do kraju i narodu, nad czym wtedy wspólnie z najgłębszym niezrozumieniem potrząsaliśmy głową”.

Jak powiedziałem, książka ta ukazała się już w roku 1929. Cóż za antycypacja języka, sposobu myślenia Trzeciej Rzeszy! Wówczas, gdy notowałem w dzienniku te znamienne zdania, mogłem to tylko przeczuwać. Że zaś ten sposób myślenia mógłby się kiedyś przerodzić w czyny, że „sumienie, skrucha, moralność” całej armii, całego narodu mogłyby rzeczywiście zostać kiedyś wyeliminowane - to wówczas uważałem jeszcze za niemożliwe. Wszystko to razem wydawało mi się dziką fantazją jednostki wytrąconej z równowagi. Tak też musiało to być chyba ogólnie rozumiane; inaczej bowiem byłoby rzeczą niepojętą, że taka podżegająca publikacja mogła się ukazać za czasów republiki...

Dałem tę książkę do przeczytania naszej prosowiecko usposobionej przyjaciółce, która właśnie wróciła z ferii spędzonych w wiejskim domu rodzinnym swego siostrzeńca. Po paru dniach przyniosła ją z powrotem, zupełnie nie zdziwiona; już od dawna, jak mówiła, było jej to wszystko znane, zarówno pod względem stylu, jak i treści, autor musiał mieć duży dar obserwacji. - Georg - powiedziała - ten naiwny, zupełnie nie oczytany w literaturze chłopiec, już od dawna pisze takim samym językiem, już od dawna zabawia się takimi samymi myślami.

Jakże łatwo niewinne, przeciętne natury przystosowują się do otoczenia! Potem przypomnieliśmy sobie, że ten dobroduszny chłopak już w Heringsdorfie mówił o „orzeźwiającej, radosnej wojnie”. Wtedy uważaliśmy to jeszcze za bezmyślne powtarzanie stereotypu. Ale właśnie stereotypy zyskują nad nami władzę. „Język, co składa słowa i myśli za ciebie...”.

Później słyszeliśmy jeszcze szereg razy tę ciotkę opowiadającą o karierze swego siostrzeńca. Jako oficer-pilot stał się wielkim panem, rozrzutnym i pozbawionym skrupułów, pewnym swoich praw pana i bohatera. Nie skąpił sobie na niczym. Dawał zamówienia na dostawy do kasyna, przy czym i dla niego zawsze kapnęło coś, co w niższych sferach nazywano łapówką. „Mamy prawo do tego, aby dobrze żyć - pisał - przecież codziennie narażamy swoje życie”.

Otóż nie tylko swoje: ten dobroduszny chłopiec igrał teraz również z życiem swoich podwładnych. A igrał tak beztrosko, że nawet jego mistrzom było już tego za wiele.

Jako dowódca eskadry kazał przeprowadzić w bardzo niekorzystnych warunkach atmosferycznych tak trudny i niebezpieczny lot ćwiczebny, że trzech ludzi przypłaciło go życiem. Ponieważ przy tym wypadku uległy również zniszczeniu dwie kosztowne maszyny, cała sprawa zakończyła się procesem przeciw naszemu znajomemu, obecnie kapitanowi. Wyrok opiewał na wydalenie z wojska.

Wkrótce potem wybuchła wojna; nie wiem, co się stało z M. - zapewne przyjęto go z powrotem do armii.

W przyszłej historii literatury nie znajdzie się chyba miejsca na wzmiankę o Partenau; tym większa powinna przypaść tej książce rola w historii mentalności. W urazach i ambicji zawiedzionych żołdaków, na których młodsze pokolenie patrzyło jak na tragicznych bohaterów, tkwi głęboko korzeń LTI.

A są to żołdacy specyficznie niemieccy. Przed pierwszą wojną światową krążył szeroko dowcip oparty na psychologii narodowej. Przedstawicielom różnych narodów zostaje zadany do swobodnego opracowania temat „słoń". Amerykanin pisze reportaż: „Jak zastrzeliłem swojego tysięcznego słonia", Niemiec zaś rozprawę „O życiu słoni w drugiej wojnie punickiej". LTI zawiera bardzo wiele amerykanizmów i innych obcych zapożyczeń - tak wiele, że niekiedy wręcz trudno jest dostrzec jej niemiecki rdzeń. Ale ten rdzeń istnieje, istnieje w sposób straszliwie namacalny - nikt nie może mówić w celu usprawiedliwienia, że chodziło tu jedynie o zewnętrzny nalot infekcyjny. Żołdak Partenau, nie będący żadnym wytworem fantazji, lecz klasycznie typowym portretem wielu ludzi tych czasów i tego zawodu, jest człowiekiem uczonym i obeznanym nie tylko z dziełami niemieckiego sztabu generalnego: czytał on też swojego Chamberlaina[12] i swojego Nitzschego, i *Odrodzenie* Burckhardta, itd., itd.

V
Z dziennika pierwszego roku

Parę stron ukazujących, jak to wszystko powoli, ale nieustannie na mnie napiera. Dotychczas sprawy polityczne, vita publica, nie miały na ogół dostępu do mojego dziennika. Od chwili otrzymania profesury w Dreźnie sam siebie niekiedy przestrzegałem: Znalazłeś swoje miejsce w życiu, należysz teraz do nauki - nie rozpraszaj swojej uwagi, skoncentruj się! A tymczasem:

21 marca 1933. Dzisiaj miał miejsce „akt państwowy" w Poczdamie[13]. Jak tu można pracować nie zwracając na takie rzeczy uwagi? Czuję się jak Franciszek w Götzu[14]: „Jak to się dzieje? nie wiem, jak, że wciąż mnie zwraca ku sobie świat". Ale już wiem, jak. W Lipsku powołano komisję do „unarodowienia" uniwersytetu. - Na tablicy ogłoszeń wisi u nas hasło w postaci dość długiej maksymy (takie samo jest podobno wywieszone we wszystkich innych wyższych uczelniach niemieckich): „Kiedy Żyd pisze po niemiecku, to kłamie"; w przyszłości należałoby go zmusić, mówi autor hasła, aby swoje książki publikowane w języku niemieckim określał jako „tłumaczenia z hebrajskiego". - Na kwiecień był tutaj w Dreźnie zapowiedziany kongres psychologów. „Freiheitskampf" opublikował podżegający artykuł: „Na co zeszła dyscyplina naukowa Wilhelma Wundta?... Jakież zażydzenie... Oczyścić!". Po czym kongres odwołano... „aby uniknąć przykrości, jakie mogłyby spotkać niektórych uczestników".

27 marca. Pojawiają się nowe słowa albo stare wyrażenia nabierają nowego specjalnego znaczenia, albo tworzą się nowe zbitki słowne, które szybko krzepną w kształt stereotypów. W podniosłym języku - a podniosły język jest stale de rigueur, wypada się bowiem entuzjazmować – SA zowie się

---

[12] Houston Stewart Chamberlain (1855-1927) - niemiecki filozof kultury, angielskiego pochodzenia, uważany - wraz z Francuzem Josephem Arthurem de Gobineau - za prekursora hitlerowskiego rasizmu; w pracy Die *Grundlagen des XIX. Jahrhunderts* [Podstawy XIX wieku) uzasadniał „misję dziejową rasy aryjskiej".
[13] Otwarcie nowo wybranego, posłusznego już Hitlerowi Reichstagu 21 marca 1933 r. poprzedziła uroczystość w kościele garnizonowym w Poczdamie, gdzie Hitler wraz z prezydentem Hindenburgiem złożyli hołd prochom Fryderyka Wielkiego; była to rocznica dnia, w którym w r. 1871 Bismarck otworzył pierwsze posiedzenie Reichstagu Cesarstwa Niemieckiego.
[14] Franciszek - postać z tragedii Goethego Götz von Berlichingen Żelaznoręki.

teraz, ‚brunatną armią”. Żydzi zagraniczni, zwłaszcza francuscy, angielscy i amerykańscy, nazywani są obecnie „światowym żydostwem” [*Weltjudentum*]. Równie często używane jest wyrażenie „międzynarodowe żydostwo” [*internationales Judentum*], przy czym „żydostwo światowe” ma zapewne stanowić jego formę zniemczoną. Jest to zniemczenie dość złowieszcze: miałożby ono oznaczać, że na świecie Żydzi znajdują się jeszcze tylko poza terenem Niemiec? A gdzie się znajdują w Niemczech? - Światowe żydostwo uprawia „propagandę grozy” [*Greuelpropaganda*] i rozpowszechnia kłamliwe bajki o rzekomych okrucieństwach [*Greuelmärchen*]; jeśli zatem my tutaj opowiadamy choćby coś niecoś z tego, co się każdego dnia dzieje, to właśnie uprawiamy propagandę grozy i grozi nam za to kara. Tymczasem szykuje się bojkot żydowskich sklepów i lekarzy. Rozróżnienie między tym, co „aryjskie”, a tym, co „niearyjskie”, ma wszędzie dominujące znaczenie. Można by założyć słownik nowego języka.

W sklepie z zabawkami zobaczyłem piłkę pokrytą nadrukowanymi swastykami. Czy taka piłka również należy do tego słownika?

(Wkrótce potem wyszedł dekret o „ochronie symboli narodowych”, zabraniający takiego przyozdabiania zabawek i podobnych zdrożności, ale problem zakresu LTI nadal mnie zajmował).

10 kwietnia. Człowiekiem „obcej rasy” [*artfremd* - dosłownie: obcym gatunkowo] jest się przy dwudziestu pięciu procentach krwi niearyjskiej. „W razie wątpliwości rozstrzyga rzeczoznawca od spraw rasowych”. Limpieza de la sangre, jak w szesnastowiecznej Hiszpanii. Ale wtedy chodziło o wiarę, a dzisiaj jest to zoologia plus interes. A propos Hiszpanii: wygląda mi to jak żart historii powszechnej, że „Żyd Einstein” zostaje ostentacyjnie powołany na pewien hiszpański uniwersytet i zaproszenie to przyjmuje.

20 kwietnia. Nowa okazja do uroczystości, nowe święto narodowe: urodziny Hitlera. Słowo „naród” [*Volk*] jest teraz w mowie i piśmie używane równie często jak sól przy jedzeniu. Do wszystkiego dodaje się szczyptę narodu: święto narodowe, wspólnota narodowa, narodowo bliski, narodowo obcy, wywodzący się z narodu [*Volksfest, Volksgemeinschaft, volksnah, volksfremd, volksentstammt*]...

Jakiż żałosny zjazd lekarzy w Wiesbaden! Uroczyście i wielokrotnie dziękują Hitlerowi jako „zbawcy Niemiec” - jakkolwiek problem rasowy nie jest jeszcze, jak się w tym oświadczeniu mówi, całkiem wyjaśniony, jakkolwiek „obcy” w rodzaju Wassermanna, Ehrlicha, Neissera mają wielkie osiągnięcia. Wśród ludzi z mojej „wspólnoty rasowej”, w moim najbliższym otoczeniu są tacy, którzy już to podwójne „jakkolwiek” uważają za akt odwagi - i to jest właśnie najżałośniejsze w całej tej sprawie. Nie, najżałośniejsze ze wszystkiego jest to, że muszę się ciągle zajmować tym obłędem różnicy rasowej między Aryjczykami a Semitami, że całe to koszmarne pogrążenie Niemiec w mroku i niewoli muszę stale rozpatrywać pod jednym kątem widzenia: żydowskim. Wydaje mi się, jakby to było zwycięstwo hitleryzmu odniesione osobiście nade mną. Nie chcę mu go przyznać.

17 czerwca. Jakiej właściwie narodowości jest Jan Kiepura? Niedawno nie pozwolono mu na koncert w Berlinie. Wtedy był Żydem Kiepurą. Potem wystąpił w filmie koncernu Hugenberga[15]. Wtedy był „słynnym tenorem mediolańskiej La Scali”. Potem wygwizdano w Pradze jego po niemiecku

[15] Alfred Hugenberg (1865-1951) - niemiecki przemysłowiec i polityk, przywódca konserwatywno-nacjonalistycznej Deutschnationale Volkspartei (Niemieckiej Narodowej Partii Ludowej); koalicja z tą partią umożliwiła Hitlerowi dojście do władzy.

zaśpiewaną piosenkę *Dzisiaj w nocy albo nigdy*! Wtedy był niemieckim śpiewakiem Kiepurą. (Że jest Polakiem, dowiedziałem się dopiero znacznie później).

9 lipca. Kilka tygodni temu ustąpił Hugenberg, a jego partia niemiecko-narodowa „sama się rozwiązała”. Od tego czasu obserwuję, że miejsce „powstania narodu” [*nationale Erhebung*] zajęła „rewolucja narodowosocjalistyczna” [*nationalsozialistische Revolution*], że Hitlera częściej niż dawniej nazywa się „kanclerzem narodowym” [*Volkskanzler*] i że mówi się o „państwie totalnym”.

28 lipca. Odbyła się uroczystość u grobu „likwidatorów Rathenaua” [*Rathenaubeseitiger* - dosłownie: usuwaczy Rathenaua][16]. Ileż pogardy, ileż amoralności czy akcentowanej moralności panów zawiera się w tej substantywizacji, w tym podniesieniu mordu do rangi zawodu. I jak pewnie trzeba się czuć, żeby w ten sposób mówić!

Ale czy oni się czują pewnie? Przecież w poczynaniach i słowach rządu jest też wiele histerii. Powinno się kiedyś uczynić przedmiotem specjalnych studiów histerię języka. To wieczne grożenie karą śmierci! A ostatnio wstrzymanie całego ruchu komunikacyjnego od godziny 12.00 do 12.40 w związku ze „ściganiem antypaństwowych emisariuszy i druków na terenie całych Niemiec”. Przecież to jest strach - na wpół bezpośredni, a na wpół pośredni. Chcę przez to powiedzieć, że ten chwyt stwarzający napięcie, a wzorowany na filmie i powieści sensacyjnej typu amerykańskiego, jest oczywiście w równej mierze przemyślanym środkiem propagandy, jak i bezpośrednim wytworem strachu, że jednak z drugiej strony ten tylko sięga po taką propagandę, komu jest ona konieczna, kto się po prostu boi.

A co mają znaczyć te nieustannie powtarzające się artykuły - stałe powtarzanie wydaje się zresztą głównym środkiem stylistycznym ich języka - na temat zwycięskiej bitwy o pracę w Prusach Wschodnich? Że wzorcem dla tej akcji jest faszystowska *battaglia del grano*, o tym wie może niewielu; ale że w okręgach rolniczych nie ma podczas żniw wielu bezrobotnych i że zatem z chwilowego zmniejszenia bezrobocia w Prusach Wschodnich nie można wnioskować o ogólnym i stałym spadku liczby bezrobotnych, to nawet najgłupszy musi sobie uświadomić.

Ale najbardziej wyraźny symptom ich wewnętrznej niepewności widzę w wystąpieniu samego Hitlera. Wczoraj w kronice tygodnia dźwiękowy fragment: Führer wygłasza kilka zdań przed wielkim zgromadzeniem. Zaciska pięść, wykrzywia twarz, jest to nie tyle mowa, co dziki wrzask, wybuch wściekłości: „30 stycznia śmiali się ze mnie (myśli oczywiście o Żydach) - odechce im się tego śmiechu...!”. Wydaje się teraz wszechmocny, może jest nim nawet, ale z tego filmu przemawia w głosie i geście po prostu bezsilna wściekłość. I czy się gada tak nieustannie, jak on to robi, o tysiącletnim trwaniu Rzeszy i o unicestwieniu przeciwników, jeśli się tego trwania i unicestwienia jest pewnym? - Wyszedłem z kina nieomal z iskierką nadziei.

22 sierpnia. Z najrozmaitszych warstw społeczeństwa nadchodzą oznaki zmęczenia Hitlerem. Referendarz Fl., żaden tam luminarz, ale poczciwy chłopak, zagaduje mnie w cywilu na ulicy: - Proszę się nie zdziwić, jeśli mnie pan kiedyś zobaczy w mundurze Stahlhelmu[17] i z opaską ze swastyką. Muszę - ale ten przymus w niczym nas nie zmienia. Stahlhelm pozostaje Stahlhelmem i jest na pewno czymś

---

[16] Walther Rathenau (1867-1922) -niemiecki minister spraw zagranicznych, Żyd z pochodzenia, zwolennik ugodowej polityki wobec państw zachodnich, został zamordowany przez członków prawicowej organizacji terrorystycznej.

[17] Stahlhelm - paramilitarna organizacja kombatantów z I wojny światowej; w r. 1933 wcielona do SA.

lepszym niż SA. I od nas, od „niemieckonarodowych”, przyjdzie ratunek! - Pani Krappmann, zastępująca posługaczkę, żona funkcjonariusza pocztowego najniższego stopnia: - Panie profesorze, od 1 października związek pocztowców „Towarzyskość” z A19 ma być „zglajchszaltowany”[18]. Ale naziści ani grosza z jego majątku nie dostaną; urządzi się poczęstunek: smażone kiełbaski dla panów, a dla pań kawa z ciastkami. - Annemarie, jak zwykle z lekarskim brakiem pruderii, powtarza słowa jakiegoś swojego kolegi noszącego na ramieniu swastykę: „Cóż robić? To coś w rodzaju damskiej podpaski”. - A Kuske, handlarz warzywami, recytuje najnowszą modlitwę wieczorną: - „Boże, niemym uczyń mnie, bym w Hohnstein nie znalazł się”[19]... Czy oszukuję sam siebie, czerpiąc z tego wszystkiego nadzieję? Przecież ten absolutny obłęd nie może trwać w nieskończoność; z chwilą, gdy minie narkotyczne upojenie narodu, powinien przyjść kacenjamer.

25 sierpnia. Cóż z tego, że są przejawy zmęczenia? Wszyscy się boją. Wydanie mojej *Francji w oczach Niemców* było już uzgodnione z wydawnictwem Quelle & Meyer; studium miało się ukazać najpierw w czasopiśmie „Neuphilologische Monatsschrift”, które redaguje rektor czy profesor Hübner, całkiem solidny uczony. Kilka tygodni temu napisał do mnie w przygnębionym tonie, czy nie zechciałbym przynajmniej na razie zrezygnować z publikacji tego studium; że w wydawnictwie są „komórki zakładowe” (osobliwe wyrażenie: łączy w sobie element mechaniczny z organicznym - och, ta nowa mowa!), on sam chciałby utrzymać dobry fachowy poziom pisma, ale kierownictwu politycznemu właściwe zainteresowania fachowe nie są takie bliskie... Zwróciłem się więc do wydawnictwa Diesterweg, dla którego cała ta moja czysto rzeczowa i źródłowa praca powinna być nie lada gratką. Odmowa była błyskawiczna; jako przyczynę podano, że studium wykazuje „tendencję wsteczną” i brak w nim „narodowego punktu widzenia”. A więc możliwości publikacji są odcięte - kiedy zatkają mi z kolei gębę? W semestrze letnim chronił mnie „Frontsoldat” - jak długo ta ochrona będzie jeszcze trwać?

28 sierpnia. Nie wolno mi stracić nadziei, że naród długo już tego nie wytrzyma. Mówi się, że główną podporą Hitlera było drobnomieszczaństwo, i jest to niewątpliwie prawda.

Uczestniczyliśmy w „podróży w nieznane”. Dwa pełne autobusy, około osiemdziesięciu osób, towarzystwo w najwyższym stopniu drobnomieszczańskie, całkowicie w swoim gronie, zupełnie jednorodne, ani śladu robotników czy sfery mieszczańskiej nieco wyższej, śmielej myślącej. W Lübau odpoczynek na kawę z występami kabaretowymi naszych pilotów-przewodników; jest to stały punkt programu tych wycieczek. Konferansjer rozpoczyna patetycznym wierszem na cześć wodza i zbawcy Niemiec, na cześć nowej wspólnoty narodowej itd., itd. - recytuje cały nazistowski różaniec. Ludzie są cisi i apatycznie na końcu klaszcze tylko jedna osoba, z czego widać, że brak jakiegokolwiek aplauzu. Potem ten człowiek opowiada historyjkę, której był jakoby świadkiem u fryzjera. Pewna dama, Żydówka, chce sobie podciąć włosy. „Bardzo żałuję, szanowna pani, ale tego mi zrobić nie wolno”. - „Nie wolno?” - „Absolutnie! Führer, zapowiadając bojkot Żydów, zapewnił uroczyście, i zapewnienie to na przekór wszystkim bajkom o rzekomych okrucieństwach obowiązuje do dziś, że żadnemu

[18] Gleichschaltung (unifikacja, ujednolicenie, jednolite ukierunkowanie) - hasło, pod którym narodowy socjalizm po objęciu władzy w Niemczech starał się podporządkować sobie wszystkie dziedziny życia publicznego, od administracji kraju poprzez sferę gospodarczą, wszelkie organizacje zawodowe i społeczne, aż po dziedzinę kultury, a nawet religii; było ono realizowane za pomocą tworzenia jednolitych, „monopolistycznych” struktur, do których przynależność była często koniecznym warunkiem uczestnictwa w danej dziedzinie życia, a które pozostawały pod absolutną kontrolą NSDAP.
[19] Hohnstein - średniowieczny zamek w miejscowości o tej samej nazwie w pobliżu Drezna, służący w latach 1933-1945 jako obóz koncentracyjny.

Żydowi w Niemczech włos z głowy spaść nie może”. Długotrwały śmiech i oklaski. - Czy nie uprawnia mnie to do pewnych wniosków? Czy ten dowcip i jego przyjęcie nie ma ważkiego znaczenia dla wszelkich badań socjologicznych i politycznych?

19 września. W kinie sceny z norymberskiego zjazdu partii. Hitler „poświęca” nowe proporce SA, dotykając ich krwawym sztandarem z 1923 roku[20]. Przy każdym dotknięciu płótna sztandarowego pada strzał armatni. Czyż to nie jest mieszanka teatru z kościołem? A pomijając nawet efekty teatralne, wystarczy już samo określenie „krwawy sztandar” [*blutige Fahne*]. „Czcigodni bracia, zwróćcie swe spojrzenie na nasze męczeństwo krwawe i cierpienie!„. Cała sprawa narodowosocjalistyczna zostaje przez te dwa słowa podniesiona ze sfery politycznej do religijnej. A ta sceneria i te słowa działają niezawodnie - ludzie siedzą w nabożnym skupieniu, nikt nie kichnie ani nie kaszlnie, nie zaszeleści żaden papier, nie słychać cmokania, jakie towarzyszy zwykle ssaniu cukierków. Zjazd partii aktem kultu, narodowy socjalizm religią - a ja sobie chcę wmówić, że to wszystko ma korzenie bardzo płytkie i wątłe?

10 października. Przyszedł do nas kolega Robert Wilbrandt. Czy zechcemy przyjąć człowieka niebezpiecznego dla państwa? Został nagle zwolniony. Formuła wyroku brzmi: „politycznie niepewny”. Wygrzebano sprawę pacyfisty Gumbla, za którym wstawiał się w Marburgu. A poza tym napisał książeczkę o Marksie. Chce wyjechać do Niemiec południowych, w jakiejś zapadłej dziurze chce się zagrzebać w swojej pracy... Gdybym ja mógł zrobić to samo! Tyrania i niepewność narastają z każdym dniem. Zwolnienia w kręgu kolegów po fachu, gdzie pełno jest Żydów. Olschki w Heidelbergu, Friedmann w Lipsku, Spitzer w Marburgu, Lerch, ten zupełny Aryjczyk Lerch w Münster, bo żyje „w konkubinacie z Żydówką”. Niebieskooki blondyn Hatzfeld, pobożny katolik, zapytał mnie z lękiem, czy jeszcze zachowałem swoje stanowisko. Odpowiadając wyraziłem zaciekawienie, dlaczego żywi on niepokój o swoją zupełnie przecież nie semicką osobę. Na to przysłał mi nadbitkę jakiejś pracy; pod jego nazwiskiem widniały tam dopisane atramentem słowa: „Serdeczne pozdrowienia - 25%”.

Czasopisma filologiczne i periodyk Związku Szkół Wyższych tak się pławią w żargonie Trzeciej Rzeszy, że przy każdej stronicy dosłownie zbiera się na wymioty. „Żelazna miotła Hitlera” - „nauka na bazie narodowosocjalistycznej” - „duch żydowski” - „listopadowe rzezimieszki” [*Novemberlinge* - czyli rewolucjoniści z 1918 roku].

23 października. Potrącono mi z pensji na „Dobrowolną Pomoc Zimową”[21] ; uprzednio nikt mnie nie pytał o zgodę. Chodzi tu po prostu o nowy podatek, którego tak samo nie można uniknąć jak któregokolwiek innego; dobrowolność polega jedynie na tym, że można płacić więcej, niż wynosi ustalona kwota, a już nawet w tej możliwości tkwi dla wielu ledwie zawoalowany przymus. Pomijając jednak całkiem ten zakłamany przymiotnik, czy już sam rzeczownik nie jest zamaskowaniem

[20] Sztandar, który 9 listopada 1923 r. niesiono na czele nazistowskiej demonstracji w Monachium; demonstracja ta, będąca ostatnim aktem nieudanego zamachu stanu, została rozproszona przez policję, przy czym szesnastu jej uczestników zginęło od kul. Wydarzenie to rozegrało się w pobliżu tzw. Feldherrnhalle - mauzoleum bawarskich bohaterów wojennych, które potem stało się jednym z głównych miejsc centralnych uroczystości hitlerowskich.

[21] Winterhilfswerk (Akcja Pomocy Zimowej) - organizacja pomocnicza w ramach narodowosocjalistycznej Opieki Społecznej pozostająca pod nadzorem Goebbelsa, zajmowała się zbiórką pieniędzy, żywności, odzieży dla bezrobotnych i innych potrzebujących pomocy; formalnie dobrowolna, w praktyce wymuszała świadczenia drogą nacisku politycznego.

przymusu, prośbą, apelem do uczuć? Pomoc zamiast podatku to element wspólnoty narodowej. Żargon Trzeciej Rzeszy sięga do tonów sentymentalnych, a to jest zawsze podejrzane:

29 października. Nagły ukaz, bardzo istotny dla programu zajęć szkoły wyższej: wtorkowe popołudnie ma być wolne od wykładów, wszystkich studentów obowiązują w tych godzinach ćwiczenia z zakresu sportu obronnego [*Wehrsport*]. Niemal jednocześnie napotkałem to słowo na pudełku papierosów: marka Wehrsport. Na pół maska, na pół zdemaskowanie. Powszechny obowiązek służby wojskowej został zakazany przez traktat wersalski; sport jest dozwolony - oficjalnie nie robimy nic niedozwolonego, ale coś takiego jednak robimy, i zarazem wykorzystujemy to jako lekką pogróżkę, w każdym razie czynimy aluzję do pięści, która - jak dotąd jeszcze - zaciska się w kieszeni. Kiedy wreszcie odkryję w języku tego reżimu jakieś rzeczywiście uczciwe słowo?

Wczoraj wieczorem była u nas Gusti W.; wróciła po czterech miesiącach z Turö, gdzie razem ze swoją siostrą, Marią Strindberg, przebywała u Karin Michaelis[22]. Spotkała się tam najwidoczniej mała grupa komunistów emigrantów. Gusti opowiadała potworne rzeczy. Naturalnie „bajki grozy", które można sobie szeptać tylko w największej tajemnicy. Zwłaszcza o nędzy, jaką cierpi sześćdziesięcioletni prawie Erich Mühsam[23] w jakimś szczególnie ciężkim obozie koncentracyjnym. Trawestując znane przysłowie można by powiedzieć: gorsze jest przyjacielem złego; zaczynam naprawdę uważać reżim Mussoliniego za nieomal ludzki i europejski.

Zadaję sobie pytanie, czy słowa „emigranci" i „obozy koncentracyjne" należałoby wprowadzić do słownika hitlerowskiego języka. Emigranci: jest to międzynarodowe określenie ludzi, którzy uciekli przed Wielką Rewolucją Francuską. Brandes nazywa jeden z tomów swej historii literatury europejskiej literaturą emigrancką. Potem mówiło się o emigrantach rewolucji rosyjskiej. A teraz właśnie istnieje grupa emigrantów niemieckich - w ich obozie są prawdziwi Niemcy! - i „mentalność emigrancką" stała się ulubionym mot savant. Tak więc słowu temu nie musi w przyszłości towarzyszyć koniecznie odór padliny Trzeciej Rzeszy. Inaczej jest z obozami koncentracyjnymi. Nazwę tę słyszałem jako chłopiec i wtedy miała ona dla mnie dźwięk egzotyczno-kolonialny i zupełnie nieniemiecki: podczas wojny burskiej mówiło się dużo o *compounds*, czyli obozach koncentracyjnych, w których Anglicy trzymali pod strażą wziętych do niewoli Burów. Potem słowo to całkowicie wyszło z użycia. Teraz zaś nagle pojawiło się na nowo i oznacza instytucję niemiecką wprowadzoną w czasach pokoju, która istnieje na terenie europejskim i jest skierowana przeciwko Niemcom, instytucję trwałą, a nie jakiś przejściowy środek wojenny wymierzony przeciw nieprzyjaciołom. Sądzę, że tam, gdzie w przyszłości padną słowa „obóz koncentracyjny", będzie się myśleć o Niemczech hitlerowskich i tylko o nich... Czy jest to z mojej strony oziębłość serca i ciasne belferstwo, że się tak ciągle i coraz bardziej zajmuję stroną filologiczną tej naszej niedoli? Po rzetelnym zbadaniu swojego sumienia mogę odpowiedzieć: nie, to samoobrona.

9 listopada. Dzisiaj na moim seminarium o Corneille'u wszystkiego dwóch uczestników: Lore Isakowitz z żółtą kartką żydowską i student Hirschowicz, nie-Aryjczyk, ojciec Turek, z niebieską kartką bezpaństwowca - autentyczni studenci niemieccy mają karty brunatne. (Znowu problem wyznaczenia zakresu: czy to należy do języka Trzeciej Rzeszy?)... Dlaczego mam tak zatrważająco mało słuchaczy?

---

[22] Karin Michaelis (1872-1950) - duńska pisarka, po dojściu Hitlera do władzy przyjmowała u siebie i otaczała opieką niemieckich emigrantów politycznych.

[23] Erich Mühsam (1878-1934) - niemiecki lewicowy poeta i dramaturg, zmarł w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu.

Francuski przestał być ulubionym przedmiotem wybieranym przez studentów-kandydatów na nauczycieli, uchodzi za przedmiot niepatriotyczny; a cóż dopiero literatura francuska wykładana przez Żyda! Słuchanie moich wykładów wymaga już nieomal pewnej odwagi. Do tego dochodzi jeszcze okoliczność, że teraz na wszystkich przedmiotach jest słaba frekwencja: studenci są przeciążeni „sportem obronnym" i tuzinem innych podobnych zajęć. I wreszcie: akurat w tych dniach muszą oni dosłownie wszyscy prawie bez przerwy pomagać w kampanii wyborczej, uczestniczyć w pochodach, zebraniach itd., itd.

Otóż jest to największy cyrk, jaki spośród imprez Goebbelsa dotychczas widziałem, i trudno mi sobie wyobrazić, aby coś mogło go jeszcze przewyższyć. Plebiscyt akceptujący politykę Führera i „lista jedności" do Reichstagu[24]. Co do mnie, to uważam całą rzecz za tak prostacką i niezręczną, jak to tylko możliwe. Plebiscyt: kto to słowo zna (a kto go nie zna, każe sobie objaśnić), ten wie, że jest ono ściśle związane z Napoleonem III i Hitler powinien raczej unikać kojarzenia go ze sobą. Zaś „lista jedności" wskazuje aż nazbyt wyraźnie, że Reichstag jako parlament skończył się. A propaganda jako całość jest naprawdę absolutnym cyrkiem - nosi się w klapie płaszcza znaczek z napisem „Tak", nie można sprzedawcom tych znaczków powiedzieć „nie", żeby się nie stać podejrzanym - takim gwałtem dokonywanym na ludziach, że właściwie powinna wywierać skutek przeciwny do zamierzonego...

Właściwie tak powinno być - ale dotychczas zawsze doznawałem zawodu. Ja rozumuję po inteligencku, a pan Goebbels stawia na pijane upojeniem masy. A poza tym jeszcze na lęk warstwy inteligenckiej. Tym bardziej że nikt nie wierzy w respektowanie tajemnicy wyborczej.

Już teraz odniósł on ogromne zwycięstwo nad Żydami. W niedzielę przeżyłem obrzydliwą scenę z małżeństwem K., które musieliśmy zaprosić na kawę. Mówię: „musieliśmy", ponieważ snobizm tej pani, powtarzającej bezmyślnie każdą najnowszą czy ostatnio zasłyszaną opinię, już od dawna działa nam na nerwy; natomiast jej mąż, chociaż chętnie przybiera pozę mędrca Natana, wydawał mi się zawsze jako tako rozsądny. Otóż w niedzielę oświadczył on, że - tak samo jak Centralne Stowarzyszenie Obywateli Pochodzenia Żydowskiego - zdecydował się „z ciężkim sercem" głosować w plebiscycie „za", a jego żona dodała, że system weimarski okazał się niemożliwy do realizacji i że trzeba stanąć „na gruncie faktów". Straciłem całe panowanie nad sobą, walnąłem pięścią w stół, tak że aż filiżanki zabrzęczały, i kilkakrotnie zapytałem K. podniesionym głosem, czy uważa politykę tego reżimu za zbrodniczą, czy też nie. Odparł z godnością, że nie mam prawa zadawać takiego pytania, i ze swej strony zapytał drwiąco, dlaczegóż w takim razie pozostaję na swoim stanowisku. Powiedziałem, że nie zostałem na nie wyznaczony przez reżim Hitlera i nie jemu służę, i spodziewam się go przeżyć. Pani K. podkreśliła jeszcze, iż trzeba przecież uznać, że Führer - powiedziała rzeczywiście „Führer" - jest osobowością genialną, której nie sposób odmówić niezwykłego oddziaływania ani się jej oprzeć... Dzisiaj byłbym nieomal gotów przeprosić częściowo małżeństwo K. za swoją gwałtowną reakcję. Zdążyłem bowiem usłyszeć całkiem podobne opinie od wielu żydowskich znajomych z naszego kręgu - i to od ludzi, których bez wątpienia trzeba zaliczyć do warstwy inteligenckiej i którzy niewątpliwie są na ogół osobami rzeczowo i samodzielnie myślącymi... Jest tu jakieś zamroczenie, które działa po prostu na wszystkich.

---

[24] 12 listopada 1933 r. odbyły się wybory do Reichstagu, w których -po uprzednim rozwiązaniu lub samorozwiązaniu wszystkich innych partii politycznych - można było głosować tylko na listę NSDAP; z wyborami tymi powiązany był plebiscyt, w którym wyborcy mieli zaakceptować wystąpienie Rzeszy z Ligi Narodów, dokonane przez rząd Hitlera miesiąc wcześniej.

10 listopada, wieczorem. Apogeum agitacji dane mi było przeżyć dzisiaj w południe przy odbiorniku radiowym Dembera (nasz fizyk, Żyd, niedawno zwolniony, ale też prowadzący już rozmowy w sprawie profesury w Turcji). Tym razem aranżacja Goebbelsa, który następnie pełnił rolę konferansjera swego własnego programu, była rzeczywiście majstersztykiem. Wszystko nastawione na pracę i na pokój umożliwiający spokojną pracę. Najpierw powszechne wycie syren w całych Niemczech i minuta ciszy, też w całych Niemczech - wzorują się tu oczywiście na Ameryce i na dniach święta pokoju pod koniec wojny światowej. Następnie może niewiele bardziej oryginalny (por. Włochy), ale wykonany z absolutną doskonałością sztafaż dla mowy Hitlera. Hala maszyn w Siemensstadt. Przez kilka minut pełny zgiełk pracy, uderzenia, łoskot, dudnienie, gwizdy, zgrzyty. Potem syrena i śpiew, i stopniowe milknięcie hamowanych kół. Potem wychodząca jakby z tej ciszy zapowiedź, wygłoszona spokojnie głębokim głosem Goebbelsa. I dopiero teraz Hitler, przez trzy kwadranse ON. Pierwszy raz słyszałem całą wygłoszoną przez niego mowę, przy czym maje wrażenie było w zasadzie takie samo jak poprzednie. Przeważnie nadmiernie podniecony, zdarty od krzyku, często ochrypły głos. Tyle że tym razem szereg pasaży było utrzymanych w płaczliwym tonie sekciarskiego kaznodziei. ON głosi pokój, ON wzywa do pokoju, ON chce niemieckiego „tak" nie z osobistej ambicji, lecz tylko po to, aby móc strzec pokoju przed zakusami wyobcowanej międzynarodowej kliki spekulantów, którzy w imię swoich zysków bez skrupułów podjudzają wzajemnie przeciw sobie wielomilionowe narody...

To wszystko, z dodatkiem dobrze wkomponowanych przerywających okrzyków („Żydzi!"), było mi oczywiście od dawna znane. Ale w całej swojej trywialności, w całym swoim zakłamaniu wołającym o pomstę do nieba a dosłyszalnym nawet dla najgłuchszego, impreza ta miała jednak pewną szczególną i nową moc oddziaływania. Sprawił to wstępny chwyt propagandy, który uważam za najlepszy spośród jej udanych wyczynów i właściwie decydujący. Zapowiedź brzmiała, jak następuje: „Uroczysta chwila między godz. 13.00 a 14.00. W trzynastej godzinie do robotników przybędzie Adolf Hitler". Jest to, jak każdy widzi, język Ewangelii. Pan, zbawca, przychodzi do ubogich i zagubionych. Finezja, nawet w sposobie podania czasu. O godzinie trzynastej? Nie: „W trzynastej godzinie". Brzmi to nieco jakby za późno, ale ON zdziała cud, dla niego nie istnieje żadne, „za późno". Krwawy sztandar na zjeździe partii - to było z tego samego gatunku. Tym razem jednak ciasne ramy ceremonii kościelnej zostały przełamane, anachroniczny kostium zrzucony, Chrystusowa legenda przetransponowana w bezpośrednią współczesność: Adolf Hitler, zbawiciel, przybywa do robotników w Siemensstadt.

14 listopada. Czemu robię wyrzuty K.S. i innym? Kiedy wczoraj obwieszczono tryumf rządu: 93% głosów za Hitlerem, 40 milionów „tak", 2 miliony „nie", 39 milionów za Reichstagiem (sławetna lista jedności), 3 miliony głosów „nieważnych", byłem oszołomiony zupełnie tak samo jak inni. Mogłem sobie nieustannie powtarzać, że po pierwsze wynik jest wymuszony, a po drugie, przy braku jakiejkolwiek kontroli, na pewno też upiększony - podobnie jak i za wiadomością z Londynu, gdzie ponoć zdumiewają się szczególnie nad tym, że nawet w obozach koncentracyjnych przeważały głosy „tak", musi się ukrywać mieszanina zafałszowania i szantażu - a jednak byłem i jestem wydany na pastwę oddziaływania tego triumfu Hitlera.

Przypomina mi się uparcie podróż statkiem z Bornholmu do Kopenhagi, którą odbyliśmy przed dwudziestu pięciu laty. W nocy szalał sztorm i choroba morska; rankiem siedzieliśmy na pokładzie pod osłoną widocznego lądu przy spokojnym morzu, w pięknym porannym słońcu, ciesząc się myślą o bliskim śniadaniu. I oto z końca długiej ławki podniosła się jakaś mała dziewczynka, podbiegła do relingu i zwymiotowała. W chwilę później wstała siedząca obok niej mama i zrobiła to samo. Zaraz

potem poszedł w jej ślady pan, który był tuż obok. Następnie jakiś chłopiec, a potem... ruch przebiegał równomiernie i szybko dalej, wzdłuż ławki. Nikt nie był oszczędzony. Nasz koniec czuł się początkowo jeszcze bezpiecznie: przyglądano się z zainteresowaniem, trochę sobie pokpiwając i robiąc drwiące miny. A potem kolejka wymiotujących poczęła się zbliżać, a potem śmiech umilkł, a potem zaczęto na naszym końcu podbiegać do relingu. Patrzyłem uważnie na to, co się obok dzieje, i spoglądałem uważnie w siebie. Mówiłem sobie, że przecież istnieje coś takiego jak obiektywna obserwacja, i że jestem do tego zaprawiony, i że istnieje siła woli, i cieszyłem się na śniadanie - a kiedy przyszła kolej na mnie, poczułem tak samo jak wszyscy inni, że muszę do relingu.

Spisałem z okresu pierwszych miesięcy nazizmu „na brudno” to, co w moim dzienniku odnosi się do nowej sytuacji i nowego języka. Byłem wtedy jeszcze w położeniu nieporównanie lepszym niż później; pozostawałem przecież na swoim stanowisku i we własnym domu, mogłem obserwować prawie bez żadnych przeszkód. Z drugiej strony moja wrażliwość nie zdążyła jeszcze ulec lekkiemu przytępieniu, byłem jeszcze tak bardzo nawykły do życia w państwie praworządnym, że uważałem za najniższe rejony piekła wiele z tego, co później było dla mnie najwyżej jego przedsionkiem, dantejskim *limbo*. W każdym razie: jakkolwiek z czasem miały przyjść rzeczy o wiele gorsze, to jednak wszystko, co jeszcze potem w dziedzinie mentalności, czynów i języka nazizmu doszło, istnieje w swoich zalążkach już w tych pierwszych miesiącach.

VI
Trzy pierwsze słowa po nazistowsku

Pierwsze słowo, które - nie ze względu na sposób utworzenia, lecz na swoje nowe zastosowanie - narzuciło mi się jako specyficznie nazistowskie, kojarzy mi się z goryczą pierwszej utraty przyjaciela, spowodowanej przez Trzecią Rzeszę. Trzynaście lat wcześniej my i T. zjawiliśmy się jednocześnie w Dreźnie i na Politechnice - ja jako profesor, on jako początkujący student. Był niemal czymś w rodzaju cudownego dziecka. Cudowne dzieci często sprawiają zawód, ale T., jak się zdawało, najniebezpieczniejszy okres cudownego dziecięctwa już przebył - bez szwanku dla siebie. Pochodzący ze środowiska bardzo drobnomieszczańskiego i biedny jak mysz kościelna, został podczas wojny odkryty w sposób, jaki się zdarza tylko w powieściach. Pewien słynny zagraniczny profesor życzył sobie, aby mu na stanowisku próbnym w jednej z lipskich fabryk zaprezentowano nową maszynę; wskutek powołań do wojska brak było inżynierów, obecny tam akurat monter nie potrafił wiele powiedzieć, profesor się zirytował - i wtedy spod maszyny wypełznął umorusany terminator i udzielił potrzebnych wyjaśnień. Ten młody chłopak zdobył swoją wiedzę przez uważne przyglądanie się temu, co go w zasadzie w ogóle nie musiało obchodzić, i przez samodzielną naukę po nocach. Teraz przyszedł mu z pomocą ów profesor, niezwykłą energię chłopca wzmogło jeszcze doznane powodzenie i wkrótce potem uczeń powszechniaka zdał nieledwie w tym samym dniu egzamin na czeladnika ślusarskiego i maturę. Następnie otwarła się przed nim możliwość zarabiania na utrzymanie w zawodzie technicznym i jednoczesnego studiowania. Jego uzdolnienia matematyczno-

techniczne dopisywały mu nadal: w bardzo młodym wieku i jeszcze przed końcowym egzaminem na dyplomowanego inżyniera otrzymał wysokie stanowisko.

Ale tym, co mi go czyniło bliskim, mnie, któremu niestety cała dziedzina matematyki i techniki jest tak nieskończenie obca, była wielostronność jego zainteresowań i refleksji. Sprowadził się do nas, z domownika stał się czymś w rodzaju wychowanka, nazywał nas - pół żartem, a zarazem bardzo serio - ojcem i matką, mieliśmy niewątpliwie jakiś udział w jego duchowym rozwoju. Ożenił się wcześnie, co w niczym nie zmieniło serdecznego stosunku między nami. Myśl, że stosunek ten mógłby kiedyś ulec zakłóceniu wskutek różnicy w poglądach politycznych, żadnemu z nas czworga zainteresowanych nie przychodziła nigdy do głowy.

A potem wtargnął do Saksonii narodowy socjalizm. Zauważyłem u T. pierwsze oznaki zmian w sposobie myślenia. Zapytałem go, jak może sympatyzować z tymi ludźmi. - Przecież oni nie chcą niczego innego niż socjaliści - powiedział - przecież oni też są partią robotników. - Czy ty nie widzisz, że oni prą do wojny? - Najwyżej do wojny wyzwoleńczej, która całej wspólnocie narodowej[25], a więc również robotnikom i biednym ludziom, musi wyjść na dobre...

Zacząłem wątpić w jego horyzonty myślowe i bystrość umysłu. Próbowałem go zawstydzić w inny sposób. - Żyłeś w moim domu całe lata, znasz mój sposób myślenia, sam przecież mówiłeś nieraz, że coś niecoś się od nas nauczyłeś i że w swoich ocenach moralnych jesteś z nami zgodny. Jak możesz przy tym wszystkim popierać partię, która z powodu mojego pochodzenia odmawia mi niemieckości i człowieczeństwa? - Bierzesz to o wiele za poważnie, tatku. (To ostatnie słowo powiedział w saskim dialekcie, co miało zapewne jego słowom, w ogóle całej dyskusji, nadać lekki ton). - Ten rejwach z Żydami służy jedynie celom propagandowym. Zobaczysz, że skoro tylko Hitler stanie u steru, będzie miał co innego do roboty niż wymyślać na Żydów...

Ale rejwach ten wywierał jednak skutek - również na naszego wychowanka. W jakiś czas potem zapytałem go o pewnego młodego człowieka, którego znał. Wzruszył ramionami: - Pracuje w AEG, wiesz, co to oznacza?... Nie?... „Alles echte Germanen” [Sami prawdziwi Germanie][26]. - Roześmiał się i był zdziwiony, że ja się nie śmieję.

Potem nie widywaliśmy się przez jakiś czas, aż wreszcie kiedyś - było to wkrótce po objęciu rządów przez Hitlera - zaprosił nas na obiad. - Jak tam u was w pracy? - zapytałem. - Znakomicie! - odrzekł. - Wczoraj mieliśmy wielki dzień. W „Okrilli” siedziało kilku bezczelnych komunistów, więc urządziliśmy ekspedycję karną. - Co urządziliście? - No, spuściliśmy im lanie, gumowymi pałkami, i do tego trochę rycyny, bez rozlewu krwi, ale całkiem, całkiem skutecznie - po prostu ekspedycja karna.

Ekspedycja karna to pierwsze słowa, które odczułem jako specyficznie nazistowskie, pierwsze słowa mojej LTI, a zarazem ostatnie, jakie usłyszałem od T.; odwiesiłem słuchawkę, nawet nie mówiąc, że z zaproszenia nie skorzystamy.

---

[25] Volksgemeinschaft (wspólnota narodowa) - jedno z podstawowych pojęć nazistowskiej ideologii, określające naród niemiecki jako społeczność zespoloną więzami krwi, wspólnym losem i wspólną polityczną wiarą (oczywiście narodowosocjalistyczną). (Nb. samo słowo Volk, zwłaszcza jako człon występujący w wyrazach złożonych i pochodnych, nabrało w języku Trzeciej Rzeszy szczególnego zabarwienia rasistowskiego i w znacznej mierze wyparło słowo Nation).

[26] AEG (Allgemeine Elektrizität-Gesellschaft) - największy niemiecki koncern przemysłu elektrotechnicznego; popierał aktywnie rządy hitlerowskie zatrudniał głównie osoby, które spełniały wymagania nazizmu pod względem politycznym i rasowym - stąd uzasadnienie tej gry słów.

Cokolwiek mogłem sobie wyobrazić jako uosobienie brutalnej arogancji i pogardy dla ludzi innego gatunku, koncentrowało się w tych słowach: ekspedycja karna; brzmiały one tak jakoś kolonialnie, widziało się poprzez nie obstawioną murzyńską wioskę i słyszało trzaskanie bicza z hipopotamiej skóry.

Później - niestety nie na długo - wspomnienie to przy całej swej goryczy miało też dla mnie w sobie coś pocieszającego. „Trochę rycyny": a więc to przedsięwzięcie całkiem wyraźnie naśladowało faszystowskie zwyczaje Włochów; cały nazizm wydał mi się niczym innym, jak tylko włoską zarazą. Ta pociecha ustąpiła przed odsłaniającą się prawdą, jak ustępuje poranna mgła; elementarny i śmiertelny grzech nazizmu miał charakter niemiecki, a nie włoski.

Ale gdyby nie owo skojarzenie z osobistym przeżyciem, nazistowski (czy faszystowski) termin „ekspedycja karna" ulotniłby się z mojej pamięci, jak się ulotnił z pamięci milionów innych ludzi, należy on bowiem tylko do początkowego okresu Trzeciej Rzeszy, co więcej: samo powstanie tego reżimu uczyniło go nieaktualnym i niepotrzebnym, podobnie jak strzałę od łuku wyparła bomba lotnicza. Miejsce półprywatnych i spełniających jakby rolę niedzielnej, sportowej imprezy ekspedycji karnych zajęła natychmiast systematyczna i oficjalna akcja policyjna, a miejsce rycyny - obóz koncentracyjny. Zaś w sześć lat po powstaniu Trzeciej Rzeszy przemieniona w akcję policyjną wewnętrznoniemiecka ekspedycja karna została zagłuszona wrzawą wojny światowej, którą ci, co ją rozpoczęli, pomyśleli jako rodzaj ekspedycji karnej przeciwko różnym narodom przez siebie pogardzanym. Tak przemijają słowa. Natomiast dwa inne terminy, oznaczające biegun przeciwny - Ty jesteś niczym, ja jestem wszystkim! - nie wymagają osobistego wspomnienia, aby pozostać w pamięci; pozostały tam dotąd i nie będą pominięte w żadnej historii LTI. Następna notatka na temat języka w moim dzienniku jest zatytułowana: Akt państwowy. Pierwszy taki akt z niezliczonego chyba ich szeregu inscenizuje Goebbels 21 marca 1933 w poczdamskim kościele garnizonowym. (Uderza u nazistów brak wyczucia efektów komiczno-satyrycznych, na które sami się narażają; czasami chciałoby się rzeczywiście wierzyć w ich subiektywną niewinność! Melodię, wygrywaną przez dzwony kościoła garnizonowego: „Bądź zawsze wierny i uczciwy", zrobili oni sygnałem swego berlińskiego radia, a farsę fikcyjnych posiedzeń Reichstagu umieścili w sali teatralnej - w Operze Krolla).

Jeśli należący do LTI czasownik *aufziehen*[27] może być gdzieś słusznie zastosowany, to na pewno tutaj; maszynerię aktów państwowych nakręcano zawsze według tego samego wzoru - tyle że w dwóch wariantach: z trumną lub bez trumny w punkcie centralnym. Pompa sztandarów, pochodów, girland, fanfar i chórów, całego sztafażu dla mów, była ogólnie niezmienna, zapożyczona od Mussoliniego. Podczas wojny coraz częściej na miejsce centralne wysuwała się trumna, a nadwątlona już nieco atrakcyjność tego środka propagandowego wzmogła się znowu dzięki różnym plotkom i pogłoskom. Ilekroć odbywał się państwowy pogrzeb jakiegoś generała, który poległ lub zginął w wypadku, krążyła wieść, że popadł on u Führera w niełaskę i został na jego rozkaz sprzątnięty. Fakt, że takie pogłoski mogły powstawać - wszystko jedno, czy odpowiadały one prawdzie, czy nie - jest żywym świadectwem tego, jak nisko oceniano prawdomówność LTI i jaką miarę kłamstw jej przypisywano. Największym wszakże kłamstwem, jakie kiedykolwiek znalazło wyraz w akcie państwowym, i to kłamstwem w tym czasie dowiedzionym, była uroczystość żałobna ku czci 6 Armii i jej marszałka[28].

---

[27] Zob. przyp. 30 na str. 56

[28] 6 Armia niemiecka pod dowództwem gen. Friedricha Paulusa (awansowanego do stopnia feldmarszałka nieomal w chwili kapitulacji), okrążona w Stalingradzie i częściowo zniszczona, skapitulowała na przełomie stycznia i lutego 1943 r.

Zamierzano tu wykorzystać klęskę dla wzbudzenia heroizmu, wmawiając wierne wytrwanie aż do śmierci tym, którzy się oddali w niewolę, aby się nie dać zabić - jak niezliczone tysiące ich kolegów - za bezsensowną i zbrodniczą sprawę. Plievier[29] w swojej książce o Stalingradzie wydobył z tego aktu państwowego wstrząsająco satyryczny efekt.

Pod względem czysto językowym termin ten jest podwójnie nadęty. Po pierwsze, stwierdza on rzeczywisty fakt, że honory rozdawane przez narodowy socjalizm oznaczają uznanie ze strony państwa. Wyraża więc zasadę absolutyzmu*: L'Etat c'est moi*. Do tego stwierdzenia dodaje on jednak pewne roszczenie. Akt państwowy jest to coś, co należy do historii państwa, a więc coś, co winno być zachowane na stałe w pamięci narodu. Akt państwowy ma szczególnie uroczyste znaczenie historyczne.

I tutaj przychodzi kolej na słowo, którym narodowy socjalizm od początku do końca szafował wyjątkowo rozrzutnie. Ceni on się mianowicie tak wysoko, jest tak przekonany - albo tak bardzo chce być przekonany - o trwałości swoich instytucji, że każda błahostka, która go dotyczy, wszystko, czego on się tknie, ma znaczenie historyczne. Historyczna jest dla niego każda mowa wygłoszona przez Hitlera, choćby mówił w niej po raz setny to samo i choćby wszystkie jego słowa w ogóle nic nie mówiły; historyczne jest każde spotkanie Führera z Duce, choćby ono zupełnie nic nie zmieniało w istniejącej sytuacji; historyczne jest zwycięstwo niemieckiego wozu wyścigowego, historyczne otwarcie nowej autostrady, a otwierana uroczyście jest każda autostrada z osobna i każdy odcinek każdej autostrady; historyczne są każde dożynki, historyczny każdy zjazd partii, historyczne każde święto jakiegokolwiek rodzaju; ponieważ zaś Trzecia Rzesza zna tylko dni świąteczne - można by powiedzieć, że zachorowała, śmiertelnie zachorowała na brak dni powszednich, zupełnie tak jak ciało może być śmiertelnie chore z powodu braku soli - wobec tego wszystkie swoje dni uważa ona za historyczne.

W iluż gazetowych nagłówkach, w ilu wstępnych artykułach i mowach użyto tego słowa i pozbawiono je czcigodnego sensu! Trzeba je będzie niezwykle oszczędzać, aby mogło ten sens odzyskać.

Zbędne natomiast jest przestrzeganie przed częstym używaniem słów „akt państwowy" - a to z tej przyczyny, że przecież nie mamy już państwa[30].

VII
Aufziehen[31]

[29] Theodor Plievier (1892-1955) - niemiecki powieściopisarz i publicysta; napisał m. in. trylogię *Der große Feldzug im Osten* (Wielka kampania na Wschodzie), której część I nosi tytuł Stalingrad.
[30] Słowa te zostały napisane tuż po wojnie, kiedy nie było jeszcze żadnego z istniejących dzisiaj dwóch państw niemieckich.
[31] Niektóre podstawowe znaczenia tego słowa: naciągać, napinać, nakręcać, rozkręcać; kpić (naigrawać się, żartować) z kogoś.

Nakręcam zegar, mechaniczną zabawkę, naciągam osnowę na krosnach: we wszystkich tych przypadkach chodzi o czynność mechaniczną, dokonywaną na niezdolnym do stawiania oporu, martwym przedmiocie.

Od mechanicznej zabawki - kręcącego się bąka, zwierzątka przebierającego nogami i kiwającego głową - prowadzi droga do zastosowania metaforycznego. W odniesieniu do człowieka słowo *aufziehen* oznacza: zakpić z kogoś, ośmieszyć go, zrobić z niego pajaca. Bergsonowska definicja komizmu jako automatyzacji żywego organizmu znajduje tu potwierdzenie w praktyce językowej.

W tym sensie *aufziehen* jest nieszkodliwym wprawdzie, ale jednak pejoratywem. (Tak filolog nazywa wszelkie „pogarszające" czy pomniejszające znaczenia wyrazu; np. cesarskie imię Augustus, co znaczy „dostojny", daje jako pejoratyw „głupiego Augusta", czyli klowna cyrkowego).

W języku współczesnym *aufziehen* uzyskało jeszcze jedno szczególne znaczenie - niby pochwalne, a jednak zdecydowanie pejoratywne. Mówiono mianowicie o reklamie, że jest „dobrze nakręcona". Oznaczało to uznanie dla jej handlowej skuteczności, zarazem jednak wskazywało na element przesady, krzykliwej szarlatanerii, niezgodność wychwalanych zalet towaru z jego rzeczywistą wartością. Całkiem wyraźnie i jednoznacznie występował ten czasownik jako pejoratyw, kiedy krytyk teatralny orzekał, że ta czy owa scena jest „naciągnięta". Znaczyło to, że autor jest raczej pozbawionym skrupułów technikiem (który chce olśnić publiczność) niż uczciwym pisarzem.

U samych początków Trzeciej Rzeszy wydawało się przez krótki czas, jak gdyby LTI zamierzała przejąć to metaforyczne ujemne znaczenie. Nazistowskie gazety wychwalały patriotyczny czyn dzielnych studentów, którzy „rozgromili naukowo naciągany Instytut Seksuologii profesora Magnusa Hirschfelda". Hirschfeld był Żydem, a więc jego instytut nie mógł być prawdziwie naukowy, tylko musiał być „naciągany".

Aliści w kilka dni później okazało się, że czasownik ten jako taki nie ma już w sobie nic pejoratywnego. Dnia 30 czerwca 1933 Goebbels oświadczył w Szkole Nauk Politycznych, iż „NSDAP rozkręciła wielomilionową organizację, skupiającą w sobie wszystko: teatry i zespoły amatorskie, sport, turystykę, chóry - którą państwo będzie wszelkimi środkami popierać". *Aufziehen* jest więc teraz słowem całkiem przyzwoitym, a kiedy rząd triumfalnie omawia propagandę, jaka poprzedziła plebiscyt w Zagłębiu Saary, mówi o „szeroko rozkręconej akcji". Nikomu już od tej chwili nie przychodzi do głowy, żeby widzieć w tym słowie coś reklamiarskiego. W roku 1935 wychodzi w wydawnictwie Holle & Co. w niemieckim przekładzie z angielskiego oryginału *Seiji Noma, autobiografia japońskiego króla prasowego*. Czytamy tam w tonie pełnego uznania: „Zdecydowałem się teraz... rozkręcić wzorową organizację dla wychowania studenckich mówców".

Zupełne znieczulenie na mechanistyczny sens tego czasownika wynika stąd, że jest on ciągle używany tam, gdzie mowa o jakiejś organizacji. Tu właśnie ujawnia się jedna z najdobitniejszych sprzeczności w obrębie LTI: podkreślając wszędzie to, co organiczne, wyrosłe w sposób naturalny, jest ona jednocześnie zalana wyrażeniami ze sfery mechaniki i pozbawiona wyczucia stylistycznej niestosowności i uwłaczającego charakteru takich frazeologicznych zestawień jak „rozkręcona organizacja".

- Nasuwa się tylko pytanie, czy odpowiedzialność za *aufziehen* można składać na hitleryzm - wtrącił kiedyś w rozmowie ze mną F. Latem 1943 roku pracowaliśmy na nocnej zmianie przy tej samej

mieszarce bębnowej do produkcji „niemieckiej herbaty". Była to praca bardzo męcząca, zwłaszcza w okresie upałów, ponieważ z powodu straszliwego pyłu musieliśmy sobie osłaniać głowy i twarze jak chirurdzy. Podczas przerw zdejmowaliśmy okulary, maski i czapki - F., który był kiedyś radcą sądu krajowego, nosił stary biret sędziowski - siadaliśmy na skrzyni i rozprawiali o psychologii różnych narodów (jeśli akurat nie byliśmy zajęci analizą sytuacji wojennej). Jak wszyscy mieszkańcy domu żydowskiego przy wąskiej Sporergasse, F. zginął w nocy z 13 na 14 lutego 1945.

Na temat *aufziehen* twierdził on zatem, że już około roku 1920 słyszał i czytał to słowo w znaczeniu całkiem neutralnym. Jednocześnie i w podobnych sytuacjach jak słowo „rozplakatować" - powiedział. Odparłem, że nie spotykałem w tamtym okresie *aufziehen* jako określenia neutralnego i że pamięciowe skojarzenie ze słowem „rozplakatować" każe mi się jednak domyślać zabarwienia pejoratywnego. Przede wszystkim jednak - i to jest właśnie zasada, której trzymam się zdecydowanie we wszystkich takich refleksjach - przede wszystkim chodzi mi o szansę ustalenia, kiedy jakieś wyrażenie czy też określone zabarwienie słowa występuje po raz pierwszy. W przytłaczającej większości przypadków jest to przecież niemożliwe, kiedy nam się bowiem wydaje, że znaleźliśmy tego kogoś pierwszego, kto użył danego słowa, to zawsze znajduje się potem jego poprzednik. Wystarczy - mówiłem - żeby F. zajrzał do Buchmanna pod hasło „Nadczłowiek": okazuje się, że korzenie tego słowa sięgają głęboko w epokę antyczną.

Ja sam odkryłem niedawno u starego Fontanego, w powieści *Der Stechlin*, „podczłowieka" [*Untermensch*], a przecież hitlerowcy są tak dumni z wynalezionych jakoby przez siebie żydowskich i komunistycznych podludzi i całego związanego z tym pojęcia podczłowieczeństwa [*Untermenschentum*].

Mogą spokojnie zachować swe prawo do dumy - podobnie jak Nietzsche pomimo znakomitych poprzedników może być dumny ze swego nadczłowieka. Słowo czy określone zabarwienie słowa wtedy bowiem dopiero stają się w sferze danego języka czymś żywym, wtedy dopiero zaczynają rzeczywiście istnieć, kiedy wejdą w użycie jakiejś grupy czy ogółu i przez pewien czas są przez nie używane. W tym sensie „nadczłowiek" jest bezsprzecznie tworem Nietzschego, „podczłowieka" zaś i neutralne *aufziehen* trzeba bez wątpienia zapisać na konto Trzeciej Rzeszy.

Czy przeminą wraz z nazizmem? Bardzo bym chciał, ale jestem co do tego sceptyczny.

Napisałem tę notatkę w styczniu 1946. W dzień później mieliśmy posiedzenie Drezdeńskiego Towarzystwa Kulturalnego. Było tam kilkanaście osób dobranych pod kątem szczególnych kwalifikacji kulturalnych, a więc zespół, który ma spełniać rolę pewnego wzorca. Chodziło o zorganizowanie jednego z tych tygodni kultury, jakie się teraz stały modne, m.in. o wystawę sztuki. Któryś z uczestników powiedział, że kilka spośród zakwalifikowanych na wystawę obrazów to okropne bohomazy. - Niemożliwe! - ktoś na to zawołał. - Jeśli my tu w Dreźnie urządzamy wystawę, to musimy ją *nakręcić* tak, żeby nie było się do czego przyczepić.

VIII
Dziesięć lat faszyzmu

Zaproszenie konsulatu włoskiego w Dreźnie na niedzielę przed południem, 23 października 1932, na pokaz filmu - wyraźnie zaznaczono: film sonoro, bo jest też jeszcze niemy - *Dziesięć lat faszyzmu*. (W nawiasie należy przy tym zauważyć, że faszyzm pisze się już po niemiecku przez sch zamiast sc, że zatem słowo to uzyskało już prawo obywatelstwa. Ale kiedy w czternaście lat później jako komisarz państwowy pytam abiturienta gimnazjum humanistycznego o znaczenie tego słowa, odpowiada bez wahania: - To pochodzi od *fax*, pochodnia. - Nie jest nieinteligentny, na pewno był pimpfem[32] i należał do Hitlerjugend, na pewno jest filatelistą i zna rózgi liktorskie z włoskich znaczków pocztowych z czasów Mussoliniego, poza tym zna je oczywiście z wieloletniej lektury łacińskiej, a jednak nie wie, co oznacza słowo faszyzm. Koledzy poprawiają go: - Od *fascis*. - Ale iluż innych nie będzie znało podstawowego znaczenia tego słowa i pojęcia, skoro nie zna go wychowany w nazistowskiej szkole maturzysta?... Stale i zewsząd napiera na mnie ta sama wątpliwość: co można z pewnością powiedzieć o wiedzy i myśli, o stanie umysłu i ducha jakiegoś narodu?)

Po raz pierwszy słyszę i widzę Duce przemawiającego. Film jest dużym osiągnięciem artystycznym. Mussolini mówi z balkonu pałacu w Neapolu do stojącego w dole tłumu; zdjęcia ludzkiej masy i zbliżenia mówcy, słowa Mussoliniego i szum głosów odpowiadających mu słuchaczy przeplatają się nawzajem. Widać, jak Duce przed każdym zdaniem dosłownie się nadyma, a potem opada w sobie, jak za każdym razem nadaje swej twarzy i swemu ciału wyraz najwyższej energii i napięcia, słychać namiętnie kaznodziejską, rytualną, kościelną intonację, z jaką wyrzuca z siebie krótkie zdania, jakby urywki liturgii, na które każdy reaguje emocjonalnie bez wysiłku myślowego, nawet jeśli nie rozumie ich znaczenia - czy właśnie dlatego, że go nie rozumie. Ogromne usta. Od czasu do czasu typowo włoskie ruchy palców. I ryk tłumu, okrzyki zachwytu albo, kiedy mówca wymienia przeciwnika, przeraźliwe gwizdy. Do tego wyciągnięte nieustannie ramię w geście faszystowskiego pozdrowienia.

Wszystko to, powtarzane z nieznacznymi tylko różnicami, widzieliśmy i słyszeliśmy od tego czasu tyle tysięcy razy, to z norymberskiego zjazdu partii, to znów z berlińskiego Lustgartenu czy z monachijskiej Feldherrnhalle itd., itd., że film o Mussolinim wydaje nam się czymś bardzo powszednim i nie mającym w sobie nic nadzwyczajnego. Ale podobnie jak tytuł Führer jest tylko niemieckojęzyczną wersją tytułu Duce, brunatna koszula tylko wariantem włoskiej czarnej koszuli, a niemieckie pozdrowienie tylko naśladownictwem pozdrowienia faszystowskiego, tak też całe filmowanie takich scen w celach propagandowych, tak też i ta scena, Führer przemawiający przed zgromadzonym ludem, jest w Niemczech zapożyczeniem włoskiego wzorca. W obu przypadkach chodzi o to, aby przywódcę zetknąć bezpośrednio z samym ludem - z całym ludem, a nie tylko z jego przedstawicielami.

Starając się prześledzić tę myśl wstecz, natrafiamy nieuchronnie na Rousseau, w szczególności na jego *Contract social*. Ponieważ Rousseau pisze jako obywatel Genewy, a więc ma przed oczyma stosunki panujące w mieście-państwie, przeto z narzucającą się niemal jego fantazji oczywistością nadaje on polityce kształt antyczny, utrzymuje ją w granicach miejskich - przecież polityka to sztuka kierowania polis, miastem. U Rousseau polityk to człowiek przemawiający do ludu, ludu zebranego na rynku; u Rousseau imprezy sportowe i artystyczne, w których uczestniczy wspólnota narodowa, są instytucjami politycznymi i środkami propagandy. Niezwykle doniosły pomysł Rosji Radzieckiej polegał na tym, aby przez zastosowanie nowych technicznych wynalazków, przez film i radio rozszerzyć ograniczoną przestrzennie metodę starożytnych i Rousseau do wymiarów

[32] Pimpf - członek organizacji Deutsches Jungvolk, wchodzącej w skład Hitlerjugend i obejmującej chłopców w wieku 10-14 lat.

nieograniczonych, aby polityk i przywódca mógł się zwracać rzeczywiście i osobiście „do wszystkich”, choćby nawet ci „wszyscy” szli w miliony, choćby ich poszczególne grupy były od siebie oddzielone tysiącami kilometrów. W ten sposób przywrócono przemowie jako jednemu ze środków działania i obowiązków polityka to znaczenie, jakie miała ona w Atenach, a nawet nadano jej wyższe, bo przecież teraz miejsce Aten zajął cały kraj i więcej niż tylko jeden kraj.

Ale przemowa stała się teraz nie tylko ważniejsza niż przedtem, lecz także z konieczności nieco inna w swojej istocie. Zwracając się do wszystkich, a nie tylko do wybranych przedstawicieli narodu, musiała też stać się zrozumiała dla wszystkich, a więc bardziej przystępna, popularna. Popularne jest to, co jest konkretne; im bardziej zmysłowymi elementami mowa operuje, im mniej zwraca się do intelektu, tym bardziej jest popularna. Granicę dzielącą popularność od demagogii przekracza ona z chwilą, gdy od odciążenia intelektu przechodzi z rozmysłem do jego wyeliminowania i odurzenia.

W pewnym sensie można uważać przyozdobiony uroczyście rynek czy udekorowaną sztandarami i transparentami halę albo arenę, w której ktoś przemawia do tłumu, za część składową samej mowy, za jej materię; mowa jest wkomponowana w te ramy jak element inkrustacji czy inscenizacji stanowi wraz z nimi integralne dzieło sztuki, zwracające się jednocześnie do zmysłu słuchu i wzroku - do słuchu podwójnie, bo pomruk tłumu, jego aplauz, jego dezaprobata działa na pojedynczego słuchacza równie silnie, co najmniej równie silnie, jak sama mowa. Z drugiej strony taka inscenizacja wpływa również niewątpliwie na ton samej mowy, dodaje jej zabarwienia zmysłowego. Film dźwiękowy przekazuje to dzieło sztuki w jego całości; radio zastępuje przeznaczony dla oka spektakl zapowiedzią, która odpowiada relacji posłańca w tragedii antycznej, oddaje jednak wiernie podniecający podwójny efekt słuchowy, spontaniczne responsorium tłumu. („Spontaniczny” należy do ulubionych słów LTI, o czym będzie jeszcze mowa).

Język niemiecki utworzył od słów *Rede* [mowa] i *reden* [przemawiać] jeden tylko przymiotnik: *rednerisch* [w przybliżeniu: krasomówczy]. Przymiotnik ten nie ma zbyt pozytywnego zabarwienia i zawsze budzi podejrzenie pewnej fanfaronady. Można by tu nieomal mówić o wrodzonej niemieckiemu charakterowi narodowemu nieufności do mówcy.

Natomiast ludy romańskie, którym taka nieufność jest obca i które mówcę cenią, rozróżniają bardzo wyraźnie pierwiastek oratorski i retoryczny. Oratorem jest dla nich człowiek uczciwy, który stara się przekonać swym słowem, który zabiegając rzetelnie o jasność wyrazu, zwraca się zarówno do serca, jak i do umysłu swoich słuchaczy. Określenie „orator” jest pochwałą, jakiej Francuzi udzielają wielkim klasykom ambony i sceny, na przykład takiemu Bossuetowi czy Corneille'owi. Takich wielkich oratorów miał również język niemiecki, by wspomnieć choćby Lutra i Schillera. Odpowiednikiem podejrzanego *rednerisch* jest w językach romańskich specjalne słowo „retoryczny”; retor - a wywodzi się to z sofistyki Greków i ich okresu upadku - to człowiek wygłaszający szumne frazesy, który chce zamglić ludzkie umysły. Czy Mussolini należy do oratorów, czy do retorów swego narodu? Niewątpliwie był zawsze bliższy retora niż oratora, a w trakcie swej fatalnej ewolucji popadł ostatecznie w retorykę.

Ale pewne elementy, które dla niemieckiego ucha brzmią u niego jako *rednerisch*, nie są we właściwym sensie takimi, bowiem nie wykraczają prawie ponad to, co dla języka włoskiego pod względem zabarwienia mowy jest w pełni naturalne. *Popolo di Napoli*! Ludu neapolitański! - tymi słowami zwracał się Mussolini do swego audytorium w czasie owej jubileuszowej uroczystości. Dla ucha niemieckiego brzmi to jak nieco bombastyczna stylizacja. Ale przypomniała mi się ulotka

reklamowa, którą na krótko przed pierwszą wojną światową wcisnął mi w Scanno do ręki jakiś roznosiciel. Scanno jest to małe miasteczko w Abruzzach, a mieszkańcy Abruzzów są dumni ze swej siły fizycznej i odwagi. W ulotce tej zachwalał swoje usługi jakiś nowo otwarty sklep, a forma, w jakiej zwracał się do potencjalnych klientów, brzmiała: *Forte e gentile Popolazione di Scanno*! Silna i szlachetna ludności Scanno! Jakże skromnie w porównaniu z tym brzmią słowa Mussoliniego: „Ludu neapolitański"!

W cztery miesiące po obejrzeniu filmu z Mussolinim usłyszałem po raz pierwszy głos Hitlera. (Nigdy go nie widziałem ani bezpośrednio nie słyszałem - to przecież było Żydom zakazane; początkowo natrafiałem na niego czasem w filmie dźwiękowym, później, kiedy nie wolno mi było chodzić do kina ani posiadać aparatu radiowego, słyszałem jego mowy albo ich urywki z głośników ulicznych i w fabryce). 30 stycznia 1933 r. został kanclerzem, 5 marca miały się odbyć wybory, które go na tym urzędzie zatwierdziły i powołały powolny mu Reichstag. Kampania wyborcza, do której - to też fragment LTI! - należał pożar Reichstagu, była przeprowadzona na maksymalną skalę, wynik nie mógł dla nikogo ulegać wątpliwości; Hitler przemawiał z Królewca w poczuciu niechybnego triumfu. Pomimo niewidoczności i oddalenia Führera miałem jednak możliwość ogólnego porównania z neapolitańską mową Mussoliniego. Oto przed oświetlonym frontonem hotelu naprzeciw drezdeńskiego dworca głównego, skąd głośnik przekazywał mowę, cisnął się roznamiętniony ludzki tłum, na balkonach stali esamani z dużymi sztandarami ze swastyką, a od placu Bismarcka zbliżał się orszak z pochodniami. Z samej mowy słyszałem tylko urywki, właściwie raczej pojedyncze dźwięki niż zdania. A jednak już wtedy odniosłem dokładnie to samo wrażenie, jakie powtarzało się potem aż do końca. Cóż za różnica w porównaniu z wzorcem, którym był Mussolini!

Duce, jakkolwiek czuło się wysiłek fizyczny, z jakim wtłaczał w wypowiadane przez siebie zdania energię, z jakim starał się rzucić tłum do swoich stóp, płynął jednak stale w dźwięcznym strumieniu swojej mowy ojczystej, przy całej chęci panowania nad tłumem poddawał się jej, nawet ześlizgując się z płaszczyzny oratorskiej na retoryczną był mówcą bez karykaturalnego wykrzywienia, bez spazmatycznego skurczu. Hitler natomiast, czy przemawiał z namaszczeniem, czy szyderczo - lubił się przerzucać z jednej z tych tonacji w drugą - mówił, a raczej krzyczał, zawsze spazmatycznie. Nawet w największym podnieceniu można zachować godność i wewnętrzny spokój, pewność siebie, poczucie jedności ze sobą i ze swoją wspólnotą. Hitlerowi, świadomemu wyłącznemu retorowi, retorowi z zasady, od samego początku tego brakowało. Nawet w chwilach triumfu był niepewny, starał się zagłuszyć wrzaskiem przeciwnika i jego idee. W jego głosie, w rytmice jego zdań nie było nigdy spokoju ducha, jakiejś muzykalności, lecz zawsze tylko brutalne podjudzanie innych i siebie samego. Jego ewolucja, zwłaszcza w latach wojny, polegała na tym, że z tego, który szczuł, stawał się stopniowo szczutym że od spazmatycznego gniewu przechodził poprzez wściekłość i bezsilną wściekłość do rozpaczy. Nigdy nie mogłem pojąć, jak ze swoim niemelodyjnym i zdartym od krzyku głosem, ze swoimi ciężko, częstokroć nie po niemiecku składanymi zdaniami, z wyraźnie przeciwną charakterowi języka niemieckiego retoryką swoich mów mógł pozyskać masy, przykuć je do siebie na ogromnie długi czas i utrzymywać w stanie ujarzmienia. Bo cokolwiek by się kładło na karb dalszego działania raz powstałej sugestii i na karb skuteczności pozbawionej skrupułów tyranii i zastraszenia - („Dopóki mnie nie powieszą, będę wierzył w zwycięstwo" - brzmiał późniejszy berliński dowcip) - to przecież jest niepojęte, że ta sugestia mogła się była wytworzyć i przetrwać u milionów ludzi przez wszystkie okropności aż do ostatniej chwili.

W Boże Narodzenie 1944, kiedy ostatnia ofensywa niemiecka na zachodzie już się załamała, kiedy co do wyniku wojny nie mogło już być najmniejszych wątpliwości, kiedy w drodze do fabryki i do domu idący naprzeciw robotnicy bardzo często szeptali mi ukradkiem, i to nieraz zupełnie głośno: - Głowa do góry, kolego! Już to długo nie potrwa... - rozmawiałem z pewnym towarzyszem niedoli o przypuszczalnych nastrojach w kraju. Był to monachijski kupiec, ze swojej natury o wiele bardziej monachijczyk niż Żyd, człowiek rozważny, sceptyczny, zupełnie nieromantyczny. Opowiedziałem mu o częstych słowach otuchy, z jakimi się spotykałem. Odrzekł na to, że on tak samo, ale że nie przywiązuje do tego żadnej wagi. Że masy w dalszym ciągu są ślepo zapatrzone w Führera. - A jeśli nawet u nas parę procent jest przeciw niemu, to gdyby tutaj przyszedł i wygłosił mowę, wszyscy byliby znowu za nim, wszyscy! Z początku, kiedy w północnych Niemczech w ogóle jeszcze nie był znany, słyszałem go kilka razy przemawiającego w Monachium. Nikt mu się nie oparł. Ja też. Nie sposób mu się oprzeć. - Zapytałem Stühlera, na czym właściwie polega ta jego nieodparta moc. - Tego nie wiem, ale oprzeć mu się nie sposób - brzmiała natychmiastowa odpowiedź.

A w kwietniu 1945, kiedy dla największego ślepca koniec był oczywisty, kiedy w bawarskiej wsi, do której schroniliśmy się, wszyscy przeklinali Hitlera, kiedy ciąg uciekających z frontu żołnierzy nie miał końca, zawsze jeszcze pośród zmęczonych wojną, zawiedzionych i rozgoryczonych znalazł się jeden czy drugi, który z nieprzytomnie wytrzeszczonymi oczami zapewniał pełen wiary, że 20 kwietnia, w dzień urodzin Führera, nastąpi „przełom”, że przyjdzie zwycięska niemiecka ofensywa: Führer tak powiedział, a Führer nie kłamie, trzeba mu wierzyć bardziej niż wszystkim argumentom rozumowym.

W czym leży wytłumaczenie tego cudu, któremu w żaden sposób nie można zaprzeczyć? Istnieje pewne rozpowszechnione uzasadnienie psychiatryczne, z którym w pełni się zgadzam i które chciałbym tylko uzupełnić uzasadnieniem filologicznym.

Owego wieczoru, kiedy Führer przemawiał w Królewcu, powiedział mi pewien kolega, który Hitlera kilka razy widział i słyszał, iż jest przekonany, że człowiek ten skończy w obłędzie religijnym. Również i ja sądzę, że istotnie usiłował on uważać się za nowego niemieckiego zbawiciela, że niezwykłe napięcie obłędu władczego pozostawało w nim w stałym konflikcie z urojeniem, iż jest przedmiotem prześladowania, przy czym oba te chorobliwe stany wzajemnie się wzmagały i że właśnie ta choroba przeniosła się z niego na naród niemiecki, osłabiony przez pierwszą wojnę światową i duchowo nadwerężony.

Patrząc jednak z perspektywy filologa, sądzę, że bezwstydnie jawna retoryka Hitlera właśnie dlatego musiała mieć tak niezwykły skutek, ponieważ z jadowitością zarazy występującej po raz pierwszy zaatakowała język dotąd przez nią oszczędzony, że w swojej istocie była równie niemiecka, jak przejęte od faszystów pozdrowienie, jak zapożyczony od faszyzmu uniform - zastąpienie czarnej koszuli brunatną nie jest pomysłem zbytnio oryginalnym - jak cały dekoracyjny sztafaż masowych imprez.

Ale czegokolwiek by się narodowy socjalizm nauczył od poprzedzających go dziesięciu lat faszyzmu, cokolwiek byłoby w nim wynikiem zakażenia obcymi bakteriami, to jednak w ostatecznym rachunku był on, albo stał się, chorobą specyficznie niemiecką, narastającym zwyrodnieniem niemieckiej substancji, niewątpliwie zaś zbrodniczy, ale nie tak bestialski, faszyzm uległ jednocześnie z nazizmem zagładzie na skutek zatrucia wstecznego, które przyszło z Niemiec.

IX
„Fanatyczny"

Jako student zdenerwowałem się kiedyś na pewnego anglistę, który obliczał, ile razy u Szekspira występują dźwięki bębnów, surm i innych bojowych instrumentów. W swojej naiwności nazwałem to jałową pedanterią... Tymczasem w moim dzienniku z czasów hitlerowskich czytam już w notatce z roku 1940: „Temat seminaryjny: ustalić, jak często słowo «fanatyczny» i «fanatyzm» są używane w wypowiedziach oficjalnych, a także w publikacjach nie mających bezpośredniego związku z polityką, np. w nowych niemieckich powieściach lub przekładach z języków obcych". W trzy lata później powracam do tej notatki i nie mogę się powstrzymać od okrzyku zdumienia. „Ależ to niesłychane! Tego «fanatyzmu» jest przecież tyle, «ile dźwięków w strunach, ile piasku nad morzem». Ważniejsza od częstotliwości występowania jest wszakże zmiana zabarwienia tego słowa. Mówiłem już o tym w mojej pracy na temat francuskiego Oświecenia; cytowałem tam pewne osobliwe i przypuszczalne przez niewielu tylko zauważone miejsce z Rousseau. Gdybyż tylko manuskrypt się zachował..." Zachował się.

Fanatique i *fanatisme* to słowa, których pisarze francuskiego oświecenia używali wyłącznie w znaczeniu krańcowo ujemnym, a to z dwojakiej przyczyny. Pierwotnie - słowo to pochodzi od *fanum*, świętość, świątynia - fanatyk to człowiek znajdujący się w stanie religijnego zachwycenia, ekstatycznych spazmów. Otóż ponieważ ludzie Oświecenia wojują ze wszystkim, co może mącić lub wykluczać myślenie, i ponieważ jako wrogowie Kościoła ze szczególną pasją zwalczają wszelkie zaślepienie religijne, przeto fanatyk jest dla ich racjonalizmu obiektem specjalnej niechęci. Typem fanatyka jest dla nich Ravaillac, który właśnie z fanatyzmu religijnego morduje dobrego króla Henryka IV. Kiedy zarzuca się oświeceniowcom ich własny fanatyzm, kwestionują oni ten zarzut: ich własna zapalczywość, mówią, to przecież tylko prowadzona środkami rozumu walka przeciwko wrogom rozumu. Gdzie tylko sięga myśl Oświecenia, tam wszędzie z pojęciem fanatyzmu łączy się uczucie niechęci, potępienia.

Podobnie jak wszyscy inni ludzie Oświecenia, także Rousseau - kompan owych „filozofów" i „encyklopedystów", dopóki jako chodzący własnymi drogami nie powziął do nich nienawiści - używa słowa „fanatyczny" w znaczeniu pejoratywnym. W wyznaniu wiary sabaudzkiego wikarego czytamy o wystąpieniu Chrystusa wobec żydowskich uczonych w Piśmie: „Pośród najzacieklejszego fanatyzmu zabrzmiał głos najwyższej mądrości". Ale zaraz potem, kiedy wikary jako porte-parole Jana Jakuba występuje przeciwko niewyrozumiałości encyklopedystów niemal jeszcze gwałtowniej niż przeciwko nietolerancji kościelnej, znajdujemy w długim przypisie następujące słowa: „Bayle w pełni dowiódł, że fanatyzm działa zgubniej niż bezbożność, i jest to rzecz bezsporna; przemilczał jednak prawdę nie mniej istotną: Otóż fanatyzm w całej swej krwiożerczości i okrucieństwie jest jednak wielką i silną namiętnością, która podnosi na wyżyny serce człowieka, uczy go pogardy śmierci, nadaje mu rozmach, i którą trzeba tylko lepiej pokierować, aby wydobyć z niej najwznioślejsze cnoty; natomiast niewiara i w ogóle całe oświeceniowe mędrkowanie prowadzi do kurczowego czepiania się życia, do zniewieściałości, do poniżenia duszy, kieruje wszystkie namiętności ku interesom prywatnym, ku zdrożnemu egoizmowi, i tym sposobem podkopuje skrycie podwaliny wszelkiej społeczności".

Słowa te zawierają już w sobie pełne przewartościowanie fanatyzmu i czynią zeń cnotę. Przy całym jednak światowym rozgłosie Rousseau znaczenie ich nie wychodzi poza ten przypis. Tym, co

romantyzm zaczerpnął od Rousseau, była gloryfikacja nie fanatyzmu, lecz namiętności, pasji we wszelkiej postaci, dla każdej sprawy. W Paryżu, w pobliżu Luwru, stoi wdzięczny pomniczek: maszerujący do ataku młodziutki dobosz. Bębni na alarm, rozbudza tym bębnieniem entuzjazm, jest uosobieniem entuzjazmu Rewolucji Francuskiej i następującego po niej stulecia. Jego skarykaturowany brat - fanatyzm - wkracza dopiero w roku 1932 przez Bramę Brandenburską. Aż do tego czasu element fanatyzmu pomimo owej dyskretnej pochwały pozostaje cechą potępianą, czymś między chorobą a występkiem.

W języku niemieckim nie ma pełnowartościowego ekwiwalentu dla obco brzmiącego słowa *fanatisch* - nawet jeśli je uwolnimy od pierwotnego skojarzenia z tym, co należy do samej tylko sfery kultu. *Eifern* [zapalać się, dążyć gorliwie do czegoś] będzie określeniem łagodniejszym; pod pojęciem zapaleńca, gorliwca, wyobrażamy sobie raczej namiętnego mówcę niż człowieka skłonnego do aktów gwałtu. *Besessenheit* [opętanie] oznacza raczej stan chorobliwy, a tym samym zasługujący na usprawiedliwienie i współczucie, niż wynikające z tego stanu niebezpieczne dla ogółu zachowanie. *Schwärmer* [egzaltowany marzyciel, entuzjasta] ma zabarwienie nieporównanie pogodniejsze. Wprawdzie dla walczącego o klarowność Lessinga nawet owo *Schwärmen* jest podejrzane: „Nie wydaj go (pisze w *Natanie*) na pastwę rozegzaltowanego tłumu". Ale wystarczy zadać sobie pytanie, czy w oklepanych wyrażeniach „ponury fanatyk" i „nieszkodliwy marzyciel" albo „szlachetny entuzjasta" zachodzi wymienność epitetów, tzn. czy można mówić o ponurym entuzjaście i o nieszkodliwym (albo szlachetnym) fanatyku. Przecież wyczucie językowe wzdraga się przed czymś takim. Egzaltowany marzyciel nie poddaje się tępemu zacietrzewieniu; raczej odrywa się od mocnego gruntu życiowych konkretów, pomija jego realne warunki i wzbija się ku jakimś wyimaginowanym przestworzom. Posa[33] jest dla wzruszonego króla Filipa „przedziwnym marzycielem".

Tak więc słowo „fanatyczny" nie daje się przetłumaczyć ani zastąpić żadnym słowem czysto niemieckim. Zawsze też jest ono określeniem wartościującym o silnym zabarwieniu ujemnym: oznacza cechę groźną i odpychającą. Nawet jeśli się przypadkowo we wspomnieniu pośmiertnym o jakimś uczonym czy artyście przeczyta frazes, że był fanatykiem swej wiedzy czy sztuki, to w tej pochwale tkwi przecież zawsze stwierdzenie ostrego egotyzmu, przykrej nieprzystępności. Nigdy przed epoką Trzeciej Rzeszy nie przyszłoby nikomu na myśl używać słowa „fanatyczny" jako określenia zabarwionego dodatnio. To negatywne piętno tak silnie przywarło do tego słowa, że nawet LTI posługuje się nim niekiedy w tym sensie. Tak np. Hitler mówi w *Mein Kampf* pogardliwie o „fanatykach obiektywizmu". W dziele, które się ukazało w okresie świetności Trzeciej Rzeszy i którego styl jest nagromadzeniem nazistowskich stereotypów językowych - w panegirycznej monografii: *Herman Göring, dzieło i człowiek*, pióra Ericha Grizbacha, czytamy o znienawidzonym komunizmie, iż pokazał on, jak ta błędna doktryna może wychowywać ludzi na fanatyków. Ale jest to już komiczne niemal przejęzyczenie, echo uzusu językowego z dawniejszych czasów, które niekiedy odzywa się nawet u mistrza LTI: przecież to Goebbels jeszcze w grudniu 1944 (zapewne w nawiązaniu do zacytowanego passusu z książki Hitlera) mówi o „pomylonym fanatyzmie niektórych niepoprawnych Niemców".

Nazywam to komicznym przejęzyczeniem, bo cały narodowy socjalizm jest zbudowany na fanatyzmie i wszelkimi środkami wychowuje do fanatyzmu, przeto przez całą erę Trzeciej Rzeszy słowo „fanatyczny" było przymiotnikiem wyrażającym najwyższe uznanie. Przewyższało ono takie

[33] Markiz Posa - postać z dramatu Schillera *Don Carlos*.

określenia, jak mężny, oddany, wytrwały, a ściślej mówiąc, doskonale w sobie jednoczyło wszystkie te cnoty i najlżejszy choćby jego pejoratywny odcień był w potocznej praktyce LTI nie do pomyślenia. W święta, np. w dzień urodzin Hitlera czy w rocznicę objęcia władzy, nie było artykułu w gazecie, powinszowania, odezwy do jakiejś formacji wojskowej czy jakiejś organizacji, które by nie zawierały „fanatycznego ślubowania" albo „fanatycznego wyznania", które by nie zapewniały o „fanatycznej wierze" w wieczyste trwanie hitlerowskiej Rzeszy. A cóż dopiero w okresie wojny, zwłaszcza w czasie, kiedy klęsk nie dało się już tuszować! Im krytyczniejsza była sytuacja, tym częściej mówiło się o „fanatycznej wierze w ostateczne zwycięstwo", w Führera, w naród czy w fanatyzm narodu jako w fundamentalną niemiecką cnotę. Apogeum ilościowe w prasie codziennej osiągnęło w związku z zamachem na Hitlera z 20 lipca 1944: słowo to występuje w każdej z niezliczonych deklaracji wierności wobec Wodza.

Jednocześnie z tym ilościowym wzrostem w sferze politycznej robi ono karierę w innych dziedzinach, u prozaików i w mowie potocznej. Tam gdzie dawniej powiedziałoby się lub napisało „namiętny", teraz mieliśmy „fanatyczny". Musiało to oczywiście spowodować pewne osłabienie, coś jakby spospolitowanie tego pojęcia. We wspomnianej monografii Göringa marszałek Rzeszy jest wysławiany m.in. jako „fanatyczny przyjaciel zwierząt". (Wszelki odcień ujemny, jak w przypadku artysty-fanatyka, całkowicie tu odpada, ponieważ Göring jest przecież zawsze przedstawiany jako człowiek nadzwyczaj uczynny i towarzyski).

Nasuwa się tylko pytanie, czy wraz z osłabieniem epitet ten wyzbył się swej trucizny. Można by na to odpowiedzieć twierdząco, argumentując, że słowo „fanatyczny" zostało teraz bezmyślnie wypełnione nowym znaczeniem, że stało się określeniem sympatycznej mieszanki złożonej z dzielności i namiętnego oddania. Ale tak nie jest. „Język, co składa słowa i myśli za ciebie...". Trucizna, którą nieświadomie wypijasz i która robi swoje - nigdy dość przypominania o tym.

A jednak naczelnemu krasomówcy Trzeciej Rzeszy, któremu chodziło o pełne działanie tej podniecającej trucizny, takie zużycie słowa musiało się wydać jego wewnętrznym osłabieniem. Skłoniło to Goebbelsa do zabiegu niedorzecznego, do próby przekroczenia tego, co już się przekroczyć nie da. W „Reichu" z 13 listopada 1944 napisał że sytuację może jeszcze uratować jedynie „wściekły fanatyzm" [*wilder Fanatismus*]. Tak jakby „wściekłość" nie była konieczną cechą fanatyka, jakby mógł istnieć również fanatyzm łagodny.

Ten passus oznacza ostateczną dekadencję słowa „fanatyczny".

Jeszcze cztery miesiące wcześniej święciło ono swój największy triumf, dostąpiło w pewnym sensie najwyższego zaszczytu, jakim mogła obdarzyć Trzecia Rzesza, a mianowicie wojskowego. Prześledzenie, jak tradycyjna rzeczowość i niemal kokieteryjna prostota oficjalnego języka armii, a zwłaszcza codziennych komunikatów wojennych, były stopniowo wypierane przez napuszony styl Goebbelsowskiej propagandy, jest zadaniem oddzielnym. Dnia 26 lipca 1944 użyto po raz pierwszy w komunikacie wojskowym przymiotnika „fanatyczny" w sensie pochwalnym w odniesieniu do niemieckich pułków. Nasze „fanatycznie walczące w Normandii oddziały". Nigdzie przepastna różnica w mentalności wojskowej między pierwszą a drugą wojną światową nie jest tak bezlitośnie wyraźna jak tutaj.

Już po upadku Trzeciej Rzeszy można przytoczyć przekonywający dowód na to, że słowo „fanatyczny" - słowo będące kluczem do zrozumienia nazizmu - jakkolwiek nadmiernie używane, nigdy nie utraciło

swego jadu. Choć bowiem okruchy LTI panoszą się wszędzie w naszym dzisiejszym języku, to słowo „fanatyczny" zniknęło z niego. Wolno stąd z całą pewnością wnosić, że jednak w ludzkiej świadomości czy podświadomości przez całych dwanaście lat przetrwało trafne rozeznanie: że mianowicie przez dwanaście lat był uważany za najwyższą cnotę mroczny stan ducha, równie bliski choroby, jak występku.

X
Twórczość rodzima

Choć w owych straszliwych latach byłem całkowicie oderwany od spraw związanych z moją dyscypliną naukową, to jednak raz i drugi zamajaczyło mi przed oczyma inteligentnie szydercze oblicze Josepha Bédiera[34]. Tropienie źródeł jakiegoś motywu, jakiejś baśni czy legendy należy do zawodu historyka literatury, niekiedy zaś ten obowiązek zawodowy staje się zawodową chorobą, manią: wszystko musi mieć początki bardzo odległe w czasie i przestrzeni - im są one odleglejsze, tym uczeńszy jest badacz, który to odległe pochodzenie wyśledzi - żadne zjawisko nie powinno mieć swoich korzeni akurat tam, gdzie się z nim spotykamy. Jeszcze mi brzmi w uszach ironia, z jaką Bédier mówił z katedry College de France o rzekomo orientalnym lub rzekomo „druidycznym" pochodzeniu jakiejś komicznej czy pobożnej bajki albo jakiegoś konkretnego wątku literackiego. Bedier wskazywał zawsze na to, jak pewne sytuacje i wywołane przez nie wrażenia mogą w najróżniejszych epokach i sferach geograficznych rodzić identyczne formy wyrazu, a to dlatego, że w niektórych sprawach niezmienność ludzkiej natury przeważa nad odmiennością czasu i przestrzeni.

Po raz pierwszy, ale jeszcze nieco z oddali, przypomniał on mi się w grudniu 1936 roku. Było to podczas procesu zabójcy zagranicznego agenta nazistowskiego Gustloffa[35]. Napisana przed blisko stu laty francuska tragedia, która przez długi czas była szeroko znana w świecie, a w Niemczech służyła często jako lektura szkolna, potem jednak (bardzo niesłusznie) popadła w pogardę i zapomnienie, *Charlotte Corday* Ponsarda, ma za temat zabójstwo Marata. Zamachowczyni dzwoni do drzwi jego domu, zdecydowana zabić człowieka, którego uważa za okrutnika bez sumienia, w którym widzi tylko potwora pozbawionego jakichkolwiek ludzkich więzi. Ale oto otwiera jej jakaś kobieta i przybyła wzdryga się: Boże wielki, on ma żonę, ktoś go kocha - *grand Dieu, sa femme, on l'aime*! Lecz potem słyszy, jak Marat wymienia imię drogiej jej osoby jako ofiary przeznaczonej "dla gilotyny", i uderza sztyletem. Zeznania oskarżonego Żyda Frankfurtera, przed sądem w Chur, brzmiały zupełnie tak, jakby transponował on tę scenę we współczesność, zachowując jak najściślej to, co w niej istotne i decydujące. Był, jak mówi, gotów zabić tę kanalię, ale otworzyła mu żona Gustloffa i zawahał się - a więc on jest żonaty, *grand Dieu, on l'aime*. Wtem usłyszał, jak Gustloff mówi do telefonu: „Te żydowskie świnie!", i wtedy strzelił... Czy muszę przypuszczać, że Frankfurter czytał *Charlotte Corday*? Raczej przytoczę na najbliższym wykładzie o Ponsardzie tę scenę z procesu w Chur jako dodatkowy argument za ludzką autentycznością owego francuskiego dramatu.

---

[34] Joseph Bédier (1864-1938) wybitny mediewista, francuski pisarz i krytyk literacki.

[35] W lutym 1936 r. student żydowski Dawid Frankfurter zastrzelił w Davos kierownika zagranicznej organizacji NSDAP na Szwajcarię, Wilhelma Gustloffa.

Rozważania Bediera dotyczyły nie tyle dziedziny czystej literatury, ile bardziej prymitywnej sfery folkloru, i właśnie do tej sfery należą inne fakty, które mi go przypomniały.

Jesienią 1941 roku, kiedy o szybkim zakończeniu wojny nie mogło już być mowy, opowiadano wiele o napadach wściekłości u Hitlera. Najpierw były to ataki pasji, wnet potem ataki szału: Führer gryzł podobno chustkę do nosa, poduszkę, potem rzucał się na ziemię i wbijał zęby w dywan. A później - opowieści pochodziły zawsze od ludzi prostych, od robotników, domokrążców, od nieostrożnie ufnych listonoszy - później „żarł frędzle dywanu", a że robił to coraz częściej, otrzymał przydomek „dywanożerca". Czy potrzeba tu sięgać do źródeł biblijnych, do gryzącego trawę Nabuchodonozora?

Epitet „dywanożerca" można by określić jako zalążek legendy. Ale Trzecia Rzesza wyhodowała również prawdziwe i w pełni rozwinięte legendy. Jedną taką usłyszeliśmy na krótko przed wybuchem wojny, kiedy Hitler stał u szczytu potęgi - z ust człowieka bardzo trzeźwego.

Mieliśmy jeszcze wtedy domek położony wysoko ponad miastem, ale byliśmy już bardzo izolowani i nadzorowani, i zajrzenie do nas wymagało niejakiej odwagi. Pewien sklepikarz z dołu, który w lepszych czasach był naszym dostawcą, i teraz pozostał nam wierny, przynosił co tydzień potrzebne produkty i za każdym razem opowiadał rzeczy krzepiące, które, jego zdaniem, mogły podtrzymać nas na duchu. Nie był to człowiek o specjalnych zainteresowaniach politycznych, ale w narodowym socjalizmie irytowała go zła gospodarka, niesprawiedliwość i tyrania. Na wszystko patrzył przy tym pod kątem codzienności i praktycznego rozumu; nie miał wielkiego wykształcenia ani szerszych horyzontów, na pewno nie interesował się filozofią, religią chyba także nie. Ani przed zdarzeniem, o którym tu opowiem, ani po nim nie słyszałem nigdy, aby poruszał jakieś tematy kościelne czy metafizyczne. W sumie był to drobnomieszczański sklepikarz, który od stu tysięcy ludzi tego samego stanu tym tylko się różnił, że nie dał się odurzyć zakłamanymi frazesami reżimu. Zwykle zabawiał nas opowieściami o jakimś ujawnionym i zaraz zatuszowanym skandalu w partii, o szalbierczym bankructwie czy kupnie jakiegoś stanowiska za łapówkę, czy o jakimś jawnym szantażu. Po samobójstwie naszego beznadziejnie skompromitowanego burmistrza - człowiek ten został najpierw zmuszony do samobójstwa, a potem jego pogrzeb odbył się z honorami, nieomal jak akt państwowy en miniature - V. mawiał do nas często: - Poczekajcie państwo tylko: przeżyliście Kalixa, przeżyjecie też Mutschmanna[36] i Adolfa! - Otóż ten trzeźwy człowiek, zresztą protestant, a więc nie karmiony w dzieciństwie historiami o świętych i męczennikach, opowiedział nam poniższą rzecz z takim samym naturalnym przekonaniem, z jakim zwykle relacjonował drobne łajdactwa Kalixa i wielkie Mutschmanna.

Pewien obersturmführer SS w Halle czy w Jenie - V. podawał dokładne dane co do miejsca i osób, wszystkie wiadomości były dla niego „gwarantowane" i pochodziły z „absolutnie wiarygodnych ust" - więc pewien wyższy oficer SS umieścił swoją oczekującą porodu żonę w jakiejś prywatnej klinice. Kiedy oglądał przeznaczony dla niej pokój, zauważył wiszący nad łóżkiem wizerunek Chrystusa. „Proszę to zdjąć - zażądał od siostry - nie chcę, żeby pierwszym, co zobaczy mój syn, był żydowski chłopiec". Zatrwożona siostra odrzekła wymijająco, że powie to siostrze przełożonej. Esesman, powtórzywszy swoje polecenie, odszedł. Zaraz następnego rana usłyszał w telefonie głos przełożonej: „Ma pan syna, panie obersturmführerze, pańska małżonka czuje się dobrze, także dziecko jest silne. Tylko że spełniło się pana życzenie: dziecko urodziło się ślepe...".

---

[36] Martin Mutschmann - gauleiter Saksonii.

Jakże często w okresie Trzeciej Rzeszy złorzeczono nacechowanej niedowiarstwem, sceptycznej inteligencji Żydów! Ale również Żyd stworzył swoją legendę i uwierzył w nią. Pod koniec roku 1943, po pierwszym ciężkim nalocie na Lipsk, słyszałem często, jak w domu żydowskim opowiadano: W 1938 wyciągnięto Żydów nocą o godzinie 4.15 z łóżek, aby ich wywieźć do kacetu[37]; teraz przy nalocie bombowym wszystkie zegary miejskie stanęły dokładnie na godzinie 4.15.

Siedem miesięcy wcześniej Aryjczyków i nie-Aryjczyków zespoliła w wierze inna legenda. Topola z Babisnau. Stoi ona, w szczególny sposób odosobniona, wyniosła i poważna, widoczna z osobliwie wielu punktów, na grzbiecie pasma wzgórz na południowy wschód od miasta. Po raz pierwszy z początkiem maja wspomniała moja żona, że już wielekroć słyszała w tramwajach, jak mówiono coś o topoli z Babisnau; nie wiedziała jednak, o co chodzi. W kilka dni potem usłyszałem też u siebie w fabryce: topola z Babisnau! Zapytałem, dlaczego się o niej mówi. Odpowiedziano mi: ponieważ kwitnie. Zdarza się to rzadko; tak było w 1918 roku i właśnie w 1918 roku nastał potem pokój. Jakaś robotnica poprawiła zaraz: nie tylko w 1918, bo tak samo w 1871. - I w inne wojny tamtego wieku też - dodała brygadzistka, a portier podsumował: - Zawsze kiedy kwitła, to potem nastawał pokój.

Następnego poniedziałku zauważył Feder: - Toż to wczoraj była prawdziwa wędrówka ludów do tej topoli w Babisnau. Rzeczywiście wspaniale kwitnie. Może jednak nastanie pokój - wiary ludu nie można nigdy tak całkiem lekceważyć. - Feder, ten z gwiazdą żydowską i w czapeczce chroniącej przed kurzem, którą sobie zrobił ze swojego starego sędziowskiego biretu.

XI
Zatarcie granic

Że między królestwami natury nie ma wyraźnych granic, tego uczy się od dawna już uczeń szkoły powszechnej. Mniej ogólnie znany i uznany jest fakt, że również w dziedzinie zjawisk estetycznych brak jest ścisłych i pewnych granic.

Do klasyfikacji współczesnej sztuki i literatury - właśnie w takiej kolejności, bo zaczęło się od malarstwa, a literatura doszła później - używa się pary pojęć: impresjonizm - ekspresjonizm; rozgraniczenie tych pojęć powinno być bardzo ostre, chodzi tu bowiem o absolutne przeciwieństwa. Impresjonista jest zdany na wrażenie, jakie wywierają na nim rzeczy, oddaje to, co w siebie przyjął: jest bierny, ulega w każdym momencie wpływowi swego przeżycia, jest w każdej chwili inny, nie ma stałego, jednolitego, trwałego rdzenia duchowego, brak mu niezmiennego „ja”. Ekspresjonista bierze za punkt wyjścia samego siebie, nie uznaje potęgi rzeczy, lecz wyciska na nich swoją pieczęć, swoją wolę, wyraża w nich siebie, kształtuje je według swojej istoty: jest aktywny, a jego działaniem kieruje niezawodna samoświadomość niezmiennie trwającego „ja”.

No dobrze. Ale impresjonista z rozmysłem nie oddaje obiektywnego obrazu rzeczywistości, lecz tylko to, co i jak widzi; nie ukazuje drzewa ze wszystkimi jego liśćmi ani pojedynczego liścia w jego określonym kształcie, zieleni czy żółci jako takiej, światła danej pory dnia i roku jako takiego, stanu

[37] Chodzi o tzw. Kristallnacht („noc kryształową”) - przeprowadzony przez hitlerowców w nocy z 9 na 10 listopada 1938 r. masowy, obejmujący obszar całej Rzeszy pogrom Żydów.

pogody, lecz zlewającą się masę listowia, jaką chwyta jego oko oraz barwę, światło, odpowiadające jego chwilowemu stanowi ducha, czyli jego nastrojowi, który narzuca on od siebie realności rzeczy. Gdzież tu więc jakaś bierność zachowania? W sferze estetycznej jest on równie aktywny, jest tak samo artystą wyrazu, jak jego oponent, ekspresjonista. Różnica zachodzi tylko w sferze etycznej: pewny siebie ekspresjonista wytycza sobie i otaczającemu światu niezłomne prawa, zna poczucie odpowiedzialności; niezdecydowany, zmienny z godziny na godzinę impresjonista jest w swoim zachowaniu amoralny, co ma usprawiedliwiać jego własną i cudzą nieodpowiedzialność.

Ale i tu zatarcie granic jest nieuniknione. Wychodząc od poczucia bezradności i nieodpowiedzialności jednostki, dochodzi impresjonista do społecznego uwrażliwienia i do czynnego zaangażowania się na rzecz stworzeń uciśnionych, zbłąkanych; pod tym względem nie ma żadnej różnicy między takim Zolą i braćmi Goncourt po stronie impresjonistów a takim Tollerem i Unruhem, i Becherem po stronie ekspresjonistów.

Nie, nie mam zaufania do czysto estetycznych rozważań na polu dziejów ducha, literatury, sztuki, języka. Trzeba tu wychodzić od elementarnych ludzkich postaw; zewnętrzne środki wyrazu mogą być czasem identyczne przy zupełnie przeciwnych celach.

Sprawdza się to właśnie w odniesieniu do ekspresjonizmu: Toller[38], którego narodowy socjalizm uśmiercił, i Johst[39], który w Trzeciej Rzeszy został prezesem Akademii, są przecież obaj ekspresjonistami.

Formy akcentowania woli i gwałtownej agresywności dziedziczy LTI po ekspresjonistach albo ma je z nimi wspólne. „*Die Aktion*” [Akcja] i „*Der Sturm*” [Atak; Szturm] - takie tytuły nosiły czasopisma młodych, dobijających się dopiero uznania ekspresjonistów. W Berlinie siadywali oni jako najbardziej lewe skrzydło, jako najbardziej wygłodzona bohema w „Café Austria” przy Moście Poczdamskim (również w bardziej znanej i elegantszej „Café des Westens”, ale tam było się już bardziej arywistą, istniało tam też więcej „kierunków”), w Monachium w „Café Stephanie”. Było to w latach przed pierwszą wojną światową. W „Café Austria” czekaliśmy w noc wyborów 1912 roku na napływające depesze prasowe i szaleliśmy z radości, kiedy doniesiono o setnym zwycięstwie socjaldemokratów; wierzyliśmy, że teraz brama do wolności i pokoju stoi szeroko i na zawsze otworem...

Słowa „akcja” i „szturm” około roku 1920 przeniosły się ze zniewieściałej kawiarni do męskiej piwiarni. „Akcja” od początku do końca należała do nie zniemczonych i niezbędnych wyrazów obcych w LTI, kojarzyła się ze wspomnieniami heroicznego zarania dziejów ruchu, z obrazem bojowca zbrojnego w nogę od stołka [*Stuhlbeinkämpfer*], „szturm” stał się określeniem grupy zorganizowanej na modłę wojskowo-hierarchiczną: setny szturm, konny szturm SS[40] - przy czym grała tu również rolę tendencja do zniemczenia słownictwa w duchu tradycji romantyczno-nacjonalistycznej.

Najbardziej rozpowszechnione zastosowanie słowa „szturm” jest zarazem najbardziej zagadkowe, bo któż jeszcze dzisiaj uświadamia sobie albo uświadamiał sobie w latach nazistowskiej wszechwładzy, że SA oznaczało oddział szturmowy [*Sturmabteilung*]?

---

[38] Ernst Toller (1893-1939) - lewicowy niemiecki dramaturg i liryk; od r. 1933 na emigracji, pod wpływem depresji popełnił samobójstwo.
[39] Hanns Johst (1890) - jeden z czołowych przedstawicieli ideologii nazistowskiej w literaturze niemieckiej, w latach 1933-45 prezes Izby Literackiej Rzeszy.
[40] Sturm -oddział SA i SS, liczący 100-200 ludzi.

SA i SS, *Schutzstaffel* [drużyna ochronna], a więc gwardia pretoriańska, tak się jako skróty usamodzielniły, że nie stanowią już skrótowych określeń zastępczych, lecz uzyskały własne znaczenie słowne i całkowicie wyparły to, co pierwotnie reprezentowały.

Pisząc SS, z konieczności posługuję się tu normalnym znakiem pisarskim o płynnej linii. W czasach hitleryzmu w kasztach z czcionkami i na klawiaturze używanych do celów urzędowych maszyn do pisania znajdowała się specjalna kanciasta czcionka do oznaczenia SS[41]. Odpowiadała ona germańskiemu znakowi runicznemu symbolizującemu zwycięstwo, który też był inspiracją do jej utworzenia. Ponadto wiązała się ona w pewien sposób z ekspresjonizmem.

Do typowych wyrażeń żołnierskich z okresu pierwszej wojny światowej należy przymiotnik *zackig* [ząbkowany, zębaty, widlasty, ostry, poszarpany, np. szczyty skał, zygzakowaty; sprężysty, energiczny, dziarski, chwacki]. *Zackig* [sprężyste] jest wojskowe pozdrowienie, *zackig* [energicznie] może być wypowiedziany rozkaz czy wygłoszone przemówienie, *zackig* jest to, co wyraża skoncentrowany, zdyscyplinowany wydatek energii. Przymiotnik ten określa kształt istotny dla ekspresjonistycznego malarstwa i języka ekspresjonistycznej literatury. Określenie *zackig* [zygzaki] było niewątpliwie pierwszym, jakie musiało się nasuwać człowiekowi bez obciążeń filologicznych na widok nazistowskiego znaku SS. A dochodziło tu jeszcze coś innego.

Na długo przedtem, zanim pojawiło się nazistowskie SS, można było widzieć jego znak, namalowany czerwoną farbą na transformatorniach, a pod nim widniało ostrzeżenie: „Uwaga, wysokie napięcie!" Tutaj zygzakowate S było wyraźnie stylizowanym rysunkiem błyskawicy. Tej błyskawicy, która przez swoje nagromadzenie energii i szybkość jest przecież ulubionym symbolem nazizmu! A więc znak pisarski SS mógłby też być bezpośrednim ucieleśnieniem, malarskim wyrazem błyskawicy. Przy czym podwójna linia może wskazywać na wzmożoną siłę, bowiem na czarnych proporczykach formacji dziecięcych znajdowała się jedna tylko zygzakowata błyskawica, by tak rzec, połówka SS.

Na pewien kształt składa się często - w sposób nieświadomy dla tego, kto go tworzy - szereg elementów. Myślę, że tak właśnie ma się rzecz tutaj: SS jest zarówno obrazem, jak abstrakcyjnym znakiem pisarskim, jest przekroczeniem granicy, za którą znajduje się sfera malarstwa, jest pismem obrazkowym, jest nawrotem do spektakularnego charakteru hieroglifów.

Tymi jednak, którzy jako pierwsi zastosowali w sztuce modernizmu taki zacierający granice środek wyrazu, byli najbardziej zdecydowani antypodzi pewnych siebie ekspresjonistów i narodowych socjalistów, sceptycy, destruktorzy jaźni i moralności: dekadenci. Guillaume Apollinaire, w Rzymie urodzony Polak i gorliwy Francuz z wyboru, poeta i eksperymentator literacki, za pomocą układu liter tworzy utwór graficzny: słowa zdania „zapalone cygaro, którego dym unosi się w górę" (un cigare allumé qui fume), są wydrukowane w taki sposób, że falista linia wznoszącego się dymu, utworzona z odpowiednich liter, styka się z linią prostą słowa „cygaro".

W obrębie LTI specjalny zygzakowaty kształt znaku SS jest dla mnie ogniwem łączącym obrazowy język plakatu i język w ściślejszym sensie tego słowa. Istnieje jeszcze inne ogniwo łączące tego samego rodzaju: jest to również nakreślona zygzakiem, w górę i w dół zwrócona pochodnia, runiczny znak rozkwitu i uwiądu. Jako symbol przemijania służył on tylko zamiast chrześcijańskiego krzyżyka w nekrologach, natomiast zwrócony ku górze nie tylko zastępował gwiazdkę w inseracie o narodzinach,

---

[41] Miała ona kształt □□

lecz był też stosowany w pieczęciach aptekarzy i piekarzy. Można było przypuszczać, że te dwa znaki runiczne przyjmą się tak samo powszechnie jak znak SS, bo przecież sprzyja temu ta sama tendencja do przedstawiania zmysłowego i do wprowadzania motywów germańskich. Tak się jednak wcale nie stało.

Parokrotnie - za każdym razem przez kilkutygodniowe okresy - robiłem statystyczne notatki celem ustalenia, w jakim stosunku pozostaje użycie znaków runicznych do użycia gwiazdki i krzyżyka. Przeglądałem regularnie (chociaż nie wolno nam jej było prenumerować ani nawet mieć w pokoju, to jednak zawsze przedostawała się ona skądciś do domu żydowskiego) jedną z neutralnych gazet drezdeńskich - neutralnych w sensie, w jakim to było możliwe, to znaczy neutralnych tylko w porównaniu z gazetą zdecydowanie partyjną - i przeglądałem dość często drezdeński dziennik partyjny „Freiheitskampf", a ponadto „DAZ"[42], która musiała dbać o nieco wyższy poziom, ponieważ pełniła, zwłaszcza po zamilknięciu „Frankfurter Zeitung"[43], obowiązki reprezentacyjne wobec zagranicy. Należało oczekiwać, że znaki runiczne będą częściej występować we właściwym dzienniku partyjnym niż w innych gazetach, należało też się spodziewać, że kręgi specyficznie chrześcijańskie będą raczej zamieszczać ogłoszenia w „DAZ". Tymczasem przewaga dziennika „Freiheitskampf" nad innymi gazetami pod względem częstotliwości znaków runicznych nie była wcale szczególnie duża. Maksymalną liczbę znaki te osiągnęły po pierwszych ciężkich klęskach, szczególnie po Stalingradzie, partia bowiem wywierała podówczas wzmożony nacisk na opinię publiczną. Ale nawet wtedy na około dwa tuziny codziennych nekrologów o poległych liczba tych ze znakami runicznymi wynosiła najwyżej połowę, a bardzo często nawet mniej niż jedną trzecią. Niejednokrotnie mogłem przy tym zauważyć, że właśnie ogłoszenia, które poza tym starały się sprawiać pozór jak najbardziej nazistowski, pozostawały przy gwiazdce i krzyżyku. Podobnie rzecz się miała z ogłoszeniami o narodzinach: najwyżej połowa z nich, a często o wiele mniej, miała znak runiczny, zaś te najbardziej nazistowskie - bo dla inseratów rodzinnych istniała cała stylistyka LTI - właśnie one często tego znaku nie miały. Przyczynę nieprzyjęcia się pozytywnego i negatywnego runicznego symbolu życia, kiedy przecież symbol SS przyjął się powszechnie, można bez trudu podać. Otóż SS było całkowicie nowym określeniem całkowicie nowej instytucji. SS nie miało czego wypierać. Natomiast narodziny i śmierć, te najstarsze i najbardziej niezmienne instytucje ludzkości, od blisko dwóch tysięcy lat są symbolizowane przez gwiazdkę i krzyż. Znaki te wrosły po prostu zbyt głęboko w wyobraźnię ludu, aby można je było zupełnie wykorzenić.

Ale gdyby się jednak znaki runiczne w tej dziedzinie przyjęły i zdobyły sobie w czasach hitlerowskich prawo wyłączności - to czy wytłumaczenie tego faktu sprawiłoby mi trudność? Ani przez moment! Również i wtedy napisałbym bez wahania i z równie czystym sumieniem, jak napisałem przed chwilą, że tak się właśnie musiało stać. Bowiem podstawową tendencją LTI jest chęć uzmysłowienia wszystkiego; jeśli zaś można coś uzmysłowić przez nawiązanie do tradycji germańskiej, przez znak runiczny, to korzyść jest podwójna. Przy tym runiczny symbol życia jako widlasty znak pisarski jest bliski zygzakowatemu znakowi SS, a jako symbol światopoglądowy - szprychom koła słonecznego,

---

[42] „DAZ" („Deutsche Allgemeine Zeitung") - dziennik będący kontynuacją założonej w r. 1861 konserwatywnej „Norddeutsche Allgemeine Zeitung"; pod tym tytułem wychodził w latach 1918-45 jako pismo o charakterze nacjonalistycznym, ale nie partyjne.

[43] „Frankfurter Zeitung" - założony w r. 1856 (i wychodzący do r. 1866 pod nazwą „Frankfurter Geschäftsbericht") poważny dziennik o nastawieniu antypruskim, poświęcający dużo uwagi problematyce handlowej i kulturalnej, w r. 1943 zlikwidowany przez reżim hitlerowski.

swastyki. Ze zbiegu wszystkich tych motywów - powiedziałbym wtedy - wynika więc w sposób najoczywistszy w świecie, że runiczne znaki życia musiały całkowicie wyprzeć krzyż i gwiazdkę.

Jeśli wszakże o tym, co nie nastąpiło, mogę twierdzić z równie dobrymi argumentami, że musiałoby nastąpić, jak o tym, co rzeczywiście nastąpiło - to co właściwie faktycznie udowodniłem i z czego zdjąłem zasłonę tajemnicy? A więc i tutaj mamy zatarcie granic, niepewność, wahanie i wątpliwości. Postawa Montaigne'a: *Que sais-je* - Cóż ja wiem? Postawa Renana: Znak zapytania to najważniejszy znak w zdaniu. Postawa krańcowo przeciwna nazistowskiej upartej pewności siebie.

Wahadło ludzkości porusza się między tymi dwoma biegunami i poszukuje położenia środkowego. Przed Hitlerem i w czasach hitlerowskich powtarzano aż do znudzenia, że wszelki postęp zawdzięczamy tylko ludziom upartym, zaś wszelkie jego hamulce pochodzą wyłącznie od zwolenników znaku zapytania. Całkiem pewne to nie jest, natomiast całkiem pewne jest coś innego: że krew plami zawsze tylko dłonie ludzi zaciekle upartych.

XII
Interpunkcja

Zarówno u poszczególnych ludzi, jak i u określonych grup można niekiedy zauważyć pewne charakterystyczne upodobanie do tego czy innego znaku interpunkcyjnego:. Uczeni lubią średnikach zmysł logiki domaga: się znaku dzielącego, który, odgraniczałby bardziej zdecydowanie niż przecinek, ale nie tak całkiem bezwzględnie jak kropka. Sceptyk Renan mówi, że nigdy za dużo użycia znaku zapytania. Okres „burzy i naporu” odczuwa niezwykłą potrzebę wykrzyknika. Wczesny naturalizm w Niemczech posługuje się chętnie myślnikiem: zdania, ciągi myślowe nie są tu budowane ze staranną logiką zza biurka, lecz urywają się, sygnalizują coś aluzyjnie, pozostają nie dokończone, mają charakter ulotny, skaczący, asocjacyjny, jaki odpowiada sytuacji ich powstania, monologowi wewnętrznemu, a także żywej rozmowie, zwłaszcza między ludźmi nienawykłymi do logicznego myślenia.

Można by przypuszczać, że LTI, która jest przecież w swojej istocie retoryczna i nieustannie zwraca się do uczucia, powinna, podobnie jak czasy „burzy i naporu”, hołdować wykrzyknikowi. Tymczasem wcale nie jest to uderzające; przeciwnie, zdaje się ona posługiwać tym znakiem dosyć oszczędnie. Wygląda na to, iż wszystko w niej jest w sposób tak oczywisty zawołaniem i wykrzyknieniem, że nie potrzebuje ona do tego celu specjalnego znaku interpunkcyjnego - bo gdzież są jakieś zwykłe wypowiedzi, od których okrzyk miałby się odróżniać?

Natomiast w niezwykłym nadmiarze posługuje się LTI tym, co byłbym skłonny nazwać ironicznym cudzysłowem.

Zwykły, pierwotny cudzysłów nie oznacza nic innego, jak dosłowne powtórzenie tego, co ktoś inny powiedział lub napisał. Cudzysłów ironiczny nie ogranicza się do takiego neutralnego zacytowania, lecz kwestionuje prawdę zacytowanej wypowiedzi, sugeruje, że zawiera ona kłamstwo. W języku

mówionym wyraża się to za pomocą drwiny zawartej w głosie mówiącego, natomiast cudzysłów ironiczny jest jak najściślej związany z retorycznym charakterem LTI.

Co nie znaczy, że jest on jej wynalazkiem, Kiedy podczas pierwszej wojny światowej Niemcy przechwalali się wyższością swojej kultury, a na cywilizację ludów zamieszkałych na zachód od siebie patrzyli z góry, jak na coś pośledniejszego i powierzchownego, Francuzi przy wzmiance o culture allemande nigdy nie pomijali ironicznego cudzysłowu. Takie właśnie zastosowanie tego znaku obok jego użycia neutralnego pojawiło się chyba zaraz po jego wprowadzeniu.

Ale w LTI użycie ironiczne ma nad neutralnym wielokrotną przewagę. Dzieje się tak dlatego, że LTI właśnie do neutralności żywi odrazę, że musi ona zawsze mieć jakiegoś przeciwnika i zawsze musi go zwalczać. Kiedy hiszpańscy rewolucjoniści odnoszą zwycięstwo, kiedy mają oficerów, kiedy mają sztab generalny, to będą to niewątpliwie „czerwone «zwycięstwa»”, „czerwoni «oficerowie»”, „czerwony «sztab generalny»”. To samo jest później z „rosyjską «strategią»”, to samo z jugosłowiańskim „«marszałkiem» Tito”. Chamberlain i Churchill, i Roosevelt są zawsze tylko „politykami” w ironicznym cudzysłowie, Einstein jest „uczonym”, Rathenau „Niemcem”, a Heine „«niemieckim» poetą”. Nie ma artykułu w prasie, nie ma przedruku mowy, w którym nie roiłoby się od takich ironicznych cudzysłowów, a nie brak ich nawet w obszernych studiach utrzymanych w spokojniejszym tonie. Należą one tak samo do drukowanej LTI, jak do intonacji mów Hitlera i Goebbelsa, są jej wrodzone.

Jako uczeń prymy[44] miałem w 1900 roku napisać zadanie na temat pomników. Jedno ze zdań brzmiało tam następująco: „Po wojnie roku siedemdziesiątego na każdym niemal niemieckim rynku stanęła zwycięska Germania ze sztandarem i mieczem; mógłbym przytoczyć na to setkę przykładów”. Mój sceptyczny nauczyciel napisał czerwonym atramentem na marginesie: „Podać na następną lekcję tuzin przykładowi”. Znalazłem tylko dziewięć i raz na zawsze oduczyłem się szafować nieodpowiedzialnie liczbami. Jakkolwiek w swoich rozważaniach o LTI mam wiele do powiedzenia właśnie o nadużywaniu liczb, pomimo to mógłbym w przedmiocie ironicznego cudzysłowu napisać z czystym sumieniem: „Można na to przytoczyć tysiąc przykładów”. Jeden z tych, bardzo zresztą do siebie podobnych, tysiąca przykładów brzmi: „Rozróżnia się koty niemieckie i koty «szlachetne»”.

XIII
Nazwy

Był taki stary dowcip gimnazjalny, dziedziczony z pokolenia w pokolenie; teraz, kiedy w bardzo niewielu tylko szkołach średnich uczą greki, pewnie już zaniknął. Brzmiał on tak: W jaki sposób niemieckie słowo *Fuchs* [lis] powstało z równoznacznego greckiego *alopex*? Otóż stało się to drogą następującej ewolucji: *alopex, lopex, pex, pix, pax, pucks, Fuchs*. Nie pamiętałem o tym dowcipie od czasów matury, a więc od jakichś trzydziestu lat. Ale dnia 13 stycznia 1934 roku wyłonił on się nagle z zapomnienia tak żywo, jak gdybym go opowiadał ostatni raz poprzedniego dnia. Nastąpiło to przy czytaniu semestralnego okólnika nr 72. Jego Magnificencja zawiadamiał w nim, że nasz kolega,

[44] Pryma - nazwa dwóch najwyższych klas w gimnazjum niemieckim dawnego typu; ostatniej (Oberprima) i przedostatniej (Unterprima).

profesor nadzwyczajny i narodowosocjalistyczny radny miejski Israel, „za zezwoleniem ministerstwa” powrócił do swego dawnego rodowego nazwiska. „Brzmiało ono w XVI wieku Oesterhelt, po czym na Łużycach poprzez Uesterhelt, Isterhal (również Isterheil i Osterheil), Istrael, Isserel itd. otrzymało wskutek przekręcenia formę Israel”.

W ten sposób moja uwaga skierowana została po raz pierwszy na rozdział LTI dotyczący nazewnictwa. Ilekroć później przechodziłem obok błyszczącej nowej tabliczki z napisem Oesterhelt - była umieszczona na którejś bramce od ogrodu w dzielnicy Szwajcarskiej - robiłem sobie wyrzuty, że również i ten szczególny rozdział widzę przede wszystkim *sub specie Judaeorum*. A przecież nie wyczerpywały go bynajmniej sprawy żydowskie, poza tym zaś nie jest to rozdział należący wyłącznie do LTI.

W każdej rewolucji, czy to w dziedzinie politycznej i socjalnej, czy na polu sztuki albo literatury, działają zawsze dwie tendencje: z jednej strony dążność do czegoś zupełnie nowego, z ostrym podkreślaniem opozycji wobec tego, co było dotychczas, z drugiej zaś potrzeba nawiązywania, usprawiedliwiającej tradycji. Nie jesteśmy absolutnie nowi, nawracamy do tego, przeciw czemu zgrzeszyła odchodząca epoka, do ludzkości albo do narodu, albo do moralności, albo do prawdziwej istoty sztuki, itd., itd. Obie tendencje występują wyraźnie w nadawaniu i zmianie nazw.

Zwyczaj nadawania całego imienia i nazwiska pioniera jakiegoś ruchu jako imienia noworodkowi czy osobie, którą trzeba na nowo nazwać, ogranicza się w zasadzie do Ameryki, i to do czarnej Ameryki. Wielka rewolucja angielska wyznaje purytanizm i lubuje się w imionach starotestamentowych, które chętnie wzmacnia jeszcze jakimś wersetem biblijnym (Jozue - chwal Pana, duszo moja). Wielka Rewolucja Francuska szuka swoich postaci-ideałów w klasycznej, w szczególności rzymskiej, starożytności i każdy trybun ludowy dodaje sobie i swoim dzieciom cyceronowskie i tacytowskie imiona. I zupełnie tak samo dobry narodowy socjalista podkreśla swoje pokrewieństwo krwi i ducha z Germanami, z ludźmi i bogami Północy. Grunt przygotowała tu już moda wagnerowska i od dawna istniejący nacjonalizm, tak że z chwilą pojawienia się Hitlera różnych Horstów, Sieglind itp. było aż nadto; obok kultu Wagnera i po nim, a może silniej niż on, współdziałał w tym też zapewne ruch młodzieżowy, śpiewy „Ptaków Wędrownych”[45].

Ale z tego, co dotychczas- było modą lub zwyczajem obok innych zwyczajów, Trzecia Rzesza uczyniła niemal obowiązek i sztywną formę. Jeśli przywódca młodzieży nazistowskiej ma na imię Baldur[46], to jak można pod tym względem pozostawać w tyle? Jeszcze w roku 1944 znajduję w jakiejś drezdeńskiej gazecie wśród dziewięciu inseratów o narodzinach sześć z imionami wyraźnie germańskimi: Dieter, Detlev, Uwe, Margit, Ingrid, Uta. Najwyższym powodzeniem cieszą się w swoim dobitnym brzmieniu, w swojej zdwojonej deklaratywności, a więc w swoim charakterze retorycznym i przez to w swojej przynależności do LTI) imiona podwójne, sprzężone łącznikiem: Bernd-Dietmar, Bernd-Walter, Dietmar-Gerhard... Charakterystyczna dla LTI jest też taka oto częsta postać inseratów: Klein Karin, Klein Harald [mała Karin, mały Harald]; do heroicznego podźwięku imienia zaczerpniętego z germańskich ballad dochodzi tu szczypta sentymentu, co daje wyśmienity posmak przynęty.

---

[45] *Wandervögel* (Ptaki Wędrowne) - powstały ok. r. 1895 w Niemczech ruch młodzieżowy; przeciwstawiał się cywilizacji wielkomiejskiej i próbował kształtować własny styl życia, w którym dużą rolę odgrywał m. in. nawrót do pierwiastków ludowych.

[46] Baldur von Schirach - członek czołowej elity hitlerowskiej, w latach 1933-40 sprawował funkcję „przywódcy młodzieży Rzeszy” (*Reichsjugendführer*).

Czy jest w tym duża przesada, jeśli mówię o sztywnej formie? Może o tyle nie, że cały szereg powszechnie przyjętych imion po części zyskało niedobrą sławę, a po części zostało wprost zabronionych. Bardzo niechętnie widziane były imiona chrześcijańskie; ich posiadacze popadali łatwo w podejrzenie, że należą do opozycji. Na krótko przed katastrofą drezdeńską wpadł mi w ręce, jako opakowanie, numer pisma „Illustrierter Beobachter", bodajże z 5 lutego 1945. Znajdował się tam zdumiewający artykuł pod tytułem *Heidrun*. Zdumiewający w tej tak najbardziej oficjalnie nazistowskiej gazecie (dodatku do „Völkischer Beobachter"[47]).

Kilkakrotnie w ciągu tych lat przypominała mi się osobliwa scena z Grillparzera. *Sen życiem*, ostatni akt. Młody bohater uwikłał się beznadziejnie w krwawą aferę, czeka go nieunikniona kara. W pewnym momencie słyszy bicie zegara i mówi do siebie; „Posłuchaj! Bije! Trzecia nad ranem, wnet wszystko przeminie". Jest przez chwilę na pół przebudzony, wydalę mu się, że to tylko ostrzegawcza mara senna go dręczyła, nie zrealizowana możliwość jego jaźni. „Widma błędne, senne zjawy; /Zwij, jak chcesz, te nocne zmory, To z gorączki, boś jest chory".

Kilkakrotnie, ale nigdy wyraźniej niż w tym spóźnionym artykule o Heidrun, pobrzmiewa w publikacjach zwolenników Hitlera owa „trzecia nad ranem", połowiczna świadomość własnej winy; tylko że kiedy się - o wiele za późno - przebudzili, ich chorobliwe przywidzenie nie uleciało jak widmo; oni rzeczywiście mordowali... Otóż w artykule *Heidrun* autor wyszydza swoich towarzyszy partyjnych w dwojaki sposób. Jeśli rodzice, pisze, przed swoim wystąpieniem z Kościoła (co było dla esesmanów i prawowiernych nazistów konieczne), jeśli zatem w niedostatecznie niemieckiej fazie swego życia popełnili ten błąd, że dali swojej pierworodnej na chrzcie imię Christa, to próbują później temu biednemu stworzeniu nieco ulżyć przynajmniej za pomocą ortografii skłaniając ją, aby swoje na pół orientalne imię pisała z niemiecka „Krista". Dla pełnej zaś ekspiacji daje się potem drugiej córce brzmiące całkiem germańsko i pogańsko imię „Heidrun", w którym przeciętny niemiecki mieszczuch upatruje zgermanizowaną formę imienia Erika. W rzeczywistości zaś Heidrun jest „niebiańską kozą" z Eddy, która w wymionach ma miód sycony i ugania się lubieżnie za kozłem. A więc nordyckie imię, zgoła niestosowne dla młodej dziewczyny... Czy przestroga zawarta w tym artykule uratowała jeszcze jakieś dziecko? Ukazał on się późno, niecały kwartał przed klęską, W radiowej skrzynce poszukiwań nie dawniej jak kilka dni temu natrafiłem na jakąś śląską Heidrun...

O ile Christa i jej podobne przy całym swoim podejrzanym charakterze mają jednak dostęp do akt stanu cywilnego, o tyle imiona zaczerpnięte ze Starego Testamentu są zakazane: żadne niemieckie dziecko nie może się nazywać Lea czy Sara; gdyby jakiemuś proboszczowi, który nie wie, gdzie żyje, przyszło na myśl zgłosić takie imię, to urzędnik stanu cywilnego odmówi wpisania go, a skargę proboszcza wyższa instancja odrzuci z oburzeniem..

Członka niemieckiej wspólnoty narodowej starano się w miarę możności chronić przed takimi imionami. We wrześniu 1940 roku widziałem na słupach ogłoszeniowych afisz kościelny: *Bohater narodu - oratorium Haendla*. Poniżej, trwożliwie małymi literami i w nawiasie, bryło napisane: *Juda Machabeusz; w nowym układzie*. Mniej więcej w tym samym czasie czytałem powieść o tematyce zaczerpniętej z dziejów kultury, tłumaczoną z angielskiego: *The Chronicle of Aaron Kane*. Wydawnictwo Rütten & Loening - to samo, w którym ukazała się wielka biografia Beaumarchaisego

[47] „Völkischer Beobachter" - dziennik wywodzący się z założonego w r. 1887 „Münchener Beobachter"; zakupiony w r. 1920 przez partię hitlerowską, stał się potem centralnym organem NSDAP; wychodził do 27.4.1945:

pióra wiedeńskiego Żyda, Antona Bettelheima! - otóż wydawnictwo usprawiedliwiało się na pierwszej stronie, że biblijne imiona bohaterów odpowiadają ich purytanizmowi oraz zwyczajom danego czasu i kraju i dlatego nie można ich było zmienić. Inna angielska powieść - nie pamiętam już autora - miała w niemieckim przekładzie tytuł: *Ukochani synowie*. Umieszczony na wewnętrznej stronie drobniutkim drukiem tytuł oryginału brzmiał: *O Absalom*! Na wykładach fizyki nazwisko Einstein musiało być przemilczane, nawet jednostki miary „herc” nie wolno było określać tym żydowskim mianem.

Ponieważ jednak członek niemieckiej wspólnoty narodowej ma być chroniony nie tylko przed żydowskimi imionami, ale jeszcze znacznie bardziej przed wszelkim zetknięciem z samymi Żydami, przeto usiłuje się ich jak najstaranniej odizolować. Jednym z najważniejszych środków takiej izolacji jest oznaczenie określonym imieniem. Kto nie nosi imienia jednoznacznie hebrajskiego i zupełnie nie przyjętego w środowisku niemieckim, jak na przykład Baruch czy Recha, ten musi do swojego imienia dodać „Israel” albo „Sara”. Musi to zgłosić w swoim urzędzie stanu cywilnego i w swoim banku, nie wolno mu o tym zapomnieć przy żadnym podpisie, powinien zwrócić na to uwagę wszystkim swoim kontrahentom, aby i oni ze swej strony o tym nie zapominali, kierując do niego korespondencję. Jeśli nie jest on akurat ożeniony z Aryjką i nie ma z nią dzieci - sama żona Aryjka nic mu nie pomoże - musi nosić żółtą gwiazdę żydowską. Widniejące na niej słowo *Jude*, którego litery są stylizowane na pismo hebrajskie, sprawia wrażenie, jakby było noszonym na piersi imieniem. Na drzwiach korytarza nasze nazwisko było umieszczone dwukrotnie: nad jednym znajdowała się gwiazda żydowska, pod drugim słowo *arisch*. Na moich kartkach żywnościowych widniało najpierw duże pojedyncze J, później nadrukowane ukośnie słowo *Jude*, a ponadto na każdym maleńkim odcinku znajdowało się pełne słowo *Jude*- jakieś sześćdziesiąt razy na jednej i tej samej karcie. Kiedy jest urzędowo mowa o mnie, mówi się zawsze „Żyd Klemperer”; kiedy mam się zgłosić na Gestapo, mogę oberwać szturchańca, jeśli nie wyrecytuję dostatecznie sprężyście: „Żyd Klemperer melduje się”. Kiedy wymienia się znienawidzonych „kremlowskich Żydów”, Trockiego i Litwinowa, nazywają się oni zawsze Trocki-Braunstein i Litwinow-Finkelstein. Wymieniając Laguardię, znienawidzonego burmistrza Nowego Jorku, mówi się zawsze: „Żyd Laguardia” albo przynajmniej „pół-Żyd Laguardia”.

A gdyby jakiemuś żydowskiemu małżeństwu, pomimo całego udręczenia, w jakim żyje, przyszło jednak do głowy wydać na świat dziecko, to nie wolno im swemu pomiotowi (słyszę jeszcze, jak Pluja ryczy do starszej pani o subtelnym wyglądzie: - Twój pomiot nam się wymknął, ty żydowska świnio, za to ciebie wykończymy! - i rzeczywiście wykończyli ją, następnego dnia po zażyciu weronalu nie obudziła się więcej), otóż rodzicom takim nie wolno nadać swemu potomkowi jakiegoś wprowadzającego w błąd niemieckiego imienia; reżim narodowosocjalistyczny daje im do wyboru cały szereg imion żydowskich. Brzmią one osobliwie, tylko niewiele spośród nich ma w sobie pełną starotestamentową dostojność.

W swoich studiach *Z Półazji* Karl Emil Franzos[48] opowiada, jak Żydzi galicyjscy w XVIII wieku doszli do swoich nazwisk. Nastąpiło to na polecenie Józefa II i było podyktowane duchem oświecenia i humanitaryzmu; wielu Żydów wzbraniało się jednak z ortodoksyjnej niechęci, a wtedy niżsi urzędnicy dla żartu narzucali opornym nazwiska ośmieszające i przykre. Szyderstwo, które wówczas działało wbrew zamiarom prawodawcy, reżim nazistowski uwzględnił w swoim rachunku świadomie; chciał on Żydów nie tylko odizolować, ale także poniżyć.

[48] Karl Emil Franzos (1848-1904) - austriacki powieściopisarz, nowelista i publicysta, wychowany w małomiasteczkowym wschodniogalicyjskim środowisku żydowskim; zadebiutował zbiorem szkiców *Aus Halb-Asien* (Z Półazji), w którym przedstawia stosunki panujące w tym środowisku.

Do tego celu dobrze nadawał się żargon, który dla niemieckiego ucha brzmi jak zniekształcony język niemiecki, a do tego szorstko i brzydko. O tym, że właśnie żargon jest dowodem trwającego przez stulecia przywiązania Żydów do Niemiec i że ich wymowa w znacznej mierze pokrywa się z wymową takiego Waltera von der Vogelweide czy Wolframa von Eschenbach[49], wie oczywiście tylko zawodowy germanista - a chciałbym znać takiego profesora germanistyki, który w czasach nazistowskich zwróciłby na to uwagę na swoim seminarium! Tak więc na listę pozostawionych Żydom imion dostały się formy zdrobniałe z jidysz, brzmiące dla niemieckiego ucha po części niemiło, po części śmiesznie, różne Vögele, Mendele itp.

W ostatnim z domów żydowskich, w którym mieszkaliśmy, czytałem codziennie charakterystyczną tabliczkę na drzwiach, na której widniały obok siebie nazwisko i imię ojca i syna: Baruch Levin i Horst Levin. Ojciec nie potrzebował dodawać „Israel", bo sam Baruch był już dostatecznie żydowski - imię to pochodziło ze środowiska polskich ortodoksyjnych Żydów. Syn z kolei dlatego mógł nie dodawać „Israela", ponieważ był mieszańcem; jego ojca tak ciągnęło do niemieckości, że zawarł małżeństwo mieszane. Istniała cała żydowska generacja Horstów, których rodzice przechodzili samych siebie w podkreślaniu swojej ultraniemieckości. Ta generacja Horstów mniej cierpiała pod rządami nazistów niż jej rodzice - myślę oczywiście o cierpieniach duchowych, bo wobec kacetu i krematorium żadnej różnicy pokoleniowej nie było: Żyd był Żydem. Ale Baruchy czuli się wypędzeni z kraju swojej miłości. Natomiast Horsty - było bardzo wielu Horstów i Siegfriedów, którzy jako Żydzi pełnej krwi musieli sobie dodać „Israel" - otóż ci młodsi byli wobec niemieckości nastawieni obojętnie, a znaczna ich część wręcz nieprzyjaźnie. Wyrośli oni w tej samej atmosferze perwersyjnej romantyki co naziści, byli syjonistami itd.

I oto znowu dałem się zepchnąć w rozważanie spraw żydowskich. Czy to wina moja, czy tematu? Przecież musi on mieć też strony nieżydowskie. I rzeczywiście je ma.

Pociąg do tradycji w nadawaniu imion rozciągał się nawet na tych współczesnych, którzy skądinąd byli dalecy od nazizmu. Pewien dyrektor szkoły średniej, który wolał iść na emeryturę niż zapisać się do partii, opowiadał mi chętnie o wczesnych bohaterskich wyczynach swego małego wnuczka Isbranda, Wildericha. Zapytałem, skąd się u tego chłopca wzięły takie imiona. Odpowiedź brzmiała dosłownie: - Tak się nazywał w siedemnastym wieku pewien członek naszego z Holandii pochodzącego rodu. Używając w tym zdaniu na określenie rodu słowa *Sippe* człowiek ów, którego gorliwy katolicyzm chronił przed hitlerowskimi pokusami, ujawnił swoją nazistowską infekcję. *Sippe*, dawniej słowo neutralne, oznaczające rodzinę w szerokim sensie, później zabarwione pejoratywnie jak „August", wznosi się w czasach nazistowskich na uroczysty piedestał; poszukiwanie własnej genealogii [*Sippenforschung*] staje się zaszczytnym obowiązkiem każdego członka wspólnoty narodowej.

Natomiast tam, gdzie tradycja przeciwstawia się wrogo idei narodowej, odsuwa się ją bezceremonialnie na bok. Ujawnia się przy tym pewna typowo niemiecka właściwość, którą wyszydzano często jako pedanterię, a mianowicie skrupulatna dokładność, gruntowność. Duża część dzisiejszych Niemiec była kiedyś zasiedlona przez Słowian i ten fakt znajduje odbicie w nazwach miejscowości. Jednakże idea narodowa Trzeciej Rzeszy i jej duma rasowa nie pozwalają tolerować nazw miejscowych innych niż germańskie. Tak więc oczyszcza się mapę aż do najdrobniejszych

[49] Walther von der Vogelweide (ok. 1170 - ok. 1230) i Wolfram von Eschenbach (ok. 1170 - po 1220) - minnesingerzy, najwybitniejsi przedstawiciele literatury wczesnoniemieckiej.

szczegółów, Z artykułu w „Dresdener Zeitung” z 15 listopada 1942 *Niemieckie nazwy miejscowe na Wschodzie* wynotowałem sobie, co następuje: W Meklemburgii skreślono w nazwach wielu wsi dodatek „Wendisch”[50], na Pomorzu nadano niemieckie brzmienie 120, w Brandenburgii około 175 słowiańskim nazwom miejscowym, szczególnej germanizacji poddano nazwy małych miejscowości w rejonie Spreewaldu. Na Śląsku osiągnięto liczbę 2700 zmian, a w regencji Gumbinnen, gdzie drażniły głównie tracące „niższą rasą” końcówki litewskie i gdzie na przykład Berninglauken „znordyzowano” na Berningen, otóż w regencji Gumbinnen z ogólnej liczby 1851 gmin przechrzczono aż 1146,

Pociąg do tradycji występuje z kolei tam, gdzie teutomania może się wyżywać w nazewnictwie ulic, Wygrzebuje się zamierzchłych i kompletnie nieznanych rajców i burmistrzów; z belferską dokładnością wypisuje ich imiona na tabliczkach z nazwami ulic, W rejonie Südhöhe, tutaj w Dreźnie, pewna nowa ulica nazywa się Tirmannstraße, a pod tą nazwą można przeczytać: „Magister Nikolaus Tirmann, burmistrz, zmarł w r, 1437”. Podobnie na innych przedmieściach czytamy na tabliczkach z oznaczeniem ulic: „Rajca w XIV wieku” albo „Pisarz kroniki miejskiej w XV wieku”...

Czy Józef było nazwą zbyt katolicką, czy też chciano tylko zrobić miejsce romantycznemu, a tym samym wyraźnie niemieckiemu malarzowi? W każdym razie z Josephstraße w Dreźnie zrobiła się Caspar-David-Friedrich-Straße, co zresztą stworzyło niepoślednie problemy pocztowo-adresowe; kiedy mieszkaliśmy w domu żydowskim przy tej ulicy, nieraz przychodziły do nas listy z adresem; Friedrichftraße, u pana Caspara Davida.

Mieszanina sympatii do średniowiecznego ustroju cechowo-stanowego z upodobaniem do współczesnej reklamy przemawia ze stempli pocztowych, w Których poszczególne miasta otrzymują do swojej nazwy kwalifikujący dodatek. Nazwa „Messestadt Leipzig” [Lipsk, miasto targów] pochodzi z dawnych czasów i nie jest wynalazkiem nazizmu, natomiast z nazistowska nowy jest stempel: „Cleve, Werkstatt der guten Kinderschuhe” [Cleve, warsztat dobrego obuwia dziecięcego]. W swoim dzienniku zanotowałem: „Stadt des Volkswagenwerks bei Fallersleben” [Miasto zakładów Volkswagen koło Fallersleben], który to stempel obok elementu zawodowego i reklamy przemysłowej kryje w sobie sens wyraźnie polityczny. Podkreśla mianowicie istnienie specjalnego osiedla przemysłowego, które jest ulubioną oszukańczą inwestycją Führera; to bowiem, co jako tani popularny samochód wyciągało pieniądze z kieszeni biednych ludzi, było w rzeczywistości od samego początku pomyślane jako wóz bojowy. Jawnie polityczne i czysto propagandowe były chełpliwe stemple: „Monachium, miasto Ruchu” i „Norymberga, miasto zjazdów Partii”.

Region kraju, w którym leży Norymberga, określano jako „Traditionsgau”, co miało zapewne znaczyć, że pełnych chwały początków narodowego socjalizmu należy szukać właśnie w tym okręgu. Użycie słowa Gau zamiast „prowincja” jest znowu nawiązaniem do motywów ultraniemieckich, włączając zaś do Warthegau czysto polskie skrawki terenu zalegalizowano zabór obcej ziemi przez nadanie jej niemieckiego imienia[51]. Podobnie rzecz się miała z określeniem Mark [marchia] dla obszarów pogranicznych. Nazwanie Austrii Marchią Wschodnią [Ostmark], a Holandii Marchią Zachodnią [Westmark] wciągało te kraje w obręb Wielkich Niemiec. Jeszcze bezwstydniej zamanifestował się

[50] Wendisch - przymiotnik od rzeczownika Wende, którym pierwotnie Niemcy określali Słowian połabskich i serbołużyckich; jako człon nazwy miejscowości świadczy o jej słowiańskim pochodzeniu.
[51] Nieścisłość: Warthegau (oficjalna nazwa tego okręgu brzmiała Reichsgau Wartheland), obejmował nie *skrawki* czysto polskiego terenu, lecz *wyłącznie* tereny należące przed wojną do Polski, w tym całe przedwojenne województwo poznańskie i większą część łódzkiego wraz z samą Łodzią.

duch zaborczy, kiedy polska Łódź straciła własne imię i według nazwiska jej zdobywcy w pierwszej wojnie światowej została przemieniona w Litzmannstadt[52].

Ale gdy piszę to słowo, widzę przed sobą pewien stempel szczególny: Litzmannstadt-Getto. I oto cisną się pod pióro nazwy, które weszły w piekielną geografię historii świata: Theresienstadt i Buchenwald, i Auschwitz, itd. A obok nich pojawia się nazwa, którą zna pewnie bardzo niewielu - dotyczyła tylko nas, drezdeńczyków, a ci, których dotyczyła najbardziej, wszyscy zniknęli. Obóz żydowski Hellerberg: to tam w nędznych barakach, nędzniejszych od tych przeznaczonych dla jeńców rosyjskich, umieszczono jesienią 1942 stopniałą garstkę drezdeńskich Żydów, stamtąd posłano ich w kilka tygodni później do oświęcimskich komór gazowych; pozostało tylko nas kilkoro, żyjących w mieszanym małżeństwie.

I oto znowu znalazłem się w temacie żydowskim. Czy to moja wina? Nie, to wina nazizmu, i tylko jego.

Ale skoro już zszedłem na tory - by tak rzec - patriotyzmu lokalnego, zmuszony uprzednio przy wielkim temacie, którego zaiste starczyłoby na rozprawę doktorską, poprzestać na przypadkowych notatkach i wzmiankach (może jest jakaś dyrekcja poczt, która by mogła materiał uzupełnić), to chciałbym jednak opowiedzieć też o pewnym drobnym fałszerstwie dokumentu, które dotyczy mnie osobiście i które pomogło mi uratować życie. Jestem zresztą pewien, że mój przypadek nie jest jedyny. LTI była językiem więziennym (dozorców więziennych i więźniów), a nieodzownym składnikiem języka więziennego są (jako środek samoobrony) kryptonimy, mylące wieloznaczności, fałszerstwa itd., itd.

Waldmann był w lepszej sytuacji niż my, kiedy nas, uratowanych z drezdeńskiej zagłady, przeniesiono na lotnisko wojskowe Klotzsche. Zerwaliśmy żydowską gwiazdę, opuściliśmy teren Drezna, siedzieliśmy razem z Aryjczykami we wnętrzu wagonu, krótko mówiąc: popełniliśmy całą kupę śmiertelnych grzechów i za każdy z nich groziłaby nam śmierć, śmierć na szubienicy, gdybyśmy wpadli w ręce Gestapo. - W drezdeńskiej książce adresowej - mówił Waldmann - znajduje się ośmiu Waldmannów, a ja jestem wśród nich jedynym Żydem - komu moje nazwisko miałoby się rzucić w oczy? - Ale z moim była inna sprawa. To żydowskie nazwisko - Klemperer nie ma nic wspólnego z blacharstwem [*Klempnerhandwerk*], lecz pochodzi od słowa *Klopfer*, oznaczającego sługę w gminie żydowskiej, który rankiem stuka [*klopft*] do drzwi lub okien pobożnych Żydów i budzi ich na poranną modlitwę - dosyć powszechne po drugiej stronie granicy czeskiej, w Dreźnie było reprezentowane przez bardzo nieliczne dobrze znane egzemplarze, a ja byłem jedynym z nich, który po tylu straszliwych latach pozostał przy życiu. Rzekoma utrata wszystkich dokumentów mogła się wydać podejrzana, a kontakt z władzami był na dłuższą metę nie do uniknięcia: potrzebowaliśmy kartek żywnościowych, potrzebowaliśmy biletów - ciągle jeszcze byliśmy legalistami, wierzyliśmy jeszcze w konieczność posiadania takowych... Prawie jednocześnie przypomnieliśmy sobie wtedy o pewnej flaszeczce z lekarstwem dla mnie. Nabazgrana lekarską dłonią recepta całkowicie zmieniła moje nazwisko w dwóch łatwych do zmiany miejscach. Wystarczyła jedna kropka, aby z „m" zrobić „in", a milimetrowej długości kreska zamieniła pierwsze „r" na „t". W ten sposób z Klemperera zrobił się Kleinpeter. Nie ma chyba urzędu pocztowego, który mógłby zarejestrować wszystkich takich Kleinpeterów w Trzeciej Rzeszy.

[52] Zdanie to mogłoby mylnie wskazywać, jakoby ten nazewniczy zabieg dotyczył tylko Łodzi, gdy tymczasem zastosowano go w bardzo szerokim zakresie, nadając nowo wymyślone oficjalne niemieckie nazwy całemu szeregowi polskich miast, które dotąd swoich wersji niemieckojęzycznych nie-miały:

XIV
Kohlenklau[53]

Jesienią 1943 roku urząd pracy posłał mnie jako niewykwalifikowanego robotnika do fabryki herbaty i ziół leczniczych firmy Willy Schlüter, która dzięki zamówieniom wojskowym niezwykle się rozrosła, Najpierw byłem zatrudniony jako pakowacz, którego zadaniem było napełniać paczki gotową herbatą - praca ogromnie monotonna, ale fizycznie zupełnie lekka; wkrótce też pozostawiono przy niej same kobiety, a ja przeszedłem do właściwych pomieszczeń produkcyjnych, do bębnów mieszalnych i krajarek; kiedy nadeszła duża partia nowego surowca, grupa Żydów musiała pomagać również przy wyładunku i układaniu w składzie, Z herbatą marki Schlüter- zresztą ze wszystkimi ówczesnymi namiastkami herbaty - rzecz miała się podobnie jak z jakimś pułkiem: tylko nazwa pozostawała ta sama, gdy tymczasem zawartość stele się zmieniała; pchano do niej wszystko, co się akurat udało zdobyć.

Pewnego majowego popołudnia stałem w wysokiej i przewiewnej piwnicy, ciągnącej się pod całym skrzydłem budynku. Z wyjątkiem kilku wnęk i wąskich przejść cały ten obszerny magazyn był już wysoko zapełniony i tylko tuż pod stropem pozostawało jeszcze nieco miejsca. Wielkie pękate worki pełne głogu, kwiatu lipowego, wrzosu, mięty, cząbru piętrzyły się jedne na drugich, a coraz to nowe, rzucane z podwórca przez okno na zsuwnię, zjeżdżały w dół i gromadziły się szybciej, niż można było nadążyć z przenoszeniem ich na właściwe miejsce. Pomagałem przy odciąganiu i sortowaniu przewalających się przez siebie worków i podziwiałem tragarzy, którzy z nieforemnym i ciężkim ładunkiem na plecach dokonywali trudnej wspinaczki, aby dostać się do wolnych jeszcze miejsc składowania. Stojąca obok mnie biuralistka, która właśnie zeszła tutaj z jakimś zleceniem, roześmiała się; - Kohlenklau jest znowu wspaniały, mógłby występować w każdym cyrku. - Zapytałem kolegi, o kim ona mówi, i otrzymałem nieco protekcjonalną odpowiedź, że przecież każdy, kto nie jest ślepy i głuchy, powinien to wiedzieć: - Oczywiście o Ottonie, woźnym, oni wszyscy go tak nazywają. - Przyjrzałem się wskazanemu mi skinieniem głowy, jak posuwał się po wypukłej grani usypiska worków, pochylony, ale niemal biegnąc, jak gąsienicowymi ruchami grzbietu, ramion, głowy zwalał worek poprzez siebie w szczelinę między inne worki ustawione już przy ścianie, aby go następnie wyciągniętymi daleko przed siebie rękami całkiem wsunąć. W tej pozycji miał w sobie coś z goryla i coś na pół baśniowego; ramiona były ramionami małpy, szeroki tułów osadzony na zbyt krótkich, grubych udach, nogi pałąkowate, stopy w trzewikach bez obcasów przyklejały się szeroko i jakby galaretowato do niepewnego gruntu. Kiedy się odwrócił, zobaczyłem, że ma żabią twarz i że ciemne włosy spadają mu na niskie czoło i na małe oczka. Rzeczywiście, jakąś podobną postać, z podobną postawą i gębą, widywałem już wielokrotnie na słupach ogłoszeniowych i na murach, ale dotychczas nie zwracałem na nią większej uwagi.

[53] W ramach akcji oszczędzania energii wydano w Niemczech w czasie wojny plakat propagandowy, przedstawiający czarną sylwetkę człowieka, który zgięty pod ciężarem niesionego na plecach worka jakby się skradał, i opatrzony napisem *Kohlenklau* (złodziej węgla); rysunek ten w pewnym okresie stanowił nieodłączny element optyczny ulicy i wszystkich prawie miejsc publicznych.

Plakaty nazistowskie były przecież zawsze jednakowe. Zawsze widziało się na nich ten sam typ brutalnego i zastygłego w zaciętej postawie bojownika, ze sztandarem albo strzelbą, albo mieczem, w mundurze SA albo SS, albo wojskowym, albo też nagiego; specyficzną cechą tej agitacji za sportem i wojną, i za podporządkowaniem się woli Führera, był zawsze wyraz siły fizycznej, fanatycznej woli, były zawsze mięśnie, hart cielesny i niewątpliwy brak jakiejkolwiek myśli. - Należymy całkowicie do Führera! - zawołał patetycznie wobec drezdeńskich filologów pewien profesor gimnazjalny zaraz po objęciu władzy przez Hitlera; od tego czasu słowo to krzyczy do mnie ze wszystkich licznych plakatów i specjalnych emisji znaczków pocztowych Trzeciej Rzeszy. Jeśli zaś przedstawiano kobiety, były to zawsze heroiczne nordyckie żony tych heroicznych nordyckich mężów. Naprawdę więc można mi było wybaczyć, że tylko przelotnie zerkałem na te plakaty - tym bardziej że od kiedy nosiłem gwiazdę, starałem się zawsze jak najszybciej przejść przez ulicę, gdzie nigdy nie byłem bezpieczny od zniewag czy jeszcze przykrzejszych objawów „sympatii". Wszystkie te żałośnie heroiczne plakaty transponowały tylko w sferę grafiki najbardziej monotonne fragmenty monotonnej LTI, niczym jej same z siebie nie wzbogacając. Nie było też nigdzie jakiegoś ścisłego zespolenia, wzajemnej eskalacji między przedstawieniem graficznym a napisem na tych tuzinami spotykanych rysunkach. Hasła w rodzaju: "Wodzu, rozkazuj, idziemy za Tobą!", albo „Przy naszych sztandarach zwycięstwo!", czepiały się pamięci jako czysty slogan i nie znam przypadku, w którym jakaś sentencja czy słowo i towarzyszący im obraz graficzny byłyby tak do siebie przystawalne, żeby się wzajemnie ewokowały. Nie zauważyłem też, aby jakaś plakatowa postać Trzeciej Rzeszy tak się spopularyzowała jak ów Kohlenklau - słowo i obraz tworzące całość - który potrafił się narzucić powszedniej wyobraźni całej załogi.

Potem przyjrzałem się temu plakatowi dokładniej; rzeczywiście, zawierał on coś nowego, było w nim coś z baśni, coś z ballady o duchach, przemawiał do wyobraźni. W Wersalu jest taka sadzawka, inspirowana przez *Metamorfozy* Owidiusza: postacie wysuwające się poza jej skraj są do połowy pod działaniem magii, ich ludzkie kształty poczynają przechodzić w kształt zwierzęcy. Zupełnie podobnie wygląda Kohlenklau: stopy niemal jak u amfibii, poła bluzy przypomina kikut ogona, a zgarbiona postawa umykającego chyłkiem złodzieja ma w sobie wyraźnie coś z postawy czworonoga. Do baśniowego efektu obrazu dochodzi bardzo udany wybór nazwy: przez użycie słowa *Klau* zamiast *Dieb* [złodziej] otrzymała ona zabarwienie sztubacko-popularne i mocne osadzenie w języka codzienności, a z kolei przez śmiały sposób utworzenia tego rzeczownika i przez aliterację została wyraźnie wyjęta ze sfery codzienności i upoetyzowana. Obraz i słowo wbijają się w pamięć równie nierozłącznie, jak słowo i specjalny znak pisarski SS.!

Później próbowano jeszcze kilkakrotnie podobnego chwytu, ale takiego samego efektu już nie uzyskano. Było więc na określenie jakiegoś rodzaju marnotrawstwa - rzecz znamienna, że już nie pamiętam, jakiego - słowo *Groschengrab* [mogiła groszy, czyli pieniędzy]; dobra aliteracja, ale samo słowo mniej dosadne niż Kohlenklau, a rysunek mniej przyciągający uwagę. A potem było pokryte lodowymi soplami widmo mrozu, wspinające się do okna i grożące zgubą - ale tutaj brakowało łatwego do zapamiętania słowa. Niewątpliwie najbardziej zbliżyła się do Kohlenklaua niesamowita, do cienia podobna, nasłuchująca ukradkiem postać która całymi miesiącami w rogach gazet, w oknach wystawowych, na pudełkach z zapałkami ostrzegała przed szpiegiem. Ale należąca do niej sentencja *Feind hört mit* [Wróg podsłuchuje], wskutek opuszczenia rodzajnika tracąca dla niemieckiego ucha amerykanizmem, w chwili pojawienia się wizerunku tego widmowego człowieka była już zużyta; słowa te bowiem można było już dawniej znaleźć wielokrotnie w rozmaitych

nowelach, gdzie wróg, na przykład w kawiarni, przysłuchiwał się zza gazety nieostrożnej rozmowie prowadzonej przy sąsiednim stoliku.

Bezpośredni efekt Kohlenklaua przemawia z kilku naśladownictw i wariantów: tak więc był potem *Stundenklau* [złodziej godzin], był poławiacz min, który nazywał się *Minenklau* [złodziej min], był w „Reichu" skierowany przeciwko polityce radzieckiej obrazek z podpisem *Polenklau* [złodziej Polski] itp. Nie zmienionego Kohlenklaua można było zobaczyć w ramce lusterka; pod nim był napis: „Spójrz no i zastanów się: ty to jesteś, czy też nie?". A często, kiedy ktoś zostawiał otwarte drzwi do ciepłego pokoju, wołało się: - Kohlenklau idzie!

Ale o wiele mocniejszym niż to wszystko - łącznie z przezwiskiem woźnego Ottona - dowodem szczególnej skuteczności tego właśnie spośród mnóstwa innych plakatów jest scenka, jaką zaobserwowałem na ulicy w roku 1944, a więc w czasie, kiedy Kohlenklau nie należał już do obrazków nowych i bardzo aktualnych. Jakaś młoda kobieta nie mogła sobie dać rady ze swoim krnąbrnym synkiem. Urwis nieustannie wyrywał się jej, stawał becząc i nie chciał iść dalej. Nagle pewien starszy poważny pan, który przyglądał się tej scenie podobnie jak ja, podszedł do malca, położył mu dłoń na ramieniu i powiedział ze spokojną stanowczością: - Czy się zaraz uspokoisz i pójdziesz grzecznie z mamą do domu, czy nie? Jeśli nie, to cię zabiorę do Kohlenklaua! - Chłopiec przez chwilę patrzał na niego ze zgrozą, a potem wybuchnął przerażonym rykiem, pobiegł do matki, uczepił się kurczowo jej sukni i wołał: - Mamusiu, do domu! Mamusiu, do domu! - Jest takie zastanawiające opowiadanie Anatola France'a, zdaje się, pod tytułem *Ogrodnik Putois*. Putois jest przedstawiany dzieciom w pewnej rodzinie jako groźny, zły człowiek, w tym charakterze utrwala się w ich wyobraźni, zostaje włączony w system wychowawczy następnego pokolenia, urasta do roli bożka rodzinnego, w ogóle do roli bóstwa.

Kohlenklau, powstały z obrazu i słowa, przy dłuższym istnieniu Trzeciej Rzeszy miałby wszelkie szanse po temu, aby jak Putois stać się osobą mityczną.

XV
Knif

Słowo *Knif* usłyszałem po raz pierwszy już na dwa lata przed wojną. Berthold M., który pojawił się, aby zlikwidować resztę swoich tutejszych spraw przed wyjazdem do Ameryki („Po co mam się tu dać powoli stłamsić? Za parę lat znowu się zobaczymy!!") - otóż Berthold M. na moje pytanie, czy wierzy w trwałość tego reżimu, powiedział: - *Knif*! - A kiedy jego nieco udawana drwiąca obojętność przeszła jednak w irytację, którą z kolei znowu musiał ukryć, bo tego wymagało berlińskie busido, dodał z energicznym podkreśleniem: - *Kakfif*! - Spojrzałem na niego pytająco, a on zauważył protekcjonalnie, że zrobił się ze mnie zupełny prowincjusz i że nie wiem już nic, co się dzieje w Berlinie. - Wszyscy mówią to u nas nieskończoną ilość razy dziennie. *Knif* to znaczy: *Kommt nicht in Frage* [Nie ma mowy], a *Kakfif*: *Kommt auf keinen Fall in Frage*! [Absolutnie nie ma mowy!].

Umiejętność dostrzeżenia podejrzanej strony jakiejś sprawy i krytyczny dowcip należały zawsze do podstawowych cech berlińczyków (dlatego do dzisiaj nie mogę pojąć, jak nazizm mógł się przyjąć w

Berlinie); tak więc już około połowy lat trzydziestych dojrzeli oni komizm, jaki tkwił w manii skrótów. Kiedy się komizm przyprawi nieco pikantnie, jego efekt jest podwójny; jako odtrutka na berlińskie noce, spędzane w piwnicy przy huku bomb, powstało więc życzenie dobrej nocy: *Popo*, tzn. *Penne ohne Pause oben*! [Kimaj bez przeszkód tam na górze!].

Później, w marcu 1944 roku, pojawiło się raz poważne publiczne i oficjalne ostrzeżenie przed nadużywaniem „kikutów słów", jak nazwano tam skróty. Reprezentacyjna „DAZ" poświęcała czasem swoją stałą rubrykę „Naszym zdaniem" sprawom językowym. Tym razem donosiła o zarządzeniu urzędowym, którym chciano przeciwdziałać dalszemu szerzeniu się szpecących język skrótów. Jak gdyby jednym zarządzeniem można było wykarczować to, co się samemu wyhodowało i jeszcze dalej hoduje, więcej: co nieustannie samo z siebie i bez czyjejkolwiek pomocy wyrasta z istoty tego, który teraz chciałby ten wzrost zahamować. Pytano tam, czy taki zespół głosek jak *Hersta der Wigru* należy jeszcze do języka niemieckiego; znajdował się on w pewnym słowniku ekonomicznym i oznaczał: *Herstellungsanweisung der Wirtschaftsgruppe* [Instrukcja tworzenia grupy ekonomicznej]. Pomiędzy berliński humor ludowy a pierwszą refleksję „DAZ" wchodzi chronologicznie coś, co wygląda na próbę zagłuszenia nieczystego sumienia i zrzucenia z siebie winy. Artykuł w „Reichu" (z 8 sierpnia 1943) pod poetycznym tytułem *Skłonność i przymus do zwięzłości* odpowiedzialnością za „językowe dziwolągi" obciąża bolszewizm; dziwolągom takim przeciwstawia się jakoby niemiecki humor; istnieją jednak również udane skróty - mają one swoje źródło (oczywiście!) w niemieckiej twórczości ludowej – jak np. rozpowszechniona już w czasie pierwszej wojny światowej *Ari* zamiast artyleria.

W tym artykule wszystko jest na opak: skróty są tworami całkowicie sztucznymi i mają tyleż wspólnego z twórczością ludową, co esperanto; lud sam z siebie w większości przypadków wnosi jedynie drwiące naśladownictwa, pomysły w rodzaju *Ari* są wyjątkami. Również zarzut rosyjskiego autorstwa, jeśli chodzi o dziwolągi językowe, nie może się ostać w świetle argumentów rozumowych. Zresztą nawiązuje on wyraźnie do artykułu, jaki ukazał się w „Reichu" kwartał wcześniej (7 maja). Była tam mowa o nauce języka rosyjskiego w odfaszyzowanej południowej części Włoch: „Bolszewicy pogrzebali język rosyjski pod nawałem rażących ucho skrótów i sztucznych neologizmów... uczniowie w południowych Włoszech uczą się slangu".

Cokolwiek nazizm mógł poprzez włoski faszyzm podpatrzyć u bolszewizmu (aby potem - istny Midas kłamstwa - obrócić to w fałsz, jak wszystko, czego się tknął), to przecież upodobania do skrótów nie potrzebował mu podkradać, bo od początku dwudziestego wieku, a tym bardziej od pierwszej wojny światowej, były one już wszędzie rozpowszechnione - w Niemczech, we wszystkich krajach europejskich, na całym świecie.

Już dawno istniał w Berlinie KDW, czyli dom handlowy *Kaufhaus des Westens*, jeszcze o wiele dawniej istniał HAPAG[54]. Była taka ładna powieść francuska pod tytułem *Mitsou*. Mitsou to skrót nazwy pewnego przedsiębiorstwa przemysłowego, a zarazem imię kochanki; ta erotyzacja jest niezawodnym znakiem, że forma skrótowa zadomowiła się we Francji.

Włochy miały kilka szczególnie pomysłowych skrótów. W sposobie tworzenia skrótów można mianowicie wyróżnić trzy stopnie: najbardziej prymitywny polega na zwykłym zestawieniu paru liter, np. BDM; drugi tworzy zespół dźwięków, który można wymawiać jako słowo; trzeci zaś naśladuje

[54] HAPAG - Hamburg-Amerikanische Packetfahrt-Actien-Gesellschaft (Akcyjne Towarzystwo Okrętowe Hamburg-Ameryka), założone w r. 1847.

słowo już istniejące w danym języku, przy czym pierwotne znaczenie tego słowa ma jakiś związek z tym, co wyraża ono jako skrót. Słowo stwórcze „Fiat” (niech się stanie) oznacza samochód produkowany w zakładach Fabrica Italiana Automobile Torino, a filmowa kronika tygodnia w faszystowskich Włoszech nosi nazwę „Luce” [światło], w której zawarte są początkowe litery Powszechnego Towarzystwa Filmów Pedagogicznych - Lega universale di cinematografia educativa. Kiedy Goebbels znalazł dla akcji *Hinein in die Betriebe*! [Do fabryk!] skrót Hib-Aktion, była to ekspresyjnie skuteczna forma wyrazu tylko w języku mówionym; dla równej skuteczności w piśmie brakowało jej poprawnej ortografii[55].

Z Japonii nadeszła wiadomość, że pewnego młodzieńca i pewną dziewczynę, którzy się ubierali i zachowywali na sposób europejsko-amerykański, nazwano tam Mobo i Mogo - *modern boy* i *modern girl*.

Podobnie jak z rozpowszechnieniem przestrzennym skrótów, ma się rzecz z ich powszechnością w czasie. Czyż *ichthys*, ryba, nie dlatego stała się hasłem i symbolem pierwszych gmin chrześcijańskich, że w słowie tym zawarte są początkowe litery greckich słów „Jezus Chrystus, Syn Boży, Zbawiciel”?

Ale jeśli skrót jest tak rozpowszechniony w czasie i przestrzeni, to o ile można w nim upatrywać specyficzne signum i specyficzną chorobę LTI?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, próbuję sobie uprzytomnić zadanie, jakie wobec skrótów stawiano przed okresem nazizmu.

Ichthys jest znakiem tajnego stowarzyszenia religijnego i zawiera w sobie podwójną romantykę: tajemnego porozumienia i mistycznego wzlotu. *Hapag* ma w sobie zwięzłość konieczną dla celów handlowych, bardzo przydatną w adresie telegraficznym. Nie wiem, czy z faktu, iż ta pierwsza, romantyczno-transcendentna, idealna formuła jest o tyle starsza, można wyciągać wniosek - a wobec podobnych wniosków i w sprawach języka, i poezji jestem jednakowo sceptyczny - iż zapotrzebowanie na wyraz religijny znalazło właściwy sobie kształt przed potrzebą praktyczną; może tylko uroczysty charakter tej pierwszej dziedziny sprawił, że to jej, a nie sferze codzienności przypadła zasługa utrwalenia skrótów.

Zresztą przy bliższym wejrzeniu granica między sferą romantyczną a realną staje się bardzo niewyraźna. Ten, kto się posługuje skrótowym fachowym określeniem jakiegoś wyrobu przemysłowego albo adresem telegraficznym, zawsze w mniejszym lub większym stopniu, świadomie lub nieświadomie, będzie miał miłe poczucie, że przez swoją specjalistyczną wiedzę, przez swoje szczególne związki jest wyodrębniony z ogólnej masy ludzkiej, że jako wtajemniczony należy do specjalnej wspólnoty; a fachowcy, którzy dany skrót wymyślili, bardzo dobrze zdają sobie sprawę z tego emocjonalnego działania i uwzględniają je w swoim rachunku. Przy tym jest oczywiście jasne, że współczesne powszechne zapotrzebowanie na skróty wynikło z potrzeb bardzo realnych, handlowych i przemysłowych. Gdzie jednak przebiega granica między skrótami przemysłowymi a naukowymi, tego również w sposób pewny nie da się powiedzieć.

Miejscem wezbrania współczesnej fali skrótów są niewątpliwie mocarstwa przodujące w dziedzinie handlu i przemysłu - Anglia i Ameryka. Niewątpliwie też - stąd atak na rosyjskie „dziwolągi językowe”

---

[55] Pisany jako *Hieb-Aktion*, slogan ten przy tej samej wymowie oznaczałby: akcja uderzeniowa.

- Rosja radziecka okazała się szczególnie podatna na tę ekspansję skrótów, bo przecież Lenin stawiał technicyzację kraju jako główny postulat i szukał w tym zakresie wzoru w Stanach Zjednoczonych...

Notatnik filologa! Ileż tematów do prac seminaryjnych i rozpraw doktorskich tkwi w tych paru wierszach, ile nowych elementów w spojrzeniu na dzieje języka i kultury mogą one jeszcze dostarczyć...

Ale współczesny skrót rozwinął się nie tylko w dziedzinie fachowo ekonomicznej, lecz także na polu polityczno-ekonomicznym oraz, w ściślejszym sensie, politycznym. Gdziekolwiek mamy do czynienia z jakimś związkiem zawodowym, z jakąś organizacją, partią, tam występuje też skrót i daje się wyraźnie zauważyć ów emocjonalny walor specjalistycznego określenia. Nie wydaje mi się, aby pochodzenia tej kategorii skrótów trzeba było również szukać w Ameryce; nie wiem, czy określenie SPD musiało się opierać na obcym wzorcu językowym. Natomiast niezwykłe rozpowszechnienie takich skrótów w Niemczech można zapewne tłumaczyć naśladowaniem zagranicy.

Zaraz jednak wchodzi tu w grę coś z rodzimej niemczyzny. Najsilniejszą organizacją Niemiec cesarskich była armia. I właśnie język wojskowy skupił w sobie od pierwszej wojny światowej wszystkie rodzaje i motywy skrótów, zwięzłe określenie sprzętu technicznego i grupy ludzi, kryptonim jako ochronę na zewnątrz i znak wzajemnej przynależności.

Jeśli sobie z kolei zadaję pytanie, czy i dlaczego należy zaliczyć skrót do charakterystycznych znamion LTI, to odpowiedź na to jest jasna. Żaden z poprzednich stylów językowych nie czynił z tej formy tak ogromnego użytku jak język hitlerowski. Współczesny skrót pojawia się wszędzie tam, gdzie występuje proces technicyzacji i organizacji. A nazizm, zgodnie ze swoim roszczeniem do ogarnięcia całości życia, technicyzuje i organizuje po prostu wszystko. Stąd pochodzi nieprzejrzana masa jego skrótów. Że zaś z tytułu tego roszczenia do totalności usiłuje zawładnąć również całym życiem wewnętrznym człowieka, że chce być religią i wszędzie umieszcza swastykę, przeto, każdy z jego skrótów jest pokrewny starochrześcijańskiej „rybie”. *Kradschütze* [skrót od: *Kraftradschütz*- strzelec motocyklowy] czy obsługa kaemu, członkowie HJ czy DAF - wszyscy oni stanowią „sprzysiężoną społeczność”.

XVI
Jeden roboczy dzień

Trucizna jest wszędzie. Niczym woda pitna przenosi ją LTI, nikt się przed nią nie może uchronić.

W fabryce kopert i torebek papierowych Thiemig & Möbius nie było jakiejś specjalnie nazistowskiej atmosfery. Szef należał do SS, ale dla swoich Żydów robił, co tylko było możliwe, rozmawiał z nimi uprzejmie, niekiedy posyłał im nawet coś z kantyny. Naprawdę nie wiem, co było dla mnie wyraźniejszą albo trwalszą pociechą: kiedy mi się dostał kawałek końskiej kiełbasy, czy kiedy się zwrócono do mnie w formie „proszę pana” albo zgoła „panie profesorze”. Robotnicy aryjscy, z którymi my, ludzie noszący gwiazdę, byliśmy pomieszani - rozdzielenie następowało tylko przy jedzeniu i podczas dyżuru przeciwlotniczego; przy pracy izolację miał zastępować zakaz rozmawiania

z nami, ale nikt go nie przestrzegał - otóż robotnicy tym bardziej nie byli zdeklarowanymi nazistami, a już w żadnym razie nie byli takimi zimą 1943/44. Lękano się partyjnego męża zaufania i dwóch czy trzech kobiet, które podejrzewano o to, że donoszą, trącano się lub ostrzegano spojrzeniem, kiedy któreś z nich się pojawiało; ale gdy znikli z pola widzenia, natychmiast powracała koleżeńska zażyłość.

Najbardziej ze wszystkich życzliwa była garbata Frieda, która mnie przyuczyła do pracy na koperciarce i ciągle mi jeszcze pomagała, kiedy nie mogłem sobie dać rady z maszyną. Pracowała w firmie od przeszło trzydziestu lat i nawet mąż zaufania nie mógł jej przeszkodzić w tym, że czasem, przekrzykując hałas maszyn, rzuciła mi jakieś dobroduszne słowo. - Nie rób się pan taki ważny! Nie rozmawiałam z nim, tylko dawałam mu służbowe instrukcje w sprawie gumówki! - Frieda wiedziała, że moja żona leży w domu chora. Kiedyś rano znalazłem na swojej maszynie duże jabłko. Spojrzałem w stronę stanowiska Friedy, a ona skinęła głową. W chwilę później była już przy mnie: - Dla mamusi z pozdrowieniem ode mnie. - A potem, z zaciekawionym zdziwieniem: - Albert mówi, że pana żona jest Niemką. Rzeczywiście Niemką?...

Cała radość z powodu jabłka prysnęła. W tę duszę tchnącą *sancta simplicitate*, czującą całkiem nie po nazistowsku, lecz zupełnie po ludzku, wsączono podstawowy składnik nazistowskiej trucizny; utożsamiała ona niemieckość z magicznym pojęciem aryjskości; wydawało jej się rzeczą prawie niepojętą, że ze mną, obcym, stworzeniem z innej kategorii królestwa zwierząt, może być zamężna Niemka. Zbyt często słyszała i powtarzała słowa w rodzaju: „obca rasa", „niższa rasa", „krew niemiecka", „nordycki", „zhańbienie rasy"; zapewne nie kojarzyła z tym wszystkim żadnych konkretnych pojęć - a jednak nie mogło jej się pomieścić w głowie, że moja żona jest Niemką.

Ów Albert, od którego pochodziła jej informacja, w sferze myślowej górował nad nią. Miał własne poglądy polityczne, które bynajmniej nie były życzliwe reżimowi i nie były też militarystyczne. Stracił na wojnie brata, a jemu samemu z powodu ciężkiego schorzenia żołądka na każdej komisji odraczano dotychczas pobór. To „dotychczas" można było słyszeć od niego codziennie: - Dotychczas jestem jeszcze wolny - żeby się tylko ta zasrana wojna skończyła, zanim mnie zdążą wziąć! - Owego dnia z jabłkiem, który to dzień przyniósł mglistą wiadomość o sukcesie aliantów gdzieś we Włoszech, Albert w rozmowie z kolegą zatrzymał się nieco dłużej niż zwykle przy swoim zwykłym temacie. Ładowałem tuż obok jego stanowiska na wózek stosy papieru, które miałem przewieźć do swojej maszyny. - Żeby mnie tylko nie wzięli - mówił - zanim się skończy ta zasrana wojna! - Ale, człowieku, jakże się ma skończyć? Nikt nie chce ustąpić. - No, to przecież jasne: muszą wreszcie zrozumieć, że jesteśmy niezwyciężeni; nie dadzą nam rady, jesteśmy prima zorganizowani! - Prima zorganizowani - znowu ta otulająca wszystko mgła, odurzająca trucizna.

W godzinę później zawołał mnie majster, żebym mu pomógł etykietować gotowe pudełka. On sam wypisywał etykiety według rachunku, a ja je naklejałem na spiętrzonych wysoko rzędach pudełek, które tworzyły ścianę oddzielającą nas od reszty załogi w hali. Ta izolacja rozwiązała staremu człowiekowi język. Oto zbliża się do siedemdziesiątki i ciągle jeszcze pracuje; nie tak sobie wyobrażał swoją starość, westchnął. Ale teraz trzeba tyrać jak niewolnik, dopóki człowiek nie zdechnie! - A co będzie z moich wnuków, jeśli chłopcy nie wrócą? Erhard z Murmańska, od miesięcy nie dał znaku życia, a mały leży w szpitalu polowym we Włoszech. Żeby też wreszcie nastał pokój... Tylko że Amerykanie go nie chcą, a przecież nie mają tu u nas czego szukać... Ale oni się na wojnie bogacą, tych paru świńskich Żydów. To jest naprawdę „żydowska wojna"!... Oho, już tu są znowu!

Przerwał mu ryk syren; mieliśmy często pełny alarm. W tym czasie alarmu wstępnego nieraz się nawet nie zauważało, bo stał się czymś nazbyt zwyczajnym i nie powodował już przerwy w pracy.

Na dole w dużej piwnicy grupa Żydów siedziała wokół filara, ciasno zbita i wyraźnie oddzielona od aryjskiej załogi. Ale odległość od aryjskich ławek była nieznaczna i rozmowy z pierwszych rzędów dochodziły do naszych uszu. Co dwie, trzy minuty słychać było z głośnika komunikat o sytuacji. „Formacja nieprzyjacielska skierowała się na południowy zachód. Od północy zbliża się nowa eskadra. Niebezpieczeństwo zaatakowania Drezna trwa nadal".

Rozmowy urywają się. Potem tęga kobieta siedząca w pierwszej ławce od naszej strony - bardzo pilna i wprawna robotnica, obsługuje dużą skomplikowaną maszynę do kopert z „okienkiem" - więc ta kobieta, uśmiechając się, mówi ze spokojną pewnością w głosie: - Nie przylecą, Dreznu nic nie grozi. - Dlaczego? - pyta jej sąsiadka. - Ty też wierzysz w tę bzdurę, że chcą zrobić z Drezna stolicę Czechosłowacji? - E, nie, ja mam lepszą pewność. - No, jaką? - Odpowiedzi towarzyszy marzycielski uśmiech, wyglądający osobliwie w tej szorstkiej i zupełnie nie uduchowionej twarzy. - Widzieliśmy to wyraźnie w trójkę. W ostatnią niedzielę w południe koło kościoła Świętej Anny. Niebo było czyste, z wyjątkiem paru chmurek. Naraz jedna z tych małych chmurek tak się jakoś ułożyła, że się zrobiła twarz, zupełnie wyraźny, zupełnie niepowtarzalny profil (powiedziała rzeczywiście „niepowtarzalny"!). Wszyscy troje poznaliśmy go od razu. Pierwszy zawołał mój mąż: przecież to Stary Fryc, zupełnie taki, jak go zawsze malują! - No i? - Czego chcesz jeszcze? - Co to wszystko ma wspólnego z naszym bezpieczeństwem w Dreźnie? - Jak można tak głupio pytać? Czy ten obraz, który widzieliśmy wszyscy troje, mój mąż, mój szwagier i ja, nie jest pewnym znakiem, że Stary Fryc czuwa nad Dreznem? A co się może stać miastu, którego on strzeże?... Słyszysz? Już odwołują alarm, możemy wyjść.

To był oczywiście wyjątkowy zbieg okoliczności, że cztery takie objawienia stanu umysłów skupiły się w jednym dniu. Ale sam stan umysłu nie ograniczał się do jednego dnia ani nie był ograniczony do tych czworga ludzi.

Żadne z tych czworga nie było zdeklarowanym nazistą.

Wieczorem miałem dyżur przeciwlotniczy; przejście do dyżurki aryjskiej prowadziło w odległości paru metrów ód miejsca, gdzie siedziałem. Czytałem właśnie książkę, kiedy czcicielka Fryderyka przechodząc pozdrowiła mnie głośno: - Heil Hitler! - Następnego rana podeszła do mnie i powiedziała serdecznym tonem: - Przepraszam za swoje wczorajsze „Heil Hitler!", szłam szybko i pomyliłam pana z kimś, kogo musiałam tak pozdrowić.

Żadne z nich nie było nazistą, ale zatruci byli wszyscy.

XVII
System a organizacja

Istnieje system Kopernikański, istnieją różne systemy filozoficzne i różne systemy polityczne. Kiedy jednak narodowy socjalista wypowiada słowo „system", to ma na myśli wyłącznie system rządów

opartych na konstytucji weimarskiej. W tym specjalnym zastosowaniu w LTI - a właściwie w znaczeniu rozszerzonym na cały okres 1918-1933 - słowo to bardzo szybko stało się popularne, nierównie popularniejsze niż na przykład taka nazwa epoki jak renesans. Już w lecie 1935 roku cieśla, który naprawiał bramkę od ogrodu, powiedział do mnie: - Pocę się! Za czasów systemu były wykładane kołnierzyki, które dawały szyi swobodę. Ale teraz nic takiego już nie ma, sama tylko ciasnota, i do tego sztywna. - Człowiek ten nie przypuszczał oczywiście, że w jednym i tym samym zdaniu alegorycznie żałował utraconej wolności z epoki weimarskiej i podobnie alegorycznie okazywał tejże epoce pogardę. Tego, że wykładany kołnierzyk jest symbolem wolności, nie potrzeba nikomu tłumaczyć; nie jest natomiast samo przez się zrozumiałe, dlaczego w słowie „system" ma tkwić metaforyczna nagana.

Otóż dla nazistów system rządów republiki weimarskiej był po prostu „systemem", a to dlatego, że pozostawali w bezpośredniej z nim walce, że widzieli w nim najgorszą możliwą formę ustrojową i że odczuwali wobec niego większą wrogość niż na przykład wobec monarchii. Tym, co mu zarzucali, było paraliżujące rozbicie na zbyt wiele partii. Po pierwszej farsie sesji Reichstagu pod knutem Hitlera - nie było tam żadnej debaty, a dobrze wytresowana grupa statystów akceptowała jednogłośnie każde życzenie rządu - gazety partyjne pisały triumfalnie, że nowy Reichstag w ciągu pół godziny dokonał więcej niż parlamentaryzm systemu przez pół roku.

W negatywnej postawie wobec systemu tkwi jednak semantycznie - to znaczy: według sensu tego słowa, jakkolwiek tutaj jest ono używane wyłącznie dla określenia „parlamentaryzmu weimarskiego" - znacznie więcej niż tylko to. System jest to coś „złożonego z części", jakaś konstrukcja wykonywana przy pomocy rąk i narzędzi według wskazań rozumu. W tym konkretnie konstrukcyjnym znaczeniu dziś jeszcze mówimy o systemie kolejowym czy kanalizacyjnym. Częściej jednak (bo kiedy indziej mówimy przecież chętnie „sieć kolejowa"), a nawet prawie wyłącznie słowo to oznacza pojęcia abstrakcyjne. System Kantowski jest spójną logicznie konstrukcją myślową dla ujęcia całości świata; dla Kanta, zawodowego filozofa - by tak rzec: filozofa wykwalifikowanego -filozofować to tyle co myśleć systematycznie. Ale to właśnie jest z gruntu przeciwne najgłębszej istocie narodowego socjalisty, przed tym właśnie musi się wzdragać jego instynkt samozachowawczy.

Ten, kto myśli, nie chce być namawiany, lecz przekonywany; kto myśli systematycznie, tego podwójnie trudno przekonać. Dlatego LTI czuje do słowa „filozofia" niemal jeszcze większą odrazę niż do słowa „system". Systemowi okazuje antypatię, wspomina o nim zawsze z pogardą, ale wspomina często. Natomiast filozofię całkowicie przemilcza, zastępując ją z reguły „światopoglądem" [*Weltanschauung*].

To, co wyraża słowo *anschauen*, nie ma nic wspólnego z myśleniem: człowiek myślący czyni coś dokładnie przeciwnego, odrywa swoje zmysły od przedmiotu, dokonuje abstrakcji; nie jest to też sprawa samego oka jako organu zmysłowego. Oko tylko widzi. Słowo *anschauen* jest w języku niemieckim zarezerwowane dla czynności (czy stanu - nie wiem, jak mam to nazwać) rzadszej, bardziej podniosłej, pełnej niejasnych przeczuć: oznacza widzenie, w którym uczestniczy wewnętrzna istota człowieka patrzącego i jego uczucie, widzenie, które pozwala widzieć więcej niż tylko zewnętrzną stronę oglądanego przedmiotu, które w tajemniczy sposób obejmuje również jego sedno, jego „ducha". „Światopogląd", rozpowszechniony już przed okresem nazizmu, utracił w LTI jako namiastka słowa „filozofia" wszelką odświętność i nabył brzmienia codziennego, profesjonalnego. Słowo *Schau* [widzenie, ogląd], święte dla kręgu Stefana Georgego, jest też kultycznym słowem LTI -

gdybym pisał ten notatnik na wzór prawdziwego leksykonu i w stylu mojej ulubionej encyklopedii, zrobiłbym tu zapewne odsyłacz do hasła *Barnum* - natomiast „system” należy wraz z „inteligencją” i „obiektywizmem” do rejestru wyrazów budzących wstręt.

Ale jeśli słowo „system” jest przyjmowane z dezaprobatą, to jak się nazywa system rządów samych nazistów? Bo przecież i oni mają pewien system i są dumni z tego, że obejmują nim każdy przejaw życia i każdą sytuację życiową; zresztą dlatego „totalizm” należy do podstawowych filarów LTI.

Otóż nie mają oni systemu, tylko organizację, nie systematyzują przy pomocy rozumu, tylko podpatrują tajemnice życia organicznego.

Muszę tu zacząć od przymiotnika, który sam jeden z całej rodziny wyrazów - w odróżnieniu od rzeczowników „organ” i „organizacja”, w odróżnieniu od czasownika „organizować” - zachował całą świetność i aureolę pierwszego dnia. (Kiedy był ten pierwszy dzień? Niewątpliwie o brzasku romantyzmu. Ale „niewątpliwie” mówi się zawsze właśnie wtedy, gdy nasuwają się wątpliwości, wobec czego trzeba to pozostawić oddzielnej refleksji).

Kiedy mnie Clemens przy rewizji domowej na Caspar-David-Friedrich-Straße sprał po głowie *Mitem dwudziestego wieku* i podarł należące do niego notatki (na szczęście nie rozszyfrowane), rozmyślałem już właśnie w swoim dzienniku nad delfickim jądrem nauki Rosenberga o „prawdzie organicznej”. I już wtedy, jeszcze przed atakiem na Rosję, napisałem: „Jakże śmieszna byłaby ona w swoim steku frazesów, gdyby nie miała tak straszliwie morderczych skutków!”.

Wszyscy zawodowi filozofowie, uczy Rosenberg, popełniają dwojaki błąd. Po pierwsze, „uganiają się za tak zwaną jedną, wieczną prawdą”, a po drugie, poszukują jej „na drodze czysto logicznej, wysnuwając coraz dalsze wnioski z aksjomatów rozumu”. Jeśli się natomiast zdać na jego, Rosenberga, osąd - właśnie nie filozoficzny, lecz w najgłębszym sensie mistycznego oglądu światopoglądowy - to zostaje momentalnie „uprzątnięte całe bezkrwiste intelektualistyczne rumowisko czysto schematycznych systemów”. Te cytaty ukazują najbardziej ważką przyczynę niechęci LTI do słowa i pojęcia „system”.

Zaraz potem następuje na ostatnich, reasumujących, stronicach *Mitu* ostateczna intronizacja pierwiastka organicznego; *orgao* znaczny pęcznieć, kiełkować, rozwijać się nieświadomie, w sposób wegetatywny; „organiczny” to tyle co „zdolny do wzrostu”. W miejsce jednej i powszechnie obowiązującej prawdy, przeznaczonej dla jakiejś urojonej powszechnej ludzkości, wchodzi „prawda organiczna”, która wyrasta z krwi danej rasy i tylko dla tej rasy zachowuje ważność. Tej organicznej prawdy nie wymyśla i nie rozwija intelekt, nie polega ona na wiedzy rozumowej, jest zawarta „w tajemniczym centrum duszy narodu i rasy”, Germanom dana jest od samego początku w strumieniu nordyckiej krwi: „Ostateczna «wiedza» rasy zawarta jest już w jej pierwszym religijnym micie”. Cała rzecz nie stałaby się jaśniejsza, gdybym mnożył cytaty; nie było przecież zamiarem Rosenberga, aby ją rozjaśnić. Do jasności zdąża myśl, magię uprawia się w półmroku.

Magiczny nimb, który w tych pytyjskich wywodach otacza pojęcie „organiczny”, i odurzający zapach krwi, którym ono tchnie, rozwiewają się w pewnej mierze na płaszczyźnie językowej, kiedy od przymiotnika przechodzimy do rzeczownika i czasownika. Już na długo bowiem przed powstaniem NSDAP istniały w dziedzinie politycznej „organy partyjne” i „organizacje”, a w czasie kiedy po raz pierwszy usłyszałem coś o polityce, a więc w latach dziewięćdziesiątych, chcąc powiedzieć w Berlinie

o jakimś robotniku, że należy do partii socjaldemokratycznej, mówiło się, że jest w „organizacji" albo że jest „zorganizowany". Jednakże organ partyjny nie jest tworzony przez mistyczne moce zawarte w strumieniu krwi, lecz redagowany dużym nakładem sił, a organizacja nie wyrasta jak owoc, lecz bardzo pieczołowicie się ją buduje - naziści powiedzieliby: „rozkręca". Spotykałem też niewątpliwie autorów, i to już przed pierwszą wojną światową - w dzienniku napisane jest w nawiasie: „Sprawdzić, gdzie i kiedy!", ale ze sprawdzeniem jeszcze dzisiaj, przeszło rok po wybawieniu, są znaczne trudności - spotykałem więc autorów, którzy w organizacji widzą właśnie, środek do uśmiercenia pierwiastka organicznego, do pozbawienia go życia i zmechanizowania. U samych narodowych socjalistów, w powieści Dwingera[56] na temat puczu Kappa, zatytułowanej *W pół drogi* (1939), znalazłem przeciwstawienie żałosnej, godnej pogardy w swej sztuczności, więzi organizacyjnej „autentycznej", organicznie wyrosłej więzi z naturą. Ale Dwinger też już powoli ześlizgiwał się w nazizm.

W każdym razie „organizacja" pozostaje w ramach LTI szacownym i szanowanym słowem, a nawet przeżywa tam pewien rozwój, który przed rokiem 1933 jeszcze się nie zaznaczał, lub co najwyżej sporadycznie, w słownictwie specjalistycznym.

Chęć ogarnięcia swoim wpływem całości życia spowodowała nadmierny rozwój struktury organizacyjnej, która objęła nawet małe szkraby - ba, nawet koty: nie mogłem już wpłacać składek do Towarzystwa Opieki nad Kotami, ponieważ w biuletynie „Deutsches Katzenwesen"[57] - tak właśnie nazywał się teraz przemieniony w organ partyjny biuletyn towarzystwa - nie było już miejsca dla stworzeń, które się sprzeniewierzyły własnej rasie i przebywały u Żydów. Zresztą później odebrano nam nasze zwierzęta domowe: psy, koty, a nawet kanarki i zabito je. Działo się to nie w pojedynczych przypadkach i z powodów wyjątkowo sadystycznych, lecz oficjalnie i systematycznie, i jest to jedno z okrucieństw, którymi nie zajmował się żaden proces norymberski, a za które - gdyby to było w mojej mocy - wzniósłbym niebosiężną szubienicę, choćby mnie to miało kosztować szczęśliwość wieczną.

Nie odbiegłem tak daleko, jak by się zdawało, od tematu LTI, bo właśnie „Deutsches Katzenwesen" stał się okazją do spopularyzowania i ośmieszenia owych neologizmów. W swojej manii organizowania i ścisłego centralizowania utworzyli mianowicie naziści nad poszczególnymi organizacjami skupiające je instancje centralne [*Dachorganisationen*]; ponieważ zaś w pierwszy karnawał Trzeciej Rzeszy karnawałowy numer „Münchener Neueste Nachrichten" mógł sobie, swoim zdaniem, jeszcze na coś pozwolić - później pismo stało się potulne, a po dwóch, trzech latach umilkło zupełnie - przyniósł on m.in. notatkę na temat „Centralnej Organizacji Niemieckiego Kociarstwa".

O ile ta drwina pozostała wypadkiem odosobnionym i specjalnie się nie rozpowszechniła, to krytyka nazistowskiej gorączki organizowania, pozbawiona intencji ironicznych i całkiem nieświadoma, wyrastała prawdziwie organicznie z samej duszy narodu; mówiąc mniej romantycznie: pojawiała się ona jednocześnie w niezwykle wielu miejscach i z identyczną oczywistością. Przyczyną było to samo, o czym mówiłem na początku swego notatnika: że język składa słowa i myśli za nas. Obserwowałem tę nieświadomą krytykę w dwóch fazach jej rozwoju.

Już w roku 1936 powiedział mi pewien młody mechanik samochodowy, kiedy zupełnie sam uporał się z zawiłą a pilną naprawą mojego gaźnika: - Czy nie klawo to zorganizowałem? - Słowa „organizacja" i

[56] Edwin Erich Dwinger (1898) - niemiecki powieściopisarz, podczas I wojny światowej był w niewoli rosyjskiej, a potem w armii Kołczaka; w swoich powieściach przedstawia własne przeżycia z tego okresu.
[57] Coś w rodzaju: Niemieckie Kociarstwo.

„organizować” tak mu zapadły w ucho, był tak przesycony wyobrażeniem, że każdą pracę trzeba najpierw zorganizować, tzn. dyspozytor musi j ą rozdzielić pomiędzy zdyscyplinowaną grupę pracowników, iż w odniesieniu do własnego i przez siebie samego wykonanego zadania nie przyszło mu na myśl żadne z odpowiednich w tym wypadku prostych słów, jak „pracować”, „załatwić”, „wykonać” czy całkiem zwyczajnie „zrobić”.

Z drugą i decydującą fazą rozwojową tej krytyki spotkałem się najpierw w dniach Stalingradu, a potem stykałem się z nią już ciągle. Zapytałem kogoś, czy można jeszcze kupić dobre mydło. Odpowiedź brzmiała: - Kupić nie można, trzeba je zorganizować. - Słowo było podejrzane, pachniało machlojkami, paskarstwem, miało zupełnie tę samą woń, jaką wydzielały oficjalne organizacje nazistowskie. A przecież ludzie mówiący o swoim prywatnym organizowaniu wcale nie mieli zamiaru przyznawać się do jakiegoś podejrzanego procederu. Nie, „organizować” było to nieszkodliwe, powszechnie używane słowo, było to naturalne określenie postępowania, które stało się naturalne...

Już od dłuższego czasu piszę: było... Ale któż to nie dawniej jak wczoraj powiedział: - Muszę sobie zorganizować trochę tytoniu. - Obawiam się, że to byłem ja sam.

XVIII
Wierzę w niego

Kiedy myślę o wyznaniu wiary w Adolfa Hitlera, zawsze widzę najpierw przed sobą Paulę von B. z szeroko otwartymi szarymi oczami w twarzy już nie pierwszej świeżości, ale subtelnej, równie dobrotliwej, jak myślącej. Była asystentką w seminarium literatury niemieckiej Walzla i przez wiele lat mnóstwo przyszłych nauczycieli szkół podstawowych i średnich korzystało z jej bardzo pożytecznych rad przy wyszukiwaniu literatury, pisaniu zadanych prac itp.

Oskar Walzel, trzeba tu powiedzieć, może czasami odchodził nieco od estetyki ku estetyzmowi, może z entuzjazmu dla najnowszych osiągnięć badawczych popadał niekiedy w niebezpieczeństwo snobizmu, może w swoich wielkich publicznych prelekcjach miał odrobinę zanadto względu na liczne audytorium damskie i, jak się to mówiło, fajfoklokowe, ale przy tym wszystkim był on przecież w swoich pracach zawsze solidnym uczonym i myślącym człowiekiem, któremu literaturoznawstwo wiele zawdzięcza. Ponieważ cały jego sposób myślenia i jego postawa społeczna kazały go zdecydowanie zaliczać do lewego skrzydła burżuazji, przeto jego przeciwnicy chętnie zarzucali mu „żydowski felietonizm”; on zaś sprawił im bez wątpienia największą niespodziankę tym, że - będąc już wtedy w Bonn i u kresu swej kariery - zdołał przedstawić wymagany przez Hitlera dowód aryjskiego pochodzenia. Dla jego żony, a tym bardziej dla kręgu jego przyjaciół, ta norymberska dyspensa była oczywiście nieosiągalna.

Z takim więc szefem pracowała ku swej pełnej satysfakcji panna von B., a jego przyjaciele byli też jej przyjaciółmi. Ja sam zawdzięczałem jej sympatię najwyraźniej temu, że nie zrażony drobnymi zewnętrznymi słabostkami Walzla zawsze uznawałem jego wewnętrzną rzetelność. Kiedy potem następca Walzla w Dreźnie w miejsce salonowego tonu wprowadził pewną filozoficzną ociężałość - a odrobina kokieterii jest profesorom historii literatury niezbędna, należy chyba po prostu do tego

rzemiosła - Paula von B. niemal z taką samą gorliwością i zapałem przystosowała się do sposobu bycia nowego szefa; w każdym razie jej oczytanie i wyrozumiałość były wystarczające na to, aby i z tym prądem mogła popłynąć.

Pochodziła ze starej szlacheckiej oficerskiej rodziny, jej ojciec umarł jako emerytowany generał, brat wrócił z wojny w randze majora, po czym znalazł sobie w dużej żydowskiej firmie stanowisko wymagające zaufania i walorów reprezentacyjnych. Gdyby mnie ktoś przed rokiem 1933 zapytał o poglądy polityczne Pauli von B., moja odpowiedź brzmiałaby prawdopodobnie: niemieckie - to oczywiste, a także europejskie i liberalne - to równie oczywiste, z pewnymi tęsknymi reminiscencjami świetnego okresu cesarstwa; ale jeszcze prawdopodobniej odpowiedziałbym, że polityka w ogóle dla niej nie istnieje, że jest ona całkowicie pochłonięta sprawami intelektualnymi i tylko realne wymagania jej posady w wyższej uczelni nie pozwalają jej się zatracie w czystym pięknoduchostwie czy zgoła bujaniu w obłokach.

A potem nadszedł rok 1933. Paula von B. przyszła do mojego seminarium po jakąś książkę. Zamiast zwykłej powagi na jej twarzy malowała się radość, a ruchy miała młodzieńczo lekkie. - Ależ pani rozpromieniona! Czyżby panią spotkało jakieś szczególne szczęście? - Szczególne? A czegóż mi jeszcze potrzeba?... Ubyło mi dziesięć lat, nie, dziewiętnaście: nie czułam się tak od 1914 roku! - I mówi to pani mnie? I pani to może mówić - pani, która przecież musi widzieć i czytać, i słyszeć, jak się depcze ludzi, którzy byli pani dotąd bliscy, co się mówi o pracach, które pani dotąd ceniła, jak się zrywa ze wszystkimi duchowymi wartościami, które pani dotąd... - Przerwała mi z lekkim zażenowaniem i bardzo serdecznie: - Drogi panie profesorze, nie uwzględniłam pańskiego przewrażliwienia. Powinien pan wziąć parę tygodni urlopu i nie czytać żadnych gazet. Teraz łatwo się pan uraża, a od spraw istotnych odwracają pana uwagę drobne przykrości i uchybienia, których przecież przy tak wielkim przewrocie nie sposób uniknąć. Wkrótce zmieni pan zupełnie zdanie. Mogę do państwa niebawem zajrzeć, prawda? - I ze słowami: - Serdeczne ukłony dla domu! - wybiegła w podrygach podlotka, nim jeszcze zdążyłem odpowiedzieć.

Z tego „niebawem” zrobiło się kilka dobrych miesięcy, w ciągu których ogólna perfidia nowego reżimu i jego szczególna brutalność w stosunku do „żydowskiej inteligencji” stawały się coraz jawniejsze. Paula von B. miała aż nadto okazji, aby się zachwiać w swojej naiwności. Na uczelni nie widywaliśmy się - nie wiem, może mnie świadomie unikała.

Aż wreszcie pewnego dnia zjawiła się jednak u nas. Powiedziała, że uważa za swój niemiecki obowiązek złożenie wobec przyjaciół szczerego wyznania - a sądzi, że wolno jej czuć się nadal naszą przyjaciółką. - Dawniej nie mówiła pani „niemiecki obowiązek” - przerwałem jej - co ma wspólnego niemiecki czy nieniemiecki ze sprawami bardzo prywatnymi i ogólnoludzkimi? A może chce pani z nami politykować? - Niemiecki czy nieniemiecki - to ma coś wspólnego ze wszystkim, bo tylko to jest istotne, i widzi pan, tego mnie, tego nas wszystkich nauczył Führer, albo nam przypomniał, bośmy o tym zapomnieli. To on sprowadził nas z powrotem do domu! - A dlaczego pani nam to mówi? - Musicie państwo tu uznać, musicie zrozumieć, że należę całkowicie do Führera, ale nie wolno wam sądzić, że z tego powodu wyzbywam się przyjacielskich uczuć dla państwa... - A jak te dwa uczucia dają się ze sobą pogodzić? I co mówi pani Führer o tak czcigodnym pani nauczycielu i dawniejszym szefie Walzlu? I jak to pogodzić z tym, co pani znajduje na temat humanizmu u Lessinga i u tych, o których dawała pani prace seminaryjne? I jak... ale to przecież nie ma żadnego sensu pytać dalej.

Przy każdym moim zdaniu potrząsała bowiem tylko głową i miała łzy w oczach. - Nie, to chyba naprawdę nie ma sensu, bo przecież wszystkie pana pytania pochodzą z rozumu, a uczucie, jakie się za nimi ukrywa, jest tylko rozgoryczeniem z powodu tego, co nieistotne. - A skąd moje pytania mogą pochodzić, jeśli nie z rozumu? I co jest istotne? - Przecież już panu powiedziałam: to, żeśmy powrócili do domu, do domu! I to właśnie musi pan czuć, i musi się pan poddać temu uczuciu, i ciągle powinien pan sobie uświadamiać wielkość Führera, a nie kłopoty, na jakie pan sam jest chwilowo narażony... A nasi klasycy? Nie sądzę, aby mu zaprzeczali, trzeba ich tylko czytać w odpowiedni sposób, na przykład Herdera - ale gdyby nawet - na pewno daliby się przekonać! - A skąd pani bierze tę pewność? - Stąd, skąd się bierze wszelka pewność: z wiary. A jeśli panu to nic nie mówi, no to - tak, to nasz Führer ma jednak rację, kiedy się zwraca przeciwko... (zdążyła przełknąć słowo „Żydom" i mówiła dalej) przeciwko bezpłodnej inteligencji. Bo ja wierzę w niego, i musiałam to państwu powiedzieć, że w niego wierzę. - A zatem, szanowna panno Paulo, najlepiej będzie odłożyć tę rozmowę o wierze oraz przyjaźń na czas nieokreślony...

Odeszła i przez ten krótki czas, kiedy pozostawałem jeszcze na uczelni, rzeczywiście unikaliśmy się starannie. Potem widziałem ją już tylko raz i raz tylko wspomniano o niej przy mnie w rozmowie.

Ponowne spotkanie miało miejsce w jednym z historycznych momentów Trzeciej Rzeszy. Dnia 13 marca 1938 roku otworzyłem, niczego nie przeczuwając, drzwi do hali kasowej Banku Państwowego i natychmiast gwałtownie się cofnąłem, przynajmniej na tyle, że półotwarte drzwi jako tako mnie zasłaniały. Otóż wszyscy obecni wewnątrz, zarówno z tej, jak i z tamtej strony okienek, stali sztywno wyprostowani z wyciągniętym mocno przed siebie ramieniem i słuchali deklamatorskiego głosu z radia. Głos obwieszczał dekret o przyłączeniu Austrii do Niemiec hitlerowskich. Pozostałem w swoim półukryciu, aby nie musieć uczestniczyć w tym geście nazistowskiego pozdrowienia. Na samym przedzie dojrzałem wśród innych ludzi pannę von B. Wszystko w niej było ekstazą, oczy jej błyszczały, a kurczowa sztywność jej postawy i wyciągniętego ramienia, bijące z niej zachwycenie odróżniały ją wyraźnie od innych stojących na baczność obecnych.

I znowu za parę lat przedostały się okrężnymi drogami do domu żydowskiego wiadomości o niektórych pracownikach uczelni. O pannie von B. opowiadano ze śmiechem, że jest najniezłomniejszą zwolenniczką Führera. Zresztą mniej szkodliwą niż niejeden inny jego stronnik, bowiem denuncjacje czy podobne podłości nie są jej sprawą. Ona jest tylko entuzjastką. Właśnie teraz pokazuje wszystkim zdjęcie, które jej się bardzo udało. Podczas wakacyjnej podróży mogła podziwiać z daleka Obersalzberg[58]; samego Führera nie było jej dane ujrzeć - ale widziała jego psa, i właśnie wspaniałe zdjęcie psa udało jej się zrobić.

Kiedy to usłyszała moja żona, rzekła: - Już wtedy, anno 1933, powiedziałam ci, że B. jest histeryczną starą panną, która znalazła w Führerze swojego zbawiciela. Na takich starych pannach opiera się Hitler albo opierał się dopóty, dopóki nie chwycił w ręce władzy. - A ja ci odpowiadam, co odpowiedziałem już wtedy: Z histerycznymi starymi pannami masz niewątpliwie słuszność, ale to nie mogło wystarczyć, a i dziś także, a raczej dziś na pewno, by już nie wystarczyło (było to po Stalingradzie), pomimo wszystkich środków, jakimi dysponuje władza, i pomimo całej, choćby nie wiem jak bezwzględnej, tyranii. Z niego musi promieniować wiara i ta wiara musi się przerzucać na całe rzesze innych ludzi, nie tylko na stare panny. Zresztą panna von B. nie jest pierwszą lepszą starą

---

[58] Obersalzberg - zbocze górskie obok miejscowości Berchtesgaden w Alpach, gdzie znajdowała się prywatna rezydencja Hitlera zwana „Berghof".

panną. Znaliśmy ją całe lata (a i wtedy były to już przecież dla niej lata niebezpieczne) jako naprawdę rozsądną kobietę, ma staranne wykształcenie, ma zawód, któremu się z zapałem poświęca, wychowała się w trzeźwo myślącym solidnym środowisku, przez długi czas czuła się dobrze wśród ludzi o szerokich horyzontach - to wszystko musiało ją przecież w jakiejś mierze uodpornić na taką jakby religijną psychozę... Przywiązuję bardzo dużą wagę do tego jej „wierzę w niego”...

A pod sam koniec wojny, kiedy całkowita i nieuchronna klęska była już dla każdego jasna, kiedy kres był tuż-tuż, spotkałem się z tym credo w krótkim odstępie czasu dwukrotnie, a za każdym razem nie miało to nic wspólnego ze staropanieństwem.

Najpierw w lesie pod Pfaffenhofen. Początek kwietnia 1945. Udała nam się ucieczka na teren Bawarii, byliśmy w posiadaniu dokumentów, które powinny nam jakoś zapewnić kwaterę, ale na razie każda gmina odsyłała nas do następnej. Wędrowaliśmy pieszo, obładowani bagażem i znużeni. Dopędził nas jakiś żołnierz, bez słowa chwycił nasz najcięższy pakunek i przyłączył się do nas. Mógł mieć niewiele ponad dwadzieścia lat, miał przyjazną, otwartą twarz, wyglądał silnie i zdrowo, tylko lewy rękaw jego bluzy zwisał pusty. Widzi przecież, zaczął, że nam ciężko nieść - dlaczego nie miałby pomóc swoim *Volksgenossen* [członkom swojej wspólnoty narodowej], zapewne też idziemy do Pfaffenhofen. A potem opowiedział nam z ufnością o sobie. Został ranny na Wale Atlantyckim i dostał się do niewoli, przebywał w amerykańskim obozie dla jeńców, potem wymienili go jako inwalidę. Pochodził z chłopskiej rodziny z Pomorza i chciał wracać w swoje strony, skoro tylko będą one uwolnione od nieprzyjaciela.

- Uwolnione od nieprzyjaciela? Liczy pan na to? Rosjanie stoją przecież pod Berlinem, a Anglicy i Amerykanie...

- Wiem, wiem, i jest pełno takich ludzi, którzy uważają wojnę za przegraną. - A pan nie? Przecież pan wiele widział, za granicą musiał pan też wiele słyszeć... - Ech, to wszystko kłamstwa, co mówi zagranica. - Ale nieprzyjaciel wszedł już tak głęboko do Niemiec, a nasze możliwości są wyczerpane. - Tego panu nie wolno mówić. Trzeba poczekać przez najbliższe czternaście dni. - Co one mogą jeszcze zmienić? - Wtedy będą przecież urodziny Führera. Wielu ludzi mówi, że zacznie się kontrofensywa, a tylko dlatego wpuściliśmy nieprzyjaciół tak głęboko, żeby ich następnie tym pewniej móc zniszczyć. - I pan w to wierzy?

- Ja jestem tylko starszy szeregowiec; na tyle się na prowadzeniu wojny nie znam, żebym mógł mówić tak czy inaczej. Ale Führer dopiero niedawno powiedział, że na pewno zwyciężymy. A on jeszcze nigdy nie skłamał. W Hitlera wierzę. Nie, jego Bóg nie opuści, w Hitlera wierzę.

Żołnierz, dotychczas taki rozmowny, wypowiedziawszy ostanie zdanie z równą prostotą jak wszystko, co mówił poprzednio, może tylko z odrobiną zamyślenia, spuścił teraz wzrok i umilkł. Nie umiałem mu nic odpowiedzieć i byłem rad, kiedy w niewiele minut później przy pierwszych domach Pfaffenhofen rozstał się z nami.

I jeszcze raz, niedługo potem, w małej wiosce Unterbernbach, która wkrótce została zajęta przez Amerykanów, gdzie znaleźliśmy wreszcie kwaterę. Od strony zupełnie już bliskiego frontu płynęła fala pojedynczych żołnierzy i całych ich gromad z rozbitych pułków. Był to rozpad armii. Każdy wiedział, że to koniec, każdy chciał się uratować przed niewolą. Większość tych ludzi złorzeczyła wojnie, nie

chciała niczego, jak tylko pokoju, była na wszystko inne obojętna. Niektórzy przeklinali Hitlera, byli też tacy, co przeklinali reżim i uważali, że sam Führer chciał dobrze, a winę za klęskę ponoszą inni.

Rozmawialiśmy z wieloma ludźmi, bo nasz gospodarz był najbardziej szczodrą duszą, jaką sobie można wyobrazić, i dla każdego tułacza znalazł się bodaj kęs chleba czy łyżka zupy, Któregoś wieczoru wokół stołu zasiadło czterech żołnierzy z różnych formacji, którzy mieli potem przenocować w stodole. Dwaj z nich byli to studenci z północnych Niemiec, dwaj pozostali - starsi ludzie, stolarz z Górnej Bawarii i rymarz ze Storkow. Bawarczyk mówił o Hitlerze z wielką goryczą, obaj studenci wtórowali mu. W pewnym momencie rymarz uderzył pięścią w stół.

- Powinniście się wstydzić. Zachowujecie się, jakby wojna była już przegrana. Tylko dlatego, że ami tutaj się wdarł! - No a Rosjanie? A Tommy...[59] A Francuz? - Napadli na niego ze wszystkich stron, że już minuta przed dwunastą, że nawet dziecko to przecież zrozumie. - Rozumienie nic tu nie ma do rzeczy, trzeba wierzyć. Führer nie ustąpił, a Führer jest nie do pokonania i zawsze znajdował jakąś drogę tam gdzie inni myśleli, że nie ma już wyjścia. Nie, do stu diabłów, nie, rozumienie nic tu nie ma do rzeczy, trzeba wierzyć. Ja wierzę w Führera.

Tak więc słyszałem to wyznanie wiary w Hitlera, składane przez ludzi z dwóch warstw narodu, inteligenckiej i w ściślejszym sensie ludowej, i w dwóch okresach - na początku i na samym końcu. I nie mogę mieć żadnych wątpliwości co do tego, że za każdym razem wychodziło ono nie tylko z ust, lecz także z głębi wierzącego serca. A i to jest dla mnie pewne, że trzy składające to wyznanie osoby niewątpliwie dysponowały tym, co się zwykło uważać za przeciętną inteligencję.

To że LTI w swoich punktach kulminacyjnych musi być językiem wiary, rozumie się samo przez się, bo przecież nastawia się ona na fanatyzm. Ale znamienne jest przy tym, że jako język wiary opiera się ona ściśle na chrześcijaństwie, dokładniej mówiąc na katolicyzmie, jakkolwiek narodowy socjalizm to jawnie, to skrycie, to teoretycznie, to znów praktycznie, ale od samego początku zwalcza chrześcijaństwo, a zwłaszcza Kościół katolicki. Teoretycznie tępi się hebrajskie oraz - termin fachowy LTI – „syryjskie" źródła chrześcijaństwa: praktycznie żąda się konsekwentnie występowania z Kościoła esesmanów i próbuje tego samego w odniesieniu do nauczycieli szkół podstawowych, prowadzi się rozdmuchane procesy przeciwko oskarżonym o homoseksualizm nauczycielom w szkołach klasztornych, zamyka w więzieniach i obozach duchownych, którym przyczepiono miano duchownych politycznych.

Przy tym wszakże pierwsze ofiary z szeregów partii, owych szesnastu, którzy padli pod Feldherrnhalle, są pod względem kultowym i językowym traktowane jak chrześcijańscy męczennicy. Sztandar, który niesiono na czele tamtego pochodu, zwie się krwawym sztandarem [*Blutfahne*], a przez dotknięcie nim następuje poświęcenie nowych proporców SA i SS. W odnośnych przemówieniach i artykułach nie brak oczywiście również wzmianek na temat „świadectwa krwi". Kto w takich ceremoniach nie uczestniczył bezpośrednio czy poprzez ekran kinowy, tego przynajmniej owiewały nabożne opary krwi zawarte w samych już określeniach.

Pierwsze święta Bożego Narodzenia po zagarnięciu Austrii, „Wielkoniemieckie Boże Narodzenie 1938", jawią się w prasie naturalnie w formie całkowicie zdechrystianizowanej: to, co się uroczyście obchodzi, jest wyłącznie „świętem niemieckiej duszy", „zmartwychwstaniem Rzeszy

[59] Tommy - potoczne niemieckie określenie żołnierza angielskiego.

Wielkoniemieckiej", a tym samym ponownymi narodzinami światła, wskutek czego cała uwaga skupia się na kole słonecznym i swastyce, a Żyd Jezus jest całkowicie usunięty poza nawias. Kiedy zaś wkrótce potem na urodziny Himmlera zostaje ustanowiony Order Krwi[60], jest to wyraźnie „order krwi nordyckiej".

Cały sztafaż słowny działa jednak w kierunku transcendencji chrześcijańskiej: mistyka świętej nocy, męczeństwo, zmartwychwstanie, zakon rycerski, wiążą się (wbrew swej pogańskiej intencji) jako wyobrażenia katolickie czy, że tak powiem, parsifalowskie, z czynami Führera i jego partii. A „wieczna warta" tych, którzy złożyli świadectwo krwi, zwraca wyobraźnię w tym samym kierunku.

Słowo „wieczny" odgrywa przy tym rolę niezwykłą i specjalną. Należy ono do tych wyrazów w słowniku LTI, których szczególny charakter nazistowski polega tylko na bezceremonialnym szafowaniu nimi: LTI niezwykle często posługuje się atrybutami „historyczny", „jedyny w swoim rodzaju", „wieczny". Słowo „wieczny" można by uważać za najwyższy szczebel długiej drabiny nazistowskich superlatywów liczbowych, przy czym za pomocą tego ostatniego szczebla osiąga się niebo. Wieczność jest przymiotem jedynie bóstwa; nazywając coś wiecznym, umieszczam to coś w sferze religijnej. „Znaleźliśmy drogę do wieczności" - mówi Ley podczas uroczystego otwarcia szkoły Adolfa Hitlera[61] w początku roku 1938. Przy egzaminach terminatorów nierzadkie jest podstępne pytanie-pułapka. Brzmi ono: „Co nastąpi po Trzeciej Rzeszy?". Jeśli nie przeczuwający podstępu albo wyprowadzony w pole delikwent odpowie: „czwarta", zostaje (nawet przy dobrych wiadomościach fachowych) bezlitośnie utrącony jako niepojętny adept partii. Poprawna odpowiedź powinna brzmieć: „Nic nie nastąpi, bo Trzecia Rzesza będzie wiecznym państwem Niemców".

Przypadek, gdy Hitler przy użyciu słów, zaczerpniętych najwyraźniej z Nowego Testamentu, określa sam siebie jako niemieckiego zbawiciela, zanotowałem tylko jeden (ale powtarzam: słyszeć i widzieć mogłem tylko niewiele, a lekturę uzupełniającą i dziś jeszcze udaje mi się zdobywać jedynie w bardzo ograniczonym zakresie). Pod datą 9 listopada 1935 zapisałem: „O poległych przy Feldherrnahalle powiedział «moi apostołowie» - jest ich szesnastu, oczywiście musi mieć o czterech więcej od swego poprzednika - a przy uroczystościach pogrzebowych padły słowa: «Zmartwychwstaliście w Trzeciej Rzeszy»„.

Choćby to bezpośrednie samoubóstwienie i stylistyczne przyrównanie siebie do Chrystusa z Nowego Testamentu było rzeczywiście tylko jednorazowym wyjątkiem, to przecież pozostaje faktem, że Führer nieustannie podkreślał swój szczególnie bliski stosunek do bóstwa, swoją rolę szczególnego wybrańca, swoje szczególne dziecięctwo boże, swoją misję religijną. W okresie triumfalnego wzlotu swej politycznej kariery powiedział w Würzburgu (w czerwcu 1937): „Prowadzi nas dłoń Opatrzności, postępujemy zgodnie z wolą Wszechmocnego. Historii narodów i świata nie może tworzyć nikt, kto nie ma błogosławieństwa tej Opatrzności". W „dzień pamięci bohaterów" 1940 roku Hitler wierzy „pokornie w łaskę Opatrzności". Opatrzność, która go wybrała, przez całe lata pojawia się w każdej niemal jego mowie, w każdym niemal wezwaniu. Po zamachu z 20 lipca 1944 dowiadujemy się, że to Los go ocalił, ponieważ naród go potrzebuje - jego, chorążego „wiary i ufności". W sylwestra 1944, kiedy wszelkie szanse na zwycięstwo już się rozwiały, podobnie jak w dniach triumfu pojawia się znowu osobowy Bóg, „Wszechmocny", który nie odmówi zwycięstwa słusznej sprawie.

---

[60] Blutorden (Order Krwi) - wysokie odznaczenie NSDAP, upamiętniające nieudany pucz hitlerowski z 1923 r.
[61] Adolf-Hitler-Schulen (szkoły Adolfa Hitlera) - wychowywały narybek przyszłej elity partyjnej.

Ważniejsze od tego konkretnego odwoływania się do bóstwa jest coś innego. W swoim dzienniku *Od Kaiserhofu do Kancelarii Rzeszy* Goebbels relacjonuje pod datą 10 lutego 1932 mowę Führera w Pałacu Sportu: „Na koniec wpada w cudowny, nieprawdopodobny patos oratorski i kończy słowem: Amen! Wypada to tak naturalnie, że wszyscy ludzie są tym do głębi wstrząśnięci i wzruszeni... masy w Pałacu Sportu ogarnia nieprzytomna ekstaza...”. Owo „amen” ukazuje wyraźnie, że ogólny kierunek tego retorycznego wyczynu jest natury religijnej i pastoralnej. Zaś słowa „działa to tak naturalnie”, wypowiedziane przez najbardziej kompetentnego słuchacza, pozwalają wnosić o wysokim stopniu świadomie zastosowanej sztuki krasomówczej. Zwłaszcza kiedy się czyta recepty na wywoływanie masowej sugestii, które sam Hitler podaje w *Mein Kampf*, nie można żywić wątpliwości co do świadomej demagogii, jaka się zawiera w tym naciskaniu pobożnych i liturgicznych klawiszów. Zresztą wierzący fanatyk, szaleniec, rozwija często w służbie swego szaleństwa najwyższą przebiegłość, a doświadczenie wykazuje, że naprawdę wielkie i trwałe sugestie pochodzą tylko od takich oszustów, którzy oszukują samych siebie. Ale Hitler sam zwolnił norymberskich sędziów z rozstrzygania, czy należy go posłać na szubienicę, czy do domu obłąkanych, i nie interesuje nas tu problem jego winy, lecz metoda jego działania. Religijna kulminacja tego działania polega więc na konkretnych chrystologicznych zwrotach, a następnie, i to w stopniu silniejszym, na wypowiadaniu znacznych partii mowy w sposób kaznodziejski i z silną emfazą.

Przede wszystkim jednak polega ona na tym, że dla swego ubóstwienia Hitler posługuje się dobrze zorganizowanym współdziałaniem wielu wyszkolonych pomocników.

Kilka stron dalej po zacytowanym właśnie miejscu Goebbels mówi z radosną dumą o „dniu budzącego się narodu”: „Z nie spotykanym dotąd natężeniem sił wygramy do końca wszystkie nasze możliwości propagandowe...”, wszystko „będzie chodzić jak na sznurku”. A potem Führer przemawia w Królewcu, wszyscy są do głębi wzruszeni i oto „w końcowy akord mowy wpadają potężne dźwięki *Niderlandzkiej Modlitwy Dziękczynnej*, zagłuszone w ostatniej strofie przez bicie dzwonów katedry królewieckiej. Za pośrednictwem radia hymn ten płynie na falach eteru poprzez całe Niemcy”.

Ale Führer nie może wygłaszać mowy codziennie - nawet nie powinien, bóstwo winno w zasadzie królować w obłokach i częściej przemawiać przez usta swych kapłanów niż samo. Z czym w przypadku Hitlera wiąże się dalsza korzyść: jego słudzy i przyjaciele mogą go jeszcze bardziej zdecydowanie i bez skrępowania ogłaszać zbawicielem, jeszcze nieustanniej i na więcej głosów adorować, niż czyniłby to on sam. Od roku 1933 do 1945, aż do berlińskiej katastrofy, to wynoszenie Führera na boski piedestał, przyrównywanie jego osoby i jego czynów do Zbawiciela i obrazów z Biblii odbywało się dzień w dzień, zawsze „jak na sznurku”, i nie można się było temu w najmniejszym stopniu sprzeciwić.

Mój kolega Spamer, etnolog, doskonale zorientowany w procesach powstawania i rozwoju legend, powiedział mi kiedyś w pierwszym roku panowania hitleryzmu, kiedy z przerażeniem myślałem o stanie duchowym narodu niemieckiego: - Gdyby było możliwe - (uważał to jeszcze wtedy za nierealne zdanie warunkowe) - nastrojenie całej prasy, wszystkich publikacji i systemu nauczania na jeden ton i gdyby się potem wszędzie uczyło, że między rokiem 1914 a 1918 nie było żadnej wojny światowej, to po trzech latach cały świat wierzyłby, że jej rzeczywiście nie było.

- Kiedy przy naszej pierwszej ponownej dłuższej rozmowie przypomniałem o tym Spamerowi, poprawił mnie:

- Tak, pamiętam; tylko myli się pan w jednym punkcie; powiedziałem wtedy i tym bardziej powtarzam to teraz: stałoby się to po roku!

Z wielkiej masy przykładów apoteozy Hitlera wybieram tylko kilka. W lipcu 1934 w mowie wygłoszonej przed berlińskim ratuszem Göring powiedział: „My wszyscy, od najprostszego esamana do premiera, jesteśmy z Adolfa Hitlera i przez Adolfa Hitlera". W hasłach plebiscytowych roku 1938, nawołujących do wyrażenia zgody na przyłączenie Austrii, do akceptacji Wielkich Niemiec, mówi się, że Hitler jest „narzędziem Opatrzności", a dalej w stylu starotestamentowym: „niechaj uschnie ręka, która napisze «nie»„. Baldur von Schirach ustanawia miasto rodzinne Führera, Braunau, „miejscem pielgrzymek niemieckiej młodzieży". Baldur von Schirach wydaje też *Pieśń wiernych; Wiersze anonimowych austriackich członków Hitlerjugend z lat prześladowań 1933 do 1937*, gdzie czytamy: „Jakże wielu jest takich, którzy nigdy Cię nie ujrzą, a dla których przecież jesteś Zbawicielem".

Do Opatrzności odwołują się teraz naturalnie wszyscy - nie tylko ludzie, którym z racji ich społecznego pochodzenia i wykształcenia można by przypisywać podatność na sugestię i egzaltację. Także rektor Politechniki Drezdeńskiej, wysoce szanowany profesor matematyki, a więc człowiek, od którego oczekiwałoby się rozważnych myśli i wyważonych słów - również Jego Magnificencja Kowalewski pisze w tych dniach w artykule do gazety: „Zesłała go nam Opatrzność".

W bardziej zdecydowany ton ubóstwienia uderza ponownie Goebbels tuż przed inwazją na Rosję. W swoim przemówieniu gratulacyjnym w dniu 20 kwietnia 1941 mówi: „Nie potrzebujemy wiedzieć, co Führer chce uczynić - wierzymy w niego". (Przy czym trzeba będzie późniejszej generacji nieustannie wbijać do głowy, że takie zdanie ministra propagandy dosłownie nigdzie w opinii publicznej nie wzbudziło najlżejszej choćby wątpliwości). A w sylwestra 1944 Goebbels, jeszcze bardziej niż sam Führer bolejący nad nie zawinionym nieszczęściem swego narodu, oskarża ludzkość, która nie chce się na nim poznać. Bo swą miłością obejmuje on przecież całą ludzkość; gdyby to wiedziała, „jeszcze w tej godzinie odstąpiłaby swych fałszywych bożków i złożyła mu hołd".

Kultowa cześć oddawana Hitlerowi, promienny nimb religijny wokół jego osoby nasila się jeszcze przez to, że gdziekolwiek jest mowa o jego dziele, jego państwie, jego wojnie, zawsze pojawiają się epitety religijne. Will Vesper, kierownik saskiego krajowego oddziału Izby Literackiej Rzeszy - organizacja totalna! zdanie warunkowe nierzeczywiste Spamera utraciło swoją nierzeczywistość - Will Vesper przy okazji „Tygodnia Książki" w październiku głosi: „*Mein Kampf* jest świętą księgą narodowego socjalizmu i nowych Niemiec". Nie sądzę, aby oryginalność tego zdania polegała na czymś więcej niż na peryfrazie. Przecież „biblią" narodowego socjalizmu nazywano *Mein Kampf* zawsze i wszędzie. Mam po temu na swój prywatny użytek dowód w najwyższym stopniu niefilologiczny: właśnie tego wyrażenia nigdzie sobie nie zanotowałem - było ono dla mnie po prostu zbyt oczywiste i zbyt powszednie. Rozumie się, że i wojna, służąca zachowaniu nie tylko Rzeszy hitlerowskiej w ściślejszym sensie, ale także zasięgu działania religii hitlerowskiej, stała się „wyprawą krzyżową", „świętą wojną", „świętą wojną narodu", i że w tej religijnej wojnie byli też polegli, którzy padli „z niezłomną wiarą w swego Wodza".

Führer nowym Chrystusem, osobnym niemieckim zbawicielem - wielką antologię „literatury i filozofii niemieckiej, sięgającą od *Eddy* po *Mein Kampf*, gdzie Luter? Goethe itd. stanowią tylko stopnie pośrednie, nazywa się też „Biblię Germańską" - jego książka właściwą ewangelią Niemców, jego wojna obronna wojną świętą; jasne, że książka i wojna zawdzięczają swoją świętość świętości swego autora i sprawcy, jakkolwiek ze swej strony wzmacniają jego aureolę.

Ale jak ma się rzecz priorytetu, jeśli chodzi o samą Rzeszę, głoszoną, stworzoną i bronioną przez Hitlera? Tutaj Hitler jest tym, który przyjmuje.

Niemieckie słowo *das Reich* ma w sobie coś uroczystego, pewną religijną godność, której brak wyrażeniom częściowo tylko z nim synonimicznym. *Res publica*, republika, jest powszechną sprawą wszystkich obywateli, obowiązującym wszystkich porządkiem publicznym, który oni sami w swojej wspólnocie wytworzyli i utrzymują, strukturą czysto doczesną i opartą na rozumie. To właśnie znajduje wyraz w renesansowym słowie *der Staat* [państwo]: określa ono trwały stan rzeczy, stabilny ład na pewnym zwartym terytorium, ma znaczenie całkowicie ziemskie, wyłącznie polityczne. Natomiast *Reich*, o ile nie ulega znaczeniowemu zacieśnieniu w słowach złożonych (*Königreich* - królestwo w sensie czysto politycznym; *Kaiserreich* - cesarstwo w takimże sensie; *Gotenreich* - królestwo Gotów; itp.), obejmuje zakres szerszy, sięgający w sferę duchową, transcendentną: chrześcijański świat pozagrobowy to „królestwo niebieskie" [*Himmelreich*], a w najpowszechniejszej i najbardziej elementarnej modlitwie chrześcijaństwa druga prośba brzmi: przyjdź królestwo Twoje [*Dein Reich komme*]. Makabryczny dowcip, będący potajemną zemstą na krwawym oprawcy Himmlerze, mówił o jego ofiarach, że przyjmuje on je do swego królestwa Himmlera [*Himmlersches Reich*]. Organizm państwowy, w którym Niemcy pozostają do roku 1806, nazywa się wyraźnie „Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego" [*das Heilige Römische Reich Deutscher Nation*], przy czym słowo „święte" nie jest tu jakimś ozdobnikiem czy wyrazem egzaltacji, lecz stwierdza, że w państwie tym nie chodzi jedynie o ład doczesny, lecz że ma ono w swojej pieczy również sferę życia przyszłego.

Kiedy Hitler przez aneksję Austrii uczynił pierwszy krok na drodze do marzących mu się Wielkich Niemiec, po czym, naśladując mutatis mutandissimis wyprawy średniowiecznych cesarzy do Italii, wybrał się z wielką okazałością i liczną świtą do Rzymu dla przeprowadzenia rozmów z Duce, w prasie niemieckiej można było przeczytać nagłówek: „Święta Rzesza Germańska Narodu Niemieckiego" [*Das Heilige Germanische Reich Deutscher Nation*]. Władcy średniowiecznej Rzeszy byli zalegalizowani w swym charakterze panujących z łaski Bożej przez kościelny akt koronacji i czuli się rządcami rzymskochrześcijańskiego systemu wiary i kultury. Kładąc fundament Świętej Rzeszy Germańskiej, Hitler wykorzystuje nimb dawnego Cesarstwa dla swej nowej struktury. Na razie trzyma się przy tym swojej pierwotnej doktryny, w myśl której pragnie stworzyć tylko Rzeszę niemiecką czy germańską, gdy tymczasem wszystkie inne narody mają zachować nienaruszoną samodzielność.

Kiedy potem popełnia kolejne wiarołomstwa i kolejne grabieże i kiedy pierwotna wojna błyskawiczna zamienia się w długotrwałe krwawe jatki, pojawia się na Boże Narodzenie 1942 we „Frankfurter Zeitung" (pod kryptonimem srp) esej filozoficzno-historyczny, który blednącej aureoli idei Rzeszy usiłuje przydać nowego blasku: *Rzesza w czas próby*. Artykuł, obliczony na wykształcone gremium czytelnicze i stosownie do tego wystylizowany, bierze za punkt wyjścia światowy ład duchowy Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Chodziło tam o ponadpaństwowy ład europejski, w którym cesarzowi niemieckiemu podporządkowanych było wiele i różnych pod względem kulturowym ludów. Cesarstwo to uległo rozpadowi z chwilą wykształcenia się państw narodowych. Spośród nich myśl państwową „jako postulat moralny i postawę duchową" w najczystszej formie rozwinęły Prusy, przez co stały się one czynnikiem ustanawiającym ład Małych Niemiec. Ale kiedy w kościele Św. Pawła[62]

[62] Kościół św. Pawła we Frankfurcie nad Menem był miejscem posiedzeń tzw. Parlamentu Frankfurckiego, czyli ogólnoniemieckiego. Zgromadzenia Narodowego w latach 1848-49, które m. in. stawiało sobie za cel polityczne zjednoczenie Niemiec. W łonie tego parlamentu (podobnie jak w trakcie całej rewolucji marcowej, której był wytworem) ścierały się ze sobą koncepcja „wielkoniemiecka", opowiadająca się za zjednoczeniem pod egidą

rozważano sprawę nowych Wielkich Niemiec, stało się rzeczą jasną, że Wielkie Niemcy nie mogą być wyłącznie „państwem czysto narodowym” [*völkischer Staat*], lecz muszą wziąć na siebie pewne ogólnoeuropejskie zadania ponadnarodowe. To, co nie powiodło się ludziom z kościoła Św. Pawła, udało się Führerowi: stworzył on Rzeszę Wielkoniemiecką. Może przez jakiś krótki czas (wtedy, kiedy obiecał zadowolić się Sudetami) zwarte państwo narodowe wydawało mu się rzeczą możliwą. Ale immanentna idea Wielkich Niemiec kazała mu iść dalej. Wielkie Niemcy mogą istnieć tylko „jako rdzeń i nosiciel nowej Rzeszy, ponoszą one wobec historii odpowiedzialność za nowy całościowy ład i za nową, uratowaną przed anarchią, erę kontynentu europejskiego... muszą drogą wojennej próby wykazać, że są zdolne do podjęcia tego zadania”. Ten końcowy ustęp eseju miał podtytuł: *Dziedzictwo i misja*. Tak więc na użytek czytelników oświeconych najbardziej zbrodniczą ze wszystkich wojen uświęca się tutaj za pomocą starej idei Rzeszy, a samo pojęcie Rzeszy napełnia nowym ładunkiem świętości.

Nasilenie tej świętości, sięgające aż do regionów mistycznych, a do tego niezwykle prostą i dla każdego gładko i nieświadomie przyswajalną mistykę osiąga się przez to, że mówi się nie tylko o samej Rzeszy, ale zawsze o „Trzeciej Rzeszy”. I tu również LTI do deifikacji Hitlera posługuje się tylko środkami już zastanymi. *Trzecia Rzesza* Moellera van den Brucka[63] nosi pod przedmową do pierwszego wydania datę: grudzień 1922. Pisze on tam: „Idea Trzeciej Rzeszy jest ideą światopoglądową, która wyprowadza nas poza ramy rzeczywistości. Nie są przypadkowe wyobrażenia, pojawiające się już przy samym pojęciu, przy nazwie Trzeciej Rzeszy... osobliwie mgliste, marzycielskie i ulotne, i całkowicie transcendentne”. Hans Schwarz, wydawca trzeciego wydania z roku 1930, mówi, że „narodowy socjalizm podjął wołanie o Trzecią Rzeszę, Bund Oberland[64] nazwał tym mianem swoje pismo”, i podkreślą zarazem w pierwszych wierszach: „Dla wszystkich szukających ma Trzecia Rzesza legendarną moc”.

Na ogół legendarna moc bywa najskuteczniejsza w odniesieniu do ludzi bez kultury duchowej i bez orientacji historycznej. Tutaj rzecz ma się odwrotnie. Im więcej ktoś obeznany z historią literatury i z historią chrześcijaństwa, tym bardziej „transcendentnie” przemawia do niego określenie *Drittes Reich*. Średniowieczni reformatorzy Kościoła i religii, marzycielscy naprawiacze ludzkości późniejszych czasów, ludzie najróżniejszej orientacji śnili o erze, która po pogaństwie i chrześcijaństwie, albo raczej po wypaczonym współczesnym chrześcijaństwie, winna nastąpić jako doskonałe Trzecie Królestwo, i oczekiwali nadejścia mesjasza, który je wprowadzi. Ożywają tu reminiscencje lessingowskie i ibsenowskie.

Ale również masa tych, którzy o bogatej przeszłości tego pojęcia nic nie wiedzą - można ich naturalnie w tym względzie oświecać i robi się to, szkolenie światopoglądowe jest przedmiotem stałej troski, podział pracy między resortami Goebbelsa i Rosenberga jest dokładnie przemyślany - również ta prosta masa odczuwa określenie *Drittes Reich* jako religijną eskalację i tak już wypełnionego treścią religijną pojęcia Reich. Dwukrotnie istniała Rzesza Niemiecka, dwukrotnie była niedoskonała i dwukrotnie upadła; teraz jednak jako Trzecia Rzesza jest tu w całej swej doskonałości, niewzruszona

---

Austrii, i „małoniemiecka”, zakładająca przewodnictwo Prus, z wykluczeniem Austrii ze względu na jej charakter wielonarodowy.

[63] Termin „Trzecia Rzesza” przejęli naziści od pisarza politycznego Arthura Moellera van den Brucka (1876-1925), który napisał książkę pod tym właśnie tytułem (*Das Dritte Reich*). Pierwszą Rzeszą było Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego, drugą zaś Cesarstwo Niemieckie, któremu kres położyła I wojna światowa.

[64] Bund Oberland - jedna z licznych paramilitarnych nacjonalistycznych organizacji, działających w Niemczech w latach po I wojnie światowej.

po wsze czasy. Ręka, która jej nie chce służyć, która się zgoła przeciw niej podnosi, taka ręka musi uschnąć.

Rozmaite wyrażenia i zwroty LTI, zatrącające o transcendencję, tworzą wspólnie sieć, która zarzucona na wyobraźnię słuchacza przeciąga ją w sferę wiary. Czy sieć ta jest świadomie wiązana, czy polega, by użyć osiemnastowiecznego określenia, na kapłańskim oszustwie? Po części zapewne tak. Nie trzeba jednak zapominać, że u niektórych inicjatorów doktryny odgrywała niewątpliwie rolę potrzeba wiary i religijna gotowość. Wyważenie winy i niewinności tych pierwszych, którzy wiązali sieć, nie zawsze będzie możliwe. Ale samoczynne działanie raz istniejącej sieci wydaje mi się zupełnie pewne: nazizm był przyjmowany przez miliony jako ewangelia, bo posługiwał się językiem Ewangelii.

Był? - Słowa „wierzę w niego” śledziłem tylko do ostatnich dni hitlerowskiej Rzeszy. Teraz dzień w dzień mam do czynienia z ludźmi zrehabilitowanymi i takimi, którzy pragną być zrehabilitowani. Ludzie ci niezależnie od tego, jak bardzo się między sobą różnią, mają jedną rzecz wspólną: wszyscy oni twierdzą o sobie, że stanowią oddzielną grupę ”ofiar faszyzmu”, wszyscy zostali wbrew własnemu przekonaniu jakimś gwałtem wciągnięci do z dawna im nienawistnej partii, nigdy nie wierzyli w Führera ani w Trzecią Rzeszę. Ale niedawno spotkałem na ulicy L., mojego dawnego ucznia, którego po raz ostatni widziałem podczas swojej ostatniej bytności w Bibliotece Krajowej. Uścisnął mi wtedy współczująco dłoń; było mi przykro, bo nosił już swastykę. Teraz podszedł do mim radośnie: - Cieszę się, że pan się uratował i znowu objął stanowisko! - A panu jak się wiedzie? - Oczywiście źle, pracuję jako robotnik budowlany, nie wystarcza na żonę i dziecko, a poza tym na dłuższą metę nie wytrzymam tego fizycznie. - Nie jest pan zrehabilitowany? Przecież pana j znam - nic zbrodniczego na pewno nie ma pan na sumieniu. Czy pan zajmował jakieś wyższe stanowisko w partii, był pan szczególnie aktywny politycznie? - Bynajmniej, byłem szeregowym członkiem partii. - Dlaczego więc i właśnie pan nie jest zrehabilitowany? - Bo się o to nie starałem i nie mogę się o to starać. - Nie rozumiem. - Pauza. Potem znękanym głosem, ze spuszczonym wzrokiem: - Nie mogę temu zaprzeczyć: wierzyłem w niego! - Ale to niemożliwe, aby pan jeszcze nadal wierzył; widzi pan przecież, do czego to doprowadziło, a i wszystkiej ohydne zbrodnie reżimu też są teraz wiadome. - Jeszcze dłuższa pauza. Potem całkiem cicho: - Wszystko to przyznaję. To inni źle go zrozumieli, zdradzili go. Ale w niego, w NIEGO ciągle jeszcze wierzę.

XIX
Inseraty rodzinne jako małe repetytorium LTI

Zawiadomienie o urodzeniu dziecka z gazety „Dresdner Anzeiger” z dnia 27 lipca 1942: „Volker □ 21.7.1942. W największej chwili dziejowej Niemiec narodził się naszemu Thorstenowi braciszek. W dumnej radości: Else Hohmann… Hans-Georg Hohmann, SS-Untersturmführer rez., Drezno, General-Wever-Straße”.

Narodziny, spłodzenie potomstwa, śmierć: to, co najbardziej powszechne i z animalistycznego punktu widzenia najważniejsze w każdym ludzkim życiu - naturalne rozczłonkowanie ludzkiego życia. Podobnie jak trychiny gromadzą się w stawach zakażonego organizmu, tak samo charakterystyczne znamiona i stereotypy LTI występują w sposób skoncentrowany w inseratach rodzinnych i to, co

mogę zaobserwować w wielu miejscach, przyjmując różne punkty widzenia, jako zjawisko indywidualne, znajduję w postaci zagęszczonej w rubryce ogłoszeń często z jednego tylko dnia. Szczególnie intensywnie zjawisko to zaznacza się od chwili uderzenia na Rosję, a więc od momentu, kiedy nie może już być mowy o wojnie błyskawicznej. Data ta jest ważna, ponieważ wtedy właśnie pojawiła się w prasie fala artykułów, w których nazbyt sentymentalne czy gwałtowne wyrazy żalu po osobach poległych na polu chwały określano jako rzecz niegodną i nieomal niepatriotyczną tudzież antypaństwową. Przyczyniło się to w sposób decydujący do heroizacji i stoicyzacji anonsów o poległych.

Przytoczony na wstępie tej notatki anons o urodzeniu dziecka dorzuca do tradycyjnego zasobu stereotypów pouczający nowy element z zakresu własnej specyfiki. Że dzieci noszą imiona zaczerpnięte z *Pieśni o Nibelungach* w w ogóle nordyckie, że ojciec esesman swoim pospolitym z natury imionom przynajmniej za pomocą łącznika nadaje pełniejsze brzmienie niemieckie, że zamiast gwiazdki czy słowa „urodzony" umieszcza się znak runiczny symbolizujący życie - wszystko to jest niczym innym, jak tylko nagromadzeniem zwykłych już wtedy „nazizmów", a i w moim notatniku są to jedynie powtórzenia. Że ktoś mieszka przy ulicy, przechrzczonej imieniem generała hitlerowskiego lotnictwa, który jeszcze przed wojną zginął w katastrofie, jest rzeczą szczęśliwego trafu, a nie własnej zasługi. Zaś „największa chwila dziejowa Niemiec" to superlatyw brzmiący nieomal skromnie pośród superlatywów, jakich powszechnie używano dla apoteozy ery Hitlera.

Element nowy i pouczający zawiera się natomiast w „dumnej radości". Z czegóż to bowiem szczęśliwi rodzice są tak dumni? Zdolność rozrodcza jest dla esesmańskiej pary małżeńskiej czymś oczywistym - inaczej przecież on nie otrzymałby w ogóle zezwolenia na zawarcie małżeństwa. Także fakt urodzenia drugiego syna nie jest jeszcze powodem do dumy: oczekuje się przecież znacznie większych dostaw ludzkiego mięsa, i to zwłaszcza od esesmanów, których - jak rasowych koni czy psów - używa się chętnie do celów hodowlanych. (Wypalano im nawet, jak zwierzętom, znak przynależności do określonego stada). Pozostaje więc tylko dumna radość z „największej chwili dziejowej". Ale przecież dumnym można być jedynie z czegoś, w czym się czynnie współdziała, a tymczasem po nazwisku ojca-esesmana brak funkcji pełnionej w armii, a nawet zwykłych słów „obecnie na froncie". W myśl kodeksu obyczajowego Trzeciej Rzeszy prawo do dumy miałaby najwyżej kobieta obwieszczająca o śmierci poległego za Führera członka rodziny. Dumna radość w tym anonsie o urodzeniu dziecka jest więc zupełnie pozbawiona sensu.

Ale właśnie w tej bezsensowności tkwi element pouczający. Mamy tu mianowicie całkiem oczywistą mechaniczną analogię do „dumnego bólu" w nekrologach osób poległych. Mechaniczne analogie są świadectwem częstotliwości i wagi czy natarczywej siły swych wzorców. Esesmańska para małżeńska przyjmuje bez zastanowienia za rzecz oczywistą, że inserat rodzinny należy podkreślić wyrażeniem dumy - i w ten sposób otrzymujemy „dumną radość". O ile „dumny ból" dopiero od wspomnianego momentu bywa częstokroć uważany za obowiązkowy, a niekiedy jest wzmacniany zapewnieniem, że na życzenie poległego w bohaterskim boju zrezygnowano z noszenia żałoby, o tyle słówko „słoneczny" [*sonnig*] jako stereotypowy ozdobnik nawet dla ludzi starszych jest od samego początku wojny niezwykle rozpowszechnione. Odnosi się wrażenie, jakby w państwie Hitlera każdy Germanin był w każdej chwili słoneczny, podobnie jak Hera w Homerowych poematach jest zawsze wolooka, a Karol Wielki w *Pieśni o Rolandzie* - zawsze białobrody. Dopiero kiedy słońce hitleryzmu przysłoniły ciemne chmury i kiedy epitet „słoneczny" stał się równie wytarty, jak tragikomiczny w swoim wyrazie, przestano go tak często używać. Do końca jednak nie znikł on całkowicie, tam zaś, gdzie z niego

rezygnowano, zastępowano go chętnie określeniem „pełen radości życia" [*lebensfroh*]. Jeszcze tuż przed końcem wojny jakiś pułkownik rezerwy zawiadamia o śmierci swego „promiennego chłopca" [*strahlender Junge*].

Słowo „słoneczny" oznacza, by tak rzec, cechę ogólno-germańską, „dumny ból", przynależy po prostu do postawy patriotycznej. Ale w nekrologu można wyrazić również to, co w postawie jego autora wiąże się konkretnie z hitleryzmem. Co więcej: jest tu możliwa subtelna gradacja, którą potrafi nie tylko wyekspediować maksymalny entuzjazm, ale także (co nierównie trudniejsze) zaznaczyć krytyczny dystans.

Przez cały prawie czas większość poległych oddawała swoje życie „za Wodza i ojczyznę". (Ta analogia do staro-pruskiego „Za króla i ojczyznę", nęcąca efektem aliteracji [*für Führer und Vaterland*], była wszędzie rozpowszechniona od pierwszego dnia wojny; nie powiodła się natomiast podjęta zaraz po dojściu Hitlera do władzy próba nadania dniu 20 kwietnia nazwy *Führers Geburtstag*. Przypuszczalnie ta analogia do *Königs Geburtstag* [„Urodziny Króla"] brzmiała dla kierownictwa partii nazbyt monarchistycznie, wobec czego poprzestano na określeniu *Geburtstag des Führers*, które najwyżej przez zmianę szyku na *Des Führers Geburtstag*[65] można było nieco spatynować). Wyższy stopień nazistowskiego entuzjazmu ujawnia się w takich zwrotach, jak: „poległ za swego Wodza" i „umarł za swego ukochanego Wodza", przy czym ojczyzny nie wymienia się, jest bowiem wyobrażona i zawarta w samej osobie Adolfa Hitlera, jako Ciało Pańskie w konsekrowanej hostii. I właśnie wyrazem najwyższego nazistowskiego uniesienia są niedwuznaczne słowa, które stawiają Hitlera w miejsce Zbawiciela: „Padł w niezłomnej wierze w swego Wodza".

Jeśli natomiast ktoś jest narodowemu socjalizmowi zgoła przeciwny, jeśli pragnie dać upust swojej niechęci czy wręcz nienawiści, ale bez wyraźnego manifestowania swej opozycji, bo jednak na tyle odwagi nie starcza, wtedy ujmuje nekrolog w słowa: „Za ojczyznę poległo nasze jedyne dziecko" i pomija Führera milczeniem. Odpowiada to mniej więcej formułce zakończenia listu: „Z niemieckim pozdrowieniem" [*Mit deutschem Gruß*], której w pierwszych latach ludzie nieco odważniejsi ośmielali się; używać jako namiastki *Heil Hitler*. W miarę jak rosła liczba ofiar i kurczyła się nadzieja na zwycięstwo, coraz rzadsze były też - jak mi się wydaje - wyrazy czci dla Führera, jakkolwiek pomimo wielu sprawdzianów gazetowych nie mógłbym na to przysięgać.

Może tu bowiem odgrywać również rolę rosnący brak ludzi i materiału, który coraz bardziej zmusza do scalania gazet i uszczuplania ich rozmiarów, wskutek czego inseratom rodzinnym trzeba nadawać formę jak najzwięźlejszą (często okrojoną przez skróty aż do granic zrozumiałości) Pod koniec oszczędza się - jak przy drogim kablogramie na każdym słowie, na każdej literze. W roku 1939, kiedy śmierć za ojczyznę była jeszcze czymś nowym i bynajmniej nie codziennym, kiedy był jeszcze nadmiar papieru i zecerów, widziało się nekrologi wypełniające wielki kwadrat w grubej obwódce, jeśli zaś polegly bohater był w życiu prywatnym na przykład właścicielem fabryki czy sklepu, to jego personel nie omieszkał poświęcić mu od siebie specjalnego pośmiertnego wspomnienia. Taki drugi nekrolog, obok zamieszczonego przez wdowę, był nawet dla pracowników firmy czymś obowiązkowym

[65] Te trzy wyrażenia, oznaczające „urodziny Wodza", różnią się od siebie nieprzetłumaczalnym odcieniem znaczeniowym: Führers Geburtstag jest wyraźnym związkiem frazeologicznym o zabarwieniu oficjalno-uroczystym, Geburtstag des Führers ma budowę składniową potoczną, zaś Des Führers Geburtstag lekko archaizującą.

i dlatego to do mojego repetytorium należy uczuciowo zakłamane słówko *Gefolgschaft*[66]. Jeśli zmarły był rzeczywiście ważną figurą, wysokim urzędnikiem czy członkiem kilku rad nadzorczych, to zdarzało się, że jego bohaterska śmierć była wymieniana kolejno trzy, cztery i więcej razy, a nawet wypełniała połowę gazetowej strony. Było tam więc dosyć miejsca na wylewy uczuć i rozbudowane frazesy. Pod koniec jednak pojedynczy inserat rodzinny musiał się przeważnie ograniczać do dwóch wierszy najwęższej szpalty. Odpadły również ramki okalające poszczególne inseraty. Polegli leżeli teraz ciasno stłoczeni w jednym czworokącie o czarnej obwódce, jakby we wspólnym grobie.

Na podobne, jakkolwiek nie aż tak drastyczne, restrykcje co do ilości miejsca cierpiały w ostatnim okresie wojny zawiadomienia o narodzinach i ślubach, bardzo zresztą nieliczne w porównaniu z bezlitośnie długą listą zabitych. Pośród nich nierzadko można było zauważyć osobliwą informację o ślubie, która równie dobrze mogła się była znaleźć w rubryce zmarłych: kobiety zawiadamiały o pośmiertnie zawartym małżeństwie ze swym poległym narzeczonym.

We wstrząsającym akcie oskarżenia - wstrząsającym przez rozmiar pozbawionego niemal komentarzy materiału - który pojawił się już w roku 1944 w moskiewskim Wydawnictwie Literatury Obcej, w konfrontującym artykule: *Słowa Hitlera i czyny Hitlera*, właśnie takie inseraty jak ów zamieszczony w „Völkischer Beobachter”: „Zawiadamiam o swym pośmiertnym zawarciu małżeństwa z poległym obergefrajtrem, radiotelegrafistą pokładowym Robertem Haegele, studentem inżynierii, kawalerem Krzyża Żelaznego II kl. ...”, zalicza się do szczególnych potworności w Niemczech hitlerowskich”. Otóż pomimo całego teatralnego patosu, widocznego zarówno w tym ogłoszeniu, jak i w innych wspomnianych tutaj „ślubach na odległość”, nie zawierają one w sobie jakiejś szczególnej cechy charakterystycznej nazizmu, jakiegoś szczególnego przewinienia poza ogólnym grzechem wojny zaborczej, jakiejś szczególnej pychy, jaka się wyrażała w religijnej formule: „Poległ z wiarą w Adolfa Hitlera”; może się bowiem za nimi ukrywać właśnie to, czego brak w owej epoce prawie wszędzie się odczuwało: pierwiastek czysto ludzki, może troska o przyszłość dziecka, może wierność wobec drogiego nazwiska. Również konstrukcja prawna, na której się to opiera, nie jest dopiero wynalazkiem Trzeciej Rzeszy.

Na teren specyficznie nazistowski sprowadza nas z powrotem dopiero analiza ramek. Jak już wspomniałem, ofiary ostatniego roku wojny również gazeta umieszczała we wspólnym grobie. Ściślej mówiąc, chodzi przy tym każdorazowo o dwie mogiły, bez przenośni: o dwie ramki. Pierwsza i okazalsza jest przeznaczona dla zwłok z pola chwały; jej lewy górny narożnik zdobi swastyka, a obok niej znajduje się napis w rodzaju: „Za Niemcy padli...” Druga ramka zawiera nazwiska tych, którzy umarli po prostu po cywilnemu, bez żadnych heroicznych zasług dla ojczyzny. Rzuca się jednak w oczy, że w pierwsze ramki wciska się coraz więcej cywilów: mężczyzn, przy których nazwiskach nie figuruje żadna ranga wojskowa, lecz tylko zawód cywilny, starców i chłopców, którzy nawet dla armii Hitlera są za starzy względnie za młodzi, a do tego kobiet i dziewcząt w każdym wieku. Są to ofiary wojny powietrznej.

Jeśli stracili życie gdzieś poza swoim miejscem zamieszkania, to można podać miejscowość: „Przy nalocie na Bremę nasza ukochana Matka...”. Jeśli natomiast zginęli na miejscu, to nie wolno niepokoić ich sąsiadów przyznaniem się do poniesionych strat. W takim przypadku stereotypowa formułka LTI brzmi: „Tragiczny los pozbawił życia...”.

[66] Zob. przyp. 102 na str. 249.

Na tym przykładzie moje repetytorium rejestruje kłamliwy eufemizm, który w strukturze LTI odgrywa tak niepospolitą rolę. Los tych ludzi nie był przecież bardziej tragiczny niż los zajęcy ubitych na polowaniu z nagonką. Toteż po pewnym czasie poczęto ich oddzielać grubą poprzeczną kreską od poległych na froncie. Były więc teraz trzy kategorie zwłok. Przeciwko takiej dyskryminacji ofiar nalotów bombowych buntował się jednak energicznie berliński humor ludowy. Pytano: „Co to jest tchórzostwo?” Odpowiedź brzmiała: „Kiedy ktoś z Berlina ucieka na front”.

XX
Co pozostanie?

„A potem ich zseptembryzuje...”. Tak jakoś podobnie brzmiał ten wers. W roku 1909, kiedy pisałem jeszcze zupełnie nienaukowo i po dyletancku, ułożyłem dla pewnego wydawnictwa popularnonaukowego mały zarys i małą antologię liryki dziewiętnastowiecznej. Te słowa znajdowały się na pewno w jakimś wierszu Herwegha[67]: ktoś, król pruski albo reakcja jako alegoryczna bestia, nałoży okowy wolności albo rewolucji, albo jakimś zwolennikom rewolucji, „ a potem ich zseptembryzuje”. Słowo to było mi obce, nie miałem wtedy zainteresowań filologicznych - sławetny Tobler wybił mi je gruntownie z głowy, a Vosslera jeszcze nie znałem - tak więc zadowoliłem się zajrzeniem do małego Daniela Sandersa, który zawierał zdumiewająco kompletny zestaw wyrazów obcych i imion własnych, jakie około roku 1900 należały do kanonu wykształcenia ogólnego. Napisano tam mniej więcej tak: popełniać masowe mordy polityczne, jakich dopuszczono się podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej we wrześniu 1792 roku.

I ten wers, i to słowo utkwiły mi w pamięci. Zostały mi potem przypomniane jesienią czy zimą 1914, kiedy miałem już upodobanie w problemach językowych. Wiedeńska „Neue Freie Presse” pisała, że Rosjanie mieli zamiar „zleodiumizować” [*luttichieren*][68] Przemyśl. Powiedziałem sobie, że zachodzi tu takie samo zjawisko, jak przy „septembryzacji”: pewien fakt historyczny pozostawił tak silne i trwałe wrażenie, że jego nazwę przenosi się uogólniająco na podobne wydarzenia. W starym Sachs-Villate z roku 1881 znalazłem nie tylko francuskie słowa septembriseur, septembrisade, septembriser, ale także ich postać zniemczoną (Septembrisierer!). Odsyłano tam również do nowszego naśladownictwa: decembriser i decembriseur. W tym przypadku chodziło o zamach stanu Napoleona III z 2 grudnia 1851 roku, zaś zniemczona forma tego czasownika brzmiała: „dezembrisieren”. Na niemieckie „septembrisieren” natrafiłem jeszcze później w słowniku z początku wojny światowej. Tę trwałość i to rozprzestrzenienie poza granice własnego kraju należało niewątpliwie zawdzięczać niezwykłemu oddziaływaniu mordów wrześniowych na wyobraźnię; nic, co przyszło potem, nie zdołało wyprzeć ich grozy z pamięci i tradycji.

---

[67] Georg Herwegh (1817-1875) - niemiecki liryk, czynny uczestnik i jeden z wybitnych poetów politycznych Wiosny Ludów.

[68] Leodium (niem. Lüttich) - silna twierdza belgijska, była w czasie I wojny światowej pierwszym obiektem niemieckiego ataku na froncie zachodnim w ramach szeroko zakrojonej akcji ofensywnej mającej na celu przemarsz przez Belgię i oskrzydlenie armii francuskiej od północy. Szturm na tę twierdzę trwał wprawdzie dłużej, niż to przewidywał plan niemiecki (od 4 do 16 sierpnia 1914 r.), niemniej jednak z punktu widzenia ówczesnej sztuki wojennej był to bardzo poważny wyczyn operacyjny.

Już wtedy, jesienią 1914, zadawałem sobie pytanie, czy „leodiumizacja" będzie mieć podobnie długi żywot. Ale nie przeniknęła ona do języka potocznego na terenie Niemiec - co więcej: sądzę, że w ogóle tu nie dotarła. Zapewne dlatego, że zaraz po szturmie na Leodium nastąpił szereg jeszcze bardziej efektownych i krwawych wojennych wyczynów. Specjalista od wojskowości zauważyłby w tym miejscu, że zdobycie Leodium było bardzo konkretnym dokonaniem sztuki wojennej, chodziło tu bowiem o szturm „z marszu" na nowoczesną twierdzę, i że nowy czasownik miał wyrażać właśnie tę cechę szczególną z taktycznego punktu widzenia; a o powszechnym przyjęciu się nowego słowa nie decyduje wola specjalisty i jego upodobanie do precyzji, lecz opinia i wyobraźnia ogółu.

„Septembryzacja" może dzisiaj jeszcze żyje w pamięci starszego pokolenia Niemców, a to dlatego, że *septembriser* weszło na stałe do słownika języka francuskiego „Leodiumizacja", o ile w ogóle zbudziła się do życia, całkowicie obumarła w bezimiennej wojennej nędzy, jaka nastąpiła po Leodium.

Identycznie martwe jest inne, pokrewne słowo z ostatniej wojny, chociaż mówiąc po nazistowsku zdawało się ono stworzone na wieczne czasy i zrodziło się przy wrzaskliwym, zgodnie brzmiącym akompaniamencie wielkoniemieckiej prasy i radia: czasownik „coventryzować", Coventry było angielskim „ośrodkiem zbrojeniowym" niczym innym, jak tylko tym, i zamieszkanym wyłącznie przez wojskowych; przecież z zasady atakowaliśmy tylko „cele wojskowe", jak stwierdzał każdy komunikat, stosowaliśmy też tylko „odwet", sami, Boże broń, nie zaczynając - w przeciwieństwie do Anglików, którzy pierwsi rozpoczęli naloty i jako „piraci powietrzni" kierował je głównie przeciw kościołom i szpitalom. Coventry zostało więc przez niemieckie bombowce „zrównane z ziemią", grożono zaś, że wszystkie miasta angielskie będą „scoventryzowane", bo przecież wszystkie one służą celom wojskowym. W październiku 1940 można było się dowiedzieć, że Londyn doświadczył „nieustających nalotów odwetowych", „największego bombardowania w historii świata", że przeżył swoją „noc świętego Bartłomieja" i że zostanie „scoventryzowany", jeśli wreszcie nie uzna swojej klęski.

Czasownik „coventryzować" został uśmiercony przez samą propagandę, która wyklinając codziennie wobec ludzkości i sprawiedliwego Boga w niebie „piractwo j gangsterstwo" nieprzyjaciela, nie mogła sobie pozwolić na przypominanie własnych gangsterskich czynów dokonywanych w dniach swojej potęgi. Czasownik ten leży więc pogrzebany pod gruzami niemieckich miast.

Mnie samemu „coventryzacja" przypomina się dosłownie każdego dnia, i to dwa lub cztery razy dziennie - zależnie od tego, czy tylko przed południem, czy też jeszcze raz po południu muszę wędrować z naszego spokojnego, tonącego w ogrodach przedmieścia do jakiejś instytucji w mieście. Z chwilą gdy wjeżdżam w strefę ruin, natychmiast pojawia się to słowo. Potem wykład, konferencja, konsultacja uwalniają mnie od niego. Ale zaledwie ruszę w drogę powrotną, znowu wyskakuje ono ku mnie z ziejących jam rozwalonych budynków. „Coventryzować" - brzęczy tramwaj, „coventryzować" – wybijają takt kroki.

Dorobimy się nowego malarstwa i nowej poezji ruin, ile będą one inne niż tamte osiemnastowieczne. Wtedy w nastroju łzawo-słodkawej melancholii delektowano się myślą o przemijaniu; owe rozsypane w gruzy średniowieczne zamki i klasztory, czy zgoła świątynie i pałace starożytności poszły przecież w ruinę przed tak wielu wiekami, że żal nad ich losem był bardzo abstrakcyjny, bardzo filozoficzny, a tym samym bardzo łagodny i właściwie przyjemny. Natomiast tutaj... pod tymi niesamowitymi zwałami gruzów może leżą jeszcze twoi zaginieni bliscy, w tym pustym czworoboku murów spaliło się na popiół wszystko, co uzbierałeś przez dziesiątki lat. Były tam rzeczy, których ci nic nie zastąpi: twoje książki, twój fortepian... Nie, do łagodnej melancholii one nie pobudzają, te nasze ruiny. A kiedy do

goryczy widoku dochodzi słowo „coventryzacja”, wlecze ono za sobą posępny korowód myśli. Na imię mu: wina i pokuta.

Ale to taka moja obsesja filologa. Naród nie wie już, co to znaczy Coventry i „coventryzować”. Ze zniszczeniem przychodzącym z powietrza skojarzyły mu się dwa inne, mniej obco brzmiące wyrażenia. Mogę tu rzeczywiście mówić o narodzie, bo uchodząc po katastrofie drezdeńskiej przebyliśmy wiele prowincji, a na szosach spotykaliśmy uchodźców i żołnierzy ze wszystkich części Niemiec i ze wszystkich warstw społecznych. I wszędzie: na posypanych staniolem leśnych drogach Vogtlandu, na zniszczonych bawarskich szlakach kolejowych, na uniwersytecie monachijskim, który dotkliwie ucierpiał, w setce rozmaitych bunkrów, w stu rozmaitych miejscowościach, z ust chłopów i mieszkańców miast, od robotników i ludzi z wyższym wykształceniem - wszędzie, gdzie coś przypominało samoloty, w chwilach nużącego oczekiwania na sygnał odwołujący alarm, ale w momentach bezpośredniego niebezpieczeństwa, słyszałem ciągle jedno i to samo: A Herman powiedział, że niech się nazywa Meier[69], jeśli do nas dotrze choć jeden nieprzyjacielski samolot! To długie zdanie bywało często skracane i przybierało postać drwiącego okrzyku: - Herman Meier!

Ten kto przypominał zapewnienie Göringa, dawał tym dowód, że potrafi się jeszcze zdobyć na wisielczy humor. Ludzie zupełnie zgorzkniali cytowali groźbę Hitlera, że wymaże on miasta angielskie z mapy.

„Wymazać z mapy” i „niech się nazywam Meier”: nigdy Führer i jego Reichsmarschall nie scharakteryzowali siebie zwięźlej, a zarazem pełniej - jeden w swoim charakterze ogarniętego manią wielkości zbrodniarza, drugi w swojej roli cyrkowego błazna. Powinno się unikać proroctw, ale myślę, że „wymazać z mapy” i „Meier” pozostaną.

XXI
Niemieckie korzenie

Wśród bardzo niewielu książek, wyłącznie specjalistycznych, naukowych, które mogłem zabrać ze sobą do domu żydowskiego, znajdowała się Historia literatury niemieckiej Wilhelma Scherera[70]; książkę tę wziąłem po raz pierwszy do ręki podczas mojego pierwszego semestru jako „stud. germ.” w Monachium i odtąd ciągle do niej zaglądałem. Kiedy teraz sięgałem do Scherera, zdarzało mi się często - a właściwie zawsze - że jego niezależny duch, jego obiektywizm, jego rozległe horyzonty myślowe budziły we mnie podziw nierównie jeszcze większy niż w dawniejszych czasach, gdy w niejednej z tych cnót widziałem jak najbardziej oczywistą cechę uczonego. I ciągle poszczególne zdania, poszczególne sądy ukazywały mi coś zupełnie innego niż w poprzednich latach; straszliwa metamorfoza, której przedmiotem stały się Niemcy, ukazała wszystkie dawniejsze przejawy niemieckiego ducha w zmienionym świetle.

---

[69] Tyle co: Prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż... itd.

[70] Wilhelm Scherer (1841-1886) - niemiecki germanista, ugruntował metodę pozytywistyczną w badaniach literackich, która odtąd zaważyła na całe dziesięciolecia nad tą dziedziną; wydana w r. 1883 *Historia literatury niemieckiej* jest jego głównym dziełem.

Jak był możliwy ten okropny kontrast między niemiecką teraźniejszością a wszystkimi, rzeczywiście wszystkimi fazami niemieckiej przeszłości? Zawsze znajdowałem potwierdzenie - zawsze sądziłem, że znajduję potwierdzenie - wiecznych znamion charakteru narodowego, owych traits éternels, o których mówią Francuzi, zawsze je podkreślałem w swoich pracach. Czy to wszystko było nieprawdą? Albo czy rację mieli hitlerowcy, anektując dla siebie na przykład Herdera, człowieka humanizmu? Czy istniał jeszcze jakikolwiek duchowy związek między Niemcami z czasów Goethego a narodem Adolfa Hitlera?

W latach mojej pracy w dziedzinie kulturoznawstwa Eugen Lerch rzucił pod moim adresem często później cytowane drwiące powiedzenie, że wynalazłem „suszonych Francuzów" [*Dauerfranzosen*] - tak jak się mówi o suchej kiełbasie, a więc takiej, która długo się trzyma [*Dauerwurst*]. A kiedy się potem przyjrzałem, jak haniebnie narodowi socjaliści posługiwali się na wskroś zakłamanym kulturoznawstwem dla wyniesienia Niemca na piedestał pana z łaski Bożej i z prawa i dla zepchnięcia innych narodów na pozycję stworzeń niższego gatunku, piekielnie się wstydziłem, że odegrałem w tym pewną rolę, i to nawet niepośledną.

Co prawda przy najbardziej skrupulatnym rachunku sumienia mogłem sobie powiedzieć, że jest ono w porządku: wystarczy wspomnieć o moim ataku na książkę *Esprit a duch* Wechsslera, na to infantylnie szowinistyczne tomisko berlińskiego profesora zwyczajnego, który ponosił odpowiedzialność za deprawację całego legionu nauczycieli gimnazjalnych. Tylko że nie chodziło tu o nie interesującą nikogo czystość mojego sumienia, lecz o istnienie albo nieistnienie wiecznych cech charakterologicznych.

Ulubioną i często cytowaną postacią był wtedy Tacyt: w swojej *Germanii* nakreślił przecież piękny obraz protoplastów Niemców, a od Arminiusza i jego drużyny prowadziła jak najbardziej prosta droga poprzez Lutra i Fryderyka Wielkiego do Hitlera z jego SA i SS, i HJ. Jedno z tych rozważań historycznych skłoniło mnie, by zajrzeć do Scherera, co też on mówi o *Germanii*. Natrafiłem na ustęp, który mnie zdumiał i w pewnym sensie sprawił mi ulgę.

Scherer powiada, że duchowe wzloty i upadki w Niemczech cechuje niezwykła gruntowność, która sprawia, że sięgają one odpowiednio bardzo wysoko i bardzo nisko: „Brak umiaru zdaje się przekleństwem naszego duchowego rozwoju. Wzbijamy się wysoko i tym niżej spadamy. Jesteśmy jak ów Germanin, który grając „w kości przegrał wszystko, co miał, i na ostatni rzut stawia swoją własną wolność i również przegrywa, i daje się chętnie sprzedać jako niewolnik. Tak wielki - dodaje Tacyt, który to opowiada - nawet w złej sprawie jest germański upór; oni sami nazywają to wiernością".

Po raz pierwszy pojąłem wtedy, że to, co w niemieckim charakterze jest najlepszego i najgorszego, wypływa przecież ze wspólnej i trwałej cechy podstawowej. Ze istnieje pewien związek między bestialstwami hitleryzmu a faustowską wybujałością klasycznej niemieckiej literatury i idealistycznej niemieckiej filozofii. A w pięć lat później, kiedy nastąpiła katastrofa, kiedy był już znany cały rozmiar tych bestialstw i cała otchłań niemieckiego upadku, pewien drobny fakt i nawiązująca do niego krótka uwaga w *Stalingradzie* Plieviera przypomniały mi o tym miejscu z Tacyta.

Plievier opowiada o niemieckim drogowskazie w Rosji: „Kałacz nad Donem, 3200 km od Lipska".
I komentuje: „Osobliwy triumf - i chociaż do rzeczywistej odległości dorzucono około tysiąca kilometrów, był to tym bardziej autentyczny wyraz bezsensownego zabłąkania się w bezmiarze".

Gotów jestem się założyć, że pisząc to, autor nie myślał ani o *Germanii* Tacyta, ani o uczonej historii literatury Wilhelma Scherera. Po prostu zastanawiając się nad współczesnym niemieckim zwyrodnieniem i szukając jego najgłębszej przyczyny, trafia sam z siebie na tę samą cechę braku umiaru, lekceważenia wszelkich granic.

Nieuznawanie granic jest zasadniczą postawą, zasadniczym stylem działania człowieka romantyzmu - niezależnie od tego, w czym się konkretnie jego romantyczny charakter wyraża: w religijnej tęsknocie, w twórczości artystycznej, w filozofii, w aktywnym życiu, w moralności czy w zbrodni. Całe wieki przedtem, nim się pojawiło pojęcie i słowo romantyzm, wszelka niemiecka działalność nosi na sobie pieczęć romantyzmu. Jest to tak uderzające właśnie dla romanisty, bowiem przez całe średniowiecze Francja pozostaje literackim preceptorem Niemiec i dostarcza im literackiego materiału, a ilekroć Niemcy przejmą jakiś francuski temat, zawsze przekraczają to w tym, to w owym kierunku granice, w których utrzymywał się wzorzec.

Spostrzeżenie Plieviera, które uznałem za naiwne i nieuczone, w połączeniu z refleksją Scherera każe mi kojarzyć armię Trzeciej Rzeszy z Germanami Arminiusza. Jest to skojarzenie bardzo mgliste i ciągle powraca do mnie dręczące pytanie, jaki uchwytny związek zachodzi między zbrodniczością nazizmu, do której w pełni stosuje się termin ukuty przez samą LTI: podczłowieczeństwo, a dawniejszym obliczem duchowym Niemiec. Czyż mogłem rzeczywiście poprzestać na uspokajającej myśli, że wszystkie te okropności to tylko naśladownictwo, tylko przywleczona włoska choroba, która szaleje, jak szalała przed wiekami przywleczona choroba francuska w pierwszej fali swojej zjadliwości?

Wszystko było przecież u nas nie tylko gorsze, ale gruntu inne i bardziej trujące niż we Włoszech. Faszyści rościli sobie prawo do sukcesji po antycznym imperium rzymskim, uważali się za predestynowanych do jego przywrócenia, ale doktryny, jakoby mieszkańcy terenów, które miały być ponownie zdobyte, stali na zoologicznie niższym stopniu stworzenia niż potomkowie Romulusa, jakoby na zasadzie nieubłaganych praw przyrody musieli oni po wsze czasy pozostać na tym niższym stopniu rozwoju - takiej doktryny wraz ze wszystkimi jej okrutnymi konsekwencjami faszyzm nie propagował, przynajmniej dokąd był wolny od wzajemnych wpływów swego chrześniaka, Trzeciej Rzeszy.

Ale tutaj znowu wracała wątpliwość, która mi się nasuwała przez całe lata: czy nie przeceniam - jako że to mnie samego tak boleśnie dotyka - roli antysemityzmu w systemie nazistowskim?

Nie, nie przeceniałem; teraz widać całkiem wyraźnie, że stanowił on centrum i pod każdym względem moment decydujący całego nazizmu. Antysemityzm jest podstawowym urazem wykolejonego austriackiego drobnomieszczanina Hitlera, jest jego ciasną podstawową ideą polityczną, bo zaczął się zastanawiać nad polityką w okresie Schönerera i Luegera[71]. Antysemityzm jest od początku do końca najskuteczniejszym środkiem propagandowym partii, najskuteczniejszą i najpopularniejszą konkretyzacją doktryny rasistowskiej, co więcej: dla mas niemieckich jest identyczny z doktryną rasistowską. Cóż bowiem masy niemieckie wiedzą o niebezpieczeństwach „nigeryzacji" i jak daleko sięga ich osobista wiedza o niższości ludów wschodnich i południowo-wschodnich? Natomiast Żyda

[71] Austriaccy politycy: Georg Ritter von Schönerer (1842-1921),przywódca Ruchu Wszechniemieckiego (Alldeutsche Bewegung) i Karl Lueger (1844-1910), przywódca Partii Chrześcijańsko-Społecznej (Christlich-Soziale Partei) i burmistrz Wiednia - programowi antysemici, wywarli decydujący wpływ na kształtowanie się światopoglądu politycznego Hitlera, zwłaszcza jego antysemityzmu, w wiedeńskim okresie jego go życia przed I wojną światową.

zna każdy. Antysemityzm i doktryna rasy to dla mas niemieckich synonimy. A naukową, czy raczej pseudonaukową doktryną rasy uzasadnia się i usprawiedliwia wszelkie wybryki i roszczenia nacjonalistycznej arogancji, każdy podbój, każdą tyranię, każde okrucieństwo i każdy masowy mord.

Odkąd się dowiedziałem o obozie oświęcimskim i jego komorach gazowych, odkąd przeczytałem *Mit* Rosenberga i *Podstawy* Chamberlaina, nie mam już wątpliwości co do centralnego i decydującego znaczenia antysemityzmu i doktryny rasistowskiej dla narodowego socjalizmu. (Natomiast jedynie od przypadku do przypadku można rozstrzygać problem, czy tam, gdzie antysemityzm i doktryna rasistowska nie są naiwnie ze sobą utożsamiane, dogmat rasy jest rzeczywistym punktem wyjścia antysemityzmu, czy też tylko jego pretekstem i draperią). Z chwilą gdy się okazało, że chodzi tu o truciznę specyficznie niemiecką, która przesiąkła z niemieckiego gruntu duchowego, na nic były wszelkie argumenty o zapożyczonych wyrażeniach, zwyczajach, politycznych środkach działania: z tą chwilą narodowy socjalizm nie był już przywleczoną zarazą, lecz zwyrodnieniem samego charakteru niemieckiego, chorym objawem owych traits éternels.

Antysemityzm jako niechęć społeczna, uzasadniana religijnie i ekonomicznie, występował we wszystkich okresach i u wszystkich narodów, raz tu, raz tam, to w słabszym, to w silniejszym stopniu; przypisywać go jako taki właśnie Niemcom i tylko im byłoby rzeczą absolutnie niesprawiedliwą.

Trzy cechy natomiast czynią z antysemityzmu Trzeciej Rzeszy coś zupełnie nowego i jedynego w swoim rodzaju. Po pierwsze: zaraza ta wybucha - i to gwałtowniej niż kiedykolwiek przedtem - w czasie, gdy jako prawdziwa epidemia wydaje się od dawna i na zawsze należeć do przeszłości. Rozumiem to tak: przed rokiem 1933 zdarzają się jeszcze tu i ówdzie ekscesy antysemickie, podobnie jak w portach europejskich zdarzają się niekiedy przypadki cholery czy dżumy; tak samo jednak, jak mamy pewność czy sądzimy, że mamy pewność - iż w obrębie cywilizowanego świata nie mogą się już pojawić epidemie, pustoszące jak w średniowieczu całe miasta, tak też wydawało się rzeczą zupełnie niemożliwą, aby mogły jeszcze wystąpić dyskryminacja i prześladowania Żydów w rodzaju tych, jakie się zdarzały w średniowieczu. Druga obok niesłychanego anachronizmu cecha szczególna polega na tym, że zjawisko to nie występuje bynajmniej w szacie przeszłości, lecz w formie w najwyższym stopniu nowoczesnej, nie jako ruchawka ludowa, jako wybuch wściekłości i spontaniczne masowe mordy (jakkolwiek na początku zasłaniano się jeszcze spontanicznością), lecz z maksymalną perfekcją organizacyjną i techniczną; przecież ten, kto dzisiaj wraca pamięcią do mordów dokonywanych na Żydach, myśli przede wszystkim o komorach gazowych Oświęcimia. Ale trzecia i najbardziej istotna nowość polega na tym, że nienawiść do Żydów oparto na idei rasy. We wszystkich poprzednich okresach wrogość wobec Żyda odnosiła się jedynie do człowieka spoza obrębu wiary chrześcijańskiej i chrześcijańskiej społeczności; przyjęcie wyznania i obyczaju panujących w danym kraju działało łagodząco i zacierało różnice (przynajmniej w odniesieniu do następnego pokolenia). Idea rasy, przesuwając różnicę między Żydem a nie-Żydem w sferę krwi, uniemożliwia jakiekolwiek pojednanie, czyni podział wiecznotrwałym i opatruje go sankcją woli bożej.

Te trzy nowe znamiona pozostają w ścisłym wzajemnym związku i wszystkie trzy wskazują na Tacytowski rys podstawowy, na germański „upór nawet w złej sprawie”. Antysemityzm jako problem krwi jest nieubłaganie uparty; w swoim charakterze doktryny biologicznej, który sam sobie przypisuje, nie jest on anachronizmem, lecz wyrazem nowoczesnej myśli, a zatem posługiwania się najnowocześniejszymi środkami naukowymi dla osiągnięcia swego celu jest dla niego niemalże

oczywistością. Fakt, że postępuje się przy tym z najwyższym okrucieństwem, również jest zgodny z tą podstawową cechą bezmiernego uporu.

W *Nowym Danielu*, napisanym w roku 1920 przez Willego Seidla, spotykamy obok Niemca idealisty postać porucznika Zuckschwerdta jako przedstawiciela tej warstwy społeczeństwa niemieckiego, która za granicą wzbudzała ku nam niechęć, a którą w kraju na próżno zwalczał „Simplicissimus". Człowiek ten nie jest nieudolny, nie można go też właściwie nazwać łajdakiem, a tym bardziej sadystą. Ale ma polecenie utopić kilka młodych kotków, a kiedy potem wyciąga worek z wody, jedno ze zwierzątek jeszcze pomiaukuje. Wówczas za pomocą uderzeń kamieniem robi z niego krwawą miazgę, krzycząc przy tym: - Żebyś wiedział, ścierwo jedno, co znaczy gruntowna robota!

Można by przypuszczać, że autor, który w wyraźnej trosce o bezstronność przedstawił również tego reprezentanta zwyrodniałej części narodu, pozostanie do końca wierny swojej ocenie, podobnie jak na przykład u Rollanda znajdujemy obie Francje i obydwoje Niemiec. Ale nie: na końcu ów morderca kotów spotyka się z wybaczającym współczuciem i zostaje wybielony, gdy tymczasem Amerykanom, występującym w tej komparatystycznej powieści, przypada ocena coraz gorsza. Przyczyna zaś tej łagodności z jednej i surowości z drugiej strony leży w tym, że u Niemców występuje jednak jeszcze czystość rasy, gdy tymczasem Amerykanie stanowią rasową mieszaninę. Na przykład o mieszkańcach miasta Cincinnati czytamy tam: „Ta ludność na poły zdegenerowana przez małżeństwa wśród bliskich krewnych lub z obfitą domieszką krwi indiańskiej czy żydowskiej", a gdzie indziej cytowane są z pełną aprobatą słowa, którymi określił Amerykę pewien podróżujący po niej Japończyk: that Irish-Dutch-Nigger-Jew-mess. I już tutaj, zaraz po pierwszej wojnie światowej, zanim jeszcze na arenie dziejów pojawił się Adolf Hitler, u tego niewątpliwie czystego idealisty, u tego autora myślącego, który niejednokrotnie wykazał swoją bezstronność, już tutaj trzeba sobie zadać pytanie, czy doktryna rasistowska jest naprawdę czymś innym niż tylko pretekstem i maską dla elementarnego antysemityzmu. Nie sposób nie postawić tego pytania, skoro jedna z refleksji na temat wojny brzmi następująco: gdy po Verdun i po Sommie walki toczą się ze zmiennym szczęściem i nie widać rozstrzygnięcia, „bezstronna postać ze spiczastą bródką i błyszczącymi semickimi oczami obskakuje walczącą parę i «liczy»; jest to światowa żurnalistyka".

Zacieśniona i przy krojona do wymiarów antysemityzmu, uaktywniona w antysemityzmie idea rasistowska jest cechą wyróżniającą narodowy socjalizm w stosunku do innych rodzajów faszyzmu. Z niej czerpie on całą swoją truciznę. Rzeczywiście całą, nawet tam, gdzie chodzi o zewnętrznych przeciwników politycznych, z którymi nie można się rozprawić jako z Semitami. Bolszewizm jest dla niego żydowskim bolszewizmem, Francuzi są znegryzowani i zażydzeni, Anglicy wręcz wywodzą się z owego biblijnego plemienia Żydów, którego ślad uchodził za zaginiony, itd., itd.

Podstawowa niemiecka cecha, polegająca na braku umiaru, na nadmiernej konsekwencji, na sięganiu w sferę nieograniczoności, dostarczyła tej idei niezwykle pożywnego gruntu. Ale czy sama ta idea jest produktem niemieckim? Gdyby prześledzić wstecz jej wyraz teoretyczny, okazałoby się, że linia prosta przebiega w swoich głównych etapach od Rosenberga poprzez Anglika z pochodzenia a Niemca z wyboru, Houstona Stewarta Chamberlaina, do Francuza Gobineau. Jego *Essai sur l'inegalité des races humaines*, który wyszedł w czterech tomach w latach 1853 - 55, formułuje po raz pierwszy naukę o wyższości rasy aryjskiej, o tym, że ranga człowieczeństwa przysługuje właściwie jedynie czystemu szczepowi germańskiemu, i o jego zagrożeniu przez wszędzie przenikającą, nierównie gorszą, ledwie zasługującą na miano ludzkiej krew semicka. Mamy tu już wszystko to, czego Trzecia

Rzesza potrzebuje dla swego filozoficznego uzasadnienia i dla swojej polityki; cała późniejsza przednazistowska rozbudowa tej nauki i jej zastosowanie ma swoje źródło w tym jednym Gobineau, on jeden jest, czy wydaje się - pozostawiam tę kwestię jeszcze otwartą - odpowiedzialny za autorstwo tej krwawej doktryny.

Jeszcze w przedostatniej godzinie hitlerowskiej Rzeszy podjęto naukową próbę znalezienia dla tego Francuza niemieckich poprzedników. W publikacjach państwowego Instytutu Historii Nowych Niemiec pojawiła się obszerna i gruntownie opracowana monografia: *Idea ras w romantyzmie niemieckim i jej podstawy w XVIII wieku*. Herman Blome, poczciwy i głupi autor tej monografii, wykazał w niej coś dokładnie przeciwnego temu, co wykazać zamierzał. Chciał uczynić XVIII wiek, Kanta, romantyków niemieckich prekursorami Francuza w dziedzinie nauk przyrodniczych, a tym samym jego współwinowajcami. Wychodził przy tym z fałszywego założenia, że każdy, kto się zajmował historią naturalną człowieka, podziałem na rasy i ich cechami jest poprzednikiem Gobineau. Ale nie to przecież było oryginalne w koncepcji Gobineau, że dzielił on ludzkość na rasy, lecz to, że odsunął na bok nadrzędne pojęcie ludzkości na rzecz zautomizowanego pojęcia rasy i że w obrębie rasy białej w osobliwy sposób przeciwstawiał germańską rasę panów semickiej rasie szkodników. Czy pod tym względem Gobineau miał jakichś prekursorów?

Oczywiście, mówi Blome, Buffon jako „czysty naturalista” i Kant jako „filozof na bazie nauk przyrodniczych” zrozumieli i zastosowali pojęcie rasy, i było też kilku innych, którzy jeszcze przed Gobineau poczynili różne nowe ustalenia w dziedzinie badań nad rasami, i zdarzały się też opinie stawiające białych ponad ludźmi innego koloru skóry.

Ale zaraz na początku książki pojawia się ubolewające stwierdzenie, które potem z nieznacznymi zmianami ciągle powraca: otóż w całym wieku XVIII i aż do połowy XIX wiedza o rasie nie mogła poczynić decydujących (oczywiście decydujących w rozumieniu nazizmu!) postępów, bo hamował ją panujący ideał humanitaryzmu. Kim mógłby się stać Herder, który miał tak czułe ucho na różnorodne głosy narodów i tak silną świadomość swej niemieckości (i z którego też nazistowska historia literatury spreparowała nieomal autentycznego Pg), gdyby „idealistycznie zabarwiony sposób patrzenia” nie kazał mu „ponad całą różnorodnością ciągle widzieć i podkreślać jedności rodu ludzkiego”! Ten smutny list „w sprawie krzewienia humanitaryzmu” z jego „zasadami historii naturalnej ludzkości”! „Przede wszystkim należy być bezstronnym jak sam geniusz ludzkości; nie wolno mieć na ziemi ulubionego plemienia czy ulubionego narodu”. I dalej: „Badacz przyrody nie zakłada wśród stworzeń, które obserwuje, żadnej hierarchii; wszystkie są mu równie miłe i mają dla niego równą wartość. Podobnie badacz ludzkości”... I co tu pomoże stwierdzenie u Aleksandra von Humboldta „przewagi zainteresowań przyrodniczych”, skoro przecież „w sprawach rasy uwarunkowane epoką idealistyczne pojmowanie ludzkości przeszkodziło mu ostatecznie w poszukiwaniu wniosków opartych na idei rasy i w ich sformułowaniu”?

Tak więc zamiar nazistowskiego autora, aby rasistowską doktrynę Trzeciej Rzeszy wywieść od myślicieli niemieckich, zasadniczo się nie powiódł. I jeszcze z innej strony da się wykazać, że przed wystąpieniem Gobineau nie było w Niemczech antysemityzmu opartego na kryterium krwi. W swoim studium na temat „wtargnięcia antysemityzmu do myśli niemieckiej”, które Arnhold Bauer ogłosił w czasopiśmie „Aufbau” (1946, zeszyt 2), wskazuje on na to, że korporacje studenckie o przesadnym piętnie niemieckiego romantyzmu „zasadniczo nie wykluczały ze swych szeregów” Żydów. Ernst

Moritz Arndt[72] chciał mieć w tych korporacjach tylko członków chrześcijan, ale ochrzczonego Żyda uważał za „chrześcijanina i pełnowartościowego obywatela". „Okrzyczany jako programowy Teuton ojciec gimnastyki Jahn[73] nie stawiał nawet chrztu jako warunku przynależności do korporacji". Same zaś korporacje przy założeniu Powszechnych Niemieckich Korporacji Studenckich odrzuciły warunek chrztu. Tak silne działanie, mówi Bauer, zgadzając się zupełnie w tym punkcie z nazistowskim doktorantem czy habilitantem, wywierało jeszcze „humanistyczne dziedzictwo duchowe, tolerancja takiego Lessinga i uniwersalizm takiego Kanta".

A jednak - i dlatego właśnie rozdział ten należy do mojej LTI chociaż Blomego poznałem dopiero teraz, a studium Bauera oczywiście też dopiero teraz - jednak muszę obstawać przy poglądzie, który sobie wytworzyłem w złych latach: doktryna rasy, z której fantazja wysnuła uprzywilejowany charakter elementu germańskiego i jego monopol na człowieczeństwo, a która w swojej ostatecznej konsekwencji stała się kartą łowiecką, uprawniającą do najokrutniejszych zbrodni na ludzkości, ma swoje korzenie w niemieckim romantyzmie. Albo mówiąc inaczej: jej francuski wynalazca jest myślowym wspólnikiem, potomkiem, uczniem - nie wiem, do jakiego stopnia świadomym - niemieckiego romantyzmu.

W swoich dawniejszych pracach miałem z Gobineau wielokrotnie do czynienia, jego postać tkwiła mi dobrze w pamięci. Że mylił się jako przyrodnik, muszę uwierzyć na słowo przyrodnikom. Ale to akurat przychodzi mi bardzo łatwo, bo jedno wiem sam z siebie z zupełną pewnością: to mianowicie, że Gobineau nigdy nie był przyrodnikiem z wewnętrznej potrzeby, że nie był nim nigdy dla samej wiedzy przyrodniczej. Zawsze była ona u niego w służbie maniackiej i egoistycznej idei, którą miała w sposób nieodparty uzasadnić.

Hrabia Artur Gobineau odgrywa w historii literatury francuskiej znaczniejszą rolę niż w naukach przyrodniczych, ale - rzecz znamienna - rola ta znalazła uznanie raczej u Niemców niż u jego ziomków. We wszystkich przeżytych przez siebie fazach historii Francji - urodził się w roku 1816, a umarł w 1882 - czuł się on pozbawiony swego, jak mniemał, dziedzicznego prawa do władzy jako szlachcic, swych możliwości rozwoju i działania jako jednostka. Pozbawiło go tego panowanie pieniądza, burżuazji, domagającej się równouprawnienia masy, oszukało to wszystko, co określał jako demokrację, czego nienawidził i w czym upatrywał upadek ludzkości. Był przekonany, że jest w prostej linii i czystej krwi potomkiem feudalnej szlachty francuskiej i rodowej szlachty frankońskiej.

Otóż we Francji istniał bardzo dawny i brzemienny w skutki spór teorii politycznych. Szlachta feudalna twierdziła: jesteśmy potomkami frankońskich zdobywców, jako takim przysługuje nam prawo do władzy nad podbitą ludnością gallo-romańską, ale sami nie jesteśmy poddanymi naszego króla frankońskiego, bowiem wedle prawa Franków król jest tylko primus Inter pares, a bynajmniej nie panem nad równouprawnioną szlachtą. W przeciwieństwie do tego juryści koronni uważali absolutnego króla za następcę rzymskich cezarów, a naród, którym rządzi, za gallo-romańską kontynuację dawnych Rzymian. W wyniku rewolucji Francja w oparciu o tę teorię po obaleniu swego

[72] Ernst Moritz Arndt (1769-1860) - niemiecki poeta, pisarz i publicysta; jego główne dzieło *Geist der Zeit* (*Duch czasu*) zachęca do walki z Napoleonem oraz przeciwstawia duchowi racjonalizmu i oświecenia organiczną koncepcję kultury wyrastającej z naturalnych predyspozycji narodów germańskich.

[73] Friedrich Ludwig Jahn (1778-1852) -niemiecki pedagog i polityk, inicjator ruchu gimnastycznego w Niemczech, w którym widział przysposobienie młodzieży do służby wojskowej; jego mgliste nacjonalistyczne i demokratyczne idee wywierały silny wpływ na korporacje studenckie.

cezariańskiego ciemięzcy powróciła do ustrojowej formy republiki rzymskiej, gdzie dla panów feudalnych typu frankońskiego nie było już miejsca.

Gobineau, człowiek o uzdolnieniach zasadniczo literackich, zaczynał swoją karierę w kręgu francuskiej szkoły romantycznej, do której znamion należą sentyment do średniowiecza i opozycja wobec prozaicznie mieszczańskiego otoczenia. Czuje się szlacheckim samotnikiem, Frankiem, Germaninem - co dla niego oznacza jedno i to samo. Wcześnie zaczyna się oddawać studiom nad literaturą niemiecką i orientalną. Romantyzm niemiecki nawiązywał w sferze języka i literatury do indyjskiej prahistorii szczepu germańskiego, do aryjskiej wspólnoty europejskie] rodziny narodów. (Scherer, który powędrował ze mną do domu żydowskiego, w swoich „annałach" odnotowuje pod rokiem 1808 *Język i mądrość Hindusów* Fredricha Schlegla, a pod rokiem 1816 pracę Franza Boppa *O systemie koniugacyjnym sanskrytu w porównaniu z takimże systemem języków greckiego, łacińskiego, perskiego i germańskiego*. Konstrukcja człowieka rasy aryjskiej ma swoje korzenie w filologii, a nie w naukach przyrodniczych.

Ale i w samej dziedzinie przyrodniczej znajduje Gobineau decydujące bodźce w niemieckim romantyzmie - czy raczej zostaje przezeń gruntownie zwiedziony. Prąd ten bowiem, w swoim braku umiaru, w swoim dążeniu do bezgraniczności przekraczający i zacierający wszelkie granice, przerzuca się też - drogą myślowych konstrukcji i symboli - ze spekulacji w sferę przyrodoznawstwa. Francuski pisarz, który tym namiętniej podkreśla swoją germańskość z wyboru, że egzystuje ona tylko dzięki jego opcji, znajduje tu zatem pokusę, zachętę i w pewnym sensie upoważnienie do tego, aby faktom stwierdzonym przez nauki przyrodnicze przyjść z pomocą drogą myślenia spekulatywnego, czyli zinterpretować je filozoficznie - żeby wydobyć z nich to, czego potwierdzenie chciałoby się od nich uzyskać. Właśnie to przesadne podkreślenie germańskości wynika u Gobineau z nacisku wewnątrzpolitycznego, u romantyków - z jarzma napoleońskiego.

Powiedziałem już, że ideał humanizmu ustrzegł romantyków (naziści mówią: przeszkodził im) przed wyciągnięciem konsekwencji ze świadomości bycia germańskimi wybrańcami. Ale świadomość narodowa rozgrzana do temperatury nacjonalizmu i szowinizmu spala tę tarczę ochronną. Poczucie przynależenia do całej ludzkości doszczętnie się zatraca; wszystko, co ma rzeczywistą wartość ogólnoludzką, zawarte jest we własnym narodzie, co się zaś tyczy przeciwników Niemiec, to - „nie oszczędzajcie ich! Sąd Ostateczny nie zapyta was o racje!".

Dla piewców wojen wyzwoleńczych wrogiem, którego nie należy oszczędzać, jest Francuz. Otóż Francuzowi można przypisywać wiele złego, można uważać jego latyńskość za coś niższego od czystej germańskości, ale nie sposób ogłosić go istotą innej rasy. Tak więc w momencie, kiedy romantyzm niemiecki przechodzi od największej rozległości swych horyzontów do ich najdrastyczniejszego zawężenia, zacieśnienie to wyraża się tylko negacją wszystkiego, co cudzoziemskie, wyłączną gloryfikacją wszystkiego, co niemieckie, ale nie ma w nim jeszcze pychy wypływającej z przesłanek rasowych. Wspomniałem już, że dla Jahna i Arndta niemiecki Żyd był Niemcem, że nie odmawiali przyjęcia go do patriotycznej ultraniemieckiej korporacji studenckiej.

Tak, ale w trzydzieści lat później - i to właśnie cytuje triumfalnie narodowy socjalista Blome, a zostało to powiedziane przed ukazaniem się *Essai sur l'inegalité des races* - ten sam Arndt, który poprzednio opowiadał się za humanizmem, żali się w swoich *Mowach i głosach* z roku 1848: „Żydzi i żydowscy kamraci, ochrzczeni i nie ochrzczeni, zajmując najbardziej radykalne pozycje na lewicy, pracują niezmordowanie nad destrukcją i rozkładem tego, w czym my, Niemcy, widzieliśmy dotychczas swoje

człowieczeństwo i swoją świętość, nad rozkładem i zniszczeniem miłości ojczyzny i bojaźni bożej. Posłuchajcie i rozejrzyjcie się trochę wokół siebie, dokąd by nas ten trujący humanizm żydowski zaprowadził, gdybyśmy nie mieli mu do przeciwstawienia nic własnego, niemieckiego...” Tutaj nie chodzi już o uwolnienie się od wroga zewnętrznego, walka toczy się o sprawy wewnątrzpolityczne i społeczne - i oto już mamy wrogów czystego pierwiastka niemieckiego: są to „Żydzi ochrzczeni i nie ochrzczeni”.

Pozostaje rzeczą interpretacji, o ile w tym antysemityzmie sięgającym poza chrzest zechce się już widzieć antysemityzm rasistowski; nie ulega jednak kwestii, że odrzuca się teraz obejmujący całą ludzkość ideał humanizmu i że ideałowi niemieckości przeciwstawia się „trujący humanizm żydowski”. (Zupełnie tak samo jak w LTI - najczęściej u Rosenberga, odpowiednio u Hitlera i Goebbelsa - słowo „humanizm” nie jest nigdy wymawiane bez ironicznego cudzysłowu i przeważnie bywa opatrzone obelżywym epitetem).

Dla uspokojenia swego filologicznego sumienia starałem się w okresie nazizmu odtworzyć ten łańcuch prowadzący od Gobineau do niemieckiego romantyzmu, a teraz nieco go wzmocniłem. Ale miałem i mam w sobie całkiem określoną świadomość najściślejszego związku między nazizmem a niemieckim romantyzmem; sądzę, że ten pierwszy musiałby z tego drugiego z nieuchronną koniecznością wyrosnąć, nawet gdyby nigdy nie istniał Gobineau, francuski Germanin z wyboru, którego entuzjazm dla Germanów odnosi się zresztą w znacznie większym stopniu do Skandynawów i Anglików niż do Niemców. Wszystko bowiem, co stanowi istotę nazizmu, zawiera się przecież zalążkowo w romantyzmie: detronizacja rozumu, animalizacja człowieka, gloryfikacja idei władzy, wyniesienie na piedestał drapieżnika, blond bestii...

Ale czy nie ma w tym straszliwego oskarżenia przeciwko prądowi umysłowemu, któremu niemiecka sztuka i literatura (rozumiane w najszerszym zakresie) zawdzięczają tak niezwykłe wartości ludzkie?

To straszliwe oskarżenie jest uzasadnione, pomimo wszystkich stworzonych przez romantyzm wartości. „Wzbijamy się wysoko i tym niżej spadamy”. Najistotniejsza cecha najbardziej niemieckiego ruchu duchownego zowie się: bezgraniczny brak umiaru.

XXII
Słoneczny światopogląd (z przypadkowej lektury)

Książki są w domach żydowskich mieniem drogocennym - większość z nich nam zabrano, nabywania nowych i korzystania z bibliotek publicznych zakazano. Jeśli żona Aryjka korzysta na swoje nazwisko z wypożyczalni, a Gestapo znajdzie u nas taki tom, w najlepszym razie grożą za to cięgi - kilka razy udało mi się wykpić takim właśnie tanim sposobem. Jedyne, co jeszcze posiadamy i co wolno nam posiadać, to książki żydowskie. Pojęcie to nie jest ściśle sprecyzowane, a Gestapo nie posyła już rzeczoznawców, odkąd wszystkie wartościowe biblioteki prywatne zostały „zabezpieczone” (LTI - jako że pełnomocnicy partii nie kradną i nie rabują).

Nie jesteśmy też jakoś szczególnie przywiązani do tych nielicznych książek, które nam pozostały; niejedna z nich jest „odziedziczona", co w naszym specjalnym języku oznacza, że pozostała bezpańska, kiedy jej właściciel udał się nagle w drogę w kierunku Theresienstadt[74] lub Oświęcimia. Czym jednak bardzo natrętnie uświadamia nowemu posiadaczowi, co jemu samemu może się przydarzyć któregokolwiek dnia, a zwłaszcza którejkolwiek nocy. Tak więc każdą książkę pożycza się od każdego i każdemu bez wahania - o znikomości rzeczy ziemskich nikogo z nas zaprawdę nie potrzeba już pouczać.

Ja sam czytam, cokolwiek mi wpadnie w rękę; interesuje mnie głównie LTI, ale jest rzeczą osobliwą, jak często książki z dziedzin pozornie lub rzeczywiście jak najdalszych od mojego tematu coś jednak do niego wnoszą, a tym bardziej jest rzeczą osobliwą, ile nowego można w zmienionej sytuacji wyczytać z dzieł, o których człowiek sądzi, że je bardzo dobrze zna. Tak na przykład latem 1944 roku trafiłem na *Drogę do wolności* Schnitzlera[75] i przeczytałem tę powieść bez zbytniej nadziei na jakiś plon; o samym pisarzu napisałem bardzo dawno temu, gdzieś koło roku 1911, dłuższe studium, a na temat syjonizmu naczytałem się, nadyskutowałem, i narozmyślałem w tych ostatnich latach aż do przesytu. Zresztą wszystko z tej książki pamiętałem. A jednak znalazł się tam pewien mały ustęp, na pozór uwaga na marginesie, która okazała się dla mnie czymś nowym.

Jedna z głównych postaci złości się na „światopoglądową paplaninę", jaka właśnie teraz - mowa jest tu mniej więcej o początku naszego stulecia - stała się bardzo modna. Światopogląd, definiuje ten człowiek, jest to „biorąc rzecz logicznie, wola i zdolność po temu, aby rzeczywiście świat widzieć, tzn. przyglądać mu się nie dając się zmylić z góry powziętemu sądowi, nie ulegając chęci, by z jakiegoś doświadczenia wysnuwać od razu nowe prawo albo by je podporządkowywać prawu już istniejącemu... Ale dla ludzi światopogląd jest niczym innym, jak tylko wyższym rodzajem zdolności do posiadania przekonań - zdolności do posiadania przekonań w obrębie, by tak rzec, „nieskończoności". W następnym rozdziale - i tutaj można dostrzec, jak poprzednia uwaga wiąże się z właściwym tematem tej powieści o Żydach - Heinrich rozważa dalej: „Niech mi pan wierzy, Georg, że są momenty, w których zazdroszczę ludziom z tak zwanym światopoglądem... A my: zależnie od warstwy duszy, którą się oświetli, jesteśmy - jednocześnie - winni i niewinni, tchórzami i bohaterami, głupcami i mędrcami".

Skłonność ku temu, aby słowo „oglądać" [*anschauen*], będące częścią składową słowa „światopogląd" [*Weltanschauung*] pojmować w sposób całkowicie niemistyczny jako prawidłowe widzenie istniejącej rzeczywistości, niechęć i zazdrość wobec tych, dla których światopogląd oznacza twardy dogmat, linę, której się można przytrzymać w każdej sytuacji, kiedy własny nastrój, własny osąd, własne sumienie zawodzi - to właśnie zdaniem Schnitzlera ma być cechą charakterystyczną ducha żydowskiego i jest nią niewątpliwie dla mentalności rozległych warstw wiedeńskiej, paryskiej i europejskiej inteligencji z przełomu wieku w ogóle. Przecież pojawienie się „paplaniny o światopoglądzie" (używając tego słowa w sensie „nielogicznym") należy właśnie tłumaczyć rodzącą się opozycją wobec dekadencji impresjonizmu, sceptycyzmu i rozkładu idei tożsamego w czasie, a zatem odpowiedzialnego „ja".

---

[74] Theresienstadt (czeski Terezin) - miasto w północnych Czechach, gdzie w czasie wojny znajdował się obóz koncentracyjny dla Żydów -głównie z terenu Czech i Moraw, ale również Niemiec.

[75] Arthur Schnitzler (1862-1931) - pisarz austriacki żydowskiego pochodzenia, bliski znajomy Freuda, którego metodę psychoanalityczną przybierał w postać literacką. Jego powieść *Der Weg ins Freie* (Droga do wolności) jest polemiką z antysemityzmem w Austrii.

Tym, co mnie poruszyło przy lekturze tych miejsc, nie było jednak pytanie, czy chodzi tu o żydowski, czy też o ogólny problem dekadencji. Pytałem siebie raczej, dlaczego wtedy, gdy czytałem tę powieść po raz pierwszy, kiedy jej teraźniejszość była jeszcze teraźniejszością realną, współprzeżywaną przeze mnie, dlaczego wtedy tak niewiele uwagi zwróciłem na pojawienie się i wejście w modę nowego słowa. Odpowiedź znalazła się szybko. „Światopogląd" był wtedy jeszcze ograniczony do opozycyjnej grupy pewnych neoromantyków, był słowem koteryjnym, nie należał do słownika ogólnego.

Następnie zapytałem siebie, w jaki sposób to koteryjne słowo z przełomu wieku stało się filarem LTI, w której najmniejszy Pg i każdy drobnomieszczanin i filister bez jakiegokolwiek wykształcenia przy każdej okazji gada o swoim światopoglądzie i swojej światopoglądowo ugruntowanej postawie; zapytałem też siebie, na czym właściwie polega nazistowska „zdolność do posiadania przekonań w obrębie nieskończoności". Musiało tu chodzić o coś w najwyższym stopniu zrozumiałego i nadającego się dla wszystkich, o coś przydatnego pod względem organizacyjnym, bowiem w statucie Niemieckiego Frontu Pracy, DAF, który udało mi się kiedyś widzieć w fabryce, w tym statucie „organizacji wszystkich ludzi pracujących" była wyraźnie mowa nie o „składkach ubezpieczeniowych", lecz o „składkach na rzecz wspólnoty światopoglądowej".

LTI nie dlatego przyswoiła sobie to słowo, że widziała w nim zniemczoną wersję obcego słowa „filozofia" - na takich zniemczeniach bynajmniej nie zawsze jej zależało; znalazła w nim natomiast coś, co było dla niej najważniejsze: przeciwieństwo filozofowania. Filozofowanie bowiem jest czynnością rozumu, logicznego myślenia, do którego nazizm jest nastawiony wrogo jako do swego śmiertelnego nieprzyjaciela. Ale pożądanym przeciwieństwem jasnego myślenia nie jest prawidłowe widzenie, jak Schnitzler definiuje czasownik *schauen*; również i ono stałoby na zawadzie nieustannym próbom nazistowskiej retoryki, nastawionym na zwodzenie i odurzanie ludzi. Otóż LTI znajduje w słowie *schauen* widzenie w sensie mistycznym, widzenie „okiem wewnętrznym", intuicję i objawienie właściwe religijnej ekstazie. Wizja zbawcy, który jest źródłem prawa życia naszego świata - oto najgłębszy sens czy najgłębsza tęsknota zawarte w słowie „światopogląd", tak jak się ono pojawiło w słowniku neoromantyków i jak zostało przejęte przez LTI. Ciągle powracam do tego samego wersu i do tej samej formuły: „Z tej samej gleby rosną wraz / zarówno kwiaty, jak i chwast"... oraz: niemieckie korzenie nazizmu zowią się romantyzm...

Tylko że zanim romantyzm niemiecki zacieśnił się do wąskich ram romantyzmu „ultraniemieckiego", miał bardzo bliski stosunek do tego, co obce; sam zaś nazizm, który z jednej strony przesadnie eksponował nacjonalistyczną myśl romantyzmu „ultraniemieckiego", był przecież - podobnie jak pierwotny niemiecki romantyzm - niezwykle podatny na wszystko, co obcy mieli użytecznego do zaoferowania.

W kilka tygodni po lekturze Schnitzlera udało mi się wreszcie zdobyć *Od Kaiserhofu do Kancelarii Rzeszy* Goebbelsa. (W roku 1944 nawet u Aryjczyków było z książkami już bardzo kiepsko, wypożyczalnie, źle zaopatrywane i przeciążone pracą, przyjmowały nowych klientów jedynie na wielkie prośby i za szczególną protekcją - moja żona była „zapisana" w trzech miejscach i nosiła zawsze w torebce karteluszek z wykazem moich życzeń). W tych swoich „kartkach z dziennika", które triumfalnie relacjonują udane przedsięwzięcia propagandowe i same uprawiają nową propagandę, pod datą 27 lutego 1933 Goebbels notuje: „Wielka akcja propagandowa na dzień przebudzenia narodowego jest opracowana w najdrobniejszych szczegółach. Rozegra się ona jak wspaniałe widowisko [*Schau*] na oczach całych Niemiec". Tutaj słowo *Schau* nie ma absolutnie żadnego związku

z wewnętrzną głębią i mistyką, tutaj upodabnia się ono do angielskiego *show*, które oznacza wystawienie czegoś na pokaz, ostentacyjną paradę, tutaj jest ono całkowicie naznaczone piętnem widowiska cyrkowego, amerykańskiej barnumiady[76].

Ze Schnitzlerowskim „prawidłowym widzeniem" odnośny czasownik *schauen* - zależnie, jak się na to spojrzy - albo nie ma nic, albo ma bardzo wiele wspólnego. Chodzi tu mianowicie o widzenie kierowane, o zaspokojenie i zaabsorbowanie oka zmysłowego - tak jaskrawe, że w rezultacie oślepiające. Romantyzm i reklamiarstwo, Novalis i Barnum, Niemcy i Ameryka: w słowach *Schau* i *Weltanschauung*- tak, jak ich używa LTI - jest i jedno, i drugie, a przy tym tak nierozdzielnie ze sobą stopione, jak mistyka i zewnętrzny przepych w liturgii katolickiej.

I jeśli sobie teraz zadaję pytanie o wygląd zbawcy, któremu służy światopoglądowa wspólnota DAF, to w jego najbardziej charakterystycznym rysie znowu zlewają się ze sobą pierwiastki niemiecki i amerykański.

Jak u Schnitzlera zafrapował mnie passus o światopoglądzie, podobnie już rok wcześniej wynotowałem sobie parę zdań ze *Wspomnień socjalistki* Lily Braun[77] i odniosłem je do swojego tematu. (Ten odziedziczony tom w sposób szczególnie groźny tchnął wonią komory gazowej. „Zmarł w Oświęcimiu na niewydolność mięśnia sercowego" - przeczytałem w świadectwie zgonu mimowolnego spadkodawcy...) W swoim dzienniku zapisałem: „...Alix prowadzi w Munster dysputę religijną z pewnym księdzem katolickim: «Idea chrześcijaństwa?... Kościół katolicki nie ma z nią nic wspólnego! I właśnie to w nim lubię i podziwiam... jesteśmy poganami, jesteśmy czcicielami słońca... Karol Wielki szybko to pojął, a razem z nim jego misjonarze. Aż nadto często sami mieli w żyłach saską krew. Dlatego w miejsce świątyń Wotana, Donara, Baldura i Frei wystawili kościoły swoim licznym świętym; dlatego wynieśli na tron niebieski nie Ukrzyżowanego, lecz Matkę Bożą, symbol stwórczego życia. Dlatego słudzy człowieka, który nie miał gdzie skłonić głowy, zdobili swe szaty, swe ołtarze, swe świątynie złotem i drogimi kamieniami i wciągnęli w swoją służbę sztukę. Z punktu widzenia Chrystusa rację mieli anabaptyści, którzy niszczyli obrazy, ale witalna natura członków ich wspólnoty narodowej rację tę im odebrała»".

Ten obcy europejskiemu duchowi Chrystus, ta germańska dominacja w łonie katolicyzmu, to podkreślanie afirmacji życia, kultu słońca, a do tego jeszcze saska krew i witalna natura członków wspólnoty narodowej - wszystko to mogłoby równie dobrze znajdować się w *Micie* Rosenberga. A fakt, że owa Braun nie jest bynajmniej narodową socjalistką, że nie żywi wrogich uczuć ani wobec intelektu, ani wobec Żydów, poszerza jeszcze bazę nazistów, co się tyczy ich zwariowania na punkcie swastyki jako symbolu germańskiego, ich czci dla koła słonecznego, ich nieustannego podkreślania słonecznego pierwiastka germańskiego. Słowo „słoneczny" bardzo się wtedy rozpleniło w nekrologach o poległych. Byłem więc mocno przekonany, że przymiotnik ten ma swój korzeń w sercu dawnego kultu germańskiego i pochodzi wyłącznie z wizji blond zbawiciela.

Trwałem w tym przekonaniu dopóty, aż w fabryce, w czasie przerwy śniadaniowej, zobaczyłem pewną poczciwą robotnicę pogrążoną w lekturze broszurki przeznaczonej do wysyłki pocztą polową i poprosiłem ją o pożyczenie tego zeszytu. Był to egzemplarz z serii „Koledzy żołnierze", kolportowanej

---

[76] Słowo utworzone od nazwy największego koncernu cyrkowego świata, którego podstawy stworzył Phineas Taylor Barnum (1810-1891).

[77] Lily Braun (1865-1916) - niemiecka pisarka, współpracowniczka pism socjaldemokratycznych, czynna w niemieckim ruchu kobiecym.

masowo przez hitlerowskie wydawnictwo Franz Eher, i zawierał pod zbiorczym tytułem *Drzewo ogórkowe* szereg drobnych opowiadań. Wszystkie one o tyle mnie rozczarowały, że właśnie w publikacji wydawnictwa Eher spodziewałem się znaleźć jad nazistowski w postaci wyjątkowo stężonej. Zresztą za pośrednictwem innych swoich zeszytów wydawnictwo to aż nadto takiego jadu armii wstrzykiwało. Ale Wilhelm Pleyer, którego poznałem później jako sudeckoniemieckiego powieściopisarza, przy czym moje pierwsze wrażenie nie uległo istotnej zmianie ani na plus, ani na minus, w swoich cechach pisarskich i ludzkich zalicza się do całkiem małych Pg.

Owoce „ogórkowego drzewa” składały się z zupełnie banalnych, pod każdym względem zgoła nieszkodliwych tak zwanych humoresek. Chciałem je już odłożyć jako kompletnie jałowe, kiedy natrafiłem na ckliwą historyjkę o szczęściu rodzicielskim, o szczęściu macierzyńskim. Chodziło tam o pewną małą, bardzo żywą, bardzo blond, złotowłosą, słonecznowłosą dziewczynkę; kolor blond, słońce i słoneczne usposobienie wypełniały całe wiersze. Mała odznaczała się całkiem szczególnym stosunkiem do promieni słonecznych, a na imię miała Wiwiputzi. Skąd wzięła to osobliwe imię? Autor zadawał sobie to samo pytanie. Czy to zbieg trzech „i” brzmiał mu jakoś szczególnie jasno, czy początek tego imienia przypominał mu słowo *vif*, żywy, czy też coś innego w tym neologizmie pociągało go swoją poetyckością i afirmacją życia - w każdym razie odpowiedział sani sobie: „Wymyślone? Nie, wynikło samo z siebie - i ze słońca”[78].

Oddając zeszyt zapytałem robotnicę, które z opowiadań najbardziej jej się podobało. Odrzekła, że wszystkie są ładne, ale najładniejsze z nich to jednak to o Wiwiputzi.

- Tylko skąd mu się wzięła ta zabawa w słońce? - Pytanie to wyrwało mi się prawie mimo woli i zaraz go pożałowałem, bo cóż ta zupełnie nieoczytana kobieta miała na nie odpowiedzieć? Pewnie wprawiłem ją tylko w zakłopotanie. Ale - o dziwo - odpowiedź padła natychmiast, i to w tonie całkowitej oczywistości: - No, myślał zwyczajnie o *sonny boy*[79].

Otóż był to prawdziwie vox populi. Oczywiście nie mogłem przeprowadzić żadnej ankiety, ale w tym momencie przeniknęła mnie intuicyjna pewność, która mnie dotąd nie opuszcza, że film o *sonny boy* - któż od razu wie, że *sonny* to znaczy synek i że nie ma to nic wspólnego z niemieckim *sonnig* [słoneczny]? - że ten film przyczynił się do słonecznej epidemii co najmniej w równym stopniu jak religijne wierzenia starożytnych Germanów.

XXIII
Kiedy dwóch czyni to samo...

Pamiętam dokładnie ten moment i to słowo, które moje zainteresowania filologiczne ze sfery literackiej - czy mam powiedzieć: rozszerzyły, czy zacieśniły? - do sfery specyficznie językowej. Kontekst literacki jakiegoś fragmentu staje się nagle nieważny, zanika, uwaga skupia się na

---

[78] W oryginale gra słów: „Ersonnen? Nein, das hatte sich ganz von selber ergeben - ersonnt”. Słowo ersonnt jest nie istniejącym w języku, całkowicie sztucznym imiesłowem biernym czasu przeszłego, pochodnym od rzeczownika Sonne - słońce.

[79] Chodzi o reminiscencje z tytułem amerykańskiego filmu *Sonny boy* w reżyserii Archie L. Mayo z r. 1929.

pojedynczym słowie, na pojedynczej formie. Takie pojedyncze słowo odsłania bowiem sposób myślenia epoki, ten ogólny sposób myślenia, w którym ułożyskowana jest myśl jednostki, który na nią wpływa, może nią kieruje. Oczywiście, pojedyncze słowo, pojedynczy zwrot mogą zależnie od kontekstu, w którym występują, przyjmować bardzo różne, wręcz przeciwne sobie znaczenia - i w ten sposób powracam jednak do sfery literackiej, do całości danego tekstu. Potrzebne jest wzajemne naświetlenie, wzajemna próba kontrolna pojedynczego słowa i całości dokumentu...

Nastąpiło to więc w chwili, kiedy Karl Vossler obruszył się na wyrażenie „materiał ludzki". Materiał, powiedział, to co najwyżej skóra i kości, i jelita ciała zwierzęcego; mówić o materiale ludzkim to znaczy pozostawać na szczeblu materii, lekceważyć to, co duchowe, co w człowieku rzeczywiście ludzkie.

Niezupełnie się wtedy ze swoim nauczycielem zgadzałem. Było to na dwa lata przed wojną światową, nigdy dotąd nie zetknąłem się z wojną w całej jej okropności, w ogóle nie wierzyłem, aby była ona jeszcze możliwa w obrębie właściwej Europy, dlatego służbę wojskową uważałem za dosyć niewinne wyszkolenie w sprawności fizycznej i sportowej; kiedy zaś jakiś oficer czy lekarz wojskowy mówił o dobrym i złym materiale ludzkim, rozumiałem to nie inaczej, jak kiedy lekarz cywilny przed przerwą obiadową załatwia jeszcze szybko jakiś „przypadek" czy jakąś „ślepą kiszkę". I tu, i tam mówiący w ten sposób nie zwraca w danej chwili uwagi na stronę duchową rekruta czy chorego, lecz ze względów zawodowych skupia się wyłącznie na fizycznej stronie istoty ludzkiej. Po wojnie byłem bardziej skłonny znajdować w „materiale ludzkim" przykre pokrewieństwo z „mięsem armatnim", widzieć ten sam cynizm tutaj w świadomym, tam w nieświadomym „ucieleśnieniu". Ale nawet dzisiaj nie jestem całkowicie przekonany o brutalności inkryminowanego wyrażenia. Dlaczego ktoś wyznający najczystszy idealizm nie miałby dokładnie określać dosłownej wartości materialnej jednostki czy grupy ludzkiej dla określonych rodzajów zawodu czy sportu? Z podobnych względów nie upatrywałbym jakiejś negacji ducha w fakcie, że w urzędowym języku więziennym więźniowie zamiast własnych nazwisk noszą numery: nie odmawia im się przez to człowieczeństwa, lecz tylko traktuje ich jako przedmioty zarządzania, przydzielone im cyfry mają jedynie znaczenie ewidencyjne.

Dlaczego rzecz ma się inaczej, dlaczego odnosimy wrażenie jednoznacznej i niewątpliwej brutalności, kiedy strażniczka z obozu koncentracyjnego Belsen zeznaje przed sądem wojskowym, że tego i tego dnia miała do czynienia z szesnastoma „sztukami" więźniarek? Otóż w obu poprzednich przypadkach chodzi o zawodowe pominięcie cech osobowych, o abstrakcję, natomiast przy sztukach - o uprzedmiotowienie. Jest to to samo uprzedmiotowienie, które wyraża się w urzędowym określeniu „zużytkowanie padliny", czy raczej w jego rozciągnięciu na zwłoki ludzkie: ze zmarłych w kacetach robi się nawóz i nazywa ten proceder zupełnie tak samo jak przerabianie trupów zwierzęcych.

W sposób bardziej zamierzony i podyktowany zaciekłą nienawiścią, spoza której wyziera już zaczątek bezsilnej rozpaczy, uprzedmiotowienie to występuje w stereotypowym zdaniu komunikatu wojennego, zwłaszcza w roku 1944. Przypomina się tam ciągle o tym, że bandom nie daje się pardonu; szczególnie o nieustannie narastającym francuskim ruchu oporu można czytać regularnie przez pewien czas: tylu i tylu zostało „wybitych" [*niedergemacht*]. Z czasownika „wybić" przemawia wściekłość wobec przeciwnika, w każdym razie jednak jest on tu jeszcze traktowany jako znienawidzony wróg, jako osoba. Później wszakże czytamy codziennie: tylu i tylu zostało „zlikwidowanych". „Zlikwidować" to słowo z języka handlowego, jako słowo obcego pochodzenia jeszcze o jeden stopień chłodniejsze i bardziej rzeczowe niż jego niemieckie odpowiedniki; lekarz

liquidiert [inkasuje] za swoją pracę określoną sumę, kupiec likwiduje swój interes. W pierwszym przypadku chodzi o przeliczenie pracy lekarza na wartość pieniężną, w drugim o ostateczne rozwiązanie przedsiębiorstwa. Likwidując ludzi, załatwia się czy kończy ich egzystencję jak wartość materialną. W języku obozów koncentracyjnych mówi się, że wobec jakiejś grupy „zastosowano ostateczne rozwiązanie" [*Endlösung*], kiedy ludzie ci zostali zastrzeleni lub posłani do komory gazowej.

Czy takie uprzedmiotowienie osoby należy uważać za szczególny rys charakterystyczny LTI? Sądzę, że nie. Stosuje się je bowiem tylko wobec tych ludzi, którym narodowy socjalizm odmawia przynależności do właściwej ludzkości, których jako rasę niższą czy wrogą, czy jako podludzi wyłącza z prawdziwej humanitas, ograniczonej do Germanów, czyli do krwi nordyckiej. Natomiast w obrębie tego uznanego kręgu ludzkiego przywiązuje on zdecydowaną wagę do podkreślania osobowości. Przytoczę na to dwa przekonywające świadectwa.

W dziedzinie wojskowej, kiedy jest mowa o podwładnych jakiegoś oficera czy o składzie kompanii, nie używa się już rzeczownika zbiorowego *Leute* [ludzie], lecz zindywidualizowanego *Männer* [dosł. mężczyźni]. „Reich" zamieścił kiedyś wzruszające i patetyczne wspomnienie pośmiertne, które pewien stary profesor uniwersytetu poświęcił trzem swoim ulubionym uczniom, padłym na froncie oficerom. Były tam cytowane ich listy z frontu. Stary profesor rozpływał się nieustannie nad niemiecką męską wiernością i nad bohaterstwem owych oficerów i ich żołnierzy, nazywając przy tym tych ostatnich ze staroniemiecka i poetycznie *Mannen* [w niemczyźnie średniowiecznej: wasale, lennicy]. Natomiast jego uczniowie używali w listach wyłącznie słowa *Männer*; posługując się współczesną formą językową jako czymś oczywistym, ci młodzi ludzie w ogóle nie mieli już poczucia, jakoby wraz z nowym określeniem wypowiadali coś nowego i coś poetycznego.

Mówiąc ogólnie, stanowisko LTI wobec staroniemieckich form językowych było niezdecydowane. Z jednej strony nawiązywanie do tradycji, romantyczne ciągoty do niemieckiego średniowiecza, związek z nie zafałszowanym jeszcze przez rzymskie naleciałości pierwotnym charakterem germańskim nie były jej oczywiście niemiłe; z drugiej strony jednak chciała ona móc bez jakichkolwiek obciążeń dotrzymywać kroku współczesności i być w sposób postępowy nowoczesną. W początkach swojej działalności Hitler zwalczał też jako uciążliwych konkurentów i przeciwników niemieckich narodowców, którzy swemu własnemu językowi chętnie dawali zabarwienie wyraźnie staroniemieckie. Tak więc nie przyjęły się propagowane przez pewien czas niemieckie nazwy miesięcy; nigdy ich też oficjalnie nie używano. Ale z kolei niektóre znaki runiczne i rozmaite germańskie imiona zyskały uznanie i zadomowiły się...

Jeszcze dobitniej niż w słowie *Männer* chęć podkreślenia osobowości wyraża się w powszechnej zmianie stylizacji języka urzędowego, co dawało nie zamierzone efekty komiczne. Żydzi nie mieli kartek odzieżowych ani jednorazowych przydziałów [*Bezugscheine*], nie mogli kupować nic nowego, byli tylko zaopatrywani w rzeczy używane ze specjalnych składów odzieżowych i gospodarczych. Z początku można było stosunkowo łatwo otrzymać z takiego składu jakąś sztukę odzieży; później potrzebne było podanie, które wędrowało poprzez ustanowionego „doradcę prawnego" gminy i wydział żydowski gestapo aż do prezydium policji. Kiedyś otrzymałem na drukowanym formularzu decyzję następującej treści: „Przydzielam Panu używane spodnie robocze. Należy je odebrać... itd. Prezydent Policji". Zasada leżąca u podstaw tej formy brzmiała: w każdym przypadku winien decydować nie jakiś bezosobowy urząd, lecz odpowiedzialna osoba nim kierująca. Tak więc wszelkie

treści urzędowe były transponowane na formę pierwszej osoby liczby pojedynczej i dysponowane przez boga osobowego. Już nie kasa podatkowa X, lecz ja, Prezes Urzędu Finansowego we własnej osobie, wzywam Friedricha Schulze do zapłacenia kwoty w- wysokości trzech marek i pięćdziesięciu fenigów tytułem kary za zwłokę; ja, Prezydent Policji, wysyłam mandat na kwotę trzech marek no i oczywiście ja, Prezydent Policji, osobiście, przyznaję Żydowi Klempererowi używane spodnie. Wszystko to ad maiorem gloriam zasady wodzostwa i osobowości.

Nie, narodowy socjalizm, nie chciał poddawać depersonalizacji, uprzedmiotowieniu Germanów, których uznawał za ludzi. Tylko że każdy wódz potrzebuje poddanych, na których bezwzględnym posłuszeństwie mógłby polegać. Warto zwrócić uwagę, jak często w ślubowaniach wierności, w hołdowniczych i aprobujących telegramach i rezolucjach tamtego dwunastolecia spotyka się słowo „ślepo”. „Ślepo” należy do fundamentalnych słów LTI, określa idealny stan nazistowskiej mentalności względem swego Wodza i swych poszczególnych wodzów niższych szczebli, występuje niewiele rzadziej niż słowo „fanatyczny”. Abym jednak mógł wykonać ślepo jakiś rozkaz, nie wolno mi się uprzednio nad nim zastanawiać. Każda refleksja oznacza zawsze zwłokę, zahamowanie, mogłaby nawet prowadzić do krytyki, a wreszcie do odmowy wykonania rozkazu. Istota wszelkiego wychowania wojskowego polega na tym, aby cały szereg ruchów i czynności zautomatyzować, aby pojedynczy żołnierz, aby każda grupa niezależnie od wrażeń zewnętrznych, niezależnie od wewnętrznych refleksji, niezależnie od jakiejkolwiek instynktownej emocji była tak posłuszna rozkazowi przełożonego, jak maszyna, którą wprawia w ruch jedno naciśnięcie przycisku. Narodowy socjalizm nie chce, broń Boże, naruszać osobowości - przeciwnie, chce ją wywyższyć, co jednak nie przeszkadza (jemu nie przeszkadza!), że ją jednocześnie mechanizuje: każdy ma być automatem w ręku przełożonego i wodza, a zarazem ma być gotów do naciskania przycisków automatów, które jemu z kolei podlegają. Ta struktura, będąca zasłoną dla rzeczywistego zniewolenia i depersonalizacji, tłumaczy wielką obfitość występujących w LTI zwrotów z dziedziny techniki, zalew słów „mechanistycznych”.

Pomijam tu oczywiście napływ fachowych wyrażeń technicznych, jaki od początku XIX wieku był i nadal jest charakterystyczny dla wszystkich narodów cywilizowanych, i który stanowi zrozumiały skutek rozpowszechniania się techniki i wzrostu jej znaczenia dla życia ogółu. W tych rozważaniach chodzi raczej o wkraczanie zwrotów technicznych w dziedziny nietechniczne, gdzie działają one właśnie „mechanizująco”. Otóż w niemczyźnie sprzed roku 1933 są to przypadki zupełnie rzadkie.

Republika weimarska wprowadziła do języka ogólnego zasadniczo dwa tylko wyrażenia z fachowego zakresu technicznego: modnymi słowami-hasłami tamtego czasu były słowa *verankern* [zakotwiczyć; przen. ugruntować] i *ankurbeln* [dosł. pokręcać korbą; przen. uruchamiać, rozkręcać, ożywiać]. A były nimi w tak znacznym stopniu, że bardzo szybko stały się przedmiotem drwiny, bardzo szybko poczęto ich używać do satyrycznej charakterystyki niesympatycznych współczesnych postaci; na przykład Stefan Zweig w swojej *Malej kronice* pod koniec lat dwudziestych pisze: „Ekscelencja i dziekan rozkręcili mocno swoje stosunki”.

Problem, czy i o ile słowo „zakotwiczyć” można zaliczać do obrazowania technicystycznego, trzeba pozostawić nie rozstrzygniętym. Czasownik ten, wywodzący się z dziedziny żeglugi i osnuty pewną mgiełką poetyckości, występuje sporadycznie już na długo przed epoką weimarską, a swoją rolę w tej właśnie epoce zawdzięcza faktowi, że go wtedy niezwykle często używano. Przyczyną tego częstego użycia była niewątpliwie pewna szeroko dyskutowana oficjalna wypowiedź: mianowicie w

Zgromadzeniu Narodowym podkreślono, że ustawa o radach zakładowych winna być „zakotwiczona w konstytucji”. Od tej chwili nie było nic, czego nie próbowano by jakoś zakotwiczyć. Wewnętrznym i nieświadomym motywem pociągu do tej metafory była zapewne głęboka potrzeba spokoju: ludzie mieli dosyć wzburzonych fal rewolucji; nawa państwowa - prastara przenośnia (fluctuat nec mergitur) - winna stanąć trwale na kotwicy w bezpiecznej przystani.

Z techniki w ściślejszym i bardziej współczesnym znaczeniu był zaczerpnięty tylko czasownik *ankurbeln*; wywodzi on się zapewne od widoku, jaki wtedy powszechnie spotykało się na ulicy: ówczesny silnik samochodowy nie miał jeszcze rozrusznika i coraz to można było widzieć kierowców, którzy z wielkim wysiłkiem próbowali uruchomić swój pojazd za pomocą korby.

Obie jednak przenośnie - i ta pół, i ta całkowicie techniczna - mają wspólne to, że zawsze odnosi się je do rzeczy, stanów, czynności, nigdy zaś do osób. W czasach republiki weimarskiej rozkręca się wszelkie gałęzie przemysłu i handlu, ale nigdy samą osobę prowadzącą interesy, zakotwicza się najróżniejsze instytucje, zakotwicza się też urzędy, ale nigdy osobiście prezesa urzędu skarbowego czy ministra. Decydujący krok ku językowej mechanizacji życia zostaje uczyniony dopiero tam, gdzie metafora techniczna odnosi się bezpośrednio do osoby - albo, jak mówi panoszące się od początku tego stulecia wyrażenie: jest nastawiona bezpośrednio na osobę.

Nawiasem mówiąc, zadaję sobie pytanie, czy słowa „być nastawionym” i „nastawienie” - każda pani domu ma dzisiaj swoje szczególne nastawienie do sacharyny i cukru, każdy chłopak jest inaczej nastawiony do boksu i lekkiej atletyki - również należą do sfery językowej technicyzacji. I tak, i nie. Pierwotnie wyrażenia te oznaczają nastawienie lunety na określoną odległość albo silnika na określoną liczbę obrotów. Ale pierwsze rozszerzenie zakresu znaczeniowego ma charakter tylko półmetaforyczny. Wyrażenie to przyswajają sobie mianowicie nauka i filozofia - w szczególności filozofia; ścisłe myślenie, aparat myślowy jest ostro nastawiany na pewien przedmiot, a więc podstawowa cecha techniczna jest jeszcze w pełni wyraźna, jeszcze się utrzymuje. Ogół przejął te słowa chyba dopiero z filozofii. Było w dobrym tonie mieć „nastawienie” do ważnych problemów życiowych. W jakim stopniu na początku lat dwudziestych uświadamiano sobie jeszcze techniczne, a przynajmniej czysto racjonalne znaczenie tych wyrażeń, trudno w sposób pewny stwierdzić. W satyrycznym filmie dźwiękowym bohaterka-kokota śpiewa, że całe jej życie jest „od stóp do głowy nastawione na miłość”, co wskazuje na znajomość owego podstawowego znaczenia; ale jednocześnie pewien patriota, który uważa siebie za poetę - i jako taki jest też później sławiony przez nazistów, mówi z całą naiwnością, że wszystkie jego uczucia są „nastawione na Niemcy”. Film był oparty na tragikomicznej powieści Henryka Manna o pewnym profesorze gimnazjalnym; rymopis, sławiony przez nazistów jako wczesny zwolennik ruchu i członek Freikorpsu[80], miał niezbyt germańskie imię Boguslav czy Boleslav - czymże jest filolog, któremu zrabowano książki i zniszczono część jego notatek?

Wyraźna mechanizacja samej osoby pozostaje zastrzeżona dla LTI. Jej najbardziej charakterystycznym i przypuszczalnie pierwszym osiągnięciem na tym polu jest słowo *gleichschalten*. Wywołuje ono w wyobraźni obraz przycisku, który już nie jakieś instytucje, nie bezosobowe urzędy, lecz ludzi ustawia w jednakowej pozycji i wprawia ich w jednostajny automatyczny ruch; nauczyciele różnych szkół,

---

[80] Freikorps (korpus ochotniczy) - niemieckie formacje zbrojne, powstałe w 1918 r. i używane do tłumienia ruchów rewolucyjnych w Niemczech, a także przeciw polskim powstańcom na Śląsku; stały się naturalną bazą rekrutacyjną dla bojówek SA.

grupy różnych urzędników sądownictwa, skarbowości, członkowie Stahlhelmu i SA itd., itd., prawie in infinitum są „glajchszaltowani", czyli unifikowani.

Słowo to jest tak niesłychanie reprezentatywne dla podstawowego oblicza nazizmu, że należy do niewielu wyrażeń, które arcybiskup kardynał Faulhaber już w końcu 1933 roku zaszczycił satyrycznym potraktowaniem w swoich kazaniach adwentowych. U azjatyckich ludów starożytności, mówił, religia i państwo były zunifikowane [*gleichgeschaltet*]. Jednocześnie z dostojnym księciem Kościoła również skromni artyści kabaretowi pozwalali sobie na ukazywanie tego czasownika w krzywym zwierciadle. Przypomina mi się pewien konferansjer, który przy tak zwanej wyprawie w nieznane podczas odpoczynku na kawę w lesie oświadczył uczestniczącemu w wycieczce towarzystwu, że jest teraz „zglajchszaltowane" z przyrodą, czym sobie zyskał duży poklask.

Nie ma w LTI technicznego słowa, które by wyraźniej obnażało skłonność do mechanizacji i automatyzacji, jak to *gleichschalten*. Używano go przez całych dwanaście lat - co prawda na początku częściej niż w późniejszym okresie, a to z tej prostej przyczyny, że wszystko, co się tylko dało, zostało bardzo szybko zunifikowane i zautomatyzowane.

Inne zwroty, zapożyczone z dziedziny elektrotechniki, nie mają tej samej wagi. Jeśli tu i ówdzie jest mowa o potężnych prądach, które się zespalają w wodzowskiej naturze albo z niej emanują - coś podobnego w rozmaitych wariantach można przeczytać na temat Mussoliniego i Hitlera - są to zwroty metaforyczne, które równie jak do elektrotechniki nawiązują do magnetyzmu, a tym samym są bliskie odczuciom romantycznym. Uderza to szczególnie u Iny Seidel[81], która zarówno w wytworach swojej najczystszej poezji, jak i w swych najgorszych grzechach sięgała po tę samą „elektryczną" metaforę - ale Ina Seidel to smutny rozdział sam dla siebie.

Czy jednak można to odczuwać jako coś romantycznego, kiedy Goebbels po powrocie ze zburzonych bombami zachodnioniemieckich miast kłamie patetycznie, że on sam, który przecież chciał dodawać odwagi ludziom dotkniętym tą katastrofą, czuje się przez ich niewzruszone bohaterstwo „na nowo naładowany"? Nie, tutaj działa na pewno i wyłącznie nawyk degradacji człowieka do roli przyrządu technicznego.

Mówię to z całym przekonaniem dlatego, ponieważ w innych metaforach technicznych ministra propagandy i całego Goebbelsowskiego kręgu występuje bezpośrednie odniesienie do sfery maszynowej, bez żadnej wzmianki o jakichś potężnych prądach. Ludzie efektywnie pracujący są tam ciągle porównywani z silnikami. Tak np. w „Reichu" czytamy o namiestniku Hamburga, że jest w swojej pracy jak „motor idący nieustannie na pełnych obrotach". Ale o wiele silniej niż to porównanie, które jednak przeprowadza granicę między przenośnią a przedmiotem, do którego się ona stosuje, o wiele dobitniej świadczy o podstawowej tendencji mechanizującej takie oto zdanie Goebbelsa: „W niedługim czasie w całym szeregu dziedzin znowu przejdziemy na pełne obroty". A więc nie jesteśmy tu porównywani z maszynami, lecz jesteśmy maszynami. My: to znaczy Goebbels, to znaczy reżim nazistowski, to znaczy całe Niemcy hitlerowskie, którym w ciężkim położeniu, przy straszliwej utracie sił trzeba dodać otuchy; i siebie samego, i wszystkich swoich wiernych słuchaczy wymowny kaznodzieja nie to, że porównuje z maszynami - nie: on ich z maszynami identyfikuje.

---

[81] Ina Seidel (1885-1974) - niemiecka powieściopisarka i poetka; tworzyła w duchu neoromantyzmu o zabarwieniu mistycznym, w okresie Trzeciej Rzeszy stała się entuzjastką hitleryzmu.

Bardziej zmaterializowanego sposobu myślenia jak ten, który się tu ujawnia, nie można sobie wyobrazić.

Skoro jednak mechanistyczny uzus językowy sięga tak wprost po osobę ludzką, to jest rzeczą oczywistą, że tym bardziej nie omija będących poza jego bezpośrednim zasięgiem rzeczy. Nie ma nic takiego, czego by się nie dało puścić w ruch czy poddać remontowi, jak się poddaje remontowi maszynę po pewnym okresie eksploatacji, albo statek po długim rejsie, nie ma nic, czego by nie można wprowadzić w jakiś kanał czy wyprowadzić z niego, i oczywiście - o, języku nadchodzącej Czwartej Rzeszy! - wszystko bez wyjątku można nakręcać [*aufziehen*]. A kiedy trzeba pochwalić wytrwałą wolę życia zbombardowanego miasta, to „Reich" jako filologiczny tego dowód przytacza zasłyszane na miejscu słowa: *Es spurt schon wieder* [Już znowu wszystko „trzyma ślad", tzn. weszło we właściwe koleiny]. A dlaczego wszystko teraz „trzyma ślad"? Ponieważ przy wszechstronnej dobrej organizacji każdy pracuje „na pełnym obciążeniu". To „pełne obciążenie", ulubiony zwrot Goebbelsa z ostatnich lat, oznacza naturalnie również inwazję języka technicznego w sferę samej osoby; w porównaniu z motorem pracującym na pełnych obrotach nie brzmi to o wiele łagodniej, bo przecież ludzkie barki można obciążyć tak samo jak jakąś konstrukcję nośną. Język wyraźnie to ukazuje. Ta ekspansja słownictwa technicznego, to upajanie się nim - epoka weimarska zna tylko rozkręcanie gospodarki, LTI dodaje do tego nie tylko przejście na pełne obroty, lecz także „dobrze zgrany układ kierowniczy" - wszystko - to (czego pod względem słownikowym bynajmniej nie wyczerpałem) świadczy o rzeczywistej pogardzie dla otoczonej rzekomo szacunkiem i troską ludzkiej osoby, o chęci zgnębienia samodzielnie myślącego, wolnego człowieka. I nie mogą obalić tego świadectwa choćby nie wiem jak liczne zapewnienia, że się właśnie chce rozwijać osobowość ludzką, w absolutnym przeciwieństwie do „roztopienia w masie", do którego zmierza marksizm, a zwłaszcza jego wynaturzona kulminacja w postaci żydowskiego i azjatyckiego bolszewizmu.

Ale czy rzeczywiście język wyraźnie to ukazuje? Błąka mi się po głowie słowo, które teraz, gdy Rosjanie starają się odbudować nasze całkowicie zniszczone szkolnictwo, ciągle słyszę: cytuje się powiedzenie Lenina, że nauczyciel jest inżynierem dusz. To też przecież jest metafora techniczna, i to najbardziej techniczna ze wszystkich. Inżynier ma do czynienia z maszynami, a jeśli uważa się go za właściwego człowieka do pielęgnacji dusz, to muszę stąd wnioskować, że dusza jest traktowana jak maszyna...

Czy rzeczywiście muszę? Naziści uczyli zawsze, iż marksizm jest materializmem, a bolszewizm swoim materializmem prześciga jeszcze doktrynę socjalistyczną starając się naśladować metody przemysłowe Amerykanów i przejmując ich stechnicyzowany sposób myślenia i odczuwania. Co z tego wszystkiego jest prawdą? Wszystko i nic.

Jest rzeczą pewną, że bolszewizm uczy się techniki od Amerykanów, że z pasją technizuje swój kraj, czego najmocniejsze ślady muszą się znaleźć w jego języku. Ale po co technizuje swój kraj? Aby swoim ludziom zapewnić egzystencję godną człowieka, aby na ulepszonej bazie materialnej, przy zmniejszonym brzemieniu pracy, dać im możliwość duchowego rozwoju. Nowa obfitość zwrotów technicznych w jego języku świadczy więc o czymś dokładnie przeciwnym niż to, o czym świadczyła w Niemczech hitlerowskich: wskazuje na środek, przy którego pomocy prowadzi się walkę o wyzwolenie ducha, gdy tymczasem w niemczyźnie z nadużycia słownictwa technicznego wnioskuję w sposób oczywisty o zniewoleniu ducha.

Kiedy dwóch czyni to samo... Mądrość niezwykle trywialna. Ale w swoim notatniku filologa pragnę jednak podkreślić jej specjalistyczne zastosowanie: kiedy dwóch posługuje się tą samą formą wyrazu, to przyczyną tego wcale nie musi być ten sam zamiar. Właśnie dzisiaj i tutaj pragnę to podkreślić kreską szczególnie grubą i wielokrotną. Jest nam bowiem bardzo potrzebne, abyśmy poznali prawdziwego ducha narodów, od których tak długo byliśmy odgrodzeni, co do których tak długo nas okłamywano. A żaden nie był przedmiotem większych kłamstw niż rosyjski... Nic zaś nie wprowadza głębiej w duszę narodu niż język... A jednak: *gleichschalten* i inżynier dusz - i tu, i tam zwrot techniczny, przy czym metafora niemiecka wskazuje drogę ku zniewoleniu, a rosyjska ku wolności.

XXIV
Café Europe

12 sierpnia 1935. - Leży wprawdzie na zupełnym krańcu - na przeciwległym brzegu widać Azję - ale jednak jeszcze w Europie - powiedział Dember, komunikując mi przed dwoma laty o powołaniu go na uniwersytet w Stambule. Dzisiaj znowu mam przed oczyma jego zadowolony uśmiech - pierwszy po tygodniach zgryzoty, jakie nastąpiły po jego zwolnieniu, ściślej mówiąc: wypędzeniu. Właśnie dzisiaj przypominam sobie, jak ten uśmiech i radosny dźwięk głosu podkreślały słowa: „w Europie”; bo właśnie dzisiaj przyszła od BI. pierwsza wiadomość od chwili ich wyjazdu. Tymczasem dotarli już pewnie do Limy - ich list był wysłany z Bermudów. List podziałał na mnie deprymująco: ja zazdroszczę ludziom ich wolności, poszerzenia horyzontów, zazdroszczę im ich możliwości działania - a oni, zamiast się cieszyć, skarżą się na chorobę morską i tęsknotę za Europą. Skleciłem kilka linijek wiersza, które chcę im posłać:

> Chwalcie wciąż wyroki Boże;
> On to przeniósł was przez morze,
> wielkich plag On ciężar zmoże,
> o mniejszych - zapomnieć czas.
> Z burty wolnego okrętu
> womitować w fal odmęty –
> czy aż tak przeraża was?
> Na Krzyż Południa, znużeni,
> spójrzcie w podzięce. Cierpienia
> Żydów wam w pokój przemienił
> statek, u wożąc was w dal.
> Żal wam Europy, co znika?
> Ona przed wami w tropikach;
> ma bowiem idei kształt![82]

13 sierpnia 1935. Walter pisze z Jerozolimy: „Na przyszłość adresuj po prostu: «Café Europe». Nie wiem jeszcze, jak długo mój obecny adres prywatny będzie aktualny, natomiast zawsze można mnie znaleźć w «Café Europe». Czuję się tutaj, to znaczy w ogóle w Jerozolimie, a w szczególności w tej

---

[82] Przeł. Tomasz Fiałkowski

kawiarni, o wiele lepiej niż w Tel-Awiwie; tam są tylko Żydzi między sobą i chcą być tylko Żydami. Tutaj jest jakoś bardziej europejsko”.

Nie wiem, czy to pod wrażeniem wczorajszej korespondencji przypisuję dzisiejszemu listowi z Palestyny większe znaczenie, niż ma on w rzeczywistości; w każdym razie wydaje mi się, jak gdyby mój nieuczony siostrzeniec był bliższy istoty Europy niż moi uczeni koledzy, których nostalgia jest uczepiona przestrzeni geograficznej.

14 sierpnia 1935. Z każdego pomysłu jestem dumny najwyżej przez jeden dzień; potem moja duma przycicha, albowiem - taki już los filologa - przypomina mi się, skąd go wziąłem. Europa jako idea jest zapożyczeniem od Paula Valéry'ego. Dla własnego uspokojenia mogę dodać: por. Klemperera *Współczesna proza francuska*. Wtedy, a było to dobrych dwanaście lat temu, zebrałem w oddzielnym rozdziale i skomentowałem, co Francuzi myślą o Europie, jak biadają nad samowykrwawieniem się kontynentu w wojnie, jak widzą jego istotę w wypracowaniu i rozpowszechnieniu określonej kultury, określonej postawy ducha i woli. W swoim przemówieniu zuryskim z roku 1922 Paul Valéry całkiem wyraźnie sformułował abstrakcyjne pojęcie przestrzeni europejskiej. Europa jest dla niego wszędzie tam, gdzie dotarła triada, na którą składają się Jerozolima, Ateny i Rzym - on sam mówi: Hellada, Rzym antyczny i Rzym chrześcijański, ale w Rzymie chrześcijańskim zawiera się przecież Jerozolima; również Ameryka jest dla niego tylko „strasznym tworem Europy”. Ale przedstawiając Europę jako czołową potęgę światową, dodaje jednym tchem: Źle się wyraziłem, to nie Europa panuje, lecz duch europejski.

Jak można tęsknić do Europy, która już nianie jest? Bo przecież Niemcy na pewno nie są już Europą. A jak długo sąsiednie kraje będą przed nimi bezpieczne? Ja sam pewniej czułbym się w Limie niż w Stambule. Co do Jerozolimy, to na mój gust jest ona za blisko Tel-Awiwu, a to ma zbyt dużo pokrewieństwa z Miesbach... (Uwaga dla dzisiejszego czytelnika: W bawarskim mieście Miesbach wychodził w okresie republiki weimarskiej dziennik, który nie tyle przygotowywał, co raczej antycypował ton i treść „Stürmera”[83]).

Po tych notatkach słowo „Europa” przez prawie osiem lat nie pojawia się w moim dzienniku, chociaż zwracam uwagę na wszystko, co mi się narzuca jako cecha charakterystyczna LTI. Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że tu i ówdzie nie można było czegoś przeczytać o Europie czy europejskich stosunkach. Byłoby to tym bardziej niesłuszne, że przecież nazizm już od swego protoplasty Chamberlaina nauczył się posługiwać zafałszowaną ideą Europy, której w *Micie* Rosenberga przypada centralne znaczenie i którą wskutek tego wszyscy teoretycy partii bezmyślnie powtarzają.

O idei tej można powiedzieć, że stało się z nią to, co specjaliści od polityki rasowej usiłowali zrobić z niemiecką ludnością; została ona „znordyzowana”. Według doktryny nazistowskiej cała europejskość była wytworem nordyków, czyli północnych Germanów, wszelkie zaś wpływy szkodliwe, wszelkie zagrożenie pochodziło z Syrii i Palestyny; ponieważ nie dało się w żaden sposób zaprzeczyć greckiej i chrześcijańskiej genezie kultury europejskiej, przeto i Hellenowie, i Chrystus byli pochodzenia blond-błękitnooko-nordycko-germańskiego. To, co z chrześcijaństwa nie przystawało do nazistowskiej etyki

[83] „Der Stürmer” - wydawany w latach 1923-1945 w masowym nakładzie przez Juliusa Streichera tygodnik antysemicki o posmaku pornograficznym.

i koncepcji państwa, zostało wyeliminowane czy to jako domieszka żydowska, czy syryjska, czy też rzymska. Ale nawet tak zniekształcone, pojęcie i słowo „Europa" egzystowały tylko dla niewielkiej warstwy ludzi wykształconych, a poza tym były niemal tak samo podejrzane jak zakazane pojęcia inteligencja i humanizm. Istniało bowiem zawsze niebezpieczeństwo rozbudzenia wspomnień o dawnym wyobrażeniu Europy, z których potem musiałyby nieuchronnie wyniknąć pokojowe, ponadnarodowe i humanistyczne refleksje. Z drugiej strony można było z pojęcia Europy zupełnie zrezygnować, skoro czyniło się z Germanii kolebkę wszystkich idei europejskich i jedyne źródło krwi ludności europejskiej. W ten sposób Niemcy zostały wyizolowane z wszelkich powiązań i zobowiązań kulturowych, stanęły same, podobne Bogu i wyposażone w boskie prawa, ponad wszystkimi innymi narodami. Oczywiście słyszało się często, że Niemcy muszą bronić Europy przed żydowsko-azjatyckim bolszewizmem. Kiedy zaś Hitler 2 maja 1938 z niesłychanie teatralną pompą wyjechał z wizytą państwową do Włoch, prasa pisała, że Führer i Duce pracują teraz wspólnie nad stworzeniem „Nowej Europy", przy czym jednak internacjonalistycznie brzmiąca „Europa" została od razu zneutralizowana owym nagłówkiem „Święta Rzesza Germańska Narodu Niemieckiego". W latach pokojowych Trzeciej Rzeszy słowo „Europa" nie było jednak używane szczególnie często i z takim podkreśleniem szczególnego znaczenia, i z takim akcentem emocjonalnym, aby można je było odnotować jako charakterystyczne dla LTI.

Dopiero z chwilą rozpoczęcia kampanii rosyjskiej, a tak naprawdę to dopiero z chwilą rozpoczęcia odwrotu, uzyskuje ono nowy, i to coraz bardziej rozpaczliwy sens. O ile dawniej o „obronie Europy przed bolszewizmem" mówiło się tylko niekiedy i, że tak powiem, tylko przy okazji odświętnych refleksji o kulturze, o tyle teraz ten lub podobny frazes staje się tak powszechny, że pojawia się codziennie w każdej gazecie, często wielokrotnie, w różnych miejscach. Goebbels wynajduje metaforę „najazdu stepu", posługując się rzeczownikiem przejętym z fachowego języka nauki geografii ostrzega przed „ustepowieniem" Europy, i od tej chwili step i Europa, przeważnie w ścisłym ze sobą powiązaniu, należą do specyficznego słownictwa LTI.

Ale teraz pojęcie Europy ulega osobliwej regresji. W rozważaniach Valéry'ego Europa była oderwana od swego pierwotnego terytorium, a nawet w ogóle od jakiegokolwiek terytorium; oznaczała wszystko, co było naznaczone duchowo znamieniem owej triady: Jerozolima, Ateny, Rzym (albo, wyrażając to bardziej z łacińska: Ateny i dwakroć Rzym). Obecnie, w ostatniej tercji ery hitlerowskiej, nie chodzi już absolutnie o taką abstrakcję. Oczywiście mówi się o ideach Zachodu, bronionych przed zalewem Azji. Ale zarazem unika się propagowania idei Europy nordycko-germańskiej, tak podkreślanej w okresie ekspansji nazizmu, a z drugiej strony nie wspomina się też ani słowem o bliższym prawdy pojęciu Europy sformułowanym przez Valéry'ego. Nazywam je tylko bliższym prawdy, ponieważ w swoim czysto łacińskim zabarwieniu i wyłącznym ukierunkowaniu zachodnim jest ono za ciasne na to, aby mogło być całkowicie prawdziwe: odkąd na Europę oddziałują Tołstoj i Dostojewski (a *Roman Russe* Vogüégo ukazała się już w roku 1886), odkąd marksizm rozwija się dalej jako marksizm-leninizm, odkąd zespolił się z amerykańską techniką, punkt ciężkości duchowej Europy przeniósł się do Moskwy...

Nie, Europa, o której dzień w dzień mówi teraz LTI, która stała się jej nowym fundamentalnym słowem, jest pojmowana w kategoriach całkowicie przestrzennych i materialnych; oznacza ona terytorium węższe i widziane pod bardziej konkretnym kątem widzenia niż dawniej. Otóż teraz Europa jest nie tylko odgraniczona od Rosji, której zresztą odmawia się - na rzecz nowego

hitlerowskiego kontynentu - prawa do znacznej części jej terytoriów jako posiadanych nielegalnie; Europa jest też we wrogim rozbracie z Wielką Brytanią.

Jeszcze na początku wojny było inaczej. Mówiło się wtedy: „Anglia przestała być wyspą". Powiedzenie to zrodziło się zresztą na długo przed Hitlerem, znalazłem je w *Tankredzie* Disraelego i u zainteresowanego problematyką polityczną pisarza-podróżnika Rohrbacha, który propagował kolej bagdadzką i ideę Europy środkowej; pomimo to jednak będzie ono na zawsze związane z Hitlerem. Wtedy, w zwycięskim upojeniu po rozbiciu Polski i Francji, całe hitlerowskie Niemcy oczekiwały bliskiego lądowania w Anglii.

Nadzieja ta nie spełniła się i oto miejsce zablokowanej i zagrożonej inwazją Anglii zajęła zablokowana i zagrożona inwazją Oś, a hasłem stała się „uodporniona na blokadę", „samowystarczalna Europa", „czcigodny kontynent", zdradzony, jak mówiono, przez Anglię, osaczony przez Amerykanów i Rosjan, przeznaczony na zniewolenie i duchowe wyjałowienie. Pod względem leksykalnymi pojęciowym decydujące znaczenie ma dla LTI „twierdza Europa" [*Festung Europa*].

Wiosną 1943 roku ukazała się, poparta przychylną urzędową oceną („Publikacja jest zamieszczona w bibliografii literatury narodowosocjalistycznej"), książka Maxa Claussa *Tatsache Europa* [Europa jako fakt]. Już sam tytuł świadczy o tym, że nie chodzi tu o jakąś mglistą, spekulatywną ideę, lecz o konkret, o ściśle zakreślone terytorium Europy. O „nową Europę, która dzisiaj maszeruje". Miejsce właściwego przeciwnika zajmuje w tym dziele Anglia- właśnie Anglia w znacznie większym stopniu niż Rosja. Teoretycznym punktem wyjścia jest wydana w 1923 roku książka Coudenhove-Kalergiego *Paneuropa*, gdzie Anglia jest przedstawiona jako czołowe mocarstwo europejskie, a Rosja Radziecka jako niebezpieczeństwo dla europejskiej demokracji. W punkcie nastawienia antyradzieckiego Coudenhove jest więc sprzymierzeńcem, a nie przeciwnikiem nazistowskiego autora. Ale nie chodzi tu o czysto polityczną postawę obu teoretyków. Clauss cytuje słowa Coundenhovego, którymi objaśnia on znaczenie odznaki swojej Unii[84]; „znak, w którym połączą się Paneuropejczycy wszystkich państw, krzyż słoneczny: czerwony krzyż na złotym słońcu, symbol humanizmu i rozumu". Tym, co mnie tutaj interesuje, nie jest brak zrozumienia przez Coundenhovego, że właśnie Rosja, ta wykluczona przez niego Rosja niesie pochodnie europejskiego ducha, ani jego poparcie dla hegemonii Anglii. Chodzi mi tu jedynie o to, że Coudenhove przyznaje centralne miejsce idei, a nie terytorium Europy - gdy tymczasem na okładce publikacji nazistowskiej widoczne jest właśnie terytorium, pokazana jest tam mapa kontynentu - i że ta idea zowie się humanizm i rozum. Książka *Europa jako fakt* wyśmiewa „paneuropejskie urojenie" i zajmuje się wyłącznie „rzeczywistością", a ściśle mówiąc tym, co w początku roku 1943 uchodzi oficjalnie w Niemczech hitlerowskich za trwałą rzeczywistość: „Rzeczywistość polegająca na organizacji ogromnego obszaru kontynentu z wywalczonym zapleczem na wschodzie, rzeczywistość polegająca na wyzwoleniu potężnych sił, aby uodpornioną na blokadę Europę uczynić absolutnie niezdobytą". Pośrodku tego obszaru leżą Niemcy jako „siła utrzymująca ład" [*Ordnungsmacht*]. Także i to wyrażenie należy do LTI w jej późnej fazie. Jest to eufemistyczny kryptonim dla oznaczenia siły rządzącej i wyzyskującej, który tym mocniej się upowszechnia, im bardziej słabnie pozycja „partnera w Osi" - sprzymierzonych Włoch; nie zawiera on żadnego celu idealnego, oderwanego od terytorium.

[84] Richard Coudenhove-Kalergi (1894-1972) - polityk austriacki, organizator tzw. ruchu paneuropejskiego, założył w r. 1923 Unię Paneuropejską.

Ilekroć słowo „Europa” pojawia się w ostatnich latach w prasie czy w przemówieniach - a im gorsza jest sytuacja Niemiec, tym dzieje się to częściej i tym bardziej w charakterze zaklęcia - zawsze ma ono taką tylko treść: Niemcy, „siła utrzymująca ład”, bronią „twierdzy Europa”.

W Salzburgu można zobaczyć wystawę zatytułowaną *Niemieccy artyści a SS*. Nagłówek relacji o niej brzmi: *Od awangardy ruchu do zastępów walczących za Europę*. Na krótko przedtem, wiosną 1944 roku, Goebbels pisze: „Narody Europy powinny nam na kolanach dziękować” za to, że walczymy w ich obronie, na co może wcale nie zasługują! (Tylko początek zdania zanotowałem dosłownie).

Ale wśród wszystkich tych materialistów, którym nieustannie marzy się kontynent europejski we władzy Niemiec hitlerowskich, odzywa się naraz pewien poeta i idealista. Latem 1943 roku „Reich” przynosi odę do Europy w antycznym metrum. Poeta nazywa się Wilfried Bade, a jego wydany właśnie tomik wierszy nosi tytuł *Śmierć i życie*. Nie wiem nic więcej ani o autorze, ani o jego dziele, może oboje zaginęli bez śladu; wtedy poruszyły mnie tylko, i czuję to we wspomnieniu jeszcze dziś, czysta forma i polot tej jednej ody. Otóż Niemcy są tam przyrównane do boga w postaci byka, który uprowadza piękną Europę, a o porwanej i uniesionej w niebiosa czytamy: „Jesteś zarazem matką, kochanką i córką w wielkiej, nieodgadnionej tajemnicy...”. Ale młody idealista i przyjaciel antyku nie zaprząta sobie dalej głowy tą wielką tajemnicą, zna bowiem lekarstwo na wszystkie duchowe trudności: „Lecz w błysku mieczów wszystko jest proste i znika wszelka zagadka”.

Jakże nieskończenie daleko jesteśmy od idei Europy z czasów pierwszej wojny światowej! „Europo, nie zniosę, byś w tym szaleństwie zginęła, Europo, krzyknę w twarz twoim mordercom, kim jesteś!” - woła Jules Romains, gdy poeta drugiej wojny światowej doznaje uniesienia i odurzenia w błysku mieczów!

Życie pozwala sobie na kombinacje, na jakie nie może sobie pozwolić powieściopisarz, bo w powieści wydawałyby się one zbyt powieściowe. Zebrałem swoje notatki na temat Europy z czasów hitlerowskich i zastanawiałem się właśnie, czy powracamy teraz do bardziej czystego sposobu myślenia o Europie, czy też w ogóle poniechamy pojęcia Europy - bo przecież z tej samej Moskwy, której Valéry, człowiek z kręgu kultury romańskiej, jeszcze w swoich rozważaniach nie uwzględniał, najczystsza europejska myśl kieruje się obecnie dosłownie „do wszystkich” i z punktu widzenia Moskwy jest już tylko świat, a nie jakaś oddzielna prowincja Europa - kiedy otrzymałem od swojego siostrzeńca Waltera list z Jerozolimy, pierwszy od sześciu lat. Tym razem nie był on wysłany z „Café Europe”. Nie wiem, czy ta kawiarnia jeszcze istnieje, w każdym razie brak tego adresu uznałem za fakt równie symboliczny, jak kiedyś jego umieszczenie na liście. Tym bardziej że i w treści listu brakowało owej europejskości z tamtych czasów. „Może czytałeś coś o tym w gazetach (pisał w liście Walter), ale nie potrafisz sobie wyobrazić, co tu nasi nacjonaliści wyczyniają. Czy po to uciekałem z hitlerowskich Niemiec?”... Tak więc widocznie „Café Europe” rzeczywiście nie ma dla siebie w Jerozolimie miejsca. Ale to już należy do „żydowskiego” rozdziału mojej LTI.

XXV
Gwiazda

Znowu zadaję sobie pytanie, które już setki razy zadawałem sobie i innym: Jaki był najcięższy dzień dla Żydów w ciągu tych strasznych dwunastu lat?

Ani od siebie, ani od innych nie otrzymałem nigdy innej odpowiedzi, tylko tę: 19 września 1941. Od tego dnia obowiązywało Żydów noszenie gwiazdy - sześcioramiennej gwiazdy Dawida. Strzępek materiału żółtej barwy - barwa, która dziś jeszcze oznacza zarazę i kwarantannę, a która w średniowieczu służyła do oznaczania Żydów, kolor zazdrości i żółci, co się przedostała do krwi, kolor zła, którego się należy wystrzegać, żółty strzępek materiału z czarnym nadrukiem *Jude*- słowo to jest obramowane limami dwóch przecinających się trójkątów i utworzone z grubych liter, które w swoim wyizolowaniu i w nadmiernym podkreśleniu ich wymiaru poziomego imitują znaki pisma hebrajskiego.

Czy ten opis nie jest przydługi? Ależ nie, przeciwnie! Brakuje mi tylko umiejętności do jeszcze bardziej dokładnego, jeszcze bardziej wnikliwego opisu. Jakże często, gdy trzeba było przyszyć nową gwiazdę na jakąś nową sztukę odzieży (czy raczej starą, otrzymaną z magazynu odzieży dla Żydów), na bluzę czy chałat roboczy, jakże często obserwowałem ten strzępek materiału przez lupę, przyglądałem się poszczególnym włókienkom żółtej tkaniny, nierównościom czarnego nadruku - a wszystkich tych włókienek nie starczyłoby, gdybym chciał do nich uczepić każdą z przeżytych tortur sprawionych przez gwiazdę.

Oto idzie naprzeciw mnie poczciwie i dobrodusznie wyglądający człowiek i prowadzi troskliwie za rękę małego chłopczyka. Na krok przede mną zatrzymuje się:

- Horst!, popatrz na tego tu! To on wszystkiemu winien!

- ... Siwobrody mężczyzna o zadbanym wyglądzie podchodzi ku mnie z drugiej strony ulicy, nisko mi się kłania, podaje rękę: - Pan mnie nie zna, ale pragnę panu tylko powiedzieć, że potępiam te metody - ...Chcę wsiąść do tramwaju, wolno mi jechać tylko na przednim pomoście i tylko kiedy jadę do fabryki, i tylko jeśli fabryka jest odległa od mojego mieszkania więcej niż sześć kilometrów, i tylko jeśli przedni pomost jest trwale oddzielony od wnętrza wozu; chcę wsiąść, jest już późno, a jeśli nie stawię się w pracy punktualnie, majster może zrobić na mnie doniesienie do Gestapo. Ktoś ściąga mnie do tyłu z powrotem: - Przejdź no się pieszo, to ci tylko wyjdzie na zdrowie! - To oficer SS, uśmiecha się szyderczo, bez śladu brutalności, droczy się tylko troszkę, tak jak się droczy z psem... Moja żona mówi: - Taka ładna pogoda i wyjątkowo nie robię dzisiaj żadnych zakupów, nie potrzebuję nigdzie stać w kolejce - odprowadzę cię kawałek! - Wykluczone! Czy mam się przyglądać na ulicy, jak cię obrażają z mojego powodu? A poza tym skąd można wiedzieć, czy nie zwrócisz na siebie uwagi kogoś, kto cię dotąd nie zna, i kiedy będziesz wynosić moje rękopisy, wpadniesz mu prosto w łapy!... - Tragarz mebli, zaprzyjaźniony ze mną od czasu dwóch przeprowadzek - sami dobrzy ludzie, najpewniej mają coś wspólnego z KPD wyrasta nagle przede mną na Freiberger Straße, chwyta moją dłoń w oba łapska i szepcze tak, że na pewno go słychać po drugiej stronie ulicy: - No, panie profesorze, głowa do góry! Koniec tych przeklętych drani już bliski! - Ma to być pociecha, i rzeczywiście jest w tym jakieś pokrzepienie ducha, ale jeśli na przeciwległym chodniku usłyszy te słowa, kto należy, to mój przyjaciel przypłaci je więzieniem, a ja via Oświęcim życiem... Przejeżdżające auto hamuje na pustej ulicy, wychyla się z niego jakaś obca głowa: - Jeszcze żyjesz, przeklęta świnio? Warto by ci przejechać po brzuchu!...

Nie, wszystkich najmniejszych włókienek nie wystarczy na to, aby zakarbować na nich chwile goryczy sprawione przez gwiazdę.

Na Georgplatz stało na skwerze popiersie Gutzkowa[85], z którego dzisiaj zachował się tylko cokół, tkwiący na porytym skrawku ziemi; miałem szczególnie przyjazny stosunek do tego popiersia. Kto dzisiaj jeszcze zna *Rycerzy z ducha*? W związku ze swoją pracą doktorską przeczytałem z przyjemnością wszystkie dziewięć tomów, a kiedyś znacznie wcześniej opowiadała mi matka, jak będąc jeszcze dziewczynką połykała tę powieść jako ogromnie modną i właściwie niedozwoloną lekturę. Ale nie o *Rycerzach z ducha* myślę głównie, kiedy przechodzę obok miejsca, gdzie stało popiersie Gutzkowa, lecz o *Urielu Akoście*, którego jako szesnastoletni chłopiec widziałem u Krolla. Sztuka ta prawie zupełnie już wtedy znikła z regularnego repertuaru, a każdy krytyk uważał wręcz za swój obowiązek wybrzydzać się na nią i wskazywać wyłącznie na jej słabe strony. Ja jednak byłem nią wstrząśnięty, a jedno zdanie z niej towarzyszyło mi przez całe życie. Kilkakrotnie przy zetknięciu z jakimiś antysemickimi emocjami odniosłem wrażenie, że odczuwam je szczególnie żywo, ale faktycznie weszło ono w moje własne życie dopiero owego 19 września. A brzmiało tak: „Zanurzyć chciałbym się w powszechność i płynąć z wielkim nurtem życia!" Oczywiście, od powszechnego, ogólnego świata byłem odcięty już od roku 1933, a i całe Niemcy były od niego odcięte. Ale jednak z chwilą, gdy odszedłem ze swego mieszkania i z ulicy, na której mnie znano, było to pewne zanurzenie się w wielkim ogólnym nurcie - wprawdzie pełne lęku, bo w każdej chwili mógł mnie rozpoznać i zaczepić ktoś złośliwy, ale bądź co bądź tak to odczuwałem. Teraz zaś byłem w każdej chwili dla każdego rozpoznawalny, a wskutek tego oznakowania izolowany i wyjęty spod prawa; zarządzenie uzasadniono bowiem tym, że Żydów trzeba izolować, ponieważ w Rosji wyszło na jaw ich okrucieństwo.

Dopiero teraz gettoizacja była całkowita; poprzednio słowo „getto" pojawiało się tylko tam, gdzie na stemplach pocztowych można było przeczytać na przykład „Getto Litzmannstadt" - było ono zastrzeżone dla podbitych obcych krajów. W Niemczech były pojedyncze domy, w których stłaczano Żydów i które niekiedy były nawet opatrzone z zewnątrz napisem *Judenhaus* [Dom żydowski]. Ale leżały one pośrodku dzielnic aryjskich, a i same nie były zamieszkane wyłącznie przez Żydów; dlatego zresztą na innych można było czasami przeczytać informację: „Ten dom jest wolny od Żydów". Zdanie to, wypisane dużymi czarnymi literami, zachowało się na niektórych murach dopóty, dopóki same te mury nie zostały przez bomby obrócone w gruzy. Natomiast tabliczki „Sklep czysto aryjski" i nienawistne napisy na szybach wystawowych „Sklep żydowski!", podobnie jak czasownik „aryzować" [*arisieren*] i egzorcystyczne słowa na drzwiach sklepowych: „Przedsiębiorstwo całkowicie zaryzowane!" znikły bardzo szybko, z chwilą gdy przestały istnieć sklepy żydowskie i nie było już czego aryzować.

Teraz, kiedy wprowadzono gwiazdę, nie miało już żadnego znaczenia, czy domy żydowskie były rozproszone, czy też tworzyły własną dzielnicę, bowiem każdy Żyd napiętnowany gwiazdą nosił swoje getto ze sobą, jak ślimak swój domek. Było też rzeczą obojętną, czy w jego domu mieszkali sami Żydzi, czy również Aryjczycy, bo nad jego nazwiskiem musiała być na drzwiach przyklejona gwiazda. Jeśli żona była Aryjką, powinna była umieścić swoje nazwisko obok gwiazdy i dodać po nim słowo *arisch*.

---

[85] Karl Gutzkow (1811-1878) - niemiecki powieściopisarz, dramaturg i publicysta, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli ruchu Młodych Niemiec, grupy pisarzy zwolenników liberalno-demokratycznych przemian w Niemczech; powieść *Die Ritter von Geiste* (Rycerze z ducha) i tragedia *Uriel Akosta* należą do jego najbardziej znanych utworów.

A niedługo tu i ówdzie na drzwiach poczęły się pojawiać inne kartki, budzące swoją treścią dreszcz: „Tutaj mieszkał Żyd Weil”. Listonoszka wiedziała wówczas, że nie potrzebuje się już dowiadywać o jego nowy adres; nadawca otrzymywał z powrotem swój list z eufemistycznym dopiskiem: „Adresat wyjechał”. Tak więc słowo „wyjechał” [*abgewandert*], w jego okrutnym specjalnym znaczeniu, należy jak najbardziej do słownika LTI - do jego działu żydowskiego.

Dział ten obfituje w urzędowe wyrażenia i zwroty, dobrze znane wszystkim, których dotyczyły, i występujące stale w ich rozmowach. Zaczęło się to oczywiście od słów „niearyjski” i „aryzować”, potem były „ustawy norymberskie dla ochrony czystości niemieckiej krwi”[86], potem byli „pełni Żydzi” [*Volljuden*] i „pół-Żydzi” [*Halbjuden*], i „mieszańcy pierwszego stopnia” [*Mischlinge ersten Grades*] i innych stopni, i „osoby pochodzące od Żydów” [*Judenstämmlinge*], Przede wszystkim zaś byli „uprzywilejowani”.

Jest to jedyny wynalazek nazistów, co do którego nie wiem, czy autorzy byli świadomi całej szatańskości swego pomysłu. „Uprzywilejowani” ujawniali się tylko w żydowskich grupach roboczych w fabrykach; ich uprzywilejowanie polegało właśnie na tym, że nie potrzebowali nosić gwiazdy ani mieszkać w domu żydowskim. Uprzywilejowanym był ten, kto żył w małżeństwie mieszanym i miał z tego małżeństwa dzieci „wychowane po niemiecku”, to znaczy nie zarejestrowane jako członkowie gminy żydowskiej. Może ten paragraf, którego wykładnia bywała często niepewna i dawała okazję do przebiegłych wykrętów, został rzeczywiście wprowadzony tylko po to, aby chronić element przydatny z punktu widzenia nazistów, niewątpliwie jednak nic nie działało na samo środowisko żydowskie równie dezintegrująco i demoralizująco, jak właśnie ten przepis. Ileż wzbudzał zawiści i nienawiści! Niewiele słyszałem zdań wypowiadanych częściej i z większą goryczą jak to: „On jest uprzywilejowany”. To znaczy: płaci mniejszy podatek niż my, nie musi mieszkać w domu żydowskim, nie nosi gwiazdy, może jako tako zniknąć w tłumie... A ileż wyniosłości, ile żałosnej satysfakcji z cudzego nieszczęścia - żałosnej, bo przecież „uprzywilejowani” tkwili w tym samym piekle, co my, jakkolwiek w jego lepszym kręgu, a w końcu komora gazowa pochłonęła również i ich - ile podkreślanego dystansu zawierały często te dwa słowa: „Jestem uprzywilejowany”. Kiedy teraz słyszę o wzajemnych oskarżeniach wśród Żydów, o drastycznych aktach zemsty, to zawsze myślę najpierw o zasadniczym rozdźwięku między tymi, co nosili gwiazdę, a „uprzywilejowanymi”. W warunkach przymusowej wspólnoty mieszkaniowej w domu żydowskim - wspólna kuchnia, wspólna łazienka, wspólny przedpokój dla kilku lokatorów - i ścisłej bliskości w żydowskich grupach w fabrykach było oczywiście bez liku innych przyczyn do tarć; niemniej jednak różnica między uprzywilejowanymi a nie uprzywilejowanymi rozpalała najzacieklejszą wrogość, bo chodziło tutaj o to, co było najbardziej znienawidzone: o gwiazdę.

W swoim dzienniku napotykam stale występujące w bardzo zbliżonych do siebie wariantach zdania w rodzaju: „Tutaj wychodzą na jaw wszystkie złe cechy ludzkie - można by się nieomal stać antysemitą!” Ale poczynając od drugiego domu żydowskiego - poznałem ich trzy - wybuchom takim towarzyszy zawsze dodatek: „Dobrze, że przeczytałem *Za drutem kolczastym* Dwingera. To, co tam stłoczono w syberyjskim obozie z czasów pierwszej wojny światowej, nie ma nic wspólnego z Żydami, są to czyści rasowo Aryjczycy, żołnierze niemieccy, niemiecki korpus oficerski, a jednak w obozie tym dzieje się przecież to samo, co w naszych domach żydowskich. To nie rasa, to nie religia jest przyczyną, tylko stłoczenie i zniewolenie...”. „Uprzywilejowany” jest drugim najgorszym słowem w żydowskim dziale

[86] Ustawy norymberskie - uchwalone przez Reichstag 15 września 1935 r. w Norymberdze dwie ustawy, które były usankcjonowaniem w formie prawnej polityki dyskryminacji wobec Żydów.

mojego słownika. Pierwszym pozostaje gwiazda. Czasem traktuje się ją z wisielczym humorem: Noszę *Pour le Sémite*[87] - brzmi powszechnie znany dowcip; czasem twierdzi się, nie tylko wobec innych, ale i wobec siebie samego, że jest się z niej dumnym; dopiero od całkiem niedawna wiąże się też z nią pewne nadzieje: ona będzie naszym alibi! Przeważnie jednak jej jaskrawa żółć jest tłem dla najbardziej dręczących myśli.

Szczególnie zaś złowrogo fosforyzuje „gwiazda zakryta". Gwiazdę, głosi przepis Gestapo, należy nosić wyraźnie widoczną po stronie serca, na marynarce, na płaszczu, na chałacie roboczym, należy ją nosić w każdym miejscu, gdzie istnieje możliwość zetknięcia się z Aryjczykami. Jeśli w duszny marcowy dzień rozpiąłeś płaszcz, tak że jego klapa odchyliła się na lewą stronę, jeśli trzymasz teczkę pod lewym ramieniem, jeśli będąc kobietą nosisz mufkę, wtedy twoja gwiazda jest „zakryta" - może nieumyślnie i na przeciąg sekund zaledwie, a może i umyślnie, bo chcesz przejść ulicą bez piętna na sobie. Funkcjonariusz Gestapo uznaje zawsze, iż zakrycie jest rozmyślne, a za to grozi kacet. Jeśli funkcjonariusz Gestapo chce się wykazać gorliwością w służbie a ty mu się akurat nawiniesz pod rękę, to choćbyś ramię z teczką albo z mufką opuścił aż do kolan, choćby twój płaszcz był jak najporządniej zapięty, to jednak okazuje się, że Żyd Lesser albo Żydówka Winterstein „zakrył (zakryła) gwiazdę" i najpóźniej za kwartał gmina otrzymuje całkiem formalne świadectwo śmierci z Ravensbrück albo z Oświęcimia. Przyczyna zgonu jest w nim podana dokładnie i nawet w sposób urozmaicony, czyli zindywidualizowany; zowie się ona na przemian: „niedomoga mięśnia sercowego" i „zastrzelony przy usiłowaniu ucieczki". Ale prawdziwą przyczyną śmierci jest zakryta gwiazda.

XXVI
Wojna żydowska

Mężczyzna stojący obok mnie na przednim pomoście obrzuca mnie ostrym spojrzeniem i mówi cicho, ale tonem rozkazującym, tuż przy moim uchu: - Wysiądziesz przy Dworcu Głównym i pójdziesz ze mną. - Coś takiego zdarza mi się po raz pierwszy, ale oczywiście znam to dobrze z opowiadań innych nosicieli gwiazdy. Może się to skończy pomyślnie, może tamten jest usposobiony do żartów i uznał, że ja się do nich nadaję. Ale nie mogę być tego pewny z góry, ponieważ zaś nawet łagodne i żartobliwe potraktowanie przez Gestapo nie należy do przyjemności, incydent ten robi na mnie wrażenie. - Będę go iskał - mówi mój hycel do portiera - niech tu stoi twarzą do ściany, dopóki go nie zawołam. - Stoję więc przez jakiś kwadrans w klatce schodowej, odwrócony twarzą do ściany, a przechodzący tamtędy rzucają mi wyzwiska i rady w rodzaju: - Powieszę się wreszcie, żydowski psie, na co jeszcze czekasz?... - Za mało jeszcze batów dostałeś?... - Wreszcie słyszę: - Na górę, ale już... biegiem! - Otwieram drzwi i natykam się na stojące tuż za nimi biurko. Życzliwy głos: - Czyżbyś tu jeszcze nie był? Faktycznie? Twoje szczęście - musisz się jeszcze sporo nauczyć... Na dwa kroki od biurka, dłonie na szwach spodni i meldować na baczność: „Żyd Paul Israel Dreckvieh[88], czy jak tam, melduje się". A więc w tył zwrot i za drzwi, marsz, marsz, i biada ci, jeśli to nie wyjdzie sprawnie!... No, za bardzo sprawnie to nie było, ale na pierwszy raz może wystarczy. A teraz iskamy. Dawać tu kennkartę i wszystkie papiery, i opróżnić kieszenie, zawsze przecież macie przy sobie coś kradzionego albo ze spekulacji... Co, jesteś

[87] Trawestacja nazwy orderu Pour le mérite (Za zasługę) ustanowionego w r. 1740 przez Fryderyka II.
[88] Znaczy to mniej więcej: niechlujne bydlę; złośliwe nawiązanie do ośmieszających niemieckich nazwisk Żydów.

profesorem? Człowieku, ty nas chcesz czegoś uczyć? No, już za samą taką bezczelność powinieneś iść do Theresienstadt... Nie! Jeszcze ci daleko do 65 lat, więc do Polski. Jeszcze nie ma 65, a taki pozieleniały i rozklekotany, i ledwie dyszy! Musiałeś się naużywać w swoim rozpustnym życiu, wyglądasz, jakbyś miał 75! - Inspektor jest w dobrym humorze.

- Masz dzisiaj szczęście, żeśmy nie znaleźli przy tobie nic zakazanego. Ale pilnuj się, żeby następnym razem twoje kieszenie nie wyglądały inaczej; jeden najmniejszy papieros i już cię nie ma, choćbyś miał trzy aryjskie żony... Odmaszerować, ale to już!

Miałem już rękę na klamce, kiedy mnie zawołał z powrotem: - Teraz w domu będziesz się modlił o żydowskie zwycięstwo, co? Nie wybałuszaj tak na mnie gał, odpowiadać też nie potrzebujesz, wiem, że tak będzie. Przecież to jest wasza wojna - co, kręcisz głową? A z kim my prowadzimy wojnę? Otwórzże gębę, kiedy cię pytają, przecież jesteś podobno profesorem. - Z Anglią, Francją i Rosją, z... - No, przestań już, to wszystko bzdury. Z Żydami prowadzimy wojnę, to jest wojna żydowska. A jeśli jeszcze raz pokręcisz głową, to cię tak zamaluję, że możesz od razu lecieć do dentysty. To jest wojna żydowska, Führer tak powiedział, a Führer ma zawsze rację... wynoś się!

Wojna żydowska! Führer tego nie wymyślił, na pewno też nie słyszał nic o Józefie Flawiuszu[89], a tylko dowiedział się kiedyś przypadkowo z jakiejś gazety czy księgarskiej wystawy, że Żyd Feuchtwanger napisał powieść *Wojna żydowska*. Tak samo chyba jest ze wszystkimi szczególnie charakterystycznymi słowami i zwrotami LTI: Anglia przestała być wyspą, roztopienie w masie, ustepowienie, podczłowieczeństwo itd. - wszystko jest zapożyczone, a przecież wszystko jest nowe i na zawsze należy do LTI, bo z ustronnych zakątków indywidualnego, specjalistycznego czy grupowego uzusu językowego zostało przeniesione do języka powszechnego i całkowicie przepojone jadem podstawowej nazistowskiej tendencji.

Wojna żydowska! Kręciłem na te słowa głową i wyliczałem poszczególnych przeciwników Niemiec. A przecież określenie to jest z punktu widzenia nazizmu trafne, a nawet jest trafne w znacznie szerszym sensie niż ten, w jakim zostało użyte; bo przecież wojna żydowska rozpoczęła się z chwilą „przejęcia władzy" [*Machtübernahme*][90] w dniu 30 stycznia 1933, zaś 1 września 1939 nastąpiło tylko rozszerzenie tej wojny [*Kriegserweiterung*] - że użyję późniejszego, modnego przez pewien czas słowa LTI. Długo wzbraniałem się uznać, że to my - właśnie dlatego, że musiałem powiedzieć „my", uważałem to za ciasną i próżną samoułudę - że to my znaleźliśmy się w takim centrum uwagi nazizmu. Ale rzeczywiście tak było, geneza zaś tej sytuacji jest zupełnie jasna.

Wystarczy tylko przeczytać uważnie w *Mein Kampf* te strony rozdziału *Wiedeńskie lata nauki i cierpień*, na których Hitler opisuje swoje „przemienienie w antysemitę": Cokolwiek byłoby tu zawoalowane, upiększone, sztucznie skonstruowane, to przecież jedno narzuca się jako oczywista prawda: zupełnie niewykształcony i pozbawiony kośćca moralnego człowiek styka się z polityką po raz pierwszy w wydaniu austriackich antysemitów Luegera i Schönerera, których widzi z perspektywy ulicy i rynsztoku. W sposób prymitywny maluje sobie obraz Żyda jako takiego - przez całe życie będzie mówił: narodu żydowskiego - w oparciu o typ galicyjskiego handlarza domokrążcy, w sposób prymitywny obrzydza wygląd zewnętrzny niechlujnego chałaciarza; w sposób prymitywny obarcza

---

[89] Historyk żydowski Józef Flawiusz (ok. 37 - ok. 103) napisał słynne dzieło *Wojna żydowska*, którego treścią jest powstanie Żydów przeciwko Rzymianom w latach 66-73.
[90] Słowo Machtübernahme od dnia 30 stycznia 1933 r. oznaczało w języku nazizmu konkretnie objęcie władzy przez partię hitlerowską.

tego chałaciarza, wyniesionego do roli postaci alegorycznej, utożsamianego z „narodem żydowskim”, sumą wszystkich czynów niemoralnych, którymi się oburzał w okresie wiedeńskim, pełen rozgoryczenia z powodu swych życiowych niepowodzeń. W każdym naciętym „wrzodzie życia kulturalnego” znajduje niezawodnie „jak robaka w gnijącym ciele... Żydka”. Cała zaś żydowska działalność w najróżniejszych dziedzinach to dla niego zaraza, „gorsza od szalejącej niegdyś zarazy morowej”.

„Żydek” [*Jüdlein*] i „zaraza morowa”, wyraz pogardliwego szyderstwa i wyraz grozy, panicznego lęku: oto dwie formy stylistyczne, które spotkamy u Hitlera zawsze, ilekroć będzie mówił o Żydach, a więc we wszystkich jego mowach i przemówieniach. Nigdy nie wyszedł poza tę dziecięcą i infantylną zarazem postawę względem Żydów. W niej leży źródło istotnej części jego siły, zespala ona go bowiem z najbardziej duchowo ograniczoną masą narodu, która w epoce maszyn składa się wcale nie z przemysłowego proletariatu, lecz głównie z wielkich mas drobnomieszczaństwa i częściowo tylko z ludności wiejskiej. Ktoś, kto jest inaczej ubrany, kto mówi innym językiem, nie jest innym człowiekiem, lecz innym zwierzęciem z innej zagrody, z którym nie może być żadnego porozumienia, które trzeba nienawidzić i wygryźć ze swego legowiska. Rasa jako pojęcie z dziedziny nauki i pseudonauki istnieje dopiero od połowy XVIII wieku. Ale jako uczucie instynktownej niechęci do obcego, jako z głosu krwi płynąca wrogość wobec niego, należy świadomość rasowa do najniższego stopnia rozwoju ludzkości, który ulega przezwyciężeniu w miarę tego, jak jedna ludzka horda przestaje widzieć w sąsiedniej hordzie stado zwierząt innego gatunku.

O ile jednak tym sposobem antysemityzm jest dla Hitlera elementarną emocją, ugruntowaną w duchowym prymitywizmie człowieka, o tyle z drugiej strony znamionuje Führera - i to od samego początku i w najwyższym stopniu - owa wyrachowana przebiegłość, która zdaje się tak sprzeczna ze stanem niepoczytalności, a przecież tak często jest z nim związana. Wie on, że może oczekiwać wierności tylko od tych, którzy się znajdują w takim samym stanie prymitywizmu jak on; najprostszym zaś i najpewniejszym sposobem utrzymywania ich w nim jest podsycanie, uzasadnianie i, że tak powiem, gloryfikacja instynktownej nienawiści do Żydów. Trafia on tu przecież w najsłabsze miejsce mentalności narodu. Ileż to czasu upłynęło od chwili, kiedy Żydzi wyszli z izolacji, ze swojej oddzielnej zagrody, i zostali przyjęci do narodowej społeczności? Początki emancypacji przypadają na początek XIX stulecia, jej pełna realizacja w Niemczech następuje dopiero w latach sześćdziesiątych, a w austriackiej Galicji zwarta masa żydowska wcale nie chce rezygnować ze swej odrębności i nieustannie dostarcza konkretnego materiału poglądowego i dowodowego tym, którzy widzą w Żydach naród nieeuropejski, rasę azjatycką. I właśnie w chwili kiedy Hitler poczyna snuć swoje polityczne rozważania, sami Żydzi naprowadzają go na najbardziej mu odpowiadającą drogę. Jest to czas rodzącego się syjonizmu. W Niemczech mało jeszcze o nim słychać, ale w Wiedniu z lat nauki i cierpień Hitlera jest już bardzo widoczny. Stanowi tutaj - cytuję znowu *Mein Kampf* - „wielki ruch o szerokim zasięgu”. Opierając antysemityzm na idei rasy, daje mu się nie tylko naukową czy pseudonaukową podstawę, ale także naturalną rodzimą bazę, i w ten sposób czyni się go niemożliwym do wykorzenienia: ubranie, obyczaj, wykształcenie i wiarę może bowiem człowiek zmienić, ale swojej krwi zmienić nie może.

Lecz co się uzyskuje przez podtrzymywanie takiej nie dającej się wykorzenić nienawiści do Żydów, zepchniętej w mroczną sferę instynktu? Niezmiernie wiele. Tak wiele, że antysemityzmu narodowych socjalistów nie uważam za szczególne zastosowanie ich ogólnej doktryny rasy, lecz jestem raczej przekonany, że przyjęli oni i rozwinęli swoją ogólną doktrynę rasy tylko po to, aby w trwały i naukowy

sposób ugruntować antysemityzm. Żyd jest czymś najważniejszym w państwie Hitlera: jest najbardziej naturalnym kozłem ofiarnym, najbardziej naturalnym przeciwnikiem, najbardziej przekonywającym wspólnym mianownikiem, najtrwalszą klamrą spinającą przeróżne elementy. Gdyby Führerowi rzeczywiście udało się - jak zamierzał - unicestwić wszystkich Żydów, to musiałby wynaleźć nowych, bo bez żydowskiego diabła - „kto nie zna Żyda, ten nie zna diabła", było napisane na gablotkach „Stürmera" - bez mrocznej postaci Żyda nie byłoby świetlistej postaci nordyckiego Germanina. Zresztą znalezienie nowych Żydów nie stanowiłoby dla Führera żadnej trudności: przecież nazistowscy autorzy nieraz dopatrywali sie w Anglikach potomków zaginionego biblijnego plemienia żydowskiego.

Opętańcza przebiegłość Hitlera ujawnia się w jego perfidnych- i bezwstydnie szczerych zaleceniach dla propagandystów partii. Najwyższa reguła brzmi wszędzie: Nie pozwalaj aby twoi słuchacze zaczęli myśleć krytycznie, przedstawiaj wszystko w sposób uproszczony! Jeśli mówisz o wielu przeciwnikach, to temu i owemu mogłoby przyjść do głowy, że to może ty, który jesteś sam, nie masz racji - sprowadź więc tych wielu do wspólnego mianownika, połącz ich w jedno, nadaj im cechę wspólności! Do tego wszystkiego nadaje się znakomicie - ze względów poglądowych i popularnych - Żyd. Przy czym należy przestrzegać personifikującej i alegoryzującej liczby pojedynczej. To też nie jest żadnym wynalazkiem Trzeciej Rzeszy. Pieśń ludowa, ballada historyczna, popularny język żołnierski z czasów pierwszej wojny światowej używają chętnie formy: Rosjanin, Brytyjczyk, Francuz. Ale LTI użycie tego alegoryzującego singularis w zastosowaniu do Żyda rozszerza znacznie poza ten zakres, w jakim występowało ono kiedyś w języku lancknechta.

Żyd - to słowo zajmuje w uzusie językowym nazistów jeszcze więcej miejsca niż „fanatyczny"; ale jeszcze częściej niż „Żyd" pojawia się przymiotnik „żydowski", bo właśnie przymiotnik najlepiej spełnia rolę tej klamry, która spina wszystkich przeciwników razem, czyniąc z nich jednego tylko wroga: żydowsko-marksistowski światopogląd, żydowsko-bolszewicki brak kultury, żydowsko-kapitalistyczny system wyzysku, żydowsko-francuski, żydowsko-angielski, żydowsko-amerykański interes w zniszczeniu Niemiec. W ten sposób, poczynając od roku 1933, każdy dosłownie antagonizm, skądkolwiek by pochodził, prowadzi nieodmiennie na ślad tego samego wroga, na ślad ukrytego robaka z wywodów Hitlera, na ślad Żyda, który w momentach wzmożonej ekspresji bywa zamiast *Jude* nazywany pogardliwym w intencji słowem *Juda*, a w chwilach szczególnie patetycznych *Alljuda* [Wszechżyd]. I cokolwiek się przedsiębierze, absolutnie od pierwszego momentu, wszystko jest środkiem obronnym w jednej i tej samej narzuconej wojnie, wojnie żydowskiej- przymiotnik „narzucona" jest od 1 września 1939 stałym określeniem wojny, a zresztą i ów 1 września nie przynosi nic nowego, jest tylko kontynuacją żydowskich zamachów na hitlerowskie Niemcy, my zaś, my pokój miłujący naziści, nie robimy nic innego, jak tylko to, co robiliśmy przedtem: bronimy się. Od rana dnia dzisiejszego „odpowiadamy ogniem na ogień nieprzyjaciela" - mówi nasz pierwszy komunikat wojenny.

Najgłębszym źródłem owej żydowskiej żądzy mordu nie są jednak jakieś motywy spekulatywne czy interes, a nawet nie żądza władzy, lecz wrodzony instynkt, „bezdenna nienawiść" rasy żydowskiej do rasy nordycko-germańskiej. Bezdenna nienawiść Żyda jest stereotypem, który był w obiegu przez całych dwanaście lat. Przed wrodzoną nienawiścią nie można się zabezpieczyć inaczej jak przez usunięcie tego, kto nienawidzi. Tak więc od oparcia antysemityzmu na idei rasy prowadzi konsekwentna droga do konieczności wytępienia Żydów. O „wymazaniu" [*Ausradieren*] miast angielskich Hitler powiedział tylko raz - była to wypowiedź odosobniona, która jak wszystkie jego

superlatywizmy tłumaczy się właściwym jego manii wielkości niepohamowaniem. Natomiast „wytępić” [*ausrotten*] jest czasownikiem używanym często, należy do ogólnego zasobu słownikowego LTI, jest zadomowione w jej żydowskim dziale, oznacza tam cel, do którego się z zapałem zmierza.

Antysemityzm oparty na idei rasy, który w Hitlerze był początkowo emocją odpowiadającą jego prymitywizmowi, jest starannie przemyślaną, rozwiniętą w bardzo szczegółowy system, centralną ideą nazizmu. W *Walce o Berlin* Goebbelsa czytamy: „Można by określić Żyda jako wcielenie stłumionego kompleksu niższości. Dlatego nie sposób go ugodzić głębiej niż określając go jego własną istotą. Nazwij go szubrawcem, łajdakiem, kłamcą, zbrodniarzem i mordercą: wewnętrznie prawie go to nie dotknie. Ale popatrz na niego przez chwilę surowo i spokojnie, a potem powiedz: Pan jest zapewne Żydem! I ujrzysz ze zdziwieniem, jak się w tym samym momencie staje niepewny i zakłopotany, jak się czuje winny...”. Kłamstwo (podobnie jak dowcip) jest tym bardziej skuteczne, im więcej zawiera prawdy. Spostrzeżenie Goebbelsa jest trafne z wyjątkiem skłamanego „poczucia winy”. Zagadnięty w ten sposób nie czuje się winny, tylko jego uprzednie poczucie bezpieczeństwa zamienia się w zupełną bezradność, bowiem stwierdzenie faktu jego żydostwa usunęło mu grunt spod nóg i odebrało mu wszelką możliwość porozumienia czy walki równego z równym.

Wszystko, ale to wszystko w odnoszącym się do Żydów dziale LTI nastawione jest na to, aby ich całkowicie i bezwzględnie odizolować od tego, co niemieckie. Raz nazywa się ich zbiorczo narodem Żydów, rasą żydowską, to znowu światowym lub międzynarodowym żydostwem; w obu przypadkach chodzi o podkreślenie ich nieniemieckości. Nie wolno im już wykonywać zawodu lekarza ani adwokata; ponieważ jednak im samym potrzebni są jacyś lekarze i adwokaci, którzy muszą pochodzić z ich własnych szeregów, bo przecież wszelki kontakt Niemców z nimi winien być przerwany, więc owi tylko do obsługi Żydów dopuszczeni medycy i prawnicy noszą specjalną nazwę: zowią się opiekunami chorych [*Krankenbehandler*] i doradcami prawnymi [*Rechtskonsulenten*]. W obu przypadkach chodzi o to, aby nazwa ta nie tylko izolowała, lecz także poniżała. W przypadku doradcy jest to wyraźniejsze, już dawniej bowiem mówiono o pokątnym doradcy w odróżnieniu od adwokatów z wykształceniem akademickim i państwową koncesją; opiekun chorych brzmi dyskryminująco tylko dlatego, że oznacza cofnięcie prawa do urzędowego i powszechnie przyjętego tytułu zawodowego.

Czasami niełatwo jest stwierdzić, czemu jakieś wyrażenie brzmi pejoratywnie. Dlaczego na przykład pogardliwe jest nazistowskie określenie *Judengottesdienst* [nabożeństwo Żydów], które nie oznacza przecież nic innego niż neutralne *jüdischer Gottesdienst* [nabożeństwo żydowskie]? Chyba dlatego, że przypomina jakoś relacje z egzotycznych podróży, jakieś afrykańskie tubylcze kulty. I to zapewne prowadzi na ślad prawdziwego motywu: „nabożeństwo Żydów” ma za przedmiot Boga Żydów, zaś Bóg Żydów jest Bogiem plemiennym czy bożkiem plemiennym, a nie jest - jeszcze nie jest - jedynym i powszechnym bóstwem, którego dotyczy „nabożeństwo żydowskie”. Stosunki erotyczne między Żydami a Aryjczykami nazywają się zhańbieniem rasy [*Rassenschande*], gauleiter Frankonii Streicher nazywa norymberską synagogę, którą nakazuje w „uroczystą godzinę”[91] zniszczyć, hańbą Norymbergi, synagogi w ogóle nazywa jaskiniami zbójców - tutaj nie potrzeba już specjalnie dociekać, dlaczego to brzmi nie tylko dystansująco, ale także pogardliwie. Wyraźne obelgi pod adresem Żydów są czymś powszechnym; w ustach Hitlera czy Goebbelsa trudno spotkać słowo „Żyd”, żeby nie były do niego dodane epitety w rodzaju: przebiegły, chytry, oszukańczy, tchórzliwy; nie brak też wyzwisk nawiązujących w niewybrednie popularny sposób do cech fizycznych, jak: platfusowaty, krzywonosy,

[91] Tzn. podczas Kristallnacht („nocy kryształowej”)

bojący się wody. Dla gustu bardziej wybrednego przeznaczone są określenia: pasożytniczy i koczowniczy. Jeśli jakiegoś Aryjczyka chce się pomówić o coś najgorszego, to nazywa się go żydowskim pachołkiem, jeśli jakaś aryjska żona nie chce opuścić swego męża Żyda, to jest kurwą żydowską, jeśli chce się dokuczyć warstwie inteligenckiej, przed którą czuje się lęk, to mówi się o krzywonosym intelektualizmie.

Czy w użyciu tych zniewag można w ciągu dwunastu lat zauważyć jakąś zmianę, jakiś rozwój, jakiś podział? I tak, i nie. Ubóstwo LTI jest ogromne, w styczniu 1945 posługuje się ona dokładnie tym samym plugawym słownikiem, który był w użyciu już w styczniu 1933. A jednak, pomimo całej niezmienności składników, pewna zmiana jest wyraźna, a nawet straszliwie wyraźna, kiedy się przyjrzeć całości danej mowy czy artykułu prasowego.

Przypomnijmy tu Żydka i zarazę morową z *Mein Kampf* Hitlera, ton pogardy i ton lęku. Jednym ze szczególnie często powtarzanych i parafrazowanych powiedzeń Führera jest jego groźba, że Żydom przejdzie śmiech, która później zamieniła się w równie często powtarzane stwierdzenie, że faktycznie im przeszedł. Jest to prawda, która znajduje potwierdzenie w gorzkim żydowskim dowcipie, że Żydzi są jedynymi ludźmi, którym Hitler rzeczywiście dotrzymał słowa. Ale i Führerowi, i całej LTI przechodzi powoli śmiech, a raczej zamienia się w grymas, staje się maską, za którą na próżno usiłuje się skryć śmiertelny lęk, a w końcu rozpacz. W późniejszych latach wojny nie natrafiamy już nigdzie na zabawne zdrobnienie „Żydek”, natomiast trwoga przed zarazą morową będzie wyzierać ze wszystkich słów pogardy i sztucznej wyniosłości, z całej reżimowej fanfaronady.

Najdobitniejszym wyrazem tego stanu może być artykuł opublikowany przez Goebbelsa w „Reichu” 21 stycznia 1945: Sprawcy nieszczęścia świata. Rosjanie stojący już u wrót Wrocławia i alianci na granicy zachodniej nie są tu niczym innym, jak tylko „najemnymi żołdakami tego światowego spisku pasożytniczej rasy”. To Żydzi rzucają miliony ludzi w paszczę śmierci - z odrazy do naszej kultury, „w której wyczuwają coś stojącego znacznie wyżej od ich koczowniczej wizji świata”, z odrazy do naszej gospodarki i naszych instytucji społecznych, „ponieważ nie pozostawiają im one swobody w ich pasożytniczych poczynaniach...”. „Gdziekolwiek sięgniecie, natraficie na Żyda!” Ale już wielokrotnie śmiech „gruntownie” im przeszedł! I tak samo teraz „potęga żydowska runie”.

Tak czy inaczej: już nie Żydek, lecz potęga żydowska i Żydzi.

Można by zapytać, czy to stałe podkreślanie podłego charakteru Żydów, ich niższej wartości i ich pozycji jedynego wroga nie działało zobojętniająco, a w końcu nie poczęło prowokować do sprzeciwu. Pytanie takie musiałoby od razu objąć szerszy zakres, dotyczący wartości i trwałości oddziaływania całej Goebbelsowskiej propagandy, i ostatecznie sprowadziłoby się do pytania o słuszność podstawowych koncepcji nazistowskich w dziedzinie psychologii mas. *Mein Kampf* Hitlera opisuje dobitnie i z drobiazgową dokładnością głupotę mas i głosi potrzebę utrzymywania ich w tej głupocie i odwodzenia od wszelkiej refleksji. Głównym środkiem do tego jest nieustanne wbijanie im do głowy tych samych uproszczonych twierdzeń, którym z żadnej strony nie wolno zaprzeczać. A iloma cząstkami swej duszy należy do otaczającej go masy również (zawsze osamotniony) inteligent!

Przypomina mi się z ostatniego kwartału wojny drobna aptekarka o litewsko-wschodniopruskim nazwisku. Miała za sobą trudny egzamin państwowy, miała solidne wykształcenie ogólne, była namiętną przeciwniczką wojny i osobą daleką od sympatii dla nazistów, wiedziała dobrze, że nadchodzi ich koniec i z upragnieniem wyglądała tego końca. Podczas jej nocnych dyżurów

prowadziliśmy zwykle długie rozmowy; wyczuwała nasze nastawienie, powoli ośmieliła się i poczęła ujawniać swoje. Było to w okresie naszej ucieczki przed Gestapo, posługiwaliśmy się fałszywym nazwiskiem, nasz przyjaciel w Falkenstein ofiarował nam na jakiś czas spokojne schronienie, spaliśmy w pokoju na zapleczu jego apteki, pod portretem Hitlera...

- Nigdy nie znosiłam jego wyniosłości w stosunku do innych narodów - mówiła mała Stulgies. - Moja babka była Litwinką, dlaczego ona, dlaczego ja mam być z tego powodu mniej warta od jakiejś kobiety czystej krwi niemieckiej? - Tak, na czystości krwi, na germańskiej uprzywilejowanej pozycji zasadza się cała ich doktryna, przecież antysemityzm... - Z Żydami - przerwała mi - to chyba ma rację, tutaj chodzi już przecież o coś innego. - A czy zna pani osobiście... - Nie, zawsze ich unikałam, budzą we mnie grozę. Tyle się o nich słyszy i czyta.

Szukałem odpowiedzi, która by łączyła w sobie ostrożność i wyjaśnienie. Ta młoda kobieta miała najwyżej trzynaście lat, kiedy nastał hitleryzm - co ona mogła wiedzieć, do czego tu nawiązywać?...

Tymczasem nastąpił, jak zwykle, pełny alarm. Do piwnicy woleliśmy nie schodzić, stały tam butle z cieczami wybuchowymi. Przykucnęliśmy pod mocnymi filarami klatki schodowej. Normalnie nasze zagrożenie nie było zbyt wielkie, cel nalotu stanowiło przeważnie o wiele ważniejsze Plauen. Ale tym razem były to złe i nielitościwie długie minuty. W krótkich odstępach czasu przelatywały nad nami silne eskadry, w tak zwartym szyku i tak nisko, że wszystko wokół nas drżało i trzęsło się. W każdej chwili mogły zacząć walić bomby. Majaczyły mi w oczach obrazy drezdeńskiej nocy, po głowie snuło się bezustannie jedno zdanie: szumią skrzydła śmierci, to nie jest pusty frazes, skrzydła śmierci szumią rzeczywiście. Młoda dziewczyna, przyciśnięta ciasno do filara, oddychała głośno i ciężko, były to prawie nie tłumione jęki.

Wreszcie przelecieli, mogliśmy się podnieść i z ciemnej i zimnej klatki schodowej powrócić do światła i ciepła apteki, jakby do życia. - Teraz się prześpimy - powiedziałem - jak uczy doświadczenie, do rana nie będzie już alarmu. - Drobna kobieta, tak zwykle łagodna, odpowiedziała nieoczekiwanie i tak energicznie, jakby kończyła długą dysputę: - A jednak to jest wojna żydowska.

XXVII
Żydowskie okulary

Treść komunikatu wojennego przynosiła zwykle z miasta moja żona. Ja sam nie zatrzymywałem się przed żadnym ogłoszeniem ani głośnikiem, a w fabryce my, Żydzi, byliśmy zdani na komunikat z poprzedniego dnia, bo zapytanie jakiegoś Aryjczyka o najnowsze doniesienia oznaczałoby rozmowę na tematy polityczne i mogłoby zaprowadzić prościutko do kacetu.

- Ze Stalingradem wreszcie koniec? - Tak jest! W bohaterskich walkach zdobyto trzypokojowe mieszkanie z łazienką i utrzymano je pomimo siedmiokrotnie ponawianego przeciwnatarcia. - Dlaczego sobie kpisz? - Bo go nigdy nie dostaną, bo się tam wykrwawią. - Widzisz wszystko przez żydowskie okulary. - Teraz i ty już zaczynasz mówić specyficznie żydowskim językiem!

Zawstydziłem się. Jako filolog starałem się ciągle zwracać uwagę na charakterystyczne cechy językowe każdej sytuacji i każdego ludzkiego kręgu, sam używając przy tym języka całkowicie neutralnego, niczym nie zabarwionego - a oto teraz uległem wpływom otoczenia. (W ten sposób psujemy sobie słuch, dar rejestrowania). Ale byłem usprawiedliwiony. Jest rzeczą zupełnie niemożliwą, aby jakaś ludzka grupa, która znalazła się w identycznej sytuacji - szczególnie jeśli w grę wchodzi rzeczywisty, przez wroga wywierany przymus - nie wytworzyła pewnego specyficznego języka, którego wpływu należąca do tej grupy jednostka nie może uniknąć. Pochodziliśmy z najróżniejszych prowincji, należeliśmy do najróżniejszych warstw społecznych i reprezentowaliśmy różne zawody, nikt z nas nie miał już w sobie młodzieńczej elastyczności, niejeden był już dziadkiem. Podobnie jak przed trzydziestu laty, zabawiałem się koncepcją czegoś w rodzaju „Hotelu La Bruyère'a”[92] - miałem wtedy lektorat na uniwersytecie neapolitańskim i mieszkaliśmy stale w nadbrzeżnym hotelu, przez który przepływała nieustannie fala turystów - tak samo, i z większą jeszcze racją, myślałem teraz o serii żydowskich „charakterów”. Było tam dwóch lekarzy i radca sądu krajowego, i trzech adwokatów, i malarz, i profesor gimnazjalny, i z tuzin kupców, i z tuzin fabrykantów, i wielu techników i inżynierów, i - niezwykła rzadkość wśród Żydów! - całkiem niewykwalifikowany robotnik, nieomal analfabeta; byli zwolennicy asymilacji i syjoniści, byli ludzie, których przodkowie mieszkali w Niemczech od stuleci i którzy przy najlepszych chęciach nie mogliby wyjść ze swojej niemieckiej skóry, i inni, którzy dopiero co przybyli z Polski i których językiem ojczystym, jakiego w najmniejszym stopniu się jeszcze nie wyzbyli, był żargon. Ale teraz stanowiliśmy właśnie grupę drezdeńskich Żydów napiętnowanych gwiazdą, grupę robotników fabrycznych i zamiataczy ulic, byliśmy mieszkańcami domów żydowskich i więźniami Gestapo; i podobnie jak w więzieniu i w wojsku, wytworzyło się od razu poczucie wspólnoty, które przesłoniło wcześniej istniejącą świadomość grupową i indywidualne odrębności i w sposób naturalny i nieuniknioną zrodziło nowe nawyki językowe.

Wieczorem tego dnia, który przyniósł pierwszą zawoalowaną wiadomość o upadku Mussoliniego, do drzwi Stühlera zapukał Waldmann. (Ze Stühlerami i Cohnami mieliśmy wspólną kuchnię, przedpokój, łazienkę - tajemnic między nami prawie nie było). Waldmann był „przedtem” zamożnym handlarzem futer, teraz pełnił funkcje stróża w domu żydowskim, do jego obowiązków należała też pomoc przy wywózce zwłok z domów żydowskich i z więzienia. - Czy można wejść? - zawołał. - Od kiedy jesteś taki uprzejmy? - odezwał się głos z wewnątrz. Waldmann odparł natychmiast: - Zbliża się koniec, muszę się znowu przyzwyczaić do normalnego tonu rozmowy z klientami i właśnie zaczynam od pana. - Mówił zupełnie poważnie, na pewno nie miał zamiaru żartować; nadzieja serca zrodziła w nim tęsknotę do języka własnej dawnej warstwy społecznej. - Znowu masz na nosie żydowskie okulary - powiedział stojący w progu Stühler (który był człowiekiem ociężałym i często zrezygnowanym) - przetrzymał Röhma i Stalingrad, zobaczysz, że przez Mussoliniego też się nie wywróci.

Formy „ty” i „pan” w sposób osobliwy przeplatały się u nas wzajemnie. Jedni, zwłaszcza chyba uczestnicy pierwszej wojny światowej, używali formy „ty”, jak do tego przywykli wtedy w wojsku; inni trwali przy „pan”, jak gdyby to pozwalało im zachować dawny status. Dla mnie samego nabrał w tamtych latach niezwykłej wyrazistości podwójny emocjonalny charakter słowa „ty”; kiedy tykał mnie w sposób zupełnie naturalny jakiś aryjski robotnik - nie potrzebował nawet przy tym wypowiadać

---

[92] Jean de La Bruyère (1645-1696) - francuski pisarz moralista; poczynione na dworze Ludwika XIV spostrzeżenia w sferze obyczajowości i ludzkich charakterów wykorzystał w swoim dziele *Charaktery, czyli przymioty Teofrasta*.

żadnych specjalnych słów pociechy - odczuwałem to zawsze jako otuchę, jako uznanie ludzkiej równości między nami; kiedy słowo to wychodziło z ust gestapowców, którzy z reguły zwracali się do nas per „ty", było dla mnie zawsze jakby uderzeniem w twarz. „Ty" powiedziane przez robotnika cieszyło mnie nie tylko dlatego, że zawierało w sobie protest przeciwko barierze, jaką stanowiła gwiazda; kiedy używano tego słowa w samej fabryce, gdzie przecież pomimo wszystkich zmierzających do tego przepisów Gestapo nie dało się żydowskiej części załogi całkowicie izolować, przyjmowałem je też zawsze jako sygnał zaniku albo przynajmniej zmniejszenia nieufności w stosunku do burżuja i inteligenta.

Odmienność sposobu mówienia w zależności od warstwy społecznej ma znaczenie nie tylko estetyczne. Jestem raczej przekonany, że fatalna nieufność między ludźmi wykształconymi a proletariatem w bardzo znacznej mierze wywodzi się właśnie z różnic w nawykach językowych. Jakże często zadawałem sobie w tamtych latach pytanie: Jak się mam zachować? Robotnik lubi używać w każdym zdaniu soczystych wyrażeń. Jeśli będę robił to samo, zauważy od razu, że jest to sztuczne, i weźmie mnie za obłudnika, który mu się chce podlizać; jeśli będę mówił w sposób naturalny, czyli tak jak mnie nauczono w domu i w szkole, uzna mnie za pyszałka, zarozumiałego głupca. Ale znamionująca naszą grupę zmiana sposobu mówienia nie polegała tylko na częściowym dostosowaniu się do rubaszności języka robotników. Przejmowaliśmy wyrażenia związane z porządkiem społecznym i z nawykami robotnika. Jeśli ktoś nie przyszedł do pracy, to nie pytano, czy jest chory, lecz czy jest „na zwolnieniu", bo dopiero wpisanie do rejestru chorych przez lekarza kasy chorych dawało prawo do chorowania. Na pytanie o zarobki odpowiadało się przedtem zwykle: zarabiam miesięcznie tyle i tyle albo: moje dochody wynoszą rocznie tyle i tyle. Teraz każdy mówił: przynoszę do domu trzydzieści marek na tydzień, a o lepiej zarabiającym powiadało się: ma grubszą kopertę. Jeśli mówiliśmy o kimś, że ciężko pracuje, to słowo „ciężko" miało wyłącznie znaczenie trudu fizycznego; chodziło o kogoś, kto taszczył ciężkie skrzynie albo pchał ciężkie wózki...

Obok tych wyrażeń zapożyczonych z normalnego języka robotników używano też innych, których źródłem był po części wisielczy humor, a po części konieczna w naszej sytuacji zabawa w chowanego. Nie można tu stwierdzić w każdym przypadku z pewnością, o ile mają one tylko znaczenie lokalne, a o ile - by użyć określenia filologicznego - ogólnogermanistyczne. Nie mówiło się - zwłaszcza na początku, kiedy aresztowanie i obóz nie były jeszcze absolutnie równoznaczne ze śmiercią - że ktoś został aresztowany, tylko że „wyjechał"; nie mówiło się „obóz koncentracyjny" [*Konzentrationslager*] i nie używało jeszcze uproszczonego i powszechnego później określenia „kacet" [KZ], lecz „obóz koncertowy" [*Konzertlager*].

Groźne znaczenie specjalne otrzymał czasownik „zgłosić się" [*sich melden*]. Ma się zgłosić - znaczyło tyle co: ma wezwanie na Gestapo, a ze zgłoszeniem takim wiązało się zawsze maltretowanie, a coraz częściej zniknięcie na zawsze. Ulubionym pretekstem do takiego wezwania było, obok rzekomo zakrytej gwiazdy, oskarżenie o rozpowszechnianie zastraszających wiadomości. Na określenie tego powstał nawet czasownik *greueln* [opowiadać zmyślone historie budzące grozę]. Jeśli ktoś słuchał wiadomości nadawanych przez stacje zagraniczne (a było to na porządku dziennym), to pochodziły one z Kötzschenbroda. Kötzschenbroda były to w naszym języku po prostu Londyn, Moskwa, Beromünster i Freiheitssender [Radio Wolności]. Jeśli w jakąś wiadomość powątpiewano to mówiło się, że pochodzi ona z radia ustnego albo z JMA, co znaczyło *Jüdische Märchenagentur* [Żydowska Agencja Bajek]. Mówiąc o tęgim urzędniku Gestapo, który miał w swojej kompetencji sprawy żydowskie w okręgu drezdeńskim, nazywało go się zawsze „żydowskim papieżem".

Objawy przystosowania się do języka robotników oraz nowe wyrażenia wynikające z sytuacji uzupełnia stopniowo trzecie zjawisko charakterystyczne. Liczba Żydów coraz bardziej maleje, młodzi są wywożeni pojedynczo i grupami do Polski i na Litwę, starzy do Theresienstadt. Do pomieszczenia pozostałej w Dreźnie reszty wystarcza bardzo już niewiele domów. Również ten fakt znajduje swoje odbicie w żydowskim języku; nie trzeba już podawać pełnego adresu poszczególnych Żydów, wymienia się tylko numer ulicy kilku położonych w różnych częściach miasta domów: mieszka pod 92, pod 56. Potem stopniała garstka Żydów raz jeszcze zostaje - gorzej, znacznie gorzej niż zdziesiątkowana: większość musi opuścić żydowskie domy, upycha się ich w barakach obozu żydowskiego w Hellerberg, a stamtąd w kilka tygodni później idą do właściwych obozów - obozów zagłady. Ci, którzy teraz jeszcze pozostają, są to jedynie osoby żyjące w małżeństwie mieszanym, a więc szczególnie silnie zniemczone, w znacznej części nie należące już do gminy żydowskiej, dysydenci czy - jak ich określała zabroniona później i zanikła nazwa - niearyjscy chrześcijanie. Jest zrozumiałe, że znali oni w bardzo tylko małym stopniu albo w ogóle już nie znali żydowskich zwyczajów i obrzędów, a tym bardziej języka hebrajskiego. I oto teraz - to właśnie jest ta trzecia, trudno uchwytna, a jednak wyraźnie istniejąca cecha charakterystyczna ich języka - zwracają się oni z pewnym sentymentalizmem, złagodzonym przez poczucie humoru, do wspomnień młodości i próbują sobie wzajemnie odświeżyć sprawy zapomniane. Z pobożnością czy z syjonizmem nie ma to nic wspólnego, jest to tylko ucieczka od teraźniejszości, próba wytchnienia.

W przerwie śniadaniowej stoimy razem; ktoś opowiada, jak w roku 1889 został przyjęty jako terminator do firmy zbożowej Liebmannsohn w Raciborzu i jaką osobliwą niemczyzną mówił jego pryncypał. Osobliwe wyrażenia - kilku słuchaczy rozpromienia się, przypominają sobie; inni proszą, żeby im to i owo wyjaśnić. - Kiedy chodziłem do szkoły w Krotoszynie - mówi Wallerstein, ale zanim zdąży opowiedzieć, przerywa mu Grünbaum, brygadzista: - Krotoszyn - a znacie historię tego spryciarza z Krotoszyna? - Grünbaum najlepiej umie opowiadać żydowskie dowcipy i anegdoty, jest niewyczerpany i nieoceniony, skraca ciągnący się dzień, pomaga przetrwać najgorsze depresje. Opowieść o przybyszu, który w Krotoszynie nie mógł zostać służącym w synagodze, bo nie umiał pisać po niemiecku, a który potem w Berlinie doszedł do stanowiska radcy handlowego, jest łabędzim śpiewem Grünbauma, bo następnego ranka nie ma go w pracy, a w parę godzin potem wiadomo już, że go „zabrali”.

Słowo „zabrać” [*holen*] jest pod względem filologicznym blisko spokrewnione z czasownikiem „zgłosić się”, ale ma dłuższy od niego żywot i szerszy zakres znaczeniowy. Specyficzny dla LTI sens czasownika zwrotnego „zgłosić się” ma swoje ukryte znaczenie tylko w relacji Gestapo-Żydzi; „zabiera się” natomiast Żydów i chrześcijan, a Aryjczyków nawet szczególnie masowo do wojska latem 1939. „Zabrać” oznacza bowiem w specjalnym sensie LTI: dyskretnie sprzątnąć, czy to do więzienia, czy do koszar, że zaś 1 września 1939 staniemy się niewinnie napadniętymi, przeto cała poprzedzająca mobilizacja jest potajemnym nocnym zabieraniem ludzi. Ale pokrewieństwo między „zabrać” a „zgłosić się” w ramach LTI polega na tym, że dwa okrutne zdarzenia o brzemiennych następstwach są tu ukryte pod bezbarwnymi i powszednimi określeniami oraz że z drugiej strony zdarzenia te stały się tak powszednie, iż określa je się właśnie jako powszednie i zwyczajne, zamiast podkreślać cały ich ponury sens.

A więc Grünbauma zabrali, a w trzy miesiące później Oświęcim przysłał urnę z jego prochami i została ona złożona na cmentarzu żydowskim. W ostatnim okresie wojny, kiedy masowe gazowanie stało się powszechne, uprzejmego przesyłania urn oczywiście zaniechano, ale przez długi czas udział w

pogrzebach był poniekąd naszym niedzielnym obowiązkiem, a także po trosze naszą niedzielną rozrywką. Przychodziły często dwie-trzy urny naraz; oddając cześć zmarłym, miało się okazję spotkać towarzyszy niedoli z innych domów żydowskich i z innych grup roboczych. Duchownego od dawna już przy tym nie było, ale Żyd wyznaczony na zarządcę cmentarza odczytywał wspomnienie pośmiertne, zawierające zwykłe stereotypowe frazesy z kazań, i oczywiście robił to tak; jak gdyby nieboszczyk umarł śmiercią zupełnie naturalną; następnie odmawiano hebrajską modlitwę za zmarłych, w której obecni uczestniczyli, o ile umieli... Większość nie umiała. Jeśli się zaś spytało jakiegoś świadomego rzeczy o treść, odpowiadał: - Sens jest chyba taki... - Nie może pan przetłumaczyć dosłownie? - przerywałem. - Nie, pozostały mi w pamięci tylko dźwięki, to już tyle czasu, jak się uczyłem, nie miałem z tym nic do czynienia...

Kiedy przyszła kolej na Grünbauma, orszak był szczególnie duży. W drodze z, hali pogrzebowej na miejsce złożenia urny idący obok mnie szepnął mi do ucha: - Jak się to nazywała ta posada, której radca handlowy nie mógł w Krotoszynie dostać - szames, prawda? Nigdy nie zapomnę biednemu Grünbaumowi tej historii! – I powtarzał sobie w takt kroków dla zapamiętania: - Szames w Krotoszynie, szames w Krotoszynie.

Nazistowska doktryna rasy stworzyła pojęcie nordyzacji [*Aufnorden*]. Ocena, czy jej się ta nordyzacja udała, leży poza sferą mojej kompetencji. Na pewno jednak osiągnięto judyzację - nawet u tych, którzy się przed tym bronili. Zupełnie nie sposób było zdjąć z oczu żydowskie okulary, tylko przez nie patrzyło się na każde wydarzenie, czytało każdy komunikat, każdą książkę. Tyle że okulary te nie pozostawały przez długi czas jednakowe. Początkowo i jeszcze przez długi czas ich szkła zabarwiały obserwowane rzeczy różową nadzieją. „Wcale nie jest tak źle!” Jakże często słyszałem te pocieszające słowa, kiedy zbyt poważnie brałem podane w komunikatach wojennych doniesienia o zwycięstwach i liczbie jeńców. Ale później, kiedy nazistom rzeczywiście zaczęło się wieść źle, kiedy już nie mogli ukryć swoich klęsk, kiedy alianci zbliżali się do granic niemieckich i kiedy je przekroczyli, kiedy nieprzyjacielskie bombowce rozwalały w gruzy miasto za miastem - tylko Drezno wydawało się tabu - właśnie wtedy Żydzi zmienili swoje okulary. Upadek Mussoliniego był ostatnim wydarzeniem, które oglądali przez dawne szkła. Skoro wszakże wojna trwała dalej, ich ufność załamała się i przemieniła w coś zupełnie przeciwnego. Przestali wierzyć w bliski koniec wojny, wbrew wszelkiej oczywistości poczęli przypisywać Führerowi magiczne siły, w stopniu jeszcze większym, niż czynili to chwiejący się już jego zwolennicy.

Siedzieliśmy w żydowskim schronie naszego żydowskiego domu, który miał też oddzielny schron dla Aryjczyków; było to na krótko przed dniem zagłady Drezna. Odsiadywaliśmy pełny alarm, bardziej znudzeni i zziębnięci niż przestraszeni. Doświadczenie uczyło przecież, że nam nic nie grozi, nalot był znowu skierowany przeciwko udręczonemu Berlinowi. Od dawna nie byliśmy w tak stosunkowo dobrym nastroju; po południu moja żona słuchała u wiernych aryjskich przyjaciół Londynu, ponadto, co jeszcze ważniejsze, zapoznała się z ostatnim przemówieniem Tomasza Manna, tchnącym pewnością zwycięstwa, przemówieniem po ludzku pięknym. Na ogół nie jesteśmy skłonni słuchać kazań, działają na nas zwykle rozstrajająco - ale to rzeczywiście podnosiło na duchu.

Chciałem coś z tego nastroju przekazać towarzyszom niedoli, podchodziłem do tej i owej grupki: - Słyszeliście już dzisiejszy komunikat? Znacie najnowsze przemówienie Manna? - Wszędzie natrafiałem na niechętną reakcję. Jedni bali się zakazanych rozmów: - Niech pan to zostawi dla siebie,

nie mam ochoty iść do kacetu. Inni byli zgorzkniali: - Choćby Rosjanie stanęli pod Berlinem - mówił Steinitz - wojna potrwa jeszcze lata. Wszystko inne to histeryczny optymizm!

Przez wiele lat dzielono u nas ludzi na optymistów i pesymistów, jak na dwie rasy. Na pytanie: co to za człowiek? - można było niechybnie spodziewać się odpowiedzi: to optymista, albo: to pesymista, co w ustach żydowskich było równoznaczne z sądem: Hitler wkrótce upadnie, albo: Hitler się utrzyma. Teraz byli już tylko pesymiści. Pani Steinitz prześcignęła jeszcze męża: - A choćby zajęli Berlin - to też niczego jeszcze nie zmieni. Wojna będzie się toczyć dalej w Górnej Bawarii. Jeszcze co najmniej trzy lata. A dla nas wszystko jedno, czy jeszcze trzy, czy sześć lat. I tak jej przecież nie przeżyjemy. Niech pan wreszcie rozbije te swoje stare żydowskie okulary!

W trzy miesiące później Hitler już nie żył, a wojna była skończona. Ale rzeczywiście - małżeństwo Steinitz i jeszcze niejeden z tych, którzy siedzieli wtedy z nami w żydowskim schronie, nie przeżyli jej. Leżą pogrzebani pod gruzami miasta.

XXVIII
Język zwycięzcy

Każdego dnia było to dla mnie nowe uderzenie w twarz, gorsze niż „ty” i wyzwiska Gestapo. Nie pomagały na to żadne moje protesty i pouczenia, moja wrażliwość w tym względzie nigdy się nie stępiła; wśród wszystkich moich typów Labruyère'a nie znalazłem ani jednego, kto by tej hańby uniknął.

Byłaś przecież rzeczywiście solidną i zapaloną germanistką o wyrobionej sprawności myślenia, biedna Elso Glauber, rzeczywistą asystentką swojego profesora, służyłaś pomocą i radą jego studentom w seminarium; a kiedy potem wyszłaś za mąż i miałaś dzieci, pozostałaś filologiem, purystką i nauczycielką - nieomal aż zanadto, złośliwcy nazywali cię za twoimi plecami „pani tajny radca”.

A jakże długo pomagałaś mi swoją wspaniałą, w tak dowcipny sposób ocaloną biblioteką klasyków! Żydzi - o ile w ogóle pozostawiono im książki - mogli przecież posiadać tylko książki żydowskie, a pani tajny radca była ogromnie przywiązana do swoich niemieckich klasyków, skompletowanych w najpiękniejszych wydaniach. Od wielu lat nie pracowała już na uczelni i była żoną pewnego bardzo kulturalnego kupca, którego Gestapo obarczyło teraz ciernistym urzędem: był przełożonym gminy żydowskiej, a więc odpowiedzialnym, bezradnym i udręczanym przez obie strony pośrednikiem między katami a ich ofiarami. Dzieci Elsy zaczynały już teraz pod jej przewodnictwem zaglądać do tych wspaniałych książek. Jak uratowała ten skarb przed nieustannie myszkującym Gestapo? Bardzo prosto i uczciwie. Przez skrupulatną rzetelność. Jeśli wydawca jakiegoś tomu nazywał się Richard M. Meyer, to Elsa Glauber uchylała zasłony okrywającej to M. i zastępowała skrót imieniem Mojżesz; albo też zwracała uwagę na żydowskie pochodzenie germanisty Pniowera, albo wyjaśniała poszukującym, że właściwym nazwiskiem słynnego Gundolfa jest żydowskie nazwisko Gundelfinger. Wśród germanistów jest tylu nie-Aryjczyków, że pod osłoną tych wydawców dzieła Goethego i Schillera i wiele innych zamieniły się w „książki żydowskie”.

Biblioteka Elsy zachowała też swój porządek i układ przestrzenny, bowiem obszerna willa przełożonego gminy została uznana za dom żydowski i choć rodzina musiała się ograniczyć do kilku tylko pokojów, to jednak mieszkała w swoich czterech ścianach. Z żydowskich klasyków mogłem korzystać do woli, a z Elsą można było pogawędzić krzepiąco i poważnie o sprawach fachowych.

Przy czym oczywiście mówiło się też wiele o naszej rozpaczliwej sytuacji. Naprawdę nie potrafiłbym powiedzieć, czy Elsa była lepszą Żydówką, czy niemiecką patriotką. Oba sposoby myślenia i odczuwania nasilały się pod naciskiem konkretnej sytuacji. Nawet w trzeźwych powszednich rozmowach pojawiał się łatwo wyraz patosu. Elsa opowiadała często, jak bardzo zwraca uwagę na to, aby jej dzieci wzrastały w prawdziwej wierze żydowskiej, ale zarazem aby wbrew całemu obecnemu upokorzeniu wdychały w siebie wiarę w Niemcy - nie mówiła nigdy inaczej, jak tylko „w wieczne Niemcy". „Muszą się nauczyć myśleć jak ja, muszą się rozczytywać w Goethem jak w Biblii, muszą być fanatycznymi Niemcami!".

To właśnie było tym uderzeniem w twarz. - Czym muszą być, pani Elso? - Fanatycznymi Niemcami, tak jak ja. Tylko fanatyczna niemieckość może obmyć naszą ojczyznę z obecnego odniemczenia. - Czy pani sobie nie zdaje sprawy z tego, co pani mówi? Czy pani nie wie, że fanatyzm i niemieckość - myślę o pani niemieckości - pasują do siebie jak pięść do oka, że... że... - wyrzucałem z siebie z pewnym rozgoryczeniem, oczywiście wyrywkowo i bezładnie, ale za to tym gwałtowniej, to wszystko, co zanotowałem tutaj w rozdziale „Fanatyczny". Na koniec powiedziałem jej: - Czy pani nie rozumie, że przemawia pani językiem naszych śmiertelnych wrogów i przez to uznaje się za pokonaną i poddaje się, i dopuszcza się zdrady właśnie wobec swojej niemieckości? Jeśli pani tego nie rozumie, pani, osoba wykształcona, pani, która broni wiecznej, nieskalanej niemieckości - to kto to ma wyczuwać i unikać tego? Że w swojej ciężkiej sytuacji odizolowania wytwarzamy odrębny język, że i my musimy używać odnoszących się do nas urzędowych określeń z nazistowskiego słownika, że tu i ówdzie szerzy się żargon, że można zauważyć kokietowanie żargonem, hebraizmami - wszystko to jest naturalne. Ale ta uległość językowi zwycięzcy, tego zwycięzcy!...

Elsa była zupełnie zaskoczona moim wybuchem, całkowicie straciła opanowaną postawę tajnego radcy, uznała swoją winę, obiecała poprawę. A kiedy następnym razem znowu podkreśliła swoją „fanatyczną miłość", tym razem do Ifigenii, poprawiła się natychmiast sama, mówiąc uspokajająco: - Ach, prawda, tego przecież nie wolno mi mówić; ale tak się jakoś przyzwyczaiłam od czasu „przeorania"[93].

- Od czasu przeorania? - To pan również tępi? Ale tutaj nie ma pan racji. Takie ładne poetyczne słowo, wręcz pachnie świeżo odwaloną skibą ziemi, i na pewno nie wynaleźli go hitlerowcy, pochodzi gdzieś chyba z czasów Georgego. - Zapewne, ale naziści przyswoili je sobie, bo tak wspaniale nadaje się do idei krwi i ziemi, do gloryfikacji roli, do zakorzenienia w swoim gruncie, dotknięciem swoich zarażonych rąk tak je skazili, że przez następnych pięćdziesiąt lat żaden porządny człowiek...

Przerwała mi, przeszła do kontrnatarcia: jestem, mówiła, purystą, belfrem, człowiekiem nietolerancyjnym, jestem - niech się pan nie gniewa - fanatykiem.

Biedna Elsa Glauber - o niej i o całej jej rodzinie niczego już nie udało się dowiedzieć; „zostali wywiezieni z Theresienstadt" - to była ostatnia o nich wiadomość. A kiedy teraz pragnę o niej

[93] Słowo *Umbruch* oznacza przeoranie w sensie dosłownym, ale także przenośnym, a więc rewolucyjną przemianę, przewrót; właśnie w tym przenośnym znaczeniu zrobiło ono karierę w języku Trzeciej Rzeszy.

wspomnieć pod jej prawdziwym nazwiskiem, bo pomimo całej swojej skłonności do estetyzowania i swoich manier tajnego radcy była osobą, dla której trzeba było mieć szacunek i której odwadze ducha niemało zawdzięczam, wspomnienie to staje się oskarżeniem.

Ale oskarżenie tej, która jest filologiem, odciąża w pewnym sensie tych wszystkich, którzy przy słabszej świadomości językowej popadali w ten sam grzech. Bo popadali weń wszyscy, a każdy zapisany jest w księdze długów mojej pamięci jakimś innym, charakterystycznym dla siebie słowem.

Oto młody K.: kupiec, bez literackiej ogłady, ale całkowicie zniemczony, ochrzczony jako niemowlę i najprawdziwszy protestant, bez jakichkolwiek więzi z religią żydowską, bez jakiegokolwiek zrozumienia, a tym bardziej sympatii dla poczynań syjonistycznych - ale wyrażenie „naród Żydów" przyswoił sobie i ciągle go używał zupełnie tak samo, jak go używał hitleryzm, jak gdyby istniał dzisiaj taki naród w tym samym znaczeniu w jakim istnieje naród Niemców, Francuzów itd., i jak gdyby „światowe żydostwo" - również to podejrzane określenie powtarzał bezkrytycznie za nazistami - tworzyło świadomie i umyślnie ten właśnie jednolity naród.

A oto całkowite przeciwieństwo K. pod względem fizycznym i psychicznym, urodzony w Rosji S.: z twarzy typ mongolski, nieprzejednany wróg Niemiec, wszystkich Niemców, ponieważ we wszystkich Niemcach widział zdeklarowanych narodowych socjalistów, syjonistyczny racjonalista najbardziej skrajnego skrzydła - a kiedy występował w obronie praw żydowskiego nacjonalizmu, to używał nazistowskiego wyrażenia *völkische Belange* [interesy narodowe].

Albo dentysta, przepraszam: „opatrywacz zębów" F., człowiek nieprawdopodobnie rozmowny w kontakcie ze swymi bezbronnymi pacjentami - bo co można odpowiadać, mając przymusowo rozdziawione usta? - tak samo śmiertelny wróg wszystkich bez wyjątku Niemców i wszystkiego, co niemieckie, ale bez jakiegokolwiek stosunku do syjonizmu i w ogóle do żydostwa - całkowicie opętany dziwaczną anglofilią, wynikłą z pobytu w Anglii w szczęśliwych prywatnych okolicznościach. Każdy przyrząd, każda część ubrania, każda książka, każda opinia musiały pochodzić z Anglii, inaczej nie były wiele warte, a jeśli pochodziły z Niemiec, choćby nawet z dawniejszych Niemiec, były absolutnie godne pogardy. Niemcy bowiem byli „mniej wartościowi pod względem charakteru". Że wyrażając ten pogląd posługiwał się stworzonym przez nazistów neologizmem *charakterlich* i pomagał w jego rozpowszechnianiu, tego sobie nie uświadamiał (podobnie jak i obecnie zdają się sobie tego nie uświadamiać zwolennicy nowych czasów). Pedagogika nazistowska kładła taki nacisk na sposób myślenia, na nieposzlakowany nazizm swoich uczniów, że ów sposób myślenia zajmował zawsze w hierarchii ocen zdecydowanie pierwsze miejsce przed wszelkimi uzdolnieniami i sprawnościami, przed wszelkim zasobem wiedzy. Spopularyzowanie tego nowego przymiotnika tłumaczę sobie językiem szkoły, zapotrzebowaniem pod kątem widzenia świadectw egzaminacyjnych i świadectw ukończenia szkoły; nota *charakterlich gut* [pod względem charakteru: dobrze], co znaczyło: myślący jak należy po nazistowsku, wystarczała na to, aby wrota do każdej kariery stały otworem.

Najsilniejszą i najelokwentniej wyrażaną niechęć odczuwał nasz „opatrywacz zębów" do naszego „opiekuna chorych". Wielkim czasem tego ostatniego była pierwsza wojna światowa, w której brał udział jako kapitan-lekarz. Poruszał się on wyłącznie w sferze języka oficerskiego anno 1914 i wzbogacał go nieświadomie każdym zwrotem, jaki Goebbels puszczał w obieg. Ileż „przesmyków" zdołał pokonać, z iloma „kryzysami się uporać"!

Z zupełnie innych motywów i w całkiem inny sposób posługiwał się LTI pewien kolega naszego żydowskiego lekarza. Dr P. czuł się przed rokiem 1933 całkowicie Niemcem i lekarzem, i nie zaprzątał sobie głowy problemami religii i rasy. Nazizm uważał za obłęd lub chorobę, która minie bez jakichś katastrofalnych następstw. Teraz był zupełnie odsunięty od swego zawodu, pracował przymusowo w fabryce i był brygadzistą grupy, do której ja sam przez dłuższy czas należałem. Tutaj jego rozgoryczenie objawiło się w osobliwy sposób. Przyswajał sobie wszystkie żydożercze wypowiedzi nazistów, szczególnie Hitlera, i nieustannie operował tym językiem tak, że prawdopodobnie sam nie potrafiłby już powiedzieć, o ile naigrawa się z Führera, o ile z siebie samego, a o ile to wyrażane językiem samoponiżenie stało się jego naturą.

Tak na przykład zwracając się do kogoś ze swej żydowskiej grupy zawsze poprzedzał nazwisko słowem „Żyd". - Żyd Löwenstein, będziesz dzisiaj pracował na małej krajarce. - Żyd Mann, masz tu skierowanie do Żyda od zębów (przez co miał na myśli naszego dentystę). Członkowie grupy przyjmowali ten ton najpierw żartobliwie, a potem do niego przywykli. Niektórzy z nich mieli zezwolenie na jazdę tramwajem, inni musieli chodzić pieszo. Stosownie do tego rozróżniało się Żydów jeżdżących [*Fahrjuden*] i Żydów chodzących [*Laufjuden*], Warunki do umycia się w fabryce były bardzo niedogodne. Niektórzy korzystali z nich, inni woleli się umyć dopiero w domu. Według tego rozróżniano Żydów myjących się [*Waschjuden*] i Żydów brudasów [*Saujuden*]. Przydzielanym później do tej grupy mogło się to wydawać trochę niesmaczne, ale nie brali tego tak poważnie, aby wszczynać spór.

Kiedy w przerwach na posiłek rozmawiało się o jakimś problemie dotyczącym naszej sytuacji, wtedy nasz brygadzista cytował odnośne zdania Hitlera z takim przekonaniem, że musiało się je uważać za jego własne słowa i poglądy. Na przykład Mann opowiadał, że wczoraj przy wieczornej kontroli na przeszło wszystko bardzo dobrze. Wiadomo, mówił, że policja jest w jawnym konflikcie z Gestapo, przynajmniej wszyscy starsi funkcjonariusze są z reguły starymi socjaldemokratami. (Musieliśmy być w domu latem o dziewiątej, zimą o ósmej godzinie; sprawą policji było tego pilnować). Dr P. oświadczył na to zaraz: - Marksizm dąży do planowego oddania świata w ręce żydostwa. - Kiedy indziej była mowa o jakimś przedsiębiorstwie akcyjnym. Doktor powiedział tonem pełnym przekonania: - Poprzez akcję Żyd wkrada się w obieg narodowego produktu i czyni z niego przedmiot szachrajstwa. - Kiedy później miałem okazję studiować gruntownie *Mein Kampf*, niektóre długie zdania wydały mi się niezwykle znajome; otóż pokrywały się one ściśle z tymi powiedzeniami naszego brygadzisty, które notowałem na kartkach, żeby je zapisać w swoim dzienniku. Znał on na pamięć całe długie zdania Führera.

Przyjmowaliśmy to dziwactwo - żeby nie powiedzieć: tę obsesję - brygadzisty niekiedy rozbawieni, niekiedy zrezygnowani. Mnie samemu wydawało się ono znamieniem całkowitego poddania się Żydów ich losowi. Potem przyszedł do nas Bukowzer i spokój się skończył. Bukowzer był starym, ciężko chorym i popędliwym człowiekiem, który żałował dawnych Niemiec, liberalizmu i europeizmu, i wpadał w gwałtowne podniecenie, kiedy usłyszał ze strony żydowskiej słowo niechęci czy nawet tylko obojętności pod adresem żydowstwa. Uwagi naszego brygadzisty sprawiały za każdym razem, że żyły w skroniach i na kompletnie łysej głowie robiły mu się grube jak postronki, a on sam krzyczał: - Nie pozwolę się dyfamować, nie zniosę dyfamacji naszej religii! - Jego wściekłość pobudzała doktora do wygłaszania dalszych cytatów i niekiedy obawiałem się już, że Bukowzer dostanie apopleksji. Ale on tylko krzyczał i ciągle wyrzucał z siebie, dysząc, ulubiony obcy wyraz Hitlera: - Nie pozwolę się dyfamować!

Dopiero dzień 13 lutego położył kres nieprzyjaźni obutych poddanych LTI: leżą pogrzebani pod gruzami domu żydowskiego przy Sporergasse...

Gdyby to poddaństwo ujawniało się tylko w mowie codziennej, można by je od biedy zrozumieć; w sytuacji codzienności człowiek mniej sam siebie obserwuje, jest bardziej zależny od tego, co ma stale przed oczyma, co mu ciągle brzmi w uszach. Ale jak miała się rzecz z drukowanym słowem Żydów, a więc z tekstami, które się wielokrotnie sprawdza i za które bierze się pełną odpowiedzialność? Zapisując swoje słowa, autorzy kładą je na szalę, a potem powtarzają tę czynność jeszcze dwukrotnie przy korekcie.

Na samym początku, kiedy wychodziło jeszcze kilka żydowskich czasopism, przeczytałem kiedyś w tytule mowy pogrzebowej: Ku czci naszego wodza [*Führera*] Levinsteina. Wodzem był tu nazwany przełożony gminy. Przykre i niesmacznej powiedziałem sobie, ale ostatecznie w stosunku do mówcy, nawet mówcy pogrzebowego, można uznać okoliczności łagodzące, kiedy goni on za aktualnością.

Teraz, w latach czterdziestych, od dawna nie było juz żydowskich czasopism ani publicznych żydowskich przemówień. Za to można było w domach żydowskich znaleźć specyficznie żydowską współczesną literaturę. Zaraz po pierwszej wojnie zaczęły się przecież w Niemczech rozchodzić drogi życiowe Niemców i niemieckich Żydów, w Rzeszy pojawił się syjonizm. Powstały różnego rodzaju wyraźnie żydowskie księgarnie nakładowe i zrzeszenia wydawnicze, które wydawały wyłącznie żydowskie dzieła historyczne i filozoficzne, a do tego beletrystykę autorów żydowskich o tematyce żydowskiej i niemieckożydowskiej. Wszystko to sprzedawano często drogą subskrypcji i seryjnie poprzez abonament - myślę, że przyszły historyk literatury, który zechce uwzględnić moment historyczno-kulturalny i socjologiczny, będzie się musiał zająć tym systemem wydawania i kolportażu - i z tych publikacji, które były właśnie niearyjskie, całkiem sporo się jeszcze u nas zachowało. Szczególnie bogaty wybór takich rzeczy posiadał przyjaciel Steinitz; uważał za pewnego rodzaju obowiązek z punktu widzenia wykształcenia i wiary abonowanie każdej serii, którą mu oferowano. Znalazłem u niego pisma Bubera, powieści o tematach zaczerpniętych z życia getta, historię żydowską Prinza, Dubnowa itp.

Pierwszą książką, na którą tu natrafiłem, był tom wydany przez Żydowskie Stowarzyszenie Wydawnicze Arthur Eloesser: *Z getta do Europy; żydostwo w życiu umysłowym XIX wieku*, Berlin 1936. Z Arthurem Eloesserem, którego zresztą nigdy osobiście nie poznałem, dosłownie wzrastałem. Kiedy w latach dziewięćdziesiątych poczęły się we mnie budzić zainteresowania literackie, był on krytykiem teatralnym gazety „Vossische Zeitung”, które to stanowisko wydawało mi się podówczas jednym z najszczytniejszych i najbardziej godnych zazdrości. Gdybym dzisiaj miał oceniać syntetycznie twórczość Eloessera, powiedziałbym, że przystawała ona dokładnie do linii ówczesnej (jeszcze nie Ullsteinowskiej) „Cioci Voss”[94]; nie była to twórczość frapująca, ale solidna, nie rewolucyjna, ale rzetelnie liberalna. Ponadto o jego krytykach można powiedzieć z całkowitą pewnością, że pozbawione wszelkiej nacjonalistycznej ciasnoty i otwarte na Europę - zresztą Eloesser, o ile pamiętam, napisał dobrą pracę doktorską na temat dramatu we francuskim Oświeceniu - były zawsze całkowicie i w sposób zupełnie naturalny utrzymane w duchu niemieckim; nikomu nie mogłoby

[94] „Tante Voss” (Ciocia Voss) - potoczna nazwa berlińskiego dziennika, który wychodził pod różnymi tytułami od r. 1617, a w XVIII w. od nazwiska swoich ówczesnych wydawców (Voss) otrzymał tytuł „Vossische Zeitung”; od r. 1914 w posiadaniu wielkiego wydawnictwa Ullstein. Gazeta ta, o nastawieniu lewicowo-liberalnym, przestała wychodzić w r. 1934.

przyjść na myśl, że pisał je, powiedzmy, nie-Niemiec. A teraz, jakaż zmiana! Od pierwszego do ostatniego wiersza beznadziejny nastrój rozbitka, wygnańca. I trzeba to brać dosłownie. Motto, wzięte od pewnego amerykańskiego krewnego autora, brzmi bowiem: *We are not wanted anywhere*, Żydzi wszędzie niepożądani! (W pierwszych latach hitlerowskich na drzwiach restauracji można było przeczytać napis: „Żydzi niepożądani" albo „Żydom wstęp wzbroniony". Później zakaz ten rozumiał się sam przez się, bez jakiegokolwiek napisu). A na samym końcu jest mowa o pogrzebie Bertholda Auerbacha, pobożnego Żyda i gorącego niemieckiego patrioty, zmarłego z początkiem roku 1882. Żywy powstanie z grobu, powiada w swojej mowie poświęconej jego pamięci Fr. Theodor Vischer, wszelako Eloesser dodaje w zakończeniu: „Ale czas poety i jego przyjaciół, czas liberalizmu jako światopoglądu, czas ufającego weń niemieckiego Żyda był już pogrzebany pod tą samą grudą ziemi".

Tym, co mnie w książce Eloessera najbardziej zaskoczyło i poruszyło, nie była bezbronna rezygnacja, z jaką ten liberalny i całkowicie zasymilowany literat przyjmuje swoje wyłączenie z nurtu życia kulturalnego, ani też połowiczny i niejako wymuszony zwrot ku syjonizmowi. Zwątpienie i poszukiwanie nowego punktu oparcia były aż nadto zrozumiałe. Ale to uderzenie w twarz, to stale powtarzające się uderzenie! Otóż ta starannie napisana książka przejmuje z uległością język zwycięzcy i stosuje nieustannie wszystkie charakterystyczne formy LTI. Upraszczające wtłoczenie w liczbę pojedynczą: „ufny niemiecki Żyd", upraszczające rozczłonkowanie ludzkości: „człowiek niemiecki", można tu spotkać na każdym kroku... Kiedy w Berlinie następuje przejście od oświecenia Nicolaiego do filozofii krytycznej, oznacza to „silne przeoranie" [*starker Umbruch*]... Żydzi uważali się w sprawach kultury za „zunifikowanych" z Niemcami... *Parias* Michaela Beera jest „zamaskowaną" [*getarnt*] sztuką, a *Almanzor* Heinego „zamaskowanym" Żydem... Wolfgang Menzel dąży do pełnej „autarkii" życia umysłowego w Niemczech... Borne przeżywa „bojowe" [*Kämpferisch*] męskie lata, nie zdoła go zmylić żadna melodia i żaden mistyczny „zew krwi", jaki usłyszeli Heine i Disraeli... Drogę współczesnego realistycznego dramatu „wytyczyło" [*hat ausgerichtet*] przekonanie o winie stosunków społecznych... I oczywiście jest tam również „prawo działania" [*Gesetz des Handelns*], wyrażenie pochodzące chyba od Clausewitza, a powtarzane do znudzenia przez nazistów. I *aufziehen*, i *volkhaftt* i „pół-Żyd" i „mieszaniec", i „straż przednia" [*Vortrupp*], e tutti quanti...

Tuż obok książki Eloessera stała należąca do tej samej serii i do tego samego rocznika „powieść w opowieściach" Rudolfa Franka: *Dziadowie i wnuki*. Tutaj LTI zsunęła się do wewnątrz, napisałem w swoim dzienniku, i gdybym to teraz miał wyrazić w sposób bardziej nadający się do druku, nie powiedziałbym tego lepiej. Oczywiście słownik nazistów też się tu dał zauważyć, np. w takich wyrazach jak *Sippe* [ród], *Gefolgschaft* [zwolennicy], *aufziehen*, co sprawiało tym osobliwsze wrażenie, że autor wyraźnie naśladował styl narracyjny Goethego. Ale uległ on językowi zwycięzcy w sensie głębszym niż tylko formalnym. Opowiada tam (zresztą literacko przeważnie niezbyt udolnie) o niemieckich emigrantach z roku 1935, którzy osiedlają się w Birmie i karmią swoją nostalgię wspomnieniami z ojczyzny swych dziadów... Bezpośrednia niemiecka współczesność dochodzi do głosu tylko w jednym krótkim zdaniu; autor odpowiada w nim na pytanie, dlaczego jego bohaterowie wyjechali z ukochanej Nadrenii w egzotyczne kraje: „Mieli swoje powody, byli przecież Żydami". Wszystko inne co się tyczy Niemiec, jest nowelistyką historyczną; występujący tam Żydzi są równie gorliwie przywiązani do swej żydowskiej tradycji, jak entuzjastycznie niemieccy, a nawet ultraniemieccy z ducha. Można by sądzić, że gdzieś w rozmowach i poglądach tych emigrantów, noszących w sobie dziedziczną miłość do Niemiec, powinna się dać wyczuć usprawiedliwiona nienawiść do tych, którzy ich wypędzili. Nic podobnego, a nawet przeciwnie! Przyjmują oni jako zrządzenie tragicznego losu fakt, że żywią w sercu miłość zarówno do klasycznej niemczyzny, jak i do

klasycznej hebrajszczyzny. Trudno nawet mieć za złe nazistom wypędzenie z niemieckiego raju, skoro w najistotniejszych punktach odczuwa się i ocenia ten problem tak samo jak oni.

Mieszane małżeństwa między Niemcami a Żydami? ,;No cóż! Co Bóg rozłączył, człowiek niech nie łączy!" - Śpiewamy „pieśń o ojczyźnie düsseldorfskiego poety", tęskne Ich weiß nicht, was soll es bedeuten[95] (Nie wiem, co to ma oznaczać) - no cóż, niech mu będzie! „Byliśmy nomadami i pozostaniemy nomadami. Nomadami wbrew woli". Nie potrafimy też budować domów według własnej koncepcji, więc dostosowujemy się do stylu innych (naziści nazywają to pasożytnictwem); teraz np. wzniesiemy synagogę w stylu pagody, a nasze koczownicze osiedle będzie się nazywać „Kraina Szałasów". Imaj się rzemiosła! - brzmiało w pierwszych nazistowskich latach hasło LTI, a Hitler i jego ludzie nieustannie zarzucali Żydom, że są handlarzami i inteligenckimi krwiopijcami. Książka Franka gloryfikuje pewną żydowską rodzinę, w której rzemiosło jest dziedziczone od czterech pokoleń, przedstawia ją jako wzorzec etyczny głosi wyraźnie powrót „do natury i do rzemiosła" i piętnuje reżysera filmowego, który jeszcze w Birmie zamierza robić filmy „wiesz, jaką im rozkręcę produkcję!" - jako odszczepieńca i wykolejeńca. W nowelach historycznych pewien Żyd, oskarżony o zatrucie studni, celem oczyszczenia się wypija ze wszystkich wód w swojej okolicy czternaście kubków i oto „woda potoków i źródeł wlała się w niego. Przepłynęła przez jego żyły, przez ciało i weszła w jego naturę i jego czucie". A kiedy jest już usprawiedliwiony i otrzymuje do zamieszkania nadreński domek, ślubuje, że nigdy go nie opuści, „i skłania się nisko ku ziemi, której soki w siebie przyjął". Czy można w sposób bardziej poetycki uznać doktrynę krwi i ziemi? A kiedy na końcu autor opowiada o pewnej młodej jeszcze matce i jej bardzo młodej córce, że obie kobiety zamierzają dać nowej ojczyźnie dziecko, i kiedy mówi uroczystym tonem, którego przykrego komizmu sam nie wyczuwa: „Dwie matki... idą jak siostry... niosą do swego żyznego kraju nowe pokolenie" - to czy nie czuje się tu znowu pełnej zgodności z „doktryną hodowlaną" Trzeciej Rzeszy i z jej wzorem kobiety?

Z wyraźną niechęcią doczytałem tę książkę do końca. Ale historyk literatury nie może odrzucać jakiegoś dzieła dlatego, że budzi ono w nim niechęć. Jedyną postacią, która mi tam odpowiadała, był ów grzeszny Fred Buchsbaum, który w Birmie pozostał wierny swemu filmowemu powołaniu; nie pozwolił się wytrącić ze swego esse, ze swej europejskości, ze swej teraźniejszości; kręcił komedie, ale nie grał komedii przed sobą samym i z sobą samym. Nie, nawet jeśli w domach żydowskich przyjęto język zwycięzcy, na pewno było to tylko bezmyślnym niewolnictwem, ale nie było w tym uznania jego nauk, wiary w jego kłamstwa.

Przyszło mi to do głowy pewnego niedzielnego przedpołudnia. Byliśmy we czwórkę w kuchni, Stühler i ja pomagaliśmy naszym żonom zmywać naczynia. Pani Stühler, dzielna Bawarka, po której znać było bawarską krzepę, pocieszała swego niecierpliwego męża: - Kiedy znowu zaczniesz jeździć w interesach swojej firmy - a kiedyś ta chwila nadejdzie! - będziemy znów mieć służącą. - Stühler przez chwilę w milczeniu wycierał energicznie talerze. Potem powiedział, akcentując z pasją: - Nigdy już nie będę jeździł... oni mają zupełną rację, to jest nieproduktywne, to jest szachrajstwo... wezmę się za ogrodnictwo albo za coś takiego... będę blisko natury!

Język zwycięzcy... nie mówi się nim bezkarnie, wchłania się go w siebie i żyje zgodnie z nim.

---

[95] Początek znanego wiersza Lorelei Heinricha Heinego (urodzonego w Düsseldorfie).

XXIX
Syjon

Z Seliksohnem prowadziliśmy handel wymienny: cierpiał na cukrzycę i przynosił nam ziemniaki w zamian za mikroskopijne ilości mięsa i jarzyn. Wkrótce powziął rzeczywistą sympatię dla nas obojga; nigdy nie wiedziałem właściwie, dlaczego, i zawsze mnie to trochę wzruszało, jako że nienawidził on wszystkiego, co niemieckie, a każdego niemieckiego patriotę wśród noszących gwiazdę - a było ich już tylko niewielu - uważał za głupca albo obłudnika. On sam urodził się w Odessie i przybył do Niemiec dopiero w wieku czternastu lat, podczas pierwszej wojny światowej; jego celem była Jerozolima, pomimo że, albo - jak mówił - dlatego że ukończył niemiecką szkołę i niemiecką wyższą uczelnię. Mnie usiłował stale przekonywać o bezsensowności mojego stanowiska. Po każdym aresztowaniu, każdym samobójstwie, każdej wiadomości o śmierci w obozie, a więc ilekroć spotykaliśmy się, a zdarzało się to coraz częściej, bo coraz zawzięciej dyskutowaliśmy, za każdym razem mawiał: - A pan ciągle jeszcze chce być Niemcem i nawet kochać Niemcy? Na drugi raz oświadczy się pan jeszcze ze swoją miłością do Hitlera i Goebbelsa!

- To nie oni stanowią Niemcy, a co do miłości - to słowo także nie trafia w sedno sprawy. Zresztą dzisiaj znalazłem coś ładnego z tej dziedziny. Czy spotkał się pan z nazwiskiem Julius Bab?

- Tak, to jeden z berlińskich literatów-Żydów, dramaturg i krytyk, prawda?

- Otóż w bibliotece Steinitza stoi - Bóg wie, skąd się tam wziął - jego prywatny druk. Pół setki wierszy, wydanych jako manuskrypt tylko dla przyjaciół, bo, jak mówi, nie czuje się prawdziwie twórczym lirykiem i spoza własnych wersów słyszy ciągle zapożyczoną melodię. Bardzo chwalebna skromność i rzeczywiście uzasadniona; brzmi tam ustawicznie echo to Georgego, to Rilkego, język jest raczej tworem erudycji niż talentu. Ale jedna strofa tak przyciągnęła moją uwagę, że niemal zupełnie zapomniałem o jej wtórności. Zanotowałem ją w dzienniku, przeczytam ją panu, a wkrótce będę ją znał na pamięć, tak często o niej myślę; dwa do Niemiec skierowane wiersze, jeden z roku 1914, drugi z 1919, zaczynają się tym samym wyznaniem:

> Czy kochasz Niemcy? - Cóż powiedzieć mam!
> Czy sam przez siebie mogę być kochany?
> Miłość ulotną grą jawi się nam.
> Sobie, mej ziemi jestem przypisany
> Głębiej, na zawsze: Niemcy - to ja sam[96].

Właśnie tak to czujemy, i to nie tylko poeta, i ja, ale także tysiące innych.

- W najlepszym razie autosugestia, samookłamywanie się, nierzadko zwykłe kłamstwo, a między jednym a drugim oczywiście niezliczone stopnie pośrednie.

- A kto napisał najpiękniejszy niemiecki wiersz pierwszej wojny światowej?

- Nie mówi pan chyba o efektownej pieśni nienawiści Lissauera[97]?

---

[96] Przeł. Tomasz Fiałkowski.

- Skądże! Ale: „Tam na brzegu Dunaju przysiadły dwa kruki”... (myślę, że cytuję właściwie); czy to, co napisał żyd Zuckermann, nie jest całkiem autentyczną niemiecką pieśnią ludową?

- Tak samo autentyczną, to znaczy tak samo sztucznie podrobioną i tak samo nieprawdziwą jak *Lorelei*; ponowne nawrócenie się Heinego do żydostwa jest panu zapewne znane, ale o syjonizmie i syjonistycznych wierszach Zuckermanna przypuszczalnie pan nie wie. To naprawdę jest tak, jak było napisane na tablicy ogłoszeń, w pana uczelni i gdzie indziej: „kiedy Żyd pisze po niemiecku, to kłamie!”

- Rozpacz człowieka ogarnia: żaden z was nie może się oprzeć językowi zwycięzcy, nawet pan, który we wszystkich Niemcach widzi tylko wrogów!

- On o wiele bardziej mówi naszym językiem niżemy jego! To on się od nas uczył. Tylko że wszystko obrócił w kłamstwo, w zbrodnię.

- Jakże to? On od nas? Co pan przez to rozumie?

- Przypomina pan sobie pierwsze wystąpienia w 1933? Kiedy naziści urządzili tu wielki demonstracyjny pochód przeciw Żydom? „Jednokierunkowa droga do Jerozolimy !” i „Biały Jeleń[98] przepędza Żydów”, i jakie tam jeszcze były te wszystkie hasła i transparenty? W tym pochodzie szedł też pewien Żyd, który niósł tablicę na długim drążku, a na tej tablicy było napisane: „Precz z nami!”.

- Opowiadano mi o tym. Myślałem, że chodzi o gorzki żart.

- Nie, rzeczywiście tak było, a to „Precz z nami” jest starsze niż hitleryzm i nie my mówimy językiem zwycięzcy, tylko Hitler nauczył się od Herzla[99].

- Czyżby pan sądził, że Hitler czytał coś z Herzla?

- Nie sądzę, by w ogóle coś poważnie czytał. Stale tylko łapał okruchy wiedzy z najrozmaitszych dziedzin, stale tylko powtarzał chaotycznie, bezmyślnie i z przesadą to, co mu było przydatne dla jego obłędnego systemu. Ale na tym właśnie polega geniusz czy demonizm jego szaleństwa albo tkwiąca w nim zbrodniczość - niech pan sobie to nazwie, niech pan sobie to tłumaczy, jak pan chce - że wszystko, co pochwyci, potrafi z niezawodną trafnością wykorzystać tak, aby porwać za sobą ludzi prymitywnych, a tych, którzy mają już lub mieli pewną zdolność myślenia, przemienić z powrotem w prymitywne stadne zwierzęta. A tam, gdzie w *Mein Kampf* mówi po raz pierwszy o swojej wrogości do Żydów, o swoich wiedeńskich doświadczeniach i przemyśleniach, jest też od razu mowa o syjonizmie, którego przecież w Wiedniu nie sposób było nie dostrzec. Powtarzam: Hitler wypacza wszystko na najsprośniejszą, najśmieszniejszą brukową modłę; czarnowłosy żydowski chłopiec czatuje z satanicznym grymasem na aryjską blondynkę, aby w niej zhańbić rasę germańską, a to w tym celu, by dać upragnione panowanie nad światem swojej własnej, niższej rasie, narodowi Żydów - cytuję wprawdzie z pamięci, ale na pewno we wszystkich istotnych punktach dosłownie!

---

[97] Ernst Lissauer (1882-1937) - niemiecki poeta, od r. 1933 na emigracji; jego liryka była początkowo zabarwiona silnie nacjonalistycznie, czego przykładem jest napisana w r. 1914 *Pieśń nienawiści do Anglii*.
[98] Der Weiße Hirsch (Biały Jeleń) – wytworna dzielnica przedwojennego Drezna.
[99] Theodor Herzl (1860-1904) – austriacko-żydowski pisarz, publicysta i polityk, twórca i ideolog politycznego syjonizmu, pierwszy przewodniczący Światowej Organizacji Syjonistycznej.

- Znam to, mógłbym panu to miejsce wyrecytować nawet dokładniej, bo nasz brygadzista kocha się w cytatach z Hitlera, a to jest jeden z jego ulubionych passusów. Dalej jest powiedziane, że po pierwszej wojnie światowej Żydzi sprowadzili nad Ren Murzynów, aby przez nieuchronną bastardyzację zniszczyć białą rasę panów. Ale co to ma wspólnego z syjonistami?

- Niewątpliwie nauczył się on od Herzla widzieć Żydów jako naród, jako polityczną jedność, i nazywać ich zbiorczo „światowym żydostwem".

- Czy w ten sposób nie wysuwa pan przeciw Herzlowi straszliwego oskarżenia?

- Co Herzl winien temu, że go jakiś żądny krwi szaleniec okradł i że go Żydzi w Niemczech w czas nie posłuchali? Teraz jest za późno, i teraz przychodzicie do nas.

- Ja nie.

- Pan! Następnym razem będzie pan twierdził jak Rathenau, że pan ma germańskie blond serce i że niemieccy Żydzi są czymś w rodzaju niemieckiego plemienia, czymś pośrednim między Niemcami z północy a Szwabami.

- Za niesmacznym pomysłem z germańskim blond sercem na pewno nie będę się opowiadał, ale ten rodzaj niemieckiego plemienia - biorąc czysto duchowo, można by to rzeczywiście do nas odnieść, myślę: do ludzi, których językiem ojczystym jest niemiecki i których całe wykształcenie jest niemieckie. „Mowa to więcej niż krew!" Poza tym niewiele mogę powiedzieć o Rosenzweigu, którego listy dała mi pani tajny radca Elsa - ale Rosenzweig należy do rozdziału o Buberze, a my jesteśmy przy Herzlu.

- Nie ma sensu z panem rozmawiać, skoro pan nie zna Herzla. Musi pan go poznać, to jest teraz niezbędny element pana wykształcenia; spróbuję się panu o coś postarać.

Rozmowa ta przez wiele dni nie dawała mi spokoju. Czy to rzeczywiście był objaw niedokształcenia, że nie przeczytałem ani słowa z tego, co napisał Herzl, i jak to się stało, że nigdy nie trafiłem na jego pisma? Słyszałem o nim oczywiście już dawno, a i z ruchem syjonistycznym zetknąłem się parę razy w życiu. Po raz pierwszy na początku stulecia, kiedy w Monachium chciała mnie zwerbować żydowska korporacja studencka uprawiająca pojedynki. Wzruszyłem wtedy tylko ramionami jak nad czymś nie z tego świata. Następnie parę lat przed pierwszą wojną światową w *Drodze do wolności* Schnitzlera i zaraz potem przy okazji wykładu, jaki miałem w Pradze. Otóż w Pradze, gdzie przesiedziałem ze studentami syjonistami kilka godzin w kawiarni, powiedziałem sobie jeszcze bardziej zdecydowanie niż poprzednio przy lekturze Schnitzlera, że chodzi tu o sprawę czysto austriacką. Tam, gdzie przywyknięto do rozczłonkowania państwa na poszczególne narodowości, wzajemnie się zwalczające albo w najlepszym razie tolerujące, mogła też być narodowość żydowska; tam, zaś, gdzie - jak w Galicji - żyła jeszcze w zwartej masie drobnomieszczańska ludność żydowska, tworząca dobrowolne getta z zachowanym własnym językiem i obyczajem, podobna do sąsiednich skupisk Żydów polskich i rosyjskich, w której ucisk i prześladowania wzbudzały tęsknotę za lepszą ojczyzną, tam syjonizm był czymś tak zrozumiałym, że nasuwało się tylko jedno pytanie: jak to się stało, że pojawił się on dopiero w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia i dopiero dzięki Herzlowi? I rzeczywiście: wszędzie tam istniał już wcześniej, po części nawet zalążkowo w swoim kształcie politycznym, i tylko konsekwentne uwypuklenie momentu politycznego oraz objęcie koncepcją narodu i zamysłem

reemigracji Żydów wyemancypowanych, żyjących na Zachodzie i w warunkach istotnie europejskich, było tym nowym elementem, który Herzl przydał od siebie istniejącemu już ruchowi.

Ale co to obchodziło mnie, co to obchodziło Niemcy? Wiedziałem oczywiście, że syjonizm ma zwolenników w prowincji poznańskiej, że i u nas w Berlinie jest grupka syjonistów, a nawet wychodzi jakieś pismo syjonistyczne - ale w Berlinie było pełno różnych ekscentrycznych i egzotycznych osobliwości, pewnie nawet jakiś klub chiński. Co to miało wspólnego z moim kręgiem życiowym, z moją osobą? Byłem przecież tak pewien swojej niemieckości, swojej europejskości, swego uniwersalnego człowieczeństwa, swego dwudziestego wieku. Krew? Nienawiść rasowa? Ależ nie dzisiaj, ależ nie tu - w sercu Europy! Także i wojny były oczywiście już nie do pomyślenia, w każdym razie w sercu Europy... najwyżej gdzieś tam, na skraju Bałkanów, w Azji, w Afryce. Aż do czerwca 1914 r. uważałem za fantazję wszystko, co pisano o możliwości powrotu do stosunków średniowiecznych, a za stosunki średniowieczne brałem wszystko, co nie dało się pogodzić z pokojem i kulturą.

Potem przyszła pierwsza wojna światowa i moja ufność w niezachwianą moc kultury europejskiej została oczywiście zachwiana. I naturalnie czułem narastającą z dnia na dzień falę antysemityzmu i nazizmu - znajdowałem się przecież wśród profesorów i studentów, a niekiedy myślę, że środowisko to było gorsze od drobnomieszczaństwa (bardziej winne było na pewno). Nie mogło też być dla mnie tajemnicą, że odruch samoobrony również i u nas spowodował wzmożenie ruchu syjonistycznego. Ale nie zaprzątałem sobie tym głowy, nie czytałem absolutnie nic z wszystkich tych specjalnych żydowskich publikacji, które potem w domach żydowskich mozolnie zbierałem. Czy fakt, że mnie te sprawy zupełnie nie obchodziły, był spowodowany przekorą, czy tępotą? Myślę, że ani jednym, ani drugim. Czy było to kurczowe trzymanie się Niemiec, miłość, która nie chce wiedzieć o tym, że została wzgardzona? Z pewnością nie: nie było w tym żadnego patosu, było to coś zupełnie naturalnego. Wiersz Baba naprawdę mówi wszystko, co mógłbym od siebie na ten temat powiedzieć. (Ale czy on sam dzisiaj się jeszcze do niego przyznaje? Czy jeszcze żyje? Znałem go, kiedy byliśmy dwunasto-, trzynastoletnimi chłopcami, potem nigdy go już nie widziałem). Ale zagłębiłem się zbytnio w swój dziennik z 1942 roku i zanadto odszedłem od notatnika filologa.

Chociaż jednak nie: to należy do tematu; zastanawiałem się bowiem wtedy, czy to tylko ja sam widziałem te sprawy w Niemczech w świetle fałszywym lub niepełnym; jeśli tak było, oznaczałoby to, że i swoim obecnym obserwacjom nie powinienem ufać, że jestem co najmniej w problematyce żydowskiej niekompetentny. Wspomniałem o tym przy zwykłych cotygodniowych odwiedzinach u Markwalda. Markwald był człowiekiem pod siedemdziesiątkę, niemal całkowicie sparaliżowanym, ale umysłowo w pełni żywym. Co parę godzin, kiedy bóle stawały się zbyt dokuczliwe, jego dzielna żona robiła mu zastrzyk morfiny. Ciągnęło się to już od lat i mogło się tak ciągnąć jeszcze lata. Markwald chciał ujrzeć swoich synów, którzy wyemigrowali, i poznać swoje wnuki. - Ale jeśli mnie wezmą do Theresienstadt, to się skończę, bo tam nie dostanę morfiny. - Wzięli go do Theresienstadt, bez jego wózka inwalidzkiego, i skończył się tam, a jego żona razem z nim. W pewnym sensie stanowił on taki sam wyjątek wśród noszących gwiazdę, jak niewykwalifikowany robotnik i biuralista w fabryce: już jego ojciec był właścicielem ziemskim w Niemczech środkowych, a on sam po studiach agronomicznych przejął ojcowski majątek i gospodarował na nim do chwili, kiedy w czasie wojny światowej powierzono mu wysokie stanowisko w saskim ministerstwie rolnictwa. Niekiedy opowiadał mi - to również należy do działu żydowskiego - o masowym wybijaniu świń, jakiego według uparcie powtarzanych zarzutów mieli się dopuszczać Żydzi, aby wygłodzić Niemców, oraz o całkiem

analogicznych krokach podejmowanych przez nazistów pod zmienioną nazwą: to, co podczas pierwszej wojny światowej zwało się żydowskim mordem, teraz nazywało się niemiecką sztuką przewidywania i służącą interesom narodu gospodarką planową. Nasze rozmowy nie toczyły się jednak wyłącznie wokół spraw agrarnych: oboje Markwaldowie mieli bardzo żywe zainteresowania polityczne i literackie, byli ludźmi oczytanymi, a wydarzenia ostatnich lat skierowały oczywiście ich uwagę, tak samo jak moją, na problemy niemieckich Żydów. Przy czym i oni nie ustrzegli się bynajmniej języka zwycięzców. Dali mi do przeczytania pięknie wykonany obszerny rękopis, zawierający dzieje ich rodziny, osiadłej w Niemczech - co było udokumentowane - od kilku stuleci; słownik nazistowski był tam obficie stosowany, a całość stanowiła przyczynek do hitlerowskiej *Sippenkunde* [wiedzy genealogicznej], nie pozbawiony sympatii dla pewnych „autorytarnych" zasad aktualnego ustroju państwowego.

Z Markwaldem rozmawiałem więc o syjonizmie. Chciałem wiedzieć, czy przypisuje mu istotne znaczenie dla Niemiec; urzędnikom administracji łatwiej jest przecież o statystyczną ocenę zjawisk. Tak, oczywiście, on również spotkał się z tym „austriackim ruchem"; zauważył też, że pod naciskiem antysemityzmu wzmagał się on u nas, poczynając od końca wojny światowej; nigdy jednak nie przerodził się w ruch o rzeczywistym znaczeniu w Rzeszy, zawsze była to u nas tylko drobna mniejszość, niewielka klika, natomiast przeważająca liczba niemieckich Żydów była już nierozerwalnie związana z niemieckością. O anulowaniu dokonanej asymilacji nie może być mowy; niemieckich Żydów można eksterminować, ale nie można ich odniemczyć - nawet gdyby sami nad swoim odniemczeniem pracowali. Z kolei opowiedziałem, co mi mówił Seliksohn o wpływie Herzla na nazizm...

- Herzl? Kto to był - albo kto to jest?

- Pan też nic z jego rzeczy nie czytał?

- W ogóle to nazwisko słyszę pierwszy raz w życiu. Również dla pani Markwald była to postać nie znana. Odnotowuję to jako okoliczność dla siebie łagodzącą.

Musiało być w Niemczech więcej, znacznie więcej ludzi poza mną, dla których jeszcze niedawno syjonizm był czymś zupełnie obcym. I niech mi nikt nie mówi, że tak krańcowy rzecznik asymilacji, taki „niearyjski chrześcijanin", taki ziemianin jest w tej sprawie kiepskim świadkiem. Przeciwnie! Jest szczególnie dobrym świadkiem, zwłaszcza jeśli do, tego zajmował wysokie stanowisko dające szerokie horyzonty. Les extrêmes se touchent: to zdanie jest prawdziwe również w tym sensie, że strony krańcowo sobie przeciwstawne zawsze najwięcej o sobie wiedzą. Kiedy w roku 1916 leżałem w szpitalu wojskowym w Paderborn, arcybiskupie seminarium duchowne było dla mnie znakomitym źródłem zaopatrzenia we francuską literaturę oświeceniową...

Ale Hitler spędził przecież swoje „lata nauki" w Austrii i jak zawlókł stamtąd do języka kancelaryjnego Rzeszy słowo *Verlautbarung* [komunikat urzędowy], tak też musiał tam przyswoić sobie formy językowe i myślowe Herzla - przejście od jednych do drugich jest prawie nieuchwytne, zwłaszcza u natur prymitywnych - o ile rzeczywiście były one w nim obecne. Niedługo po tych rozmowach i rozważaniach Seliksohn przyniósł mi dwa tomy Herzla, *Pisma syjonistyczne* i pierwszy tom dzienników, oba wydane w latach 1920 i 1922 w wydawnictwie Jüdischer Verlag w Berlinie. Ich lektura była dla mnie wstrząsem, który graniczył z rozpaczą. Moja pierwsza notatka na ten temat w dzienniku brzmi: „Panie, strzeż mnie przed mymi przyjaciółmi! W tych dwóch tomach można przy

odpowiednim nastawieniu znaleźć materiał dowodowy na wiele z tego, co Hitler i Goebbels, i Rosenberg mówią przeciwko Żydom, nie trzeba do tego nawet zbytniej zręczności w interpretacji i przekręcaniu".

Potem uporządkowałem sobie w kilku hasłach i cytatach podobieństwa i różnice między Hitlerem a Herzlem. Dzięki Bogu były też między nimi różnice.

Przede wszystkim: Herzl nigdzie nie snuje planów ucisku, a tym bardziej eksterminacji obcych narodów, nigdzie nie broni idei wybrańswa i roszczenia jednej rasy czy jednego narodu do panowania nad całą ludzkością niższej kategorii - idei leżącej u podstaw całego nazistowskiego koszmaru. Żąda tylko równouprawnienia dla grupy ludzi uciśnionych, bezpiecznej przestrzeni o skromnych wymiarach dla grupy ludzi maltretowanych i prześladowanych. Słowa *untermenschlich* [podludzki; od *Untermenschen* - podludzie] używa tylko tam, gdzie mówi o nie licującym z ludzką godnością traktowaniu Żydów galicyjskich. A następnie: nie jest ograniczony i uparty, nie jest umysłowo i duchowo prostacki jak Hitler, nie jest fanatykiem. Chciałby nim być, ale dochodzi tylko do szczebla półfanatyka, i nie może w sobie zdusić rozsądku, rozwagi i ludzkich uczuć, i zawsze tylko przez krótkie chwile potrafi się czuć posłanym przez Boga mężem opatrznościowym, i nieustannie dręczą go wątpliwości, że może wcale nie jest drugim Mojżeszem, lecz tylko obdarzonym fantazją felietonistą. Jeden tylko punkt jest niezmienny w jego zamiarach i całkiem jednoznacznie rozwinięty w jego planach: że nie emancypowanym, tworzącym nadal odrębny naród, prawdziwie uciśnionym masom wschodnich Żydów trzeba stworzyć ojczyznę. Z chwilą, kiedy przechodzi do zachodniej strony tego problemu, wikła się w sprzecznościach, które daremnie usiłuje usunąć. Definicja pojęcia narodu zaczyna się chwiać, nie można jednoznacznie stwierdzić, czy gestorem spraw państwowych jest dyktator, czy parlament; podział na rasy nie podoba mu się, ale opowiada się za zakazem małżeństw mieszanych; jest „rzewnie" przywiązany do niemieckiej formacji umysłowej i niemieckiego języka, które - jak wszystko, co zachodnie - chce zabrać ze sobą do Palestyny, ale przecież naród Żydów tworzy jednostajna masa mieszkańców wschodnich gett, itd., itd. Wszystkie te wahania ukazują Herzla jako człowieka wprawdzie nie genialnego, ale o gorącym sercu i interesującego.

Z chwilą wszakże, gdy wspina się na piedestał przywódcy zesłanego przez Boga i czuje się obowiązany sprostać tej swojej misji, podobieństwo myślowe, moralne, językowe między mesjaszem Żydów a mesjaszem Niemców przybiera to groteskową, to znów przerażającą postać. Herzl „rozwija narodowosocjalny sztandar" z siedmioma gwiazdami symbolizującymi siedmiogodzinny dzień pracy, druzgocze wszystko, co mu się opiera, niszczy, co mu staje na drodze, jest wodzem, który swoje zadanie otrzymał od losu i urzeczywistnia to, co nieświadomie drzemie w masach jego narodu, w masach, z których on ma utworzyć naród, a wódz „musi mieć twarde spojrzenie". Musi jednak również mieć zmysł dla psychologii i dla potrzeb mas. Nie bacząc na własne wolnomyślicielstwo i na prymat wiedzy, stworzy więc dla dziecięcej wiary tłumu sanktuaria, zrobi też użytek z własnej aureoli. „Przyglądałem się i przysłuchiwałem (notuje po udanym wiecu), jak powstaje moja legenda. Lud jest sentymentalny; masy nie widzą jasno. Myślę, że już teraz nie mają o mnie jasnego wyobrażenia. Dokoła mnie poczyna się unosić lekka mgła, która może przemieni się w chmurę, a ja będę w niej kroczył". Propagandę należy uprawiać wszelkimi środkami: o ile infantylne masy bierze się na ortodoksję i sanktuaria, to wobec kręgów zasymilowanych i wykształconych można „propagować syjonizm poprzez snobizm", prezentując na przykład w tym celu w wiedeńskim Stowarzyszeniu Kobiet ballady żydowskie Börriesa von Münchhausena i ilustracje Mosze Liliena. (Jeśli teraz przypomnę, że Münchhausen, który przez pierwszą wojnę światową w wielu żydowskich stowarzyszeniach sam

recytował swoje utwory o tematyce żydowskiej, był w Rzeszy hitlerowskiej czczony jako wielki niemiecki poeta, a jako zwolennik idei krwi i ziemi doskonale się rozumiał z nazistami, będę już tam, dokąd muszę dojść; ale jest to wyprzedzenie tego, co dopiero ma być powiedziane). Zewnętrzny przepych i natrętne symbole są rzeczą dobrą i niezbędną, należy przywiązywać wagę do mundurów, sztandarów i uroczystości. Niewygodnych krytyków traktuje się jako wrogów państwa. Opór wobec ważnych przedsięwzięć należy łamać „z bezwzględną surowością", podejrzeń i zniewag pod adresem inaczej myślących nie trzeba się wyrzekać. Kiedy tak zwani rabini protestujący z poważnych przyczyn ideowych występują przeciwko syjonizmowi politycznemu, wciągającemu w swoją orbitę Zachód, Herzl oświadcza: Za rok w Jerozolimie! „W ostatnich dziesięcioleciach narodowego upadku" - ma na myśli asymilację - niektórzy rabini „rozwodnili" tę pradawną formułę tęsknoty: według nich Jerozolima z tego hasła powinna się właściwie nazywać Londynem, Berlinem lub Chicago. „Jeśli tradycję żydowską będzie się interpretować w ten sposób, to z żydostwa pozostanie oczywiście niewiele więcej poza roczną pensją, jaką ci panowie pobierają". Przynęta i groźba, odpowiednio dozowane, powinny ze sobą współdziałać: nikogo nie wolno do emigracji zmuszać, ale ociągający się, maruderzy, i tu, i tam nie wyjdą dobrze na swoim kunktatorstwie, bowiem naród w Palestynie „będzie swoich prawdziwych przyjaciół szukał wśród tych, którzy walczyli i cierpieli za sprawę wtedy, kiedy nie zbierało się za to zaszczytów, lecz obelgi".

Wszystko to są ogólne zwroty i figury retoryczne, wspólne obu wodzom. Poza tym wszakże Herzl niejednokrotnie daje w ręce Hitlera bardzo użyteczną broń. Pragnie zmusić Rotszyldów, aby całego swego majątku użyli na rzecz narodu żydowskiego, zamiast, jak dotąd, bogacić się na armiach wszystkich mocarstw. A jak ten jednolity naród żydowski - ciągle to samo: jesteśmy całością, jesteśmy narodem! - jak on się ostoi i zapewni sobie znaczenie? Otóż włączy się w pertraktacje pokojowe walczących ze sobą państw europejskich jako potęga finansowa. Będzie to o tyle możliwe, że przecież nawet po założeniu państwa żydowskiego pozostanie na europejskiej obczyźnie zapewne jeszcze wielu Żydów x którzy będą mogli mieć oparcie we własnym państwie, a zarazem służyć mu z zewnątrz. Jakież możliwości interpretacyjne otwierają się tu dla nazizmu!

I ciągle to osobiste powinowactwo, ta językowa harmonia obu wodzów. Wystarczy policzyć, ile przyjęć, ile przemówień, ile spraw błahych określał reżim hitlerowski jako historyczne. I podobne, kiedy Herzl podczas spaceru rozwija przed redaktorem naczelnym „Neue Freie Presse" swoje myśli, to jest to „godzina historyczna", a kiedy odnosi najmniejszy bodaj sukces dyplomatyczny, od razu wchodzi na karty dziejów. I jest też taka chwila, w której zwierza się kartom swego dziennika, że tutaj kończy się jego egzystencja prywatna, a zaczyna jego istnienie historyczne...

Jakże uderza ta stale powtarzająca się zgodność ich obu - myślowa i stylistyczna, psychologiczna, spekulatywna, polityczna; a ile sobie wzajemnie zawdzięczali! Ze wszystkiego, na czym Herzl opiera jedność narodu, do Żydów ma pełne zastosowanie tylko jeden element: wspólny przeciwnik i prześladowca; to zapewne pod tym względem Żydzi wszystkich narodów stopili się w oczach Hitlera w jedno „światowe żydostwo", to on sam, jego mania prześladowcza i niezwykła przebiegłość tej jego manii skonkretyzowały to, co poprzednio istniało tylko w wyobrażeniu; Hitler zjednał syjonizmowi i państwu żydowskiemu więcej zwolenników niż sam Herzl. A z kolei Herzl: od kogo Hitler mógłby się nauczyć rzeczy dla swoich celów ważniejszych i przydatniejszych?

To, co zbywam tutaj wygodnym pytaniem retorycznym, wymagałoby dla dokładnej odpowiedzi więcej niż jednej pracy doktorskiej. Doktryna nazistowska niewątpliwie zawdzięcza syjonizmowi

niejeden impuls i niejeden element wzbogacający, ale nie zawsze uda się łatwo i z pewnością stwierdzić, co Führer i co ten czy ów spośród współtwórców Trzeciej Rzeszy zapożyczyli właśnie od syjonizmu.

Trudność polega na tym, że obaj - Hitler i Herzl - czerpią w znacznej mierze z tego samego dziedzictwa. Wymieniłem już niemieckie źródło nazizmu: jest nim zacieśniony, ograniczony, spaczony romantyzm. Jeśli do tego dodam: romantyzm kiczowaty, to będzie się w tym zawierać najściślejsze określenie duchowej i stylistycznej wspólnoty obu wodzów. Wzorcem, który Herzl wymienia wielokrotnie z wielką sympatią, jest Wilhelm II. Wyraźna świadomość psychicznej genezy bohaterskiej pozy wilhelmińskiej - kalekie ramię ukryte pod pompatyczną pozą nie jest dla niego tajemnicą - czyni cesarza tylko jeszcze bliższym jego sercu. Także nowy Mojżesz Żydów marzy o gwardii w srebrzystych kirysach. Hitler z kolei widział w Wilhelmie człowieka, który doprowadził naród do ruiny, ale sposób bycia herosa i upodobanie do kiczowatego romantyzmu miał z nim wspólne - a raczej ogromnie go pod tym względem przewyższał.

Mówiłem o Herzlu również z panią tajnym radcą Elsą, a ona oczywiście go znała. Nie żywiła jednak wobec niego żadnych żywszych uczuć - szczególnej sympatii czy silnej niechęci. Był dla niej zbyt „pospolity", zbyt mało „uduchowiony". Biednym Żydom ze Wschodu życzył dobrze i niewątpliwie ma wobec nich zasługi. - Ale nam, Żydom niemieckim, nie ma nic do powiedzenia; zresztą w ruchu syjonistycznym całkowicie go już wyprzedzili inni. Tamtejsze napięcia polityczne niezbyt mnie interesują; wobec umiarkowanie burżuazyjnego Herzla są w opozycji obie partie, zarówno zdeklarowani nacjonaliści, jak i komuniści, i elementy prosowieckie. Dla mnie rzeczą istotną jest przywództwo duchowe syjonizmu, to zaś sprawuje dzisiaj bezsprzecznie Buber[100] . Martina Bubera uwielbiam i gdybym nie była tak fanatycznie - pardon! tak ogromnie - przywiązana do Niemiec, stałabym się jego absolutną wyznawczynią. To, co pan mówi o kiczowatym romantyzmie Herzla, jest zupełnie słuszne, natomiast Buber jest prawdziwym romantykiem, w pełni czystym, w pełni głębokim, powiedziałabym niemal: całkiem niemieckim romantykiem, a że optuje za oddzielnym państwem żydowskim - po części jest to niewątpliwie wina Hitlera, a po części - mój Boże, on pochodzi z Wiednia, a właściwym Niemcem można się przecież stać tylko u nas, w Rzeszy. To, co w Buberze jest najlepsze, a przy tym jednak czysto niemieckie, znajdzie pan u przyjaciela Bubera, Franza Rosenzweiga[101]. Niech pan weźmie te listy Rosenzweiga - później ów cenny tom, który miała w dwóch egzemplarzach, nawet mi podarowała, a ja nie mogę go odżałować, bo tak niezwykły dawał wgląd w historię umysłową swych czasów - a tu jest parę rzeczy Bubera...

Uwaga w nawiasie dla uspokojenia swojego filologicznego sumienia: Moje liwiuszowe mowy są tylko bardzo umiarkowanie liwiuszowe: pochodzą z dziennika, który rzeczywiście pisałem z dnia na dzień pod świeżym wrażeniem dziejących się spraw i mając jeszcze w uszach dźwięk tego, co zasłyszałem. Buber nie był mi całkiem obcy, wymieniano go wśród filozofów religii od dwudziestu, trzydziestu lat: z nazwiskiem mniej znanego i wcześnie zmarłego Rosenzweiga spotkałem się po raz pierwszy.

Buber jest tak bardzo romantykiem i mistykiem, że istotę żydostwa wywraca na nice. Cały proces rozwojowy wykazuje, że rdzeń tej istoty stanowi jak najściślejszy racjonalizm, absolutnie

[100] Martin Buber (1878-1965) - wybitny żydowski teolog, filozof i działacz społeczny; jego myśl filozoficzna i teologiczna rozwijała się głównie pod wpływem religijnej tradycji judaistycznej - Biblii i chasydyzmu - mistyki, niemieckiej filozofii życia i egzystencjalizmu.
[101] Franz Rosenzweig (1886-1929) – niemiecko-żydowski filozof religii i pedagog; w swojej myśli reprezentował nawrót do tradycji żydowskiej.

konsekwentne pozbawienie idei Boga jakichkolwiek cech zmysłowych, i że Kabała oraz późniejsze fale mistyki były tylko przejawami reakcji na stałą i decydującą tendencję. Dla Bubera natomiast rzeczą istotną i twórczą jest żydowska mistyka, zaś żydowska ratio to tylko skostnienie i wynaturzenie. Buber jest religioznawcą o szerokim kręgu zainteresowań; człowiek Wschodu jako taki jest dla niego człowiekiem religijnym, ale spośród wszystkich ludzi Wschodu najwyższy stopień religijności osiągnęli Żydzi. Ponieważ zaś przez wieki całe żyli w bardzo ścisłym kontakcie z Zachodem mającym inną, aktywną mentalność, przeto obecnie ich zadaniem jest stopienie największych wartości duchowych wschodniego i zachodniego świata w jedną całość i pośrednictwo między tymi oboma światami. W tym miejscu włącza się romantyk, również romantyczny filolog (a nie, jak w przypadku Herzla, polityk): apogeum swego rozwoju religijnego uzyskali Żydzi w Palestynie, nie są wcale nomadami, w swoim pierwotnym charakterze są ludem rolniczym, wskazują na to wszystkie obrazy biblijne, ich „Bóg był panem ziemi uprawnej, jego święta były świętami ziemi, a jego prawo prawem ziemi". I „na jakiekolwiek wyżyny powszechnego ducha wznosiło się proroctwo... ich powszechny duch zawsze chciał przyoblekać się w ciało z tej konkretnej ziemi kananejskiej...". W Europie dusza żydowska („która przeszła przez wszystkie nieba i piekła Zachodu"), a zwłaszcza dusza Żydów „przystosowanych", poniosła uszczerbek; ale „z chwilą, gdy dotknie swej macierzystej ziemi, znowu stanie się twórcza". Buber prezentuje tu myśli i uczucia niemieckiego romantyzmu, a także świat języka romantycznego, szczególnie neoromantycznej poezji i filozofii, z jego oderwaniem od codzienności i z jego namaszczoną solennością i skłonnością do tajemniczego mroku.

U Franza Rosenzweiga rzecz ma się podobnie, jednakże nie zanurza on się tak całkowicie w mistykę i nie rezygnuje też z łączności przestrzennej z Niemcami.

Ale chciałbym jak szewc pilnować swego kopyta, to znaczy swojej LTI. Istota żydostwa, racja bytu syjonizmu to nie mój temat. (Wierzący Żyd mógłby bardzo łatwo dojść do wniosku, że nasza druga, współczesna diaspora, obejmująca rozleglejsze obszary świata, jest w równym stopniu wynikiem woli Bożej jak pierwsza; przy tym ani pierwsza, ani druga nie pochodziła od jakiegoś Boga ziemi, właściwa misja bowiem, jaką ten Bóg zlecił swemu narodowi, polega właśnie na tym, aby nie był on narodem, aby nie był związany żadnymi granicami przestrzeni, ciała, aby nie zapuszczając w nie korzeni służył samej tylko idei. O tym i o sensie getta jako „ogrodzenia" dla duchowej odrębności, i o ogrodzeniu, które stało się zaciśniętą pętlą, i o wyłamywaniu się głównych mandatariuszy misji - „wielki Spinoza" mówi Buber w oczywistej niezgodności ze swoją doktryną - i o wyłamywaniu się i wyrzucaniu z nowych granic narodowych - miły Boże, ileż nadebatowaliśmy się nad tym! I jak przerażająco niewielu z tych, których ta liczba mnoga obejmuje, dzisiaj jeszcze żyje!)

Pozostaję więc przy swoim kopycie. Ten sam styl, który jest charakterystyczny dla Bubera, te same słowa, które mają u niego szczególnie uroczysty dźwięk - jakże często spotykałem to wszystko po stronie nazistowskiej, u Rosenberga i u różnych pomniejszych propagandzistów, w książkach i artykułach prasowych. Od czasu do czasu pozowali oni chętnie na filozofów, od czasu do czasu chętnie zwracali się wyłącznie do ludzi wykształconych; masom to imponowało.

Powinowactwo stylu między Rosenbergiem a Buberem, powinowactwo w niejednej ocenie - wyższość rolnictwa i mistyki nad koczowniczym trybem życia i racjonalizmem to także ulubiona idea Rosenberga - czyż nie jest jeszcze bardziej zdumiewające niż powinowactwo między Hitlerem a Herzlem? Wyjaśnienie tego zjawiska jest wszakże w obu przypadkach identyczne: okres ten pozostaje

pod znakiem romantyzmu, nie tylko romantyzmu kiczowatego, ale także autentycznego, i z tego właśnie źródła czerpią obie strony: niewinni i truciciele, ofiary i kaci.

XXX
Przekleństwo superlatywu

Jeden raz w swoim życiu, przed około czterdziestu laty, opublikowałem coś w amerykańskim piśmie. Niemieckojęzyczna „New-Yorker Staatszeitung” z okazji 70. rocznicy urodzin Adolfa Wilbrandta umieściła artykuł napisany przeze mnie jako jego biografa. Od momentu, kiedy zobaczyłem egzemplarz okazowy, pozostał on mi na zawsze w oczach jako obraz prasy amerykańskiej w jej całości. Przypuszczalnie, a nawet na pewno, jest to obraz nieprawdziwy, jako że wszelkie uogólnienie kłamie, pomimo wszakże tej refleksji pojawia się on we mnie niezmiennie z całkowitą wyrazistością, ilekroć jakieś choćby bardzo odległe skojarzenie myślowe przypomni mi amerykańskie dziennikarstwo. Otóż przez sam środek mojego artykułu o Wilbrandcie biegła od góry do dołu falistą linią, przepoławiając poszczególne wiersze, reklama jakiegoś środka przeczyszczającego, zaczynająca się od słów: „Człowiek ma jelita o długości trzydziestu stóp”.

Było to w sierpniu 1907 roku. Jelita te nie przypomniały mi się nigdy tak intensywnie jak latem 1937. W związku z norymberskim zjazdem partii gazety doniosły że słup utworzony przez dzienny nakład całej niemieckiej prasy miałby 20 kilometrów wysokości, a więc sięgałby do stratosfery - gdy tymczasem zagranica rozgłasza kłamstwa o upadku prasy niemieckiej; w tym samym mniej więcej czasie podano przy wizycie Mussoliniego w Berlinie, że do dekoracji ulic zużyto 40 000 metrów płótna flagowego.

„Pomieszanie ilości z jakością, amerykanizm najordynarniejszego gatunku” - zanotowałem sobie wówczas; a że dziennikarze Trzeciej Rzeszy byli pojętnymi uczniami Amerykanów, wynikało też przecież z coraz obfitszego stosowania coraz tłustszych nagłówków i z coraz częstszego opuszczania rodzajnika przed rzeczownikami, które miały być wyeksponowane - *«Völkischer Beobachter» baut größtes Verlagshaus der Welt* [„Völkischer Beobachter” buduje największy na świecie dom wydawniczy] - co skupia w sobie wojskową, sportową i handlową tendencję do sprężystej zwięzłości.

Ale czy liczbowe rozpasanie Amerykanów i nazistów było rzeczywiście tego samego charakteru? Już wtedy nasuwały mi się w tym względzie wątpliwości. Czy w tych trzydziestu stopach jelit nie tkwiła szczypta humoru, czy w przesadnych cyfrach amerykańskiej reklamy nie wyczuwało się zawsze pewnej uczciwej prostoty? Czy to nie było zawsze tak, jakby dający reklamowe ogłoszenie mówił: Ta przesada bawi zarówno mnie, jak i ciebie, drogi czytelniku, obaj wiemy, co oznacza - a więc to wcale nie jest z mojej strony kłamstwo, przecież z tego, co mówię, ty i tak sam odejmiesz tyle ile trzeba, i moje zachwalanie nie wprowadzi cię w błąd, a tylko dzięki jego superlatywowej formie utrwali ci się mocniej i przyjemniej w pamięci to, czego ono dotyczy!

W jakiś czas później natrafiłem na tom wspomnień amerykańskiego dziennikarza Webba Millera *Nie miałem spokoju*, wydany po niemiecku u Rowohlta w 1938 roku. Upojenie cyframi było tu najwyraźniej całkiem uczciwe; osiąganie rekordów należało do specyfiki zawodu: liczbowe

udokumentowanie najszybszego przekazu najdokładniejszych wiadomości było bardziej cenione niż jakaś głęboka refleksja. Miller wspomina ze szczególną dumą, że o rozpoczęciu wojny abisyńskiej doniósł z najdrobniejszymi szczegółami (3 października 1935, godz. 4.44, 4.55, 5.00) na czterdzieści cztery minuty przed wszystkimi innymi korespondentami, a jego bardzo zwięzła relacja z lotu nad Bałkanami osiąga punkt szczytowy w zdaniu: „Białe masy (ciężkich chmur) przemykały obok nas z szybkością stu mil na godzinę".

Najgorsze, co można było zarzucić amerykańskiemu kultowi liczb, to naiwna chełpliwość i przekonanie o własnej wartości. Przypominam jeszcze raz o temacie słonia, postawionym w skali międzynarodowej. „Jak zastrzeliłem swojego tysięcznego słonia" - opowiada Amerykanin. Niemiec w tym dowcipie ze swymi kartagińskimi słoniami bojowymi należy jeszcze do narodu filozofów, poetów i oderwanych od życia uczonych z epoki odległej o półtora wieku. Niemiec z Trzeciej Rzeszy, któremu by dano ten sam temat, położyłby trupem niewyobrażalną liczbę największych słoni świata przy użyciu najlepszej w świecie broni.

Sposób posługiwania się liczbami przez LTI jest może przejęty ze zwyczajów amerykańskich, ale różni się od nich nie tylko większą jeszcze przesadą superlatywizmu, lecz także swoją świadomą złą wolą, zawsze bowiem zmierza bez skrupułów do oszukania i odurzenia słuchacza czy czytelnika. W komunikatach Wehrmachtu roi się od niemożliwych do sprawdzenia liczb łupów i jeńców, armaty, samoloty, czołgi idą w tysiące i dziesiątki tysięcy, jeńcy w setki tysięcy, a na końcu miesiąca ukazują się niezwykle długie zestawienia jeszcze bardziej fantastycznych liczb; kiedy zaś jest mowa o zabitych po stronie nieprzyjaciela, wówczas w ogóle nie podaje się określonych liczb, a w ich miejsce wchodzą słowa wyrażające bezradność wyobraźni: „niewyobrażalny" i „niezliczony". W pierwszej wojnie światowej przedmiotem ambicji komunikatów wojennych była sucha ścisłość. Słynna stała się kokieteryjna skromność zdania z pierwszych dni wojny: „Wyznaczona linia została osiągnięta". Wprawdzie przy takim suchym stylu nie potrafiono pozostać, ale jednak jawi on się zawsze jako coś w rodzaju idealnego wzorca, którego oddziaływanie nigdy całkowicie nie ustaje. Natomiast komunikaty Trzeciej Rzeszy wprowadzają od razu superlatywy, a następnie, im sytuacja staje się krytyczniejsza, tym bardziej wpadają w ton dosłownie tak nieumiarkowany, że najistotniejszą cechę języka wojskowego, jego zdyscyplinowaną ścisłość, obracają w coś dokładnie przeciwnego, w element fantastyczny, bajkowy. Bajkowość liczb dotyczących łupów wzmaga się jeszcze przez to, że o własnych stratach prawie się nie mówi; podobnie zresztą na filmowych obrazach przedstawiających bitwy piętrzą się tylko trupy nieprzyjaciół.

Znaczne przenikanie języka wojskowego i wojennego do sfery cywilnej można było obserwować już podczas pierwszej wojny światowej i w okresie następującym po niej; znamię charakterystyczne drugiej wojny światowej polega na tym, że to język partii, że to właściwa LTI wdziera się do języka wojskowego i oddziałuje nań rozkładowo. Ów całkowity rozkład, wyrażający się zniesieniem bariery liczbowej, wprowadzeniem słów „niewyobrażalny" i „niezliczony", dokonywał się stopniowo: początkowo mogli sobie na te skrajne określenia pozwolić tylko sprawozdawcy i komentatorzy, potem pozwalał sobie na nie Führer w ferworze swoich przemówień i odezw, a dopiero na samym końcu poczęły je stosować oficjalne komunikaty Wehrmachtu.

Zdumiewał przy tym bezwstydny cynizm kłamstw, ujawniający się w liczbach; do fundamentu doktryny nazistowskiej należy przekonanie o bezmyślności mas i możliwości ich absolutnego ogłupienia. We wrześniu 1941 komunikat wojenny doniósł, że w Kijowie zamknięto w kotle 200 000

żołnierzy; w niewiele dni później z tegoż kotła wyprowadzono 600 000 jeńców - przypuszczalnie zaliczono tym razem do żołnierzy całą ludność cywilną. Dawniej pokpiwano sobie chętnie w Niemczech ze wschodnioazjatyckiej skłonności do przesady w liczbach; w ostatnich latach wojny trzeba się było zdumiewać nad tym, jak komunikaty japońskie i niemieckie prześcigały się wzajemnie w najbardziej absurdalnej przesadzie; człowiek zadawał sobie pytanie, kto tu od kogo się uczy: Goebbels od Japończyka, czy odwrotnie.

Brak umiaru w liczbach występuje nie tylko we właściwych komunikatach wojennych: wiosną 1943 roku wszystkie gazety pisały, że cienkich książeczek z tak zwanych wydań dla poczty polowej, które wysyłano żołnierzom, poszło już na front 46 milionów. Czasami imponują też mniejsze liczby. W listopadzie 1941 Ribbentrop oświadcza, że możemy prowadzić wojnę jeszcze przez trzydzieści lat; 26 kwietnia 1942 Hitler mówi w Reichstagu, że Napoleon prowadził w Rosji walkę przy 25 stopniach mrozu, natomiast on, naczelny wódz Hitler, prowadził ją przy 45, a kiedyś nawet przy 52 stopniach. W tym prześcignięciu wielkiego wzoru - był to okres, w którym Hitler dawał się jeszcze chętnie gloryfikować jako strateg i porównywać z Napoleonem - skłonny jestem widzieć obok nie zamierzonego komizmu szczególnie bliskie podobieństwo do amerykańskiego upodobania w biciu rekordów.

Tout se tient, mówią Francuzi, wszystko się zazębia. Wyrażeniem bezpośrednio amerykańskiego pochodzenia, wziętym z tytułu szeroko rozpowszechnionej w niemieckim przekładzie powieści Uptona Sinclaira, jest słowo „stuprocentowy”[102]; przez całych dwanaście lat było ono powszechnie używane, a często słyszałem twór pochodny od niego: „Niech się pan strzeże tego faceta, on jest stupięćdziesięcioprocentowy!” I właśnie ten najbardziej niewątpliwy amerykanizm trzeba postawić tuż obok kluczowego słowa nazizmu, wyrażającego jego podstawowy postulat - obok słowa „totalny”.

Również „totalny” jest wyrazem najwyższej wartości liczbowej, w swoim realnym zasięgu równie brzemiennym w treść jak płody romantycznej wybujałości: „niezliczony” i „niewyobrażalny”. Straszliwe dla Niemiec skutki programowo zapowiedzianej przez stronę niemiecką wojny totalnej pozostaną w pamięci wszystkich. Ale pierwiastek totalizmu spotyka się w LTI również wszędzie poza sferą wojny: np. artykuł w „Reichu” wychwalał „sytuację totalnego wychowania” w pewnej ściśle nazistowskiej szkole dla dziewcząt; w jakiejś wystawie sklepowej widziałem warcaby nazwane „grą totalną”.

Tout se tient Superlatywy liczbowe, które z jednej strony wiążą się z zasadą totalizmu, wkraczają również w dziedzinę religii; ambicja, aby stać się wiarą, religią germańską, która zastąpi semickie i pozbawione pierwiastka heroicznego chrześcijaństwo, należy przecież tak samo do podstawowych cech nazizmu. Często używane jest słowo „wieczny”, będące w kategoriach religijnych zniesieniem granic czasowych - wieczna warta, wieczne trwanie instytucji nazistowskich - a „Tysiącletnia Rzesza” nazwa o jeszcze zdecydowanie bardziej kościelno-religijnym zabarwieniu niż „Trzecia Rzesza”, staje się językowym stereotypem. Oczywiście dźwięczna liczba 1000 jest używana chętnie także poza dziedziną religii: wiece propagandowe, które mają dodawać ducha w roku 1941, kiedy nadzieja na rozstrzygnięcie w formie wojny błyskawicznej zawiodła, zapowiada się jako tysiąc wieców.

Stopień najwyższy w zakresie liczb można jednak osiągnąć również od innej strony: słowo *einmalig* [dosł.: jednorazowy; przen.: niepowtarzalny, nadzwyczajny] ma tak samo charakter superlatywu jak

---

[102] Tytuł tej powieści brzmi w oryginale: 100%.

słowo „tysiąc”. Jako synonim słowa *außerordentlich* [nadzwyczajny], pozbawione swego właściwego znaczenia liczbowego, jest ono jeszcze pod koniec pierwszej wojny światowej estetyzującym modnym wyrażeniem neoromantycznej filozofii i literatury; używają go ludzie przywiązujący dużą wagę do ekskluzywnej elegancji i nowatorstwa swego stylu, jak Stefan Zweig czy Rathenau. LTI, a ze szczególnym upodobaniem sam Führer, posługuje się nim tak często i niekiedy tak nieostrożnie, że w sposób komiczny przywodzi słuchaczowi na myśl jego wartość liczbową. Kiedy po kampanii w Polsce mianowanych zostaje w nagrodę za „jednorazowe” bohaterskie czyny [*einmalige Heldentaten*] tuzin feldmarszałków, to można sobie zadać pytanie, czy każdy z nich wykazał swoje umiejętności w jednej tylko bitwie, i powiedzieć, że dwanaście jednorazowych czynów i dwunastu jednorazowych marszałków daje tuzin. (Po czym dewaluacja feldmarszałka, najwyższego dotąd tytułu, pociąga za sobą ustanowienie jeszcze wyższego: marszałek Rzeszy).

Ale wszystkie superlatywy liczbowe stanowią jedną tylko, bogato reprezentowaną, grupę specjalną superlatywów w ogóle. Tę formę językową można bowiem uznać za najczęściej stosowaną w LTI, co jest skądinąd zrozumiałe, jako że superlatyw jest najbardziej naturalnym środkiem oddziaływania mówcy i agitatora, jest po prostu formą reklamy. Dlatego też NSDAP drogą zarządzenia zastrzegła go wyłącznie dla siebie, z wykluczeniem całej konkurencji. W październiku 1942 roku opowiadał mi nasz ówczesny sąsiad z pokoju obok, Eger, dawny właściciel jednego z najwytworniejszych drezdeńskich sklepów z konfekcją, podówczas robotnik fabryczny, wkrótce potem „zastrzelony przy próbie ucieczki”, że okólnikiem zakazano używania w anonsach handlowych superlatywu. - Jeśli pan np. pisał: „Obsługują siły fachowe o najwyższych kwalifikacjach”, to teraz musiał pan z tego zrobić „o wysokich kwalifikacjach”, albo najwyżej „o bardzo wysokich kwalifikacjach”.

Obok stopnia najwyższego liczb i słów liczbopodobnych można wyróżnić trzy rodzaje użycia superlatywu, przy czym wszystkie trzy są stosowane w jednakowym nadmiarze. Są to: normalne formy stopnia najwyższego przymiotników, wyrażenia, w których wartość superlatywu jest zawarta albo można ją do nich dołączyć, oraz konstrukcje zdaniowe całkowicie przepojone treścią superlatywną.

Normalnym superlatywom można dodać szczególnego powabu przez ich nagromadzenie. Nazyfikując powyżej dowcip o słoniu, miałem w uszach zdanie, jakim wódz naczelny Brauchitsch okrasił swego czasu rozkaz do armii: najlepszemu żołnierzowi świata, powiedział, najlepszego na świecie uzbrojenia dostarczają najlepsi na świecie robotnicy.

Obok normalnej formy stopnia najwyższego występuje tu wypełnione superlatywnym znaczeniem słowo, którym LTI posługiwała się obficie dzień w dzień. Dworscy poeci, sławiąc Króla-Słońce przy szczególnie uroczystych okazjach w siedemnastowiecznym perukowym stylu, mówili, że patrzy na niego *l’Univers*, wszechświat. Przy każdej mowie, przy każdej wypowiedzi Hitlera, przez całych dwanaście lat, bo umilkł dopiero pod sam koniec - zawsze - pojawia się jako obowiązkowy stereotyp nagłówek: „Świat słucha, co mówi Führer”. Ilekroć wygrana zostaje jakaś wielka bitwa, jest to „największa bitwa w historii świata”. Zresztą sama bitwa z rzadka tylko wystarcza, przeważnie są to „bitwy wyniszczające” [*Vernichtungsschlacht*]. (Znowu to cynicznie pewne siebie liczenie na krótką pamięć mas: ileż razy ten sam nieprzyjaciel, już ogłoszony za zniszczonego, zostaje ponownie zniszczony!)

„Świat” spełnia wszędzie rolę superlatywnego dopełnienia: sprzymierzona Japonia awansuje z mocarstwa do tytułu mocarstwa światowego. Żydzi i bolszewicy są światowymi wrogami, spotkania

między Führerem a Duce, są wydarzeniami na skalę historii świata. Podobny superlatywizm, jak w słowie „świat” zawiera się również w słowie *Raum* [przestrzeń, obszar, rejon]. To prawda, że i podczas pierwszej wojny światowej nie mówiono już: bitwa pod Königgratz albo pod Sedanem, lecz: bitwa w rejonie..., co się po prostu wiąże z rozległością przestrzenną działań bojowych; winę za częste występowanie tego słowa ponosi też niewątpliwie przychylna imperializmowi nauka geopolityki. Ale już w samym wyobrażeniu przestrzeni jest coś nieograniczonego, co działa pociągająco. Komisarz Rzeszy w swoim sprawozdaniu za rok 1942 twierdzi, że „obszary ukraińskie nigdy w ostatnim tysiącleciu nie były administrowane tak sprawiedliwie, z takim rozmachem [*großzügig*] i tak nowocześnie, jak pod wielkoniemiecko-narodowosocjalistycznym kierownictwem”. Obszary ukraińskie przystają do tysiąclecia lepiej niż sama tylko Ukraina.

Słowa *großzügig* i *großdeutsch* [wielkoniemiecki] były już zbyt stare i zużyte, aby mogły jeszcze jakoś szczególnie wzmacniać napuszoność zdania. Ale na glebie samej LTI słowo „wielki” wybujało tak silnie - wielka manifestacja, wielka ofensywa, dzień wielkiej walki itd. - że jeszcze za czasów nazistowskich protestował przeciw temu dobry narodowy socjalista Börries von Münchhausen. Tak samo naładowane superlatywną treścią i tak samo często używane, jak świat i obszar, jest słowo „historyczny”. Historyczne jest to, co trwale żyje w pamięci jakiegoś narodu czy ludzkości, wywiera bowiem bezpośredni i trwały wpływ na cały ten naród albo na całą ludzkość. Tak więc epitetem „historyczny” obdarza LTI wszystkie, choćby najbardziej oczywiste czyny nazistowskiego kierownictwa cywilnego i generalicji, zaś dla mów i dekretów Hitlera ma w pogotowiu ekstrasuperlatyw - przymiotnik *welthistorisch* [mający wszechświatową doniosłość historyczną].

Dla przepojenia atmosferą superlatywną całych konstrukcji zdaniowych przydatny jest każdy rodzaj chełpliwości. Oto słyszę w fabryce kilka zdań z transmitowanej przez radio imprezy w berlińskim Pałacu Sportu. Lato 1943, przemawiają Speer i Goebbels. Audycja zaczyna się od słów: „Wielka manifestacja jest transmitowana przez radiostacje Reichssender i Deutschlandsender, transmisję odbierają także radiostacje Protektoratu, Holandii, Francji, Grecji, Serbii..., państw sprzymierzonych - Włoch, Węgier, Rumunii...” i tak dalej, jeszcze przez dłuższą chwilę. Na pewno osiągano w ten sposób silniejsze działanie na wyobraźnię audytorium niż przy pomocy nagłówka w gazecie: „Słucha cały świat”, dawano tu bowiem przegląd znazyfikowanego atlasu świata.

Po przedstawieniu przez Speera astronomicznych liczb prezentujących własną sytuację w zakresie zbrojeń, Goebbels z kolei uwypuklił jeszcze bardziej niemieckie osiągnięcia, przeciwstawiając ścisłość niemieckiej statystyki „żydowskiej akrobatyce liczb” uprawianej przez nieprzyjaciela. Wyliczanie i spotwarzanie: nie ma chyba takiej mowy Führera, która nie zawierałaby aż do przesytu tych dwóch elementów, wyliczania własnych sukcesów i urągliwego lżenia przeciwnika. Ze środków stylistycznych, którymi Hitler posługuje się w sposób prymitywny, Goebbels czyni narzędzie wyrafinowanej retoryki. Wyjątkową grozą przejmujące apogeum tego superlatywizmu osiąga on w dniu 7 maja 1944 r. Angielsko-amerykańskie lądowanie na przedpolu Wału Atlantyckiego ma nastąpić lada dzień i oto w „Reichu” czytamy: „Naród niemiecki martwi się raczej o to, że inwazja nie nastąpi, niż że nastąpi... Jeśli nieprzyjaciel, powodowany bezgraniczną lekkomyślnością, rzeczywiście zamierza rozpocząć przedsięwzięcie, od którego wszystko zależy, to można mu powinszować!”

Czy jest to wyjątkową grozą przejmujące apogeum dopiero przy spojrzeniu ex post, czy już wtedy uważny czytelnik pod maską absolutnej pewności zwycięstwa nie wyczuwał kiełkującego zwątpienia? Czy nie ujawnia się tu aż nazbyt wyraźnie przekleństwo superlatywu?

To przekleństwo ciąży na nim nieubłaganie we wszystkich językach. Wszędzie bowiem stała przesada prowadzi nieuchronnie do coraz większego wzmagania przesady, zaś koniecznym skutkiem tego jest zobojętnienie i sceptycyzm, a wreszcie niewiara. Jest tak niewątpliwie wszędzie, ale pewne języki łatwiej jednak znoszą superlatyw niż inne, w krajach romańskich, na Bałkanach, na Dalekim Wschodzie, także chyba w Ameryce Północnej - wszędzie tam dopuszczalna jest obfitsza dawka superlatywu niż u nas, wszędzie tam odczuwa się często tylko jako przyjemny lekki wzrost temperatury to, co u nas jest już gorączką. Może to właśnie stanowi przyczynę, albo dodatkową przyczynę tego, iż superlatyw występuje w LTI z tak niezwykłą gwałtownością; zarazy najgwałtowniej szaleją podobno zawsze tam, gdzie pojawiają się po raz pierwszy.

Można by tu powiedzieć, że Niemcy, przebyły już raz tę chorobę języka: w siedemnastym wieku, pod wpływem włosko-hiszpańskim. Jednakże ówczesny guz był nowotworem dobrotliwym, zupełnie pozbawionym jadu umyślnego zwodzenia narodu.

Złośliwy superlatyw LTI jest dla Niemiec zjawiskiem występującym po raz pierwszy i dlatego działa od samego początku niszcząco. Jest też nieodłączną cechą jego natury, że nieustannie musi on prześcigać sam siebie - aż do utraty sensu, aż do utraty skuteczności, co więcej: aż do wzbudzenia przekonań przeciwnych swoim zamiarom.

Jakże często notowałem w swoim dzienniku, że to czy owo zdanie Goebbelsa jest zbyt ordynarnym kłamstwem, że ten człowiek wcale nie jest geniuszem, propagandy; jakże często zapisywałem jako „głos ludu”, z którego należy czerpać nadzieję, dowcipy na temat gęby i czoła Goebbelsa, wyzwiska sprowokowane bezwstydem jego kłamstw.

Ale coś takiego jak vox populi nie istnieje; istnieją tylko voces populi, który zaś z tych różnorodnych głosów jest prawdziwy, to znaczy, który z nich określa bieg wydarzeń, można stwierdzić, zawsze dopiero ex post I nawet tego nie da się powiedzieć z całkowitą pewnością, czy wszyscy, którzy się wyśmiewali ze zbyt grubymi nićmi szytych kłamstw Goebbelsa albo którzy im złorzeczyli, rzeczywiście pozostali na nie odporni. Jakże często w okresie swojego lektorowania w Neapolu słyszałem, jak o tej czy owej gazecie mówiono: è pagato, zapłacili jej, kłamie dla swojego zleceniodawcy, a następnego dnia ci sami, którzy krzyczeli o zapłacie, wierzyli święcie jakiejś jawnie kłamliwej informacji z tej samej gazety. Dlatego, że była wydrukowana tłustą czcionką, i dlatego, że inni ludzie też jej wierzyli. W roku 1914 powtarzałem sobie za każdym razem ze spokojną pewnością, że jest to zgodne z naiwnością i temperamentem neapolitańczyka, przecież już u Montesquieu można przeczytać, że w Neapolu ludzie są w większym stopniu gminem niż gdzie indziej, plus peuple qufailleurs. Od roku 1933 wiem niezbicie, co już od dawna przeczuwałem i czego nie chciałem przyznać, że wszędzie jest łatwo wyhodować taki plus peuple qu'ailleurs; i wiem też, że w każdym człowieku wykształconym tkwi coś z gminu, że cała moja wiedza o sztuce okłamywania, że całe moje napięcie krytycznej uwagi nic mi w danym momencie nie pomoże: kiedyś bowiem ulegnę drukowanemu kłamstwu, skoro osaczy mnie ono ze wszystkich stron, skoro tych, co mają jeszcze wątpliwości, będzie wokół mnie bardzo niewielu, coraz mniej, a wreszcie nie będzie już nikogo.

Nie, z tym przekleństwem superlatywu to wcale nie taka prosta sprawa, jak by się to, logicznie biorąc, wydawało, Zapewne, przechwałki i kłamstwa mają krótkie nogi, zostają, rozpoznane jako przechwałki i kłamstwa, i propaganda Goebbelsa dla niejednego stała się w końcu bezskutecznym głupstwem. Ale równie pewne jest, że rozpoznana jako przechwałki i kłamstwo propaganda działa jednak, jeśli tylko ten, kto ją uprawia, ma tyle czelności, że nie daje się zbić z tropu; przekleństwo superlatywu nie

zawsze jest samozniszczeniem, lecz aż nadto często bywa zniszczeniem przeciwstawiającego mu się intelektu; i może jednak Goebbels był bardziej utalentowany, niż mu to chciałem przyznać, a bezskuteczne głupstwo nie było ani tak całkiem głupie, ani tak całkiem bezskuteczne.

Dziennik, **18 grudnia 1944 r**. W południe nadano komunikat specjalny, pierwszy od lat! Całkowicie w stylu okresu ofensyw i „bitew wyniszczających”: „... przeszły niespodziewanie do wielkiego natarcia z Wału Zachodniego... po krótkim, ale gwałtownym przygotowaniu artyleryjskim... pierwsze amerykańskie pozycje wzięto szturmem...”[103]. Zupełnie wykluczone, aby kryło się za tym coś więcej niż rozpaczliwy bluff. Zakończenie Don Carlosa: „Niech to będzie moim ostatnim oszustwem. - Jest twoim ostatnim”.

20 grudnia. A jednak Goebbels już od tygodni mówi o wzmożonym niemieckim oporze, prasa aliancka nazywa to podobno „niemieckim cudem”. I rzeczywiście jest w tym coś z cudu, a wojna może trwać jeszcze lata...

XXXI
Przestawić się z ruchu...

19 grudnia 1941 roku Führer, a zarazem obecny wódz naczelny, kieruje do wojsk frontu wschodniego odezwę, której najważniejsze zdania brzmią następująco: „Armie na Wschodzie po swych wiekopomnych i nie mających sobie równych w historii świata zwycięstwach nad najgroźniejszym nieprzyjacielem wszechczasów muszą teraz, wskutek nagłego nadejścia zimy, przestawić się z ruchu na front pozycyjny [*Stellungsfront*]... Żołnierze! Wiecie, że moje serce należy całkowicie do Was, że mój rozum i moja wola znają jeden tylko cel: zniszczenie wroga, to znaczy zwycięskie zakończenie tej wojny... Bóg nie odmówi zwycięstwa swoim najdzielniejszym żołnierzom!”.

Odezwa ta stanowi decydującą cezurę nie tylko w historii drugiej wojny światowej, lecz także w historii LTI, a jako cezura językowa wbija się podwójnym ostrzem w nabrzmiałą tkankę przechwałek, wybujałych tutaj do granic cyrkowej błazenady.

Roi się w niej od triumfalnych superlatywów - ale czas teraźniejszy zamienił się już w przyszły. Od początku wojny można było widzieć wszędzie plakat przedstawiający mnóstwo sztandarów, a na nim tchnący pewnością napis: „Przy naszych sztandarach zwycięstwo!”. Dotychczas zapewniano nieustannie aliantów, że są już ostatecznie pokonani, ze szczególnym zaś naciskiem tłumaczono Rosjanom, że po poniesionych klęskach ani mogą marzyć o przejściu do ofensywy. I oto teraz absolutne zwycięstwo odsuwa się w nieokreśloną dal, trzeba dopiero prosić o nie Pana Boga. Od tej chwili zaczyna robić karierę słowo pełne tęsknoty i ułudy: *Endsieg* [zwycięstwo ostateczne; tutaj: zwycięstwo, które jednak w końcu nadejdzie], a wkrótce potem pojawia się formuła, której czepiali się w pierwszej wojnie światowej Francuzi: *on les aura*. Przekłada się to jako: „zwycięstwo będzie

[103] Mowa o ostatniej niemieckiej rozpaczliwej próbie przeciwuderzenia - rozpoczętej 16 grudnia 1944 r. kontrofensywie w Ardenach, która po chwilowych powodzeniach załamała się wskutek przygniatającej przewagi aliantów.

nasze", i wypisuje na plakacie i znaczku, na którym orzeł - godło Rzeszy - usiłuje pokonać wrażego węża.

Ale cezura wyraża się nie tylko zmianą gramatycznej formy czasu. Żadne wielkie słowa nie mogą przesłonić faktu, że ofensywa zamieniła się teraz w defensywę, że szuka się pozycji, na których można by się było utrzymać. „Ruch" krzepnie we „front pozycyjny": w LTI oznacza to nieporównanie więcej niż w jakimkolwiek innym języku. Przecież w tylu książkach i artykułach, w tylu sytuacjach i kontekstach tłumaczono, że wojna pozycyjna to błąd sztuki, słabość, wręcz grzech, w który armia Trzeciej Rzeszy nigdy nie popadnie, nigdy nie może popaść, bowiem ruch jest rdzeniem, samą istotą, życiem narodowego socjalizmu, któremu od chwili jego „zrywu" [*Aufbruch*] - święte, od romantyzmu zapożyczone słowo LTI! - nie wolno zakrzepnąć w spokoju. Narodowy socjalizm nie chce być sceptyczny, rozważnie liberalny, nie chce przejawiać słabości woli jak poprzednia epoka; nie chce ulegać wpływowi rzeczy, lecz pragnie sam na nie wpływać; chce działać i nie wypuszczać z rąk „prawa działania" (znowu ulubiona formuła, pochodząca od Clausewitza i cytowana w czasie wojny do znudzenia i do absolutnej śmieszności). Mówiąc stylem wzniosłym i uczonym: chce być „dynamiczny".

Futuryzm Marinettiego miał istotny wpływ na włoskich faszystów, a poprzez nich na narodowych socjalistów, zaś niemiecki ekspresjonista Johst, jakkolwiek większość jego pierwotnych przyjaciół literackich skłoni się ku komunizmowi, osiągnie fotel prezesa nazistowskiej Akademii Literatury. Ciągłe dążenie, gorączkowy ruch ku jakiemuś celowi jest nakazem obowiązku, elementarnym i powszechnym.

Ruch tak bardzo należy do istoty nazizmu, że nazywa sam siebie po prostu „ruchem" [*die Bewegung*], a swoje miasto rodzinne Monachium „stolicą ruchu", i że on, który na określenie wszystkiego, co jest dla niego ważne, szuka słów dźwięcznych, o dużej sile wyrazu, słowo „ruch" pozostawia w całej jego prostocie.

Cały zasób językowy nazizmu jest opanowany przez wolę ruchu, działania. Można by rzec, że jego pierwszym i ostatnim słowem jest „szturm": wszystko zaczyna się od powstania SA - oddziałów szturmowych, a kończy na volksszturmie[104], który przypomina landszturm z 1813 roku, ale zgodnie ze swoim dosłownym znaczeniem jest „bliższy narodowi". SS ma swój Reitersturm, armia swoje oddziały szturmowe i działa szturmowe, organ wojującego antysemityzmu przybiera tytuł „Der Stürmer" [atakujący, szturmujący]. Pierwszymi bohaterskimi czynami SA są „nagłe akcje" [*schlagartige Aktionen*], a pismo Goebbelsa nazywa się „Der Angriff" [Atak]. Wojna musi być wojną błyskawiczną, ogólna LTI czerpie z zasobów słownictwa specjalnego wszystkich dyscyplin sportu.

Wola działania tworzy nowe czasowniki. Trzeba się pozbyć Żydów, czyli odżydzić, trzeba handel oddać całkowicie w ręce aryjskie, czyli aryzować, trzeba krwi przodków przywracać jej pierwotną czystość, czyli nordyzować ją.

Zapewne odgrywa też tutaj rolę chęć sprawniejszego i szybszego wyrażania myśli - ta sama, która słowo *Lastwagen* [samochód ciężarowy] zastępuje słowem *Laster*, a z samolotu bombowego [*Bombenflugzeug*] robi bombowiec [*Bomber*], i której ostateczną konsekwencją jest podstawienie skrótu w miejsce słowa. Tym sposobem ciąg *Lastwagen, Laster, LKW* odpowiada normalnemu

---

[104] Volkssturm - powołane jesienią 1944 r. pospolite ruszenie, do którego wcielano wszystkich mężczyzn w wieku od 16 do 60 lat, zdolnych jako tako do noszenia broni, a nie służących jeszcze w Wehrmachcie.

stopniowaniu od stopnia równego do najwyższego. Tak że ostatecznie cała skłonność do używania superlatywu, a biorąc najogólniej, cała retoryka LTI wywodzi się z zasady ruchu.

I otóż teraz wszystko to ma się przestawić z ruchu na bezruch (i ruch wsteczny)! Charlie Chaplin osiągał swój najbardziej komiczny efekt w momentach, kiedy spiesznie uciekając zastygał nagle i niespodziewanie w nieruchomej pozie ustawionej w westybulu figury z brązu czy drewna. LTI nie może się ośmieszyć, nie może zastygnąć, nie może przyznać, że jej wzlot przemienił się w spadanie. Odezwa do armii na Wschodzie rozpoczyna zabiegi maskujące, które charakteryzują ostatnią fazę LTI. Oczywiście maskowanie istniało od początku; jednakże aż do tej chwili było to maskowanie zbrodni - „od rana dnia dzisiejszego odpowiadamy ogniem na ogień nieprzyjaciela", brzmią słowa pierwszego komunikatu wojennego - odtąd zaś jest to maskowanie bezsilności.

Przede wszystkim trzeba przesłonić sprzeczne z zasadą słowa „front pozycyjny", trzeba unikać fatalnego wspomnienia nie kończących się walk pozycyjnych z pierwszej wojny światowej. Tym razem nie mogą się one absolutnie pojawić, podobnie jak nie może się pojawić na stole brukiew z tamtych czasów. LTI wzbogaca się więc teraz o trwały zwrot: „ruchoma wojna obronna". Jeśli już musimy przyznać, że zepchnięto nas w defensywę, to przynajmniej za pomocą przymiotnika zachowujemy to, co w nas najistotniejsze. Nie bronimy się też w ciasnocie okopów, lecz prowadzimy walkę z dużą swobodą manewru przestrzennego w potężnej twierdzy i na jej przedpolu. Nasza twierdza zowie się Europa, a przez jakiś czas mówi się wiele o afrykańskim przedpolu. Przedpole jest z punktu widzenia LTI słowem podwójnie udanym: z jednej strony wskazuje ono na swobodę ruchu, jaka nam pozostała, z drugiej zaś daje już do zrozumienia, że może oddamy afrykańskie pozycje, co wcale nie będzie oznaczać oddania tego, co istotne. Później z twierdzy Europy zrobi się twierdza Niemcy, a na samym końcu twierdza Berlin - zaiste, na ruchu nie zbywało armii niemieckiej również w późniejszej fazie wojny. Że był to ustawiczny ruch wstecz - o tym nigdy wprost nie mówiono, ten fakt był ukryty za szeregiem zasłon, słowa „klęska" i „odwrót", nie mówiąc już o słowie „ucieczka", nie zostały nigdy wypowiedziane. Zamiast klęska mówiło się *Rückschlag* [uderzenie wsteczne, odrzut, odskok] - to brzmi mniej definitywnie; zamiast uciekać odrywano się tylko od nieprzyjaciela; nigdy nie udawało się nieprzyjacielowi przełamać frontu, mógł się najwyżej weń włamać, w najgorszym razie głęboko włamać; takie włamania były odparowywane [*aufgefangen*], blokowane [*abgeriegelt*], jako że mieliśmy front elastyczny. Od czasu do czasu następowało potem - dobrowolnie, i żeby pozbawić nieprzyjaciela ewentualnych korzyści z tego włamania - skrócenie lub wyrównanie frontu.

Dopóki te strategiczne posunięcia odbywały się na terenach obcych, nie było potrzeby, aby szerokie masy narodu orientowały się co do ich wagi. Jeszcze wiosną 1943 roku (w „Reichu" z 2 maja) Goebbels mógł sobie pozwolić na lansowanie wdzięcznego eufemizmu: „Na peryferyjnych odcinkach naszych działań wojennych mamy tu i ówdzie nieco osłabioną odporność". Użyte w tym zdaniu słowo *anfällig* stosuje się do ludzi, którzy, są skłonni do zaziębień i rozstrojów żołądka, lecz absolutnie nie do osób poważnie cierpiących i poważnie zagrożonych. Ale nawet tę osłabioną odporność potrafił Goebbels tak przerobić, że okazała się ona jedynie nadwrażliwością z naszej strony i chełpliwością ze strony nieprzyjaciela: otóż Niemcy są jakoby tak rozpieszczeni długą serią zwycięstw, że reagują przesadnie na wszelkie ofensywne zachowanie wroga, gdy tymczasem nawykli do cięgów nieprzyjaciele chwalą się hałaśliwie każdym najmniejszym nawet „peryferyjnym sukcesem".

Obfitość tych maskujących słów zdumiewa tym bardziej, że pozostaje przecież w jaskrawej sprzeczności ze znanym skądinąd, wrodzonym i zasadniczym ubóstwem LTI. Nie brakowało tu nawet

pewnych skromnych figur symbolicznych, oczywiście nie własnego pomysłu. Général Danube, który naczelnemu wodzowi Napoleonowi zagrodził drogę pod Aspern, posłużył naczelnemu wodzowi Hitlerowi jako wzór dla postaci Generała Zimy, osobistości szeroko spopularyzowanej i mającej kilkoro potomstwa - pamiętam tylko, że był tam Generał Głód, ale na pewno spotkałem się z innymi jeszcze alegorycznymi generałami. Trudności, którym nie sposób było zaprzeczyć, nazywały się bardzo długo *Engpass* [przesmyk, wąskie gardło] - niemal równie szczęśliwie dobrane słowo jak przedpole, bo i tutaj narzuca się od razu myśl o ruchu [przeciskaniu się]. Pewien korespondent z wyczuciem językowym wyeksponował to kiedyś zręcznie, umieszczając to metaforycznie wyświechtane słowo w jego dawnym kontekście. Mówił on o kolumnie pancernej, która się odważyła zapuścić w przesmyk między polami minowymi.

Przy pomocy tej łagodnej metody opisowej udawało się bardzo długo maskować krytyczne położenie, bo przecież nieprzyjaciele, w zupełnym przeciwieństwie do niemieckiego nawyku wojny błyskawicznej, byli zdolni tylko do ślimaczej ofensywy i posuwali się naprzód tylko w ślimaczym tempie. Dopiero w ostatnim roku, kiedy katastrofy absolutnie nie dało się już ukryć, dano jej imię nieco wyraźniejsze, choć oczywiście w dalszym ciągu zamaskowane: klęski nazywały się teraz kryzysami, ale słowo to nigdy nie występowało samo, lecz uwaga była odwracana od Niemiec ku kryzysowi światowemu lub kryzysowi zachodniego świata, albo posługiwano się szybko, zakrzepłym w stereotyp zwrotem „kryzys opanowany” [*gemeisterte Krise*]. Kryzys opanowywano wybijając się. „Wybić się” [*sich freikämpfen*] było to wyrażenie maskujące; oznaczało, że kilka pułków uszło z okrążenia, w którym uległy zatracie całe dywizje. Opanowywanie kryzysu następowało też w ten sposób, że nie pozwalano nieprzyjacielowi odrzucić się poza niemiecką granicę, lecz odrywano się od niego dobrowolnie i „wpuszczano” go umyślnie, aby - kiedy się za daleko zapuści - tym pewniej go następnie zniszczyć. „Wpuściliśmy ich - 20 kwietnia wszystko się zmieni!” - słyszałem te słowa jeszcze w kwietniu 1945 roku.

Aż wreszcie pojawiła się oto, zakrzepła w czarodziejską formułę, nowa broń, obdarzony magiczną zdolnością stopniowania znak V. Jeśli nawet zawiodło V1, jeśli bezskuteczne okazało się V2 - to czemu miałoby zabraknąć nadziei na V3 i V4?

Osobliwa zemsta magicznej litery: V było najpierw tajemną formułą, po której rozpoznawali się członkowie podziemnego ruchu oporu w ujarzmionej Holandii, oznaczało *Vrijheid*, wolność. Naziści przywłaszczyli sobie ten znak, przenieśli go na słowo Victoria i zmuszali mieszkańców bardziej tyrańsko niż Holandia traktowanej Czechosłowacji do umieszczania go na znaczkach pocztowych, na drzwiczkach aut, na drzwiach przedziałów w wagonach kolejowych, aby mieli wszędzie przed oczyma chełpliwy i od dawna już kłamiący symbol zwycięstwa Niemiec. A potem, w ostatniej fazie wojny, V stało się skrótem słowa *Vergeltung* [odwet], znakiem nowej broni, która miała pomścić wszystkie zadane Niemcom cierpienia i położyć im kres. Ale alianci parli niepowstrzymanie naprzód, zabrakło możliwości wysyłania na Anglię dalszych pocisków V, zabrakło możliwości obrony miast niemieckich przed bombami przeciwnika. Kiedy waliło się w gruzy nasze Drezno, ze strony niemieckiej nie wystrzeliło już ani jedno działo przeciwlotnicze, nie wzniósł się ani jeden samolot - odwet nadszedł, ale ugodził w Niemcy.

XXXII
Boks

W listach Rathenaua można przeczytać, że on sam był za „pokojem kompromisowym”, natomiast Ludendorff chciał, według jego własnego wyrażenia, „walczyć na wygraną”. Zwrot ten jest wzięty z toru wyścigów konnych, gdzie się robi zakłady na wygraną albo na miejsce. Rathenau, człowiek o skłonnościach estetyzujących, umieszcza go jak gdyby w cudzysłowie zaprawionym lekkim niesmakiem; najwyraźniej uważa, że nie jest on godny zastosowania do sytuacji wojennej, jakkolwiek pochodzi z dziedziny o starych szlacheckich tradycjach - sport konny był z dawien dawną domeną arystokracji i niezwykle konserwatywnego korpusu oficerskiego, wśród jeźdźców biorących udział w wyścigach na własnych koniach byli porucznicy i rotmistrzowie o najznakomitszych szlacheckich nazwiskach. Dla wrażliwego Rathenaua fakt ten nie zaciera jednak ogromnej różnicy między sportową zabawą a krwawym majestatem wojny.

Natomiast w Trzeciej Rzeszy zabiega się bardzo intensywnie o zatarcie tej różnicy. To, co na zewnątrz ma zachowywać pozór niewinnej pokojowej zabawy dla podtrzymania zdrowia narodu, musi być w rzeczywistości przygotowaniem do wojny i również w świadomości narodu winno być oceniane jako coś tak właśnie poważnego. Istnieje teraz wyższa szkoła sportowa, jej absolwent stoi co najmniej na równi z absolwentem każdej innej wyższej uczelni - w oczach Führera ma niewątpliwie nad nim przewagę. Aktualność tego uznania zostaje około połowy lat trzydziestych udokumentowana nazewnictwem papierosów i cygaretek i jest przez nie propagowana: pali się teraz takie marki, jak „Sportstudent” [student sportu], „Wehrsport” [sport obronny], „Sportbanner” [sztandar sportowy], „Sportnixe” [rusałka sportu].

Dalszym czynnikiem popularyzacji i gloryfikacji sportu była Olimpiada roku 1936. Trzeciej Rzeszy bardzo na tym zależało, aby z okazji owej międzynarodowej imprezy zaprezentować się w oczach świata jako państwo o przodującej kulturze. Ponieważ zaś, jak powiedziałem, zgodnie z całą swoją mentalnością stawiała ona wyczyn fizyczny całkiem na równi z osiągnięciami duchowymi, a właściwie ponad nimi, przeto wytworzyła wokół tej olimpiady aurę niezwykłego splendoru - tak niezwykłego, że na moment przyćmił on nawet różnice rasowe: blond He, Żydówka Helenę Meyer, ma prawo wywalczyć swym floretem zwycięstwo dla niemieckiej szermierki, a skok wzwyż amerykańskiego Murzyna spotyka się z tak entuzjastycznym przyjęciem, jakby to skakał Aryjczyk i nordyk. Dlatego też „Berliner Illustrierte” pozwala sobie użyć słów „najgenialniejszy tenisista świata”, i zaraz potem porównuje w tonie spokojnej powagi sukces olimpijski z czynami Napoleona I.

I wreszcie, po trzecie, wzrost i zasięg swego znaczenia zawdzięcza sport wadze przypisywanej przemysłowi samochodowemu, „autostradom Führera” i całemu heroicznemu nimbowi otaczającemu krajowe i zagraniczne imprezy wyścigowe, przy czym wchodzą tu łącznie w grę wszystkie względy, które działały w odniesieniu do sportu obronnego i olimpiady, a dochodzi do tego jeszcze problem zapewnienia pracy masom bezrobotnych.

Ale na długo przedtem, zanim mogą się pojawić sport obronny i olimpiada, i autostrady Führera, istnieje w duszy Adolfa Hitlera bardzo proste i brutalne pragnienie. Roztrząsając w *Mein Kampf* „zasady wychowawcze narodowego państwa” i mówiąc szczegółowo o sporcie, zatrzymuje się on najdłużej na boksie. Konkluzję tych rozważań zawiera zdanie: „Gdyby cała nasza wyższa warstwa

umysłowa nie była kiedyś wychowywana tak wyłącznie w wytwornych manierach, gdyby zamiast tego uczyła się powszechnie boksu, to niemiecka rewolucja sutenerów, dezerterów i tym podobnej hołoty nie byłaby nigdy możliwa". Tuż przedtem Hitler bierze w obronę boks przed zarzutem szczególnej brutalności - prawdopodobnie słusznie, nie jestem w tej sprawie specjalistą; ale on sam, mówiąc o boksie, robi z niego sprawę prostacką (nie proletariacką czy ludową), zjawisko towarzyszące ordynarnej kłótni albo jej epilog.

Wszystko to trzeba uwzględnić, jeśli chce się zrozumieć rolę, jaką sport odgrywa w języku „naszego doktora". Przez lata całe Goebbels jest nazywany „naszym doktorem", przez lata całe on sam podpisuje każdy swój artykuł tytułem doktorskim, a w partii jego akademickiemu stopniowi przypada znaczenie nie mniejsze niż to, jakie mieli doktorowie Kościoła w okresie jego tworzenia się. „Nasz doktor" - chociaż przejmuje pewne hasła od Führera, chociaż poza tym i Rosenberg jako filozof partii kieruje specjalną placówką, obejmującą między innymi „Instytut Badań nad Żydostwem" - jest tym człowiekiem, który kształtuje język i myśli mas. Swoją dewizę wypowiada Goebbels w roku 1934 na partyjnym „Zjeździe wierności", który otrzymał tę nazwę dla zatarcia i zagłuszenia rewolty Röhma[105]: „Musimy mówić językiem, który będzie rozumiany przez naród. Kto chce przemawiać do narodu, musi, jak powiada Marcin Luter, patrzeć narodowi na usta". Miejscem, w którym zdobywca i gauleiter Stolicy Rzeszy - tak dźwięcznie nazywany jest Berlin we wszystkich oficjalnych komunikatach aż do samego końca, nawet jeszcze wtedy, gdy poszczególne części Rzeszy są już od dawna w ręku nieprzyjaciela, a Berlin jest już tylko na pół obróconym w perzynę, odciętym od świata, konającym miastem - otóż miejscem, w którym Goebbels najczęściej przemawia do berlińczyków, jest Pałac Sportu, a obrazy, które mu się wydają najbardziej popularne i po które najchętniej sięga, pochodzą z dziedziny sportu. Myśl, że porównywanie z wyczynem sportowym mogłoby być poniżeniem bohaterstwa na polu walki, nigdy mu nie przychodzi do głowy; wojownik i sportowiec spotykają się w osobie gladiatora, a gladiator jest dla niego uosobieniem heroizmu.

Każdy rodzaj sportu jest dla niego dobry jako źródło słownictwa, a często ma się wrażenie, że słowa te są dla niego tak utarte, że nie dostrzega on już zupełnie ich właściwego sensu metaforycznego. Zdanie z września 1944: „Nie zabraknie nam oddechu, kiedy dojdzie do finiszu"; nie sądzę, aby Goebbels miał przy tym rzeczywiście przed oczyma biegacza lub cyklistę wytężającego wszystkie siły do ostatniego zrywu. Inaczej ma się rzecz przy zapewnieniu: zwycięzcą zostaje ten, „kto przebiegnie metę choćby o głowę przed innymi". Tutaj obraz jest zastosowany na serio metaforycznie. O ile w tym przypadku autor odwołuje się do sportu wyścigowego tylko przez uchwycenie sceny końcowej, to innym razem roztacza obraz całego spotkania, nie omijając przy tym terminów technicznych z dziedziny piłki nożnej. Dnia 18 lipca 1943 Goebbels pisze w „Reichu": „Jak zwycięzcy wielkiego meczu piłkarskiego opuszczają boisko w innym nastroju, niż na nie wchodzili, tak i naród wygląda zupełnie inaczej zależnie od tego, czy wojnę kończy, czy też ją zaczyna... Rozprawy zbrojnej nie można absolutnie w tej (pierwszej) fazie wojny uważać za nie rozstrzygniętą. Walczyliśmy wyłącznie na polu karnym nieprzyjaciela...". A teraz żąda się od państw Osi kapitulacji! To zupełnie tak, „jakby kapitan drużyny przegrywającej żądał od kapitana drużyny wygrywającej przerwania gry przy przewadze tamtego, powiedzmy, 9:2... Przecież drużynę, która by się na to zgodziła, słusznie by wyśmiano i opluto. Już wygrała i musi tylko obronić swoją wygraną".

[105] To, co później propaganda partyjna nazwała „rewoltą Röhma", było w rzeczywistości krwawym porachunkiem z kadrą przywódczą SA, który Hitler 30 czerwca 1934 r. przeprowadził rękami SS i policji. Po zamordowaniu przywódcy SA, Ernsta Röhma, i kilkuset jego współpracowników organizacja ta straciła praktycznie znaczenie.

Czasami „nasz doktor” miesza wyrażenia z różnych gałęzi sportu. We wrześniu 1943 naucza że siłę okazuje się nie tylko w zadawaniu, lecz także w przyjmowaniu ciosów, i że przed nikim nie wolno zdradzać zmięknięcia w kolanach. W przeciwnym razie bowiem, kontynuuje, zbaczając od boksu ku kolarstwu, popada się „w niebezpieczeństwo pozostania w tyle”.

Jednakże najwięcej, najbardziej sugestywnych, a do tego najbrutalniejszych obrazów czerpie się z dziedziny boksu. Wszelkie rozważania nad tym, skąd się wziął ten stosunek do języka sportowego, a zwłaszcza bokserskiego, na nic by się nie zdały: stoimy bezradni wobec totalnego braku ludzkich uczuć, jaki się tu objawia. Po katastrofie stalingradzkiej, która pochłonęła tyle ludzkich istnień, Goebbels nie znajduje lepszego sposobu dla wyrażenia niezłomnego męstwa, jak takie oto zdanie: „Obetrzemy sobie krew z oczu, żeby móc jasno widzieć, i kiedy przyjdzie następna runda, będziemy znowu mocno stać na nogach”. A w parę dni później: „Naród, który dotychchczas boksował tylko lewą ręką i właśnie bandażuje sobie prawą, aby jej z całą bezwzględnością użyć w kolejnej rundzie, nie ma powodu do ustępliwości”. W następną wiosnę i lato, kiedy miasta w całych Niemczech rozsypują się w gruzy i grzebią pod sobą swoich mieszkańców, kiedy nadzieję na zwycięstwo, które ma w końcu przyjść, trzeba podtrzymywać za pomocą najbardziej bezsensownych ułud, Goebbels odwołuje się w tym celu do takich oto alegorii: „Bokser po wywalczeniu mistrzostwa świata, choćby mu przy tym przeciwnik złamał kość nosową, nie czuje się słabszy niż przedtem”. Albo: „...co robi najwytworniejszy choćby dżentelmen, kiedy go napadnie trzech łobuzów, którzy nie boksują według reguł, tylko żeby za wszelką cenę odnieść sukces? Zdejmuje surdut i zawija rękawy”. Jest to jak najdokładniejsze naśladownictwo prostackiej czci dla boksu manifestowanej przez Hitlera, a ukrywa się za tym jeszcze wyraźna chęć pocieszenia, jakie ma stanowić nie krępująca się regułami gry nowa broń.

Muszę uznać skuteczność wszystkich na j jaskrawszych chwytów Goebbelsowskiej propagandy - przemawia za tym trwałość i rozległość jej oddziaływania. Nie mogę jednak uwierzyć w to, aby obrazy wzięte z dziedziny boksu spełniły całkowicie swoją rolę. Oczywiście, spopularyzowały postać „naszego doktora” i spopularyzowały też wojnę - ale w sensie innym niż zamierzony: odebrały jej całą treść heroiczną, wycisnęły na niej piętno brutalności i ostatecznie zobojętniły na nią, czyniąc z niej wyłącznie żołnierskie rzemiosło...

W grudniu 1944 „Reich” przyniósł pocieszający artykuł na temat aktualnej sytuacji pióra cenionego wówczas literata Schwarza van Berk. Rozważania te były utrzymane w tonie wyraźnie beznamiętnym. Ich tytuł brzmiał: *Czy Niemcy mogą w tej wojnie przegrać technicznie na punkty*? *Założę się, że nie*. Byłoby zupełnym błędem mówić tu o oschłości serca, jak w przypadku zdań, które Goebbels znalazł dla stalingradzkiej klęski. Nie, tu tylko zanikło wszelkie wyczucie tego, że między sportem bokserskim a prowadzeniem wojny istnieje ogromna różnica, wojna zatraciła tutaj całą swoją tragiczną wielkość...

Vox populi - to nieustannie powracające pytanie współuczestnika wydarzeń, który z wielu głosów będzie decydujący! W ostatnich tygodniach naszej ucieczki, a zarazem wojny, natrafiliśmy pod pewną górnobawarską wsią koło Aichach na ludzi zajętych kopaniem głębokich dołów. Obok wymachujących łopatami stali widzowie, po części umundurowani inwalidzi z tej wojny, o jednej ręce czy o jednej nodze, po części siwowłosi cywile w podeszłym wieku. Toczyła się ogólna rozmowa; było jasne, że są to volksszturmiści, którzy z tych dołów mają strzelać z pancerfaustów do nadjeżdżających czołgów. W owych dniach, kiedy wszystko się waliło, słyszałem niejednokrotnie wyznania wiary w zwycięstwo, oparte na niezłomnej nadziei cudu; tutaj natomiast manifestowano bez osłonek przekonanie, i to wręcz radosne przekonanie, że wszelki opór na nic się nie zda i że bezsensowna wojna dziś albo jutro

się skończy. - Żeby tam wskakiwać, do własnego grobu?... Co to, to nie! - A jak cię powieszą? - Dobrze, wlezę tam, ale wezmę ze sobą ręcznik. - To powinniśmy zrobić wszyscy. Żeby wystawić jako białą flagę. - Jeszcze lepiej byłoby i lepsze by zrobiło wrażenie (to przecież Amerykanie, ludzie sportu) rzucić to przed nich, tak jak się rzuca ręcznik na ring...

XXXIII
Gefolgschaft[106]

Kiedy słyszę słowo *Gefolgschaft*, widzę zawsze przed sobą naszą *Gefolgschaftssaal* [sala zebrań załogi, świetlica] w zakładzie firmy Thiemig & Möbius - i to w dwóch wersjach. Elementem stałym jest namalowany dużymi literami na ścianie nad drzwiami napis „Gefolgschaftssaal". Otóż w wersji pierwszej wisi pod nim na gwoździu w futrynie drzwi tabliczka: „Żydzi!"; taka sama ostrzegawcza tabliczka wisi na sąsiednim WC. W tym przypadku bardzo długa sala mieści ogromny, w podkowę ustawiony, stół z przynależnymi do niego krzesłami, wieszaki zajmujące połowę długości dłuższej ściany, mównicę i fortepian przy krótszej ścianie i nic poza tym oprócz zegara elektrycznego, takiego samego, jakie wiszą we wszystkich pomieszczeniach fabrycznych i biurowych. W wersji drugiej brak obu tabliczek: na drzwiach sali i na WC, natomiast mównica jest spowita w sukno ze swastyką, nad podium po obu stronach dużego portretu Hitlera wiszą flagi ze swastyką, a boazerię wokół całej sali zdobi przebiegająca na wysokości człowieka girlanda przetykana chorągiewkami ze swastyką. Kiedy zachodzi ten właśnie przypadek - zamiana powszedniego wyglądu sali na uroczysty następuje na ogół w godzinach przedpołudniowych - nasza półgodzinna przerwa obiadowa upływa w weselszym niż zwykle nastroju; wiadomo wtedy, że pójdziemy do domu o kwadrans wcześniej, ponieważ zaraz po końcu pracy sala musi być wolna od Żydów i przywrócona swemu przeznaczeniu kultowemu.

Wszystko to wiąże się z jednej strony z zarządzeniami Gestapo, z drugiej zaś z ludzkim charakterem naszego szefa, który jemu samemu przysporzył wiele nieprzyjemności i niebezpieczeństw, a nam niejeden kawałek końskiej kiełbasy z aryjskiej kantyny - i jednak w końcu okazał się dla szefa korzystny. Gestapo nakazało jak najściślej odizolować Żydów od robotników aryjskich. Przy samej pracy nakaz ten był zupełnie, albo przynajmniej częściowo, nie do zrealizowania; tym surowiej miał być przestrzegany w szatni i pomieszczeniu do spożywania posiłków. Pan M. mógł był nas wsadzić do jakiejś ponurej i ciasnej piwnicy; zamiast tego oddał nam jasną świetlicę.

Ileż problemów i aspektów LT I przewinęło mi się przez głowę w tej sali, kiedy się przysłuchiwałem nie kończącym się sporom innych, czy to na temat podstawowej kwestii: syjonizm albo niemieckość pomimo wszystko, czy to - częstszych i gorętszych - o przywileje Żydów nie noszących gwiazdy, czy to o jakieś najdrobniejsze błahostki. Ale tym, co mnie każdego dnia od nowa intrygowało, co w tym pomieszczeniu nie dawało się całkowicie przesłonić żadnym innym tokiem myśli, zagłuszyć żadną

[106] Gefolgschaft - w znaczeniu historycznym: drużyna seniora złożona z jego wasali; stąd znaczenie ogólniejsze: świta, osoby towarzyszące. W ideologii politycznej hitleryzmu słowo to oznaczało społeczność posłuszną woli swego przywódcy i stanowiło istotny element „zasady wodzostwa i drużyny" (Führer und Gefolgschaftsprinzip); zastosowaniem szczególnym tej zasady była organizacja przedsiębiorstw, w których ogół pracowników jako „drużyna" podlegał prawie nieograniczonej władzy przedsiębiorcy lub wyznaczonego przez państwo zarządcy (Betriebsführer).

kłótnią, było słowo *Gefolgschaft* Całe emocjonalne zakłamanie nazizmu, cały śmiertelny grzech świadomie załganego przesuwania spraw racjonalnych w sferę uczucia i świadomego ich wypaczania za dymną zasłoną sentymentalizmu - wszystko to tłoczy się w moim wspomnieniu tej sali, tak jak przy uroczystych okazjach tłoczyła się tam po naszym zniknięciu aryjska *Gefolgschaft*- załoga firmy.

Gefolgschaft! Kimże byli naprawdę ci stojący tam ludzie? Robotnikami i pracownikami umysłowymi, którzy za określonym wynagrodzeniem spełniali określone obowiązki. Wszelkie stosunki między nimi a ich pracodawcami regulowała ustawa; było rzeczą możliwą, ale absolutnie niekonieczną, a może nawet niepożądaną, że między szefami a niektórymi z nich istniała jakaś więź sympatii - jednakże czynnikiem regulującym ich wzajemne stosunki była bezosobowa chłodna ustawa. A oto w tej sali wyjęto ich z owych wyraźnych normatywnych ram i za pomocą jednego słowa przebrano w historyczny kostium i przemieniono: słowo *Gefolgschaft* spowiło ich aurą staroniemieckiej tradycji, uczyniło z nich wasali, zbrojnych i zobowiązanych do wierności członków drużyn szlacheckich, rycerskich panów feudalnych.

Czy takie przebranie było niewinną zabawą? Bynajmniej. Przestawiało ono stosunek między partnerami z płaszczyzny pokojowej na wojenną, paraliżowało krytykę, prowadziło wprost do atmosfery duchowej owego na wszystkich transparentach widniejącego zdania: „Wodzu, rozkazuj, idziemy za Tobą!”.

Wystarczy zgoła nieznaczny zwrot ku staroniemczyźnie, która przez samą swoją dawność i fakt wyjścia z codziennego użycia działa poetycznie, czasami tylko skreślenie jednej sylaby, aby uzyskać zupełnie inny nastrój adresata wypowiedzi, skierować jego myśli na inny tor albo je wyłączyć, tak żeby ich miejsce zajęła narzucona postawa wiary. *Bund der Rechtswahrer* [dosłownie: związek stojący na straży prawa] jest czymś nieporównywalnie dostojniejszym niż zrzeszenie adwokatów, *Amtswalter* [sprawujący urząd] brzmi nieporównywalnie uroczyściej niż urzędnik czy funkcjonariusz, a kiedy nad wejściem do jakiegoś biura czytam *Amtswaltung* [miejsce sprawowania urzędu] zamiast *Verwaltung* [zarząd, urząd}, sprawia to wrażenie poniekąd sakralne. Placówka taka nie „obsługuje” mnie [*bedient*], jak by to wynikało z jej obowiązków, lecz „otacza mnie opieką” [*betreut*], temu zaś, kto mnie otacza opieką, winien jestem w każdym wypadku wdzięczność i w żadnym razie nie wolno mi go urażać jakimiś śmiałymi wymaganiami czy zgoła nieufnością.

Ale czy nie idę za daleko w swoim oskarżeniu wobec LTI? Przecież słowo *betreuen* było stale w użyciu, a niemiecki kodeks cywilny zna instytucję powiernika [*Treuhänder*]. Oczywiście, ale Trzecia Rzesza stosowała to słowo z niezwykłą częstotliwością i przesadą - w pierwszej wojnie światowej studentów będących w wojsku zaopatrywano w materiały dydaktyczne i kontynuowano ich kształcenie metodą kursów, w drugiej byli oni „zdalnie otaczani opieką” [*fernbetreut*] - i włączyła je w pewien system.

Ośrodkiem i celem tego systemu było poczucie prawa; nie mówiło się nigdy o myśleniu w kategoriach prawa, a i nie o samym poczuciu prawa, lecz zawsze tylko o „zdrowym poczuciu prawa”. Zdrowe zaś było to, co odpowiadało woli i pożytkowi partii. Tym to właśnie zdrowym poczuciem motywowano po sprawie Grynszpana rabunek żydowskiego mienia, przy czym określenie *Busse* [pokuta] miało znowu lekki odcień staroniemiecki[107].

---

[107] 7 listopada 1938 r. pochodzący z Polski siedemnastoletni Żyd Herszel Grynszpan postrzelił śmiertelnie w Paryżu niemieckiego dyplomatę Ernsta von Ratha, protestując w ten sposób desperacko przeciw hitlerowskiej polityce wobec Żydów. Ten właśnie incydent stał się pretekstem do urządzenia „nocy kryształowej”, a

Dla uzasadnienia dobrze zorganizowanych podpaleń, których ofiarą padły wtedy synagogi, potrzebowano słów mocniejszych, głębiej sięgających - samo „poczucie” absolutnie tu nie wystarczało. Tak więc powstał frazes o kipiącej duszy narodu. Naturalnie wyrażenia tego nie stworzono do użytku na dłuższą metę. Natomiast do stałego dorobku LTI weszły słowa „spontaniczny” i „instynkt”, które naprawdę dopiero wtedy stały się modne; szczególnie „instynkt” odgrywał aż do końca dominującą rolę. Prawdziwy Germanin, kiedy odwoływano się do jego instynktu, reagował spontanicznie. Po 20 lipca 1944 Goebbels pisał, że zamach na Führera można tłumaczyć tylko „zagłuszeniem sił instynktu przez siły diabolicznego intelektu”.

Czołobitność LTI dla wszelkiego pierwiastka uczuciowego i instynktownego osiąga tu swój szczyt; obdarzone instynktem barany idą posłusznie za swoim przywódcą, nawet jeśli ten skacze w morze (albo, jak u Rabelaisego zostaje w nie wrzucony - a kto może powiedzieć, o ile Hitler 1 września 1939 skoczył jeszcze dobrowolnie w krwawe morze wojny, a o ile w to obłąkańcze przedsięwzięcie wtrąciły go jego poprzednie błędy i zbrodnie?). Podkreślanie roli uczucia jest w LTI zawsze mile widziane; powiązanie z tradycją bywa przy tym tylko niekiedy przydatne. Nad tym i owym trzeba się zastanowić. Z niemieckimi narodowcami jako swoją konkurencją Führer ma od początku stosunki napięte; kiedy potem nie potrzebuje ich się już obawiać, wystarcza mu częściowe tylko korzystanie z ich konserwatyzmu i ultraniemieckości: chce się przecież oprzeć także na robotnikach przemysłowych, więc techniki i amerykanizmu nie można lekceważyć, a tym bardziej lżyć. Niemniej wszakże gloryfikacja przywiązanego do ziemi, tradycyjnego i niechętnego nowatorstwu chłopa utrzymuje się do końca w nie zmienionej postaci, a formuła BLUBO [*Blut und Boden* - krew i ziemia], będąca nazistowskim wyznaniem wiary, została ułożona właśnie z myślą o nim, czy raczej wysnuta z jego kształtu życia.

Poczynając od lata 1944 r. zyskuje sobie w Niemczech nowy, smutny żywot od dawna już archaiczne dolnoniemieckie słowo *Treck* [kolumna wozów, na których wiezie swój dobytek większa gromada przesiedleńców, wysiedleńców czy uchodźców; wędrówka takiej kolumny]. Przedtem używało się u nas tego słowa tylko w odniesieniu do afrykańskich Burów wędrujących w poszukiwaniu nowych terenów. Teraz wszystkimi szosami ciągnęły owe *Trecks* - kolumny przesiedleńców i uchodźców, sprowadzanych ze Wschodu na tereny niemieckie, „do ojczystego domu”. W tym „sprowadzeniu do ojczystego domu” [*Heimführen*] tkwi oczywiście ładunek afektacji, zresztą bardzo udany, bo sięgający wstecz od czasów klęski do początków pełnych chwały. Wtedy mówiło się, że Adolf Hitler sprowadza do domu ojczystego Saarę[108], a nie tracący jeszcze humoru i nonszalancji berlińczycy wysłali Goebbelsa do byłych niemieckich kolonii, żeby tam ćwiczył z Murzyniątkami chóralne skandowanie: „Chcemy do domu, do Rzeszy!” I oto teraz wyrwany ze swego środowiska tłum kolonistów ciągnął z uratowanym dobytkiem „do ojczystego domu”, gdzie go czekały warunki w najwyższym stopniu niepewne.

W połowie lipca przeczytałem w drezdeńskiej gazecie (oprócz właściwego dziennika partyjnego, „Freiheitskampf”, był jeszcze tylko jeden i dlatego nie zanotowałem jego tytułu) artykuł jakiegoś korespondenta: *Pochód trzystu pięćdziesięciu tysięcy*. W opisie tym, który w identycznej albo nieznacznie tylko zmienionej wersji ukazał się na pewno w wielu gazetach, były dwie rzeczy typowe i

---

następnie nałożenia na społeczność żydowską w Rzeszy olbrzymiej kontrybucji, nazwanej „pokutnym zadośćuczynieniem”.

[108] W wyniku plebiscytu przewidzianego traktatem wersalskim, przeprowadzonego 13 stycznia 1935 r., Saara została włączona do Rzeszy.

interesujące: raz jeszcze osnuwał on mgiełką sentymentu i heroizował chłopstwo, podobnie jak było ono gloryfikowane w czasie dożynek na Bückeberg[109] w latach pokoju oraz szafował bez skrupułów całym zasobem krasomówczym LTI, przy czym pojawiało się tu ponownie niejedno dekoracyjne słówko, wyeliminowane już z użycia przez nędzę owych czasów. Te trzysta pięćdziesiąt tysięcy niemieckich kolonistów, których przeniesiono z południowej Rosji do Warthegau, byli to „Niemcy o najlepszej niemieckiej krwi i szczerych niemieckich cechach", wykazywali „pod względem biologicznym nieskażoną produktywność" - pod rządami niemieckimi liczba żywych porodów wzrosła u nich od roku 1941 do 1943 z 17 do 40 na tysiąc - przejawiali „niezrównany zapał do pracy na roli i do osadnictwa", byli „pełni fanatycznego entuzjazmu dla nowych stron ojczystych i wspólnoty narodowej" itd. Końcowa uwaga, że z tych wszystkich powodów zasługują oni na to, aby być uznani za „pełnowartościowych Niemców", tym bardziej że ich młodzież już od dawna służy w Waffen-SS[110], pozwalała się jednakże domyślać, że z ich znajomością języka niemieckiego i z ich niemiecką kulturą nie było najlepiej; w każdym razie ta „jedyna w swoim rodzaju" [*einmalig*] wędrówka jest okazją po temu, aby raz jeszcze otoczyć chłopstwo nimbem romantyki, zaprawionej początkowo nieco jednostronnym zachwytem nad tradycjonalizmem.

Po słowach odpowiedzialnego mistrza propagandy i w ogóle LTI można jednak łatwo poznać, jak potrafi on w interesie całości rozluźnić istniejącą pierwotnie więź między tradycją a uczuciem. Że zapanować nad narodem można tylko przez oddziaływanie emocjonalne, jest dla niego rzeczą równie oczywistą jak dla Führera. „Co taka mieszczańska inteligencka dusza wie o narodzie?"- pisze on w swoich (niewątpliwie chytrze spreparowanych dla opinii publicznej) dziennikach *Od Kaiserhofu do Kancelarii Rzeszy*. Już samo obowiązkowe, aż do znudzenia wszędzie podkreślane odniesienie wszystkich spraw, sytuacji, osób do narodu - jest się członkiem wspólnoty narodowej [*Volksgenosse*], kanclerzem narodowym [*Volkskanzler*], osobnikiem działającym na szkodę narodu [*Volksschädling*], elementem bliskim lub obcym narodowo [*volksnah volksfremd*], świadomym narodowo itd. in infinitum - już to samo kładzie stały akcent na uczucie, brzmiący dość obłudnie i bezwstydnie.

Ale gdzie Goebbels szuka owego narodu, do którego siebie zalicza, o którego istnieniu wie? To, że według tych samych stron jego dziennika teatry berlińskie są wypełnione „azjatycką zgrają na piaskach brandenburskich", nie mówi jeszcze nic, w słowach tych bowiem manifestuje się tylko obrazowo zwykły antyintelektualizm i antysemityzm; więcej informacji dostarcza słowo, którego używa on wielokrotnie i zawsze w sensie pejoratywnym w swojej *Walce o Berlin*. Książka ta została napisana jeszcze przed objęciem przez nazistów władzy, ale już w okresie ich wielkiej pewności zwycięstwa, i opisuje lata 1926/27, czasy, kiedy Goebbels, pochodzący z Zagłębia Ruhry, poczyna zdobywać dla swojej partii stolicę. Powracające ustawicznie słowo, będące tutaj wyrazem niechęci, to słowo „bruk" [*Asphalt*].

Bruk jest to sztuczna nawierzchnia, oddzielająca mieszkańca miasta od naturalnego gruntu. Metaforycznie stosuje go w Niemczech najpierw (około roku 1890) liryka naturalistyczna. Określenie „kwiat bruku" oznacza wówczas berlińską prostytutkę. Nie ma ono w sobie właściwie nic

---

[109] Bückeberg - wzgórze w Dolnej Saksonii, gdzie w okresie Trzeciej Rzeszy odbywały się uroczyste ogólnopaństwowe dożynki.

[110] Waffen-SS - regularne formacje wojskowe wszystkich rodzajów broni, składające się z członków SS, którzy odbywali w nich dobrowolną służbę zamiast normalnej służby w Wehrmachcie (zresztą w późniejszych latach wojny często wcielano do nich rekrutów przymusowo); w zakresie taktycznym podporządkowane dowództwu armii, ale podległe władzy dyscyplinarnej SS; używane szczególnie często do akcji represyjnych.

negatywnego, bowiem prostytutka stanowi w tej liryce postać bardziej lub mniej tragiczną. Otóż u Goebbelsa rozkwita cała flora brukowa, a każdy z jej kwiatów jest trujący i pragnie to jakoś okazać. Berlin jest wybrukowanym potworem, jego żydowskie gazety, zapełniane szmirą żydowskich pismaków, są brukowymi organami, rewolucyjny sztandar NSDAP trzeba przemocą „wbić w bruk", drogę do zguby (marksistowskiego sposobu myślenia i kosmopolityzmu) „wybrukował Żyd frazesami i obłudnymi obietnicami". Zapierające dech tempo tego „wybrukowanego potwora pozbawiło człowieka serca i duszy"; żyje tu więc „bezkształtna masa anonimowego światowego proletariatu", berliński proletariusz jest więc „istotą bezdomną"...

Goebbels odczuwa w Berlinie brak „jakiejkolwiek więzi patriarchalnej". On sam przybył tutaj dopiero co z Zagłębia Ruhry; tam również stykał się z robotnikami przemysłowymi, ale są oni innego i szczególnego rodzaju: istnieje tam jeszcze „pierwotne zakorzenienie", podstawowy trzon ludności składa się z „rdzennych Westfalczyków". Tak więc wtedy, z początkiem lat trzydziestych, Goebbels opowiada się jeszcze za tradycyjnym kultem krwi i ziemi i przeciwstawia ziemię, naturalny grunt, brukowi. Później staje się ostrożniejszy w wyrażaniu sympatii dla chłopstwa, ale trzeba będzie poczekać dwanaście lat, żeby cofnął swoje zniewagi pod adresem ludzi z bruku; zresztą nawet cofając je, pozostaje nadal kłamcą, nie mówi bowiem, że sam uczył pogardy dla mieszkańców wielkich miast. „Czujemy - pisze 16 kwietnia 1944 w «Reichu» pod wrażeniem straszliwych spustoszeń sprawionych przez bomby - głęboką cześć wobec tego niezniszczalnego rytmu i tej niczym nie dającej się złamać woli życia naszej wielkomiejskiej ludności, która nie uległa jednak na bruku takiemu wykorzenieniu, jak nam to dawniej ciągle przedstawiano w różnych książkach, pisanych często w dobrej intencji, ale bardzo teoretycznych... Siła witalna naszego narodu jest tutaj ugruntowana równie mocno, jak w niemieckim chłopstwie".

Na zmianę emocjonalnej aury wokół stanu robotniczego i na zabiegi o jego względy nie trzeba było oczywiście czekać aż tak długo; również w tej dziedzinie sięgnięto już wcześniej po sentymentalne tony. Kiedy po sprawie Grynszpana wydany został zakaz prowadzenia przez Żydów samochodów, ówczesny minister policji Himmler uzasadniał go nie tylko tym, że Żydzi „nie dają gwarancji bezpieczeństwa", ale także tym, że prowadzenie przez nich aut obraża „niemiecką społeczność ruchu drogowego" [*deutsche Verkehrsgemeinschaft*], tym bardziej że używają oni arogancko także „zbudowanych rękami niemieckich robotników autostrad". Ogólnie jednak biorąc, mieszanka sentymentu z tradycjonalizmem prowadzi przeważnie i głównie do chłopa i do wiejskiej obyczajowości (*Brauchtum* - również i to słowo należy do sentymentalnego słownika opartego na poetycznie brzmiącej staroniemczyźnie). W marcu 1945 roku codziennie łamałem sobie na próżno głowę przed pewnym obrazkiem w witrynie gazety „Falkensteiner Anzeiger". Był tam pokazany niewątpliwie ładny wiejski dom szachulcowy, a pod nim widniał napis - podobno sentencja Rosenberga - głoszący, że jedna staroniemiecka chłopska chata zawiera w sobie „więcej duchowej wolności i twórczej mocy niż wszystkie miasta wypełnione drapaczami chmur i budy z blachy falistej razem wzięte". Daremnie poszukiwałem jakiegoś możliwego uzasadnienia tego zdania; mogło ono leżeć tylko w nazistowsko-nordyckiej hybrydzie i w jej skłonności do zmiany myśli na emocję. Sentymentalizacja rzeczy nie jest jednak w królestwie LTI związana w sposób konieczny z odwoływaniem się do jakiejś tradycji. Może nawiązywać swobodnie do sfery codzienności, może sięgać do zwykłych słów języka potocznego, także do wyrażeń sztubackich, może się posługiwać pozornie w najwyższym stopniu prozaicznymi neologizmami. Zaraz na początku zanotowałem tego samego dnia: „Reklama Kempińskiego: Kosz z łakociami «Prusy» 50 marek, kosz z łakociami «Ojczyzna» 75 marek - i w tej samej gazecie urzędowe zalecenia co do «potraw jednogarnkowych»

[*Eintopf*]. Jakże prostacka i drażniąca jest próba, rodem z pierwszej wojny światowej, reklamy libacji przez wzbudzanie patriotycznych uczuć; a jak zręczną i pełną skojarzeń nazwę wybrano dla nowego przepisu kulinarnego! Ten sam posiłek dla wszystkich, wspólnota narodu w tym, co najpowszedniejsze i najkonieczniejsze, ta sama prostota dla bogatych i biednych w ofierze dla ojczyzny, a to, co najważniejsze, zawarte w jednym najprostszym słowie! *Eintopf*- jemy wszyscy tylko to, co się zmieści i ugotuje razem w jednym garnku, jemy wszyscy z jednego i tego samego garnka...". Choćby wyrażenie *Eintopf* było jako terminus technicus sztuki kuchennej od dawna rozpowszechnione, to przecież wprowadzenie go, obciążonego takim ładunkiem emocjonalnym, do LTI jest z nazistowskiego punktu widzenia wyczynem genialnym. Na tej samej płaszczyźnie leży słowo *Winterhilfe* [pomoc zimowa]. Przybrano tu w kłamliwą szatę dobrowolności, z serca płynącego daru coś, co w rzeczywistości było wymuszoną daniną.

Względy sentymentalizmu wchodzą też w grę, kiedy mówiąc oficjalnie o szkołach dla chłopców i dziewcząt używa się słów *Jungen* i *Mädel*, a nie *Knaben* i *Mädchen*, kiedy fundamentalną rolę w systemie wychowawczym Trzeciej Rzeszy grają *Hitlerjungen* (HJ) i *deutsche Mädel* (BDM). Oczywiście, w tym przypadku jest to sentymentalizm ze znakiem umyślnie ujemnym: Słowa Jungę i Madei brzmią nie tylko popularniej i swobodniej niż *Knabe* i *Mädchen*, ale także jędrniej, bardziej krzepko. Szczególnie słowo Madei toruje drogę późniejszej *Waffenhelferin*, która z kolei staje się słowem w połowie lub w całości przesłaniającym istotną ukrytą w nim treść i broń Boże nie wolno jej mylić z *Flintenweib*[111] - równie dobrze bowiem można by mylić volkssturm z partyzantami.

Kiedy jednak w dosłownie ostatniej minucie - bo trudno tu już mówić o godzinie - zamierza się przejść otwarcie do walki prowadzonej przez podziemne bandy, wybiera się nazwę, od której wieje grozą strasznej baśni: członków band nazywa się w oficjalnym radiu „wilkołakami" [*Werwölfe*]. Było to znowu nawiązanie do tradycji, i to do najstarszej, bo do mitu, i w ten sposób na samym końcu raz jeszcze ujawnia się w języku monstrualna reakcja, absolutne cofnięcie się do prymitywnych, drapieżczych początków ludzkości, a tym samym zostaje zdemaskowany właściwy charakter nazizmu.

W formie bardziej nieszkodliwej, ale z kolei zaprawionej silniejszą dawką obłudy, występuje sentymentalizacja tam, gdzie mówi się, np. w geografii politycznej, o *Herzland Bulgarien* [dosłownie: Bułgaria, kraj serca; kraj będący sercem czegoś]. Pozornie wyrażenie to wskazywało tylko na centralne położenie, centralne znaczenie kraju pod względem gospodarczym i wojskowym w stosunku do krajów go otaczających; za tym tkwiły jednak, niby nie wypowiedziane, a przecież wypowiedziane, umizgi, zabieganie o przyjaźń, manifestowanie sympatii dla owego „kraju serca". Najsilniejszym wreszcie i najpowszechniejszym słowem o zabarwieniu emocjonalnym, którym nazizm posługuje się dla swoich celów, jest słowo „przeżycie". Normalny uzus językowy zna wyraźne rozróżnienie: od urodzenia do śmierci żyjemy w ciągu wielu godzin, ale przeżyciem stają się dla nas tylko te, kiedy siła naszych uczuć jest szczególnie pobudzona, w których czujemy działanie losu. LTI umyślnie wyciąga wszystko w sferę przeżycia. „Młodzież przeżywa Wilhelma Tella"- brzmi nagłówek, który mi wśród wielu innych podobnych utkwił w pamięci. Najgłębszy cel użycia tego słowa ujawnia

[111] *Waffenhelferin* - członkini paramilitarnej formacji, do której powoływano młode kobiety, służącej głównie do celów obrony przeciwlotniczej; samo to określenie (znaczące mniej więcej: ta, która pomaga mężczyznom w ich zbrojnym czynie) miało służyć dowartościowaniu kobiety noszącej broń i w tym sensie zacierać ujemne skojarzenia związane z pogardliwym słowem *Flintenweib* (znaczącym mniej więcej: baba ze strzelbą).
W odcieniu emocjonalnym zachodzi więc między tymi określeniami stosunek podobny jak między volkssturmem - niejako patriotycznym ruchem ludowym - a partyzantami, uważanymi po prostu za bandytów.

refleksja, jaką saski kierownik krajowy Izby Literatury Rzeszy podzielił się z prasą z okazji Tygodnia Książki w październiku 1935. *Mein Kampf* - powiedział - jest świętą księgą narodowego socjalizmu i nowych Niemiec, którą trzeba „przeżyć”...

Wszystkie te sprawy - raz te, raz owe - przychodziły mi do głowy, kiedy wchodziłem do *Gefolgschaftssaal*, i rzeczywiście: wszystkie one stanowiły *Gefolge*- świtę owego jednego słowa, wszystkie zawdzięczają swoje powstanie tej samej tendencji...

Pod koniec okresu, jaki spędziłem wśród załogi tej fabryki, natrafiłem w domu żydowskim na powieść autora *Historii Jettchen Gebert*, Georga Hermanna zatytułowaną *Czas umiera*. Książka wyszła w Żydowskim Stowarzyszeniu Wydawniczym, już w swojej koncepcji była niewątpliwie pod silnym wpływem przybierającego na znaczeniu nazizmu. Nie wiem, dlaczego w moim dzienniku nie poświęciłem większej uwagi całemu temu dziełu; zanotowałem sobie z niego tylko jedną sytuację, jedno zdanie: „Żona Gumperta opuszcza spiesznie kaplicę cmentarną, zanim jeszcze rozpocznie się nabożeństwo żałobne za jego kochankę, «a jej świta [*Gefolgschaft*] czyni, z mniejszym wprawdzie, ale jednak pewnym pośpiechem to, co czyni każda świta: idzie za nią»„. Wtedy wziąłem to za czystą ironię, za ową żydowską ironię, tak znienawidzoną przez nazizm, za to, że demaskuje emocjonalną obłudę; mówiłem sobie: autor nakłuwa to nadęte słowo, żeby się skurczyło i zwiotczało. Dzisiaj inaczej myślę o tym passusie: sądzę, że jest pełen nie tyle ironii, co głębokiej goryczy. Bo cóż było ostatecznym celem i skutkiem całego tego rozdęcia strony emocjonalnej? Uczucie nie było tu celem samym w sobie, lecz tylko środkiem i fazą przejściową. Uczucie miało wyprzeć myślenie - samo zaś musiało ustąpić miejsca stanowi odurzenia, pozbawienia woli i czucia; skądże by się inaczej wzięły potrzebne zastępy oprawców i ich pomocników?

Co czyni dobra świta? Nie myśli, ani nawet już nie czuje - tylko idzie za tym, do kogo należy.

XXXIV
Jedna sylaba

Bezpośrednio - a nie jedynie w ilustracjach gazetowych i w radiu - widziałem i słyszałem manifestacyjne pochody nazistów właściwie tylko w ostatnim roku. Nawet bowiem wtedy, gdy jeszcze nie nosiłem gwiazdy - potem było to oczywiste - uciekałem spiesznie w bezpieczne zacisze jakiejś bocznej ulicy, skoro tylko taki pochód się ukazywał; w przeciwnym razie musiałbym przecież oddawać honory tej przeklętej fladze. Ale w ostatnim roku wsadzono nas do jednego z dwóch domów żydowskich przy Zeughausplatz, gdzie z okien sieni i kuchni był widok na Carolabrücke. Otóż ilekroć po drugiej stronie, na okazale przystrojonym Königsufer, odbywała się jakaś uroczystość, na przykład wygłaszał przemówienie Mutschmann czy zgoła wódz Franków Streicher, przez most przeciągały ze swymi sztandarami i ze śpiewem kolumny SA i SS, HJ i BDM. Czy chciałem, czy nie, za każdym razem robiło to na mnie wrażenie, i za każdym razem mówiłem sobie z rozpaczą, że tym bardziej musi to robić wrażenie na innych ludziach, o mniejszym krytycyzmie.

Jeszcze na niewiele dni przed naszym dies ater, przed 13 lutego 1945 r. maszerowali tak właśnie przez most, w dziarskiej postawie, z głośnym śpiewem. Brzmiał on nieco inaczej niż pieśni marszowe,

jakie podczas pierwszej wojny światowej śpiewali Bawarczycy, bardziej urywanie, szczekliwie, mniej melodyjnie - ale w sprawach wojskowych naziści przecież zawsze i we wszystkich punktach przesadzali, tak więc w tym marszu i śpiewie tam w dole ciągle jeszcze czuło się ich dawną sprawność i pewność siebie. Ileż to już czasu upłynęło od Stalingradu, od chwili, gdy obalono Mussoliniego, gdy nieprzyjaciele doszli do granicy Niemiec i przekroczyli ją, gdy właśni generałowie Führera chcieli go zamordować - a ci, tam w dole, ciągle jeszcze maszerowali i śpiewali, i ciągle jeszcze żyła legenda o ostatecznym zwycięstwie, albo też wszystko uległo przymusowi wiary w legendę!

Znałem parę tekstów, które tu i ówdzie kiedyś podchwyciłem. Wszystko to było takie prostackie, ubogie, równie dalekie od sztuki, jak od tonu ludowego - „Kameraden, die Rotfront und Reaktion erschossen,/ Marschieren in unsern Reihen mit”[112]: oto poezja pieśni Horst-Wessel-Lied. Trzeba sobie łamać język i rozwiązywać zagadki. Może czerwony front i reakcja mają tu formę pierwszego przypadku, a zastrzeleni towarzysze są obecni w myśli i w duszy maszerujących właśnie „brunatnych batalionów”, a może - „nowa niemiecka pieśń-ślubowanie”, jak ją nazywa urzędowy szkolny śpiewnik, została przez Wessla zrymowana jeszcze w roku 1927 - i to by było bliższe obiektywnej prawdy, może towarzysze-współuczestnicy jakichś burd, przy których doszło do strzelaniny, siedzą w ciupie, ale we własnym tęsknym marzeniu maszerują wraz ze swymi przyjaciółmi z SA... Kto spośród maszerujących, kto spośród publiczności łamałby sobie głowę nad takimi szczegółami natury gramatycznej czy estetycznej, kto by się w ogóle zastanawiał nad treścią tej pieśni? Melodia i krok marszowy, kilka istniejących samych dla siebie pojedynczych zwrotów czy zdań apelujących do „heroicznych instynktów”: „Sztandar w górę!... Droga wolna dla esamana!... Wnet załopoczą flagi Hitlera...” - czy to nie dosyć dla wywołania zamierzonego nastroju?

Nagle przypomniał mi się czas, kiedy niemiecka pewność zwycięstwa doznała pierwszego ciosu. Z jaką zręcznością potrafiła Goebbelsowska propaganda katastrofalną klęskę przemienić nieomal w zwycięstwo, a w każdym razie w najwyższy triumf żołnierskiego ducha. Szczególnie jeden reportaż z frontu zanotowałem sobie wtedy; teraz leżał on oczywiście od dawna, jak wszystkie stare kartki dziennika, w Pirnie, miałem go jednak wyraźnie przed oczyma: według tego reportażu, na rosyjskie wezwanie do poddania się żołnierze przednich linii odpowiedzieli chóralnym skandowaniem, w którym potwierdzali niewzruszoną wierność Hitlerowi i swemu obowiązkowi.

Recytacje chóralne były powszechnie stosowane w początkach ruchu; w okresie stalingradzkiej katastrofy pojawiły się na nowo tam, na froncie, natomiast wewnątrz kraju już ich właściwie nie było słychać i przypominały o nich tylko transparenty - jakby drzemiące nuty. Dawniej zadawałem sobie często pytanie, które i teraz mi się nasuwało, dlaczego recytacja chóralna działa silniej, brutalniej niż wspólnie śpiewana pieśń. Myślę że dzieje się tak z następujących przyczyn: język jest wyrazem myśli, recytacja chóralna uderza wprost, gołą pięścią, w umysł człowieka i chce go ujarzmić. Przy pieśni melodia stanowi łagodzącą osłonę, umysł jest pozyskiwany okrężną drogą poprzez uczucie. Pieśń maszerującej kolumny nie jest też właściwie przeznaczona dla stojących na skraju ulicy słuchaczy; tych zniewala tylko szum ludzkiej rzeki, płynącej jakby sama dla siebie. I właśnie to płynięcie, ta wspólnota marszowej melodii urzeczywistnia się w sposób łatwiejszy i naturalniejszy niż wspólnota chóralnej recytacji: w śpiewie bowiem, w melodii, nastrój spotyka się z nastrojem, natomiast we

---

[112] Przytoczony fragment pieśni *Horst- Wessel-Lied* jest gramatycznie dwuznaczny. Może on znaczyć: „Towarzysze, których zastrzelił czerwony front i reakcja, maszerują wraz z nami”, albo: „Towarzysze, którzy strzelali do czerwonego frontu i reakcji, maszerują wraz z nami”.

wspólnie wypowiadanym zdaniu ma nastąpić spotkanie myśli pewnej grupy ludzi. Recytacja chóralna jest sztuczniejsza i bardziej wyuczona, jej działanie agitujące ma w sobie więcej przymusu niż śpiew.

Wnet po objęciu władzy w Niemczech naziści mogli z recytacji chóralnej zrezygnować; po prostu już im nie była potrzebna. (O recytacji kultycznej, stosowanej niekiedy na zjazdach partii i w innych uroczystych okolicznościach, można oczywiście powiedzieć w zasadzie to samo, co o zdaniach skandowanych w pochodach: „Zbudźcie się, Niemcy! Zdychajcie, Żydzi! Wodzu, rozkazuj!" [*Deutschland, erwache! Juda, verrecke! Führer, befiehl*!] itd., itd.)

Tym, co mnie szczególnie deprymowało, był fakt, że naziści nie uważali za potrzebne odstępować od swoich z dawna śpiewanych buńczucznych pieśni: ani zaklęcia chóralnych recytacji, ani jakieś stonowanie nieumiarkowanych przechwałek i pogróżek, od których roiło się w tekstach pieśni, nie wydawały im się konieczne. A przecież z wojny błyskawicznej zrobiła się wojna nerwów, a zwycięstwo przemieniło się w zwycięstwo oczekiwane dopiero u samego kresu, a przecież ostatnia wielka ofensywa utknęła w martwym punkcie, a przecież... ale po co wyliczać wszystko, co się już skończyło fiaskiem? A oni tymczasem maszerowali i śpiewali jak dawniej, i działało to na człowieka jak dawniej, i w całym tym bezczelnym wydzieraniu się nie czuło się żadnego spuszczenia z tonu, nic, z czego można by czerpać najlżejszą choćby nadzieję...

A jednak był tam pewien znak nadziei, który by uszczęśliwił filologa, gdyby tylko był mu wiadomy. Ale ta pociecha, zawarta w jednej jedynej sylabie, stała mi się wiadoma dopiero później, kiedy miała dla mnie już tylko wartość naukową.

Warto cofnąć się do niej pamięcią.

W pierwszej wojnie światowej alianci usiłowali wyczytać niemieckie zaborcze zakusy z naszego hymnu *Deutschland über alles*. Było to niesłuszne, ponieważ z owych słów „ponad wszystko na świecie" nie wynika żądza ekspansji, lecz tylko wewnętrzne przywiązanie, jakie patriota czuje względem swojej ojczyzny. Gorzej było z pieśnią żołnierską: *„Siegreich wollen wir Frankreichschlagen, Russland und die ganze Welt*" [Zwycięsko bić chcemy Francję, Rosję oraz cały świat]. Jednakże i ona nie może służyć jako dowód rzeczywistego imperializmu: można by bronić tezy, że jest to typowa pieśń wojenna; ci, którzy ją śpiewają, czują się obrońcami ojczyzny, chcą być górą, „bijąc zwycięsko" nieprzyjaciół, ilukolwiek by ich było - o przywłaszczaniu cudzego terytorium nic się tutaj nie mówi.

Ale porównajmy z tym jedną z najbardziej charakterystycznych pieśni Trzeciej Rzeszy, która ze specjalnego zbiorku już w roku 1934 przeszła do śpiewnika *Towarzysz pieśni*, śpiewnik szkolny niemieckiej młodzieży, wydany przez ogólnopaństwowe kierownictwo Narodowosocjalistycznego Związku Nauczycieli, i tym samym uzyskała znaczenie oficjalne i powszechne. *„Es zittern die morschen Knochen /der Welt vor dem roten Krieg./ Wir haben den Schrecken gebrochen /für uns war's ein großer Sieg. /Wir werden weitermarschieren, /wenn alles in Scherben fällt, /denn heute, gehört uns Deutschland /und morgen die ganze Welt*" [Drży świata zbutwiały szkielet /przed widmem czerwonych dni. /Myśmy już trwogę zwalczyli, /nam surma zwycięstwa brzmi. /Ten marsz powiedzie nas dalej, /gdy zwali się stary ład, /bo dzisiaj nasze są Niemcy, /a jutro - cały świat.[113]].

Pieśń ta staje się popularna zaraz po zwycięstwie wewnętrznopolitycznym, a więc po objęciu rządów przez Führera, który w każdej mowie podkreśla swoją wolę pokoju. A przecież mówi się tu bez

[113] Przeł. Tomasz Fiałkowski.

osłonek o rozbiciu wszystkiego w kawałki i o zdobyciu świata. Aby zaś usunąć całkowicie wszelkie wątpliwości co do owych zaborczych zamiarów, powtarza się w obu następnych strofach - raz, że obrócimy „cały świat w kupę gruzów”, a potem, że „światy” (w liczbie mnogiej) na próżno będą nam się opierać, a za każdym razem refren zapewnia, że jutro będzie do nas należał cały świat. Führer wygłaszał jedną po drugiej pokojowe mowy, a jego pimpfy i hitlerjungi musiały z roku na rok śpiewać ten niecny tekst. To oraz hymn narodowy o „niemieckiej wierności”...

Kiedy jesienią 1945 roku mówiłem po raz pierwszy publicznie o LT I, wskazałem na *Towarzysza pieśni*, którego dostałem teraz do rąk, i zacytowałem pieśń o drżącym zbutwiałym szkielecie. Po prelekcji podszedł do podium jakiś urażony słuchacz i powiedział: - Dlaczego cytuje pan fałszywie tak decydujące miejsce, dlaczego pomawia pan Niemców o chęć panowania nad światem, której nie mieli nawet w Trzeciej Rzeszy? W tej pieśni nie ma wcale mowy o tym, że ma do nas należeć świat. - Proszę przyjść jutro do mnie - odparłem - a będzie pan mógł sam zajrzeć do tego śpiewnika. - Na pewno się pan myli, panie profesorze, przyniosę panu prawdziwy tekst. - Kiedy przyszedł następnego dnia, *Towarzysz pieśni*- wydanie VI, 1936, u Franza Ehera, Monachium, „zatwierdzone i usilnie zalecane do użytku szkolnego przez Bawarskie Ministerstwo Kultury”, ale przedmowa datowana: „Bayreuth, im Lenzing[114] 1934” - a więc ten właśnie śpiewnik leżał gotowy, otwarty na odpowiedniej stronie. „*Heute gehört uns Deutschland, und morgen die ganze Welt*” - niczego nie da się tu tłumaczyć inaczej...

A jednak dało się. Ten człowiek pokazał mi ładny miniaturowy śpiewniczek, który można było nosić zawieszony w dziurce od guzika *Niemiecka pieśń; pieśni ruchu*, wydane przez *Akcję Pomocy Zimowej narodu niemieckiego, 1942/43*. Okładkę zdobiły wszystkie emblematy nazizmu: swastyka, znak runiczny SS itd., a wśród pieśni był też zbutwiały szkielet, brutalny jak dawniej, ale przecież w decydującym miejscu zretuszowany. Refren brzmiał teraz: „und heute, da hört uns Deutschland und morgen die ganze Welt” [...bo dzisiaj słyszą nas Niemcy, a jutro - cały świat]. Brzmiało to niewinniej.

Ponieważ wskutek niemieckiej drapieżności świat leżał już jednak w ruinach i teraz, w stalingradzką zimę, widoki na „wielkie zwycięstwo” Niemiec były zgoła żadne, należało retusz jeszcze wzmocnić i skomentować. Dodano więc czwartą strofę, w której zaborcy i ciemięzcy próbowali przybrać maskę przyjaciół pokoju i bojowników o wolność i skarżyli się na złośliwą interpretację swej dawnej pieśni. Nowa strofa brzmiała: *„Sie wollen das Lied nicht begreifen, sie denken an Knechtschaft und Krieg. /Derweil unsre Acker reifen, du Fahne der Freiheit flieg! /Wir werden weitermarschieren, wenn alles in Scherben fällt. /Die Freiheit stand auf in Deutschland, und morgen gehört ihr die Welt*!” [Nie chcą zrozumieć słów pieśni, /widzą w nich jarzmo i krew. /A łany nasze dojrzały /i brzmi już wolności zew! /Ten marsz powiedzie nas dalej, /gdy zwali się stary ład. /Wolność zbudziła się w Niemczech, /a jutro - ogarnie świat![115]].

Jakiejż potrzeba było bezczelności, aby tak przekręcić fakty! I jakiej desperacji, żeby się na takie kłamstwo poważyć! Nie sądzę, by ta czwarta strofa była jeszcze gdzieś żywa; jest zbyt za wikłana i niewyraźna w porównaniu z grubiańską prostotą trzech poprzednich, których pierwotnej drapieżności i tak nie da się całkiem przesłonić. Ale tamto ukrycie szponów, wstydliwe opuszczenie złowrogiej sylaby - mam wrażenie, że się przyjęło.

---

[114] Tzn. w marcu; Lenzing – staroniemiecka nazwa marca.
[115] Przeł. Tomasz Fiałkowski.

Trzeba sobie to zapamiętać. Właśnie między *gehören* [należeć] a *hören* [słuchać] przebiega cezura w nazistowskim samopoczuciu. Wypadnięcie tej jednej sylaby w swojej projekcji na płaszczyznę nazistowskiej pieśni oznacza Stalingrad.

XXXV
Prysznic naprzemienny

Po usunięciu Röhma i małej krwawej łaźni sprawionej jego zwolennikom Führer kazał swemu Reichstagowi poświadczyć, że postąpił słusznie; owo „słusznie” oddał przy tym słowem o wyraźnym zabarwieniu staroniemieckim: *rechtens*. Natomiast stłumione powstanie czy bunt, czy ruchawkę, czy odszczepieństwo zwolenników Röhma, a więc to, na określenie czego było pod ręką tyle niemieckich nazw, nazywano rewoltą Röhma [*Röhmrevolte*]. Zapewne odgrywały też przy tym rolę - język, co składa słowa i myśli za ciebie! - nieświadome czy półświadome skojarzenia dźwiękowe, podobnie jak przy puczu Kappa [*Kapp-Putsch*], gdzie zresztą skojarzenie można było rozszerzyć na sferę znaczeniową, na słowo *kaputt*; pomimo to pozostaje rzeczą dziwną, że w odniesieniu do tego samego przedmiotu sięga się, bez koniecznej potrzeby, raz po słowo bardzo wyraźnie niemieckie, innym razem bardzo wyraźnie obce. Podobnie mówi się z ultraniemiecka o *Brauchtum* [obyczajowość, tradycja], ale Norymberga, miasto zjazdów partii, jest oficjalnie bramą do *Traditionsgau* [okręgu tradycji].

Niektóre zniemczenia powszechnie znanych słów obcych stają się popularne: mówi się *Bestallung* zamiast *Approbation* [wprowadzenie na urząd, zezwolenie na wykonywanie zawodu], *Entpflichtung* zamiast posłanie na emeryturę, a już obowiązkowe jest używanie słowa *Belange* na określenie interesów; „humanitarność” ma silny posmak żydowsko-liberalistyczny, gdy niemiecka *Menschlichkeit* [ludzkość] jest czymś zupełnie innym. Natomiast na datowanie im Lenzing można sobie pozwolić tylko w połączeniu z Bayreuth, miastem Wagnera - wbrew całej popularyzacji znaków runicznych i okrzykom *Sieg Heil* staroniemieckie nazwy miesięcy nie przyjęły się w ogólnym języku.

O przyczynach ograniczonego zasięgu językowej ultraniemieckości wspomniałem przy okazji refleksji nad słowem *Gefolgschaft*. Argument ten sam z siebie może jednak tłumaczyć najwyżej pozostawienie w użyciu słów obcych powszechnie znanych. Jeśli natomiast LTI w porównaniu z poprzednią epoką używa słów obcych więcej i częściej, musi to wypływać z jakichś innych, szczególnych motywów. A przecież ta ich większa liczba i częstsze stosowanie rzucają się wyraźnie w oczy.

Führer w każdej mowie, w każdym biuletynie używa z lubością dwóch słów obcych absolutnie zbędnych i wcale nie powszechnie znanych i rozumianych: dyskryminować (przy czym zamiast *diskriminieren* mówi zawsze *diskrimieren*) i dyfamować. Salonowe „dyfamować” brzmi w jego ustach o tyle osobliwie, że skądinąd mógłby on współzawodniczyć w wyzwiskach z każdym pijanym parobkiem. W swojej mowie z okazji Akcji Pomocy Zimowej 1942/43 - wszystkie kamienie milowe LTI liczą się do Stalingradu albo od Stalingradu - nazywa ministrów państw nieprzyjacielskich „baranimi głowami i zerami, których nie można wzajemnie odróżnić”; w Białym Domu rządzi umysłowo chory, a w Londynie zbrodniarz. Kierując spojrzenie na siebie samego stwierdza następnie, że nie gra już roli „tak zwane dawne wykształcenie, lecz tylko postawa bojownika, śmiałego męża, który ma dane po

temu, aby być wodzem swego narodu". Co się wszakże tyczy słów obcych, to dokonuje on jeszcze dalszych i jakby się rzekło, bynajmniej brakiem niemieckiego ekwiwalentu nie uzasadnionych zapożyczeń. W szczególności on sam jest zawsze gwarantem (a nie poręczycielem) pokoju albo niemieckiej wolności, albo niezależności małych narodów, albo wszelkich innych dobrych rzeczy, które zdradził; wszystko, co w jakikolwiek sposób zwiększa lub odzwierciedla jego wodzowską chwałę, ma *säkulare Bedeutung* [znaczenie wiekopomne]; czasami daje się też skusić fryderycjańsko brzmiącemu zwrotowi i grozi krnąbrnym urzędnikom „ogólną kasacją" [*gemeine Kassation*], tam gdzie by przecież wystarczyło „natychmiastowe zwolnienie" [*fristlose Entlassung*] albo - w parobczańskiej niemczyźnie Hitlera - „wyrzucenie" czy „przepędzenie".

Oczywiście cały surowiec słownictwa wodza jest polerowany przez Goebbelsa i przyrządzany dla różnorodnego dekoracyjnego zastosowania. W bardzo istotny sposób wzbogaciła następnie nazistowski zasób słów obcych wojna.

Można podać całkiem prostą zasadę rozsądnego stosowania obcych słów. Brzmi ona mniej więcej tak: używaj obcego słowa tylko wtedy, kiedy nie znajdujesz dla niego we własnym języku pełnowartościowego i prostego odpowiednika - ale tylko wtedy go używaj.

LTI wykracza przeciw tej zasadzie w obu kierunkach: raz posługuje się zniemczeniami przybliżonymi (co zresztą z podanej przyczyny dzieje się rzadziej), to znów sięga bez potrzeby do obcych słów. Kiedy mówi przy tym o terrorze (terror powietrzny, terror bombowy, oczywiście także terror odwetowy) i o inwazji, porusza się bądź co bądź po drodze od dawna przetartej; natomiast „inwazorzy" są nowi, zaś „agresorzy" całkiem zbędni, a w miejsce czasownika „zlikwidować" jest do dyspozycji niesłychane mnóstwo innych: zabić, zamordować, usunąć, stracić itd. Również stale stosowany „potencjał wojenny" [*Kriegspotential*] dałby się łatwo zastąpić przez „stopień uzbrojenia" [*Rüstungsgrad*] i „możliwości zbrojeniowe" [*Rüstungsmöglichkeit*]. Przecież więcej trudu sobie zadano, aby grzech defetyzmu, który najpierw uszminkowano lekko na niemiecko za pomocą pisowni *Defätismus* zamiast *Defaitismus*, wydać na pastwę gilotyny jako „rozkładanie siły obronnej armii" [*Wehrkraftzersetzung*].

Jakie są więc przyczyny tego upodobania do dźwięcznego obcego słowa, na które przytoczyłem tu kilka zaledwie przykładów? Przede wszystkim dźwięk, a kiedy aż do końca prześledzimy różne motywy, okaże się, że zawsze chodzi o dźwięk i o chęć zagłuszenia tego, co niepożądane.

Hitler jest samoukiem, nie w pięćdziesięciu, lecz co najmniej w dziewięćdziesięciu procentach niedouczonym. (Trzeba się wczytać w nieprawdopodobny galimatias jego norymberskich przemówień na temat kultury; okropniejsze od tego steku bzdur jest tylko płaszczące się lizusostwo, z jakim to wszystko jest przyjmowane i cytowane). Jako Führer jest on zarówno dumny ze swego braku obciążenia „tak zwanym dawnym wykształceniem", jak i ze swej samodzielnie zdobytej wiedzy. Obcymi słowami popisuje się każdy samouk, a one zwykle się na nim jakoś mszczą.

Ale byłoby niesłuszne, gdyby się chciało upodobanie Führera do obcych słów tłumaczyć tylko jego próżnością i świadomością własnych braków. Tym, co Hitler zna niezwykle dobrze i uwzględnia w swoich rachubach, jest zawsze psychika mas, które nie myślą i mają być utrzymywane w stanie niezdolności do myślenia. Obce słowo imponuje - imponuje tym bardziej, im mniej jest rozumiane; swoją niezrozumiałością wprowadza w błąd i odurza, właśnie zagłusza myśl. Słowo „oczerniać" rozumiałby każdy; słowo „dyfamować" rozumie niewielu, ale na wszystkich działa ono uroczyściej i mocniej niż „oczerniać". (Wystarczy pomyśleć o oddziaływaniu łaciny w liturgii katolickiej).

Goebbels, który patrzenie narodowi na usta nazywa swoją najwyższą regułą stylu, również zna tę magię obcego słowa. Naród chętnie je słyszy i sam chętnie stosuje. I oczekuje go od swojego „doktora”.

Z tym tytułem z początków kariery Goebbelsa: „nasz doktor”, wiąże się inna refleksja. Choćby Führer nie wiem jak często podkreślał swoją pogardę dla inteligencji, ludzi z dyplomami, profesorów itd., itd. - we wszystkich tych określeniach tkwi zawsze zrodzona z nieczystego sumienia nienawiść do myśli - to jednak NSDAP też potrzebuje tej najniebezpieczniejszej warstwy narodu. „Nasz doktor” i propagandzista sam nie może wystarczyć, potrzeba też filozofa Rosenberga, który się pławi w stylu filozoficznym pozornej głębi. Coś niecoś z żargonu filozoficznego i z popularnej filozofii włącza też do swego programu „nasz doktor”, cóż oczywistszego niż to, że partia polityczna, która nazywa siebie po prostu ruchem - mówi o istocie pierwiastka dynamicznego i że słowu „dynamika” przyznaje wysoką rangę wśród swoich uczonych słów?

A w zakres LTI wchodzą nie tylko uczone dzieła fachowe z jednej strony, z drugiej zaś literatura utrzymana w tonie popularnym, z lekka tylko ozdobiona bryzgami erudycji jak twarz sztucznymi muszkami; we wszystkich poważnych czasopismach (myślę tu głównie o „Reichu” i „DAZ”, spadkobierczyni „Frankfurter Zeitung”) spotyka się często artykuły w najbardziej napuszonym języku myślowej głębi, kunsztownego i tajemniczego stylu, ekskluzywnej pyszałkowatości.

Przykład zaczerpnięty prawie na chybił trafił spośród ogromnej obfitości innych: 23 listopada 1944, a więc w bardzo późnej godzinie Trzeciej Rzeszy, „DAZ” znajduje jeszcze dosyć miejsca dla samoprezentacji jakiegoś prawdopodobnie świeżo upieczonego doktora von Werdera, który napisał książkę pod tytułem *Ucieczka ze wsi jako rzeczywistość duchowa*. To, co autor ma do powiedzenia, zostało już powiedziane niezliczoną ilość razy i daje się wyrazić w słowach bardzo prostych. Kto by chciał przeciwdziałać migracji ludności wiejskiej do miast, nie osiągnie tego za pomocą samych tylko lepszych płac, lecz musi uwzględnić czynniki duchowe, i to w podwójnym sensie: przybliżając wsi nieco z duchowych impulsów i zalet miasta (za pośrednictwem filmu, radia, bibliotek itp.) oraz wykazując poprzez zabiegi pedagogiczne wewnętrzne zalety życia na wsi. Otóż młody autor książki oraz, co w tym przypadku jest ważniejsze, autor artykułu, posługuje się językiem swych nazistowskich mistrzów. Podkreśla konieczność „psychologii ludności wiejskiej” i głosi, co następuje: „Człowiek nie jest już dzisiaj dla nas jedynie istotą ekonomiczną, wyizolowaną, lecz istotą złożoną z ciała i duszy, która będąc członkiem narodu działa jako nosiciel określonych predyspozycji wypływających z ducha rasy”. Potrzebne jest więc „bliskie rzeczywistości rozeznanie prawdziwego charakteru ucieczki ze wsi”. Współczesna cywilizacja „z właściwą jej krańcową przewagą rozumu i świadomości” rozkłada „zwartą pierwotnie formę życia człowieka ze wsi”, której „naturalną podstawę stanowią instynkt i uczucie, elementy pierwotne i nieświadome”. „Wierność dla ziemi” owego człowieka ze wsi doznaje uszczerbku: 1) wskutek „mechanizacji pracy na roli i materializacji, tzn. traktowania jej produktów pod kątem widzenia wyłącznie ekonomicznym, 2) wskutek izolacji i obumarcia tradycji i wiejskiego obyczaju, 3) wskutek urzeczowienia życia społecznego na wsi i wprowadzenia do niego oschłych elementów miejskości. W ten sposób powstaje „owa psychologiczna awitaminoza, za jaką należy uważać ucieczkę ze wsi”, jeśli bierze się ją poważnie „jako rzeczywistość duchową”. Z którego to powodu materialne środki zaradcze mają dla niej tylko znaczenie powierzchowne - konieczne są leki duchowe. Należą do nich, obok pieśni ludowej, tradycji itd., także „współczesne środki oddziaływania kulturalnego, jak film i radio, jeśli tylko wyeliminuje się z nich elementy wewnętrznej urbanizacji”. I długo jeszcze dalej w tym tonie. Nazywam go nazistowskim tonem głębi, który można stosować do

każdej dziedziny nauki, filozofii i sztuki. Nie jest on odczytany z ust narodu, nie może i nie powinien też być przez naród rozumiany; ma raczej stanowić przynętę dla pragnących się izolować inteligentów.

Ale najwyższe i najbardziej charakterystyczne osiągnięcie nazistowskiej sztuki języka nie polega na takiej oddzielnej dla inteligentów i prostaczków buchalterii, nie tylko też na imponowaniu masom kilkoma uczonymi frazesami. Właściwy wyczyn, w którym Goebbels jest niedoścignionym mistrzem, polega na mieszaniu bez skrupułów heterogennych elementów stylowych - nie, mieszanie nie jest tu w pełni trafnym słowem: raczej na nagłych, antytetycznych przeskokach od uczoności do prostactwa, od tonu trzeźwego, rzeczowego, do kaznodziejskiego, od chłodnego racjonalizmu do rzewności po męsku powstrzymywanych łez, od prostoty Fontanego, od berlińskiej gburowatości do patosu człowieka wadzącego się z Bogiem i proroka. Jest to jak drażnienie skóry pod na przemian zimnym i gorącym prysznicem, fizyczne działanie jest takie samo; uczucia słuchacza (a publiczność Goebbelsa to zawsze słuchacze, nawet jeśli czytają artykuły prasowe doktora) nigdy nie zaznają spokoju, są stale przyciągane i odpychane, a krytyczny rozum nie ma czasu zaczerpnąć oddechu.

W styczniu 1944 ukazał się artykuł jubileuszowy z okazji dziesięciolecia instytucji kierowanej przez Rosenberga[116]. Miał to być specjalny hymn ku czci Rosenberga, filozofa i głosiciela czystej doktryny, który jakoby sięga głębiej i wyżej niż Goebbels, parający się jedynie propagandą na użytek mas. W rzeczywistości wszakże rozważania te w znaczniejszej jeszcze mierze służyły ku chwale „naszego doktora", ze wszystkich bowiem porównań i określeń wynikało jasno, że Rosenberg włada samym tylko rejestrem głębi. Goebbels zaś opanował i ten, i wszystkie inne rejestry hucznego organu. (A o filozoficznej oryginalności, która uczyniłaby Rosenberga nieporównywalnym, nie odważyli się mówić nawet najzagorzalsi czciciele *Mitu*).

Gdyby chcieć szukać wzorca dla pełnego napięcia Goebbelsowskiego stylu, to można by go ewentualnie znaleźć w średniowiecznym kazaniu kościelnym, w którym nie cofający się przed niczym realizm i weryzm ekspresji łączy się z najczystszym patosem modlitewnego uniesienia. Ale ten średniowieczny styl kaznodziejski wytryska z czystej duszy i zwraca się do naiwnego audytorium, które pragnie wznieść z ciasnoty duchowej ograniczoności ku obszarom transcendentnym. Goebbels natomiast chce słuchaczy wyrafinowanym sposobem oszukać i odurzyć.

Kiedy po zamachu z 20 lipca 1944 nikt już nie może mieć na serio wątpliwości co do nastroju i zorientowania opinii publicznej, Goebbels pisze w tonie jak najbardziej frywolnym: Tylko „nieliczne, z dawno minionej przeszłości pozostałe mięczaki" mogą wątpić w to, że nazizm jest „największą, ale zarazem jedyną możliwością ocalenia narodu niemieckiego". Kiedy indziej za pomocą jednego zdania robi z niedoli zbombardowanych miast pogodną - w LTI powiedziałoby się: bliską duchowo ludowi [*volksnah*] - idyllę powszedniego dnia: „Z gruzów i ruin znowu błyskają ogniki żeleźniaków, wystawiających ciekawie nosy spoza drewnianych przepierzeń". Wręcz zbiera człowieka tęsknota za takim romantycznym gniazdkiem. Zarazem jednak trzeba poczuć w sobie pragnienie męczeństwa. Prowadzimy „świętą wojnę narodową", przeżywamy - trzeba też zagrać na uczuciach warstwy wykształconej, nie może więc zabraknąć rejestru Rosenberga - „największy kryzys Zachodu" i musimy spełnić swoje historyczne „posłannictwo" (posłannictwo [*Auftrag*] brzmi uroczyściej niż

[116] Chodzi o Reichsstelle zur Förderung des deutschen Schrifttums (Placówkę Rzeszy do Popierania Pisarstwa Niemieckiego), której Rosenberg był szefem, wskutek czego zresztą jego kompetencje wchodziły w kolizję z kompetencjami Goebbelsa jako prezesa Reichskulturkammer.

zbanalizowane obce słowo „misja”), a „nasze płonące miasta są pochodniami na drodze do urzeczywistnienia lepszego ładu”.

Ukazałem w oddzielnym rozdziale, jaką rolę w tym systemie naprzemiennego prysznicu odgrywa najbardziej popularny rodzaj sportu. Najordynarniejsze apogeum stylu - żeby znowu powiedzieć z nazistowska - totalitarnego osiągnął Goebbels chyba w swoim artykule w „Reichu” z 6 listopada 1944. Pisał że trzeba się starać, „aby naród stał mocno na nogach i nie poszedł nigdy na deski”, a zaraz po tym bokserskim obrazku czytamy dalej, że ta wojna jest dla narodu niemieckiego „sądem bożym”.

Ale może ten akurat passus, obok którego można by zacytować niejeden podobny, dlatego tylko wydaje mi się taki osobliwy, że musiałem go sobie stale przypominać w sposób wyjątkowo drastyczny. Otóż komuś, kto dzisiaj przyjeżdża do Berlina, aby załatwić coś w Centralnym Urzędzie Nauki na Wilhelmstraße, najwygodniej jest zatrzymać się naprzeciw, w hotelu „Adlon” (albo raczej w tym, co z dawnej wspaniałości tego hotelu pozostało). Okna jadalni wychodzą tam prosto na zburzoną willę ministra propagandy, w której znaleziono jego zwłoki. Już z pół tuzina razy stałem w jednym z tych okien i zawsze przypominał mi się sąd boży, który on, właśnie on, wyzwał, a przed którego ostatnią sceną umknął z tego świata.

XXXVI
Próba sprawdzająca

Rano 13 lutego 1945 przyszedł rozkaz ewakuowania ostatnich pozostałych w Dreźnie Żydów noszących gwiazdę. Uchronieni dotąd przed deportacją przez swe mieszane małżeństwa, stanęli teraz w obliczu niechybnego końca; musiano by ich się pozbyć w drodze, bo Oświęcim znajdował się już od dawna w ręku nieprzyjaciela, a Theresienstadt był w najwyższym stopniu zagrożony.

Wieczorem tego samego 13 lutego na Drezno zwalił się kataklizm: padały bomby, domy się rozsypywały, płynął strumieniem fosfor, płonące belki spadały na głowy aryjskie i niearyjskie - ta sama zawierucha ognia pochłaniała Żyda i chrześcijanina; kogo jednak z około siedemdziesięciu napiętnowanych gwiazdą noc ta oszczędziła, dla tego była ona ratunkiem, bowiem w ogólnym chaosie miał szansę ujść przed Gestapo.

Mnie samemu pełna przygód ucieczka pozwoliła przekonywająco zweryfikować moje filologiczne obserwacje. Wszystko, co dotychczas wiedziałem o LTI, przynajmniej mówionej, pochodziło z wąskiego kręgu kilku drezdeńskich domów żydowskich i fabryk, oczywiście z dodatkiem drezdeńskiego Gestapo. Teraz, przez trzy ostatnie miesiące wojny, przeszliśmy przez tyle miast i wsi Saksonii i Bawarii, stykaliśmy się na tylu stacjach kolejowych, w tylu barakach i bunkrach, i na nie kończących się szosach z ludźmi ze wszystkich regionów, wszystkich kątów i zakątków, wszystkich ośrodków Niemiec, z ludźmi wszelkiego stanu i wieku, wszelkiego sposobu myślenia, wszelkich odcieni nienawiści oraz - jeszcze ciągle! - pełnej wiary czci dla Führera, i wszyscy oni, dosłownie wszyscy - choć z różnym zabarwieniem: czy to południowo- albo zachodnioniemieckim, czy północno- albo wschodnioniemieckim - posługiwali się jedną i tą samą LTI, którą u siebie, w Dreźnie, słyszałem

w wersji saksońskiej. Wszystko, co podczas tej ucieczki mogłem dodać do swoich notatek, było jedynie uzupełnieniem i potwierdzeniem.

Można tu wyodrębnić trzy etapy.

Środkowy z nich, obejmujący trzy tygodnie marca - las nabierał z dnia na dzień coraz intensywniejszego wiosennego poblasku, a zarazem wyglądał bożonarodzeniowo, bo wszystkie gałęzie były całkiem obwisłe, a ziemia połyskiwała paskami staniolu, zrzucanego przez samoloty nieprzyjaciela w celu zmylenia niemieckich urządzeń radiolokacyjnych, huczały zaś te samoloty nad nami każdego dnia i każdej nocy, nierzadko zmierzając ku pobliskiemu nieszczęsnemu Plauen - otóż ten środkowy etap, obejmujący czas pobytu w Falkenstein, narzucił mi spokój, który mogłem wykorzystać dla swojego studium.

Nie był to co prawda spokój ducha; przeciwnie, studium LTI służyło mi teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem jako drążek balansowy. Pierwsze bowiem i jedyne nowe nazistowskie słowo, jakie tu spotykałem, było wypisane na opasce niektórych żołnierzy i brzmiało *Volksschädlingsbekämpfer* [dosłownie: tępiciel elementów działających na szkodę narodu]. Pełno było funkcjonariuszy Gestapo i żandarmerii polowej, okolica roiła się bowiem od urlopowanych żołnierzy, przemienionych teraz w dezerterów, i od cywilów uchylających się od służby w volksszturmie. Oczywiście było po mnie widać, że dawno przekroczyłem wiek poborowy, ale przecież zagadka na temat volksszturmu brzmiała: co to jest, co ma srebro we włosach, złoto w ustach i ołów w kościach? Tak stosunkowo blisko Drezna istniało też niebezpieczeństwo, że mnie ktoś rozpozna: byłem na swojej katedrze przez piętnaście lat, przez cały ten czas kształciłem nauczycieli, a tu i ówdzie w terenie przewodniczyłem egzaminom maturalnym. Gdyby mnie zaś zdemaskowano, sprawa nie skończyłaby się zapewne na mojej śmierci: podobny los czekałby też moją żonę, a i naszego wiernego przyjaciela. Każde przejście ulicą, a szczególnie każde wejście do restauracji było udręką; ilekroć ktoś przyjrzał mi się z odrobiną bodaj uwagi, trudno mi było wytrzymać spokojnie jego wzrok. Gdyby nie to, że nie mieliśmy absolutnie dokąd iść, nie zostalibyśmy ani dnia w tej niebezpiecznej kryjówce. Ale od chwili, kiedy musieliśmy się wynieść od naszej dobrej Agnes, ów pokój na zapleczu „Apteki przy placu Adolfa Hitlera"; w którym spaliśmy pod portretem Führera, był naszym ostatnim azylem. Tak więc poza chwilami spacerów samotnymi leśnymi dróżkami siedziałem możliwie cicho w pokoju i przymuszałem się do każdej lektury, po której mogłem się spodziewać wzbogacenia swojej wiedzy z zakresu LTI.

Albo raczej: czytałem wszystko, cokolwiek mi wpadło w rękę, i wszędzie dostrzegałem ślady tego języka. Był on prawdziwie totalitarny; tutaj, w Falkenstein, uświadomiłem to sobie szczególnie dobitnie.

Na biurku S. znalazłem niewielką książeczkę, która wyszła, jak mi powiedział, pod koniec lat trzydziestych: Receptura zielarska, wydana przez aptekarzy niemieckich. Początkowo wydała mi się dokumentem komicznym, potem tragikomicznym, a w końcu zaiste tragicznym. Nie tylko bowiem wyrażała w nieobowiązujących frazesach najobrzydliwsze lizusostwo wobec panującej powszechnie doktryny, lecz także paraliżowała skuteczność nieuniknionego protestu, zanim jeszcze zdążył on zostać wypowiedziany, a to za pomocą służalczego osłabienia jego ostrza, i w ten sposób ujawniała całą świadomą demoralizację przyszłej nauki. Kilka zdań zanotowałem sobie in extenso.

„W najszerszych kręgach naszego narodu daje się w sposób wyraźny zauważyć niechęć do zażywania preparatów chemoterapeutycznych. Ożywiło się natomiast ostatnio i wzmaga zaufanie do

naturalnych substancji leczniczych, nie tkniętych procesami laboratoryjnymi i fabrycznymi. Zioła i ich mieszanki, pochodzące z naszych łąk i lasów, mają w sobie niewątpliwie dla każdego człowieka coś swojskiego i nie zafałszowanego. Ich terapeutyczne zastosowanie potwierdza sięgającą w zamierzchłą przeszłość tradycję skutecznego nimi leczenia, a myśl o łączności z krwią i ziemią zwiększa jeszcze zaufanie do łych rodzimych ziół". Do tego miejsca w wywodach tych przeważa element komiczny, komicznie bowiem brzmią ogólne hasła i tezy nazizmu wplatane w specjalistyczny tekst naukowy. Ale po tym pokornym ukłonie i po tej captatio benevolentiae nie sposób nie przejść do obrony interesów własnych i medycyny. Czytamy więc dalej, że pod pozorem germańskiego tradycjonalizmu, zbliżenia do natury i antyintelektualizmu, a do tego przy „znajdującym nierzadko posłuch gadaniu o trujących właściwościach środków chemicznych" kwitnie znachorstwo, które robi interesy na „bezkrytycznie" stosowanych niemieckich ziołach leczniczych i odbiera zakładom chemicznym klientów, a lekarzom pacjentów. Ale jakże ta krytyczna uwaga jest osłabiona wyrazami usprawiedliwienia i uległości i jakże głęboka jest rewerencja, którą odważny autor raz jeszcze deklaruje wobec zdania i woli partii rządzącej! Również i my, oficjalnie uznani farmaceuci, chemicy i lekarze, stosujemy przecież rodzime zioła lecznicze, tyle że nie wyłącznie i nie bez wyboru! Teraz zaś „chęć dalszego rozszerzenia ziołolecznictwa i dostosowania się, gdzie to jest tylko możliwe, do życzeń i naturalnych odczuć narodu, występuje wyraźnie u wszystkich postępowych lekarzy. Leczenie ziołami, zwane również fitoterapią, jest tylko częścią ogólnej terapii przy użyciu leków, ale jest to czynnik, którego nie wolno nie doceniać, jeśli się pragnie zachować i umocnić zaufanie pacjentów. Zaufanie narodu do swych lekarzy, którzy zawsze dbali o to, aby ich praca była staranna, sumienna i oparta na solidnej wiedzy, nie może zostać zachwiane insynuacjami powyższego rodzaju...". Początkowa captatio przerodziła się w nieomal jawną kapitulację.

Znajdowałem pojedyncze zeszyty farmaceutycznych i lekarskich czasopism i wszędzie natrafiałem na ten sam rodzaj stylu i te same stylistyczne kwiatki. Zanotowałem sobie: „Pamiętać o nordyckiej matematyce, który to termin powtórzyło kiedyś na początku pismo «Freiheitskampf» za kolegą Kowalewskim, pierwszym nazistowskim rektorem naszej Politechniki, nie zapomnieć zbadać innych gałęzi nauk przyrodniczych pod względem stopnia zarażenia przez LTI".

Z przyrodoznawstwa mogłem powrócić na swój własny teren, kiedy Hans przyniósł mi ze swojej prywatnej biblioteki niedawno wydane rzeczy z dziedziny literatury. (Był on ciągle jeszcze, jak przed trzydziestu laty, miłośnikiem nauk humanistycznych i filozofii; aptekarstwo i - żeby uniknąć zbytnich szykan - odznaka partyjna były mu potrzebne tylko do spokojnego życia; ale oczywiście, jeśli chodziło o okazanie pomocy przyjacielowi, trzeba było co nieco zaryzykować i zgodzić się na zagrożenie spokojnego życia - tylko że właśnie: dla polityki jako takiej, rozumianej ogólnie, byłoby to zbyt daleko idące wymaganie). Przyniósł mi nowe dzieło historyczne i nową historię literatury; z wielkości nakładu obu tych prac, zresztą pomyślanych poważnie, można było wnioskować, że zaliczały się one do podręczników uprzywilejowanych i mających zdecydowanie duży wpływ na czytającą publiczność. Przestudiowałem je i skomentowałem pod kątem widzenia LTI. „Sam zakaz takiej lektury dla ogółu (zanotowałem sobie) w przyszłości nie wystarczy; trzeba będzie przyszłemu nauczycielowi zwrócić dokładnie uwagę na specyfikę i na grzechy LTI: naszkicuję przykłady tematów dla seminarium historycznego i germanistycznego".

Najpierw więc *Historia narodu niemieckiego* Friedricha Stievego. To obszerne dzieło wyszło w roku 1934 i do 1942 osiągnęło liczbę dwunastu wydań. Od lata 1939 (przedmowa do dziewiątego wydania)

były tam przedstawione wydarzenia do momentu wcielenia Czechosłowacji[117] i odzyskania Kłajpedy. Jeśli oprócz tych wydań ukazało się jeszcze jakieś późniejsze (co uważam za mało prawdopodobne), to zapewne nie uwzględniało ono dalszego toku dziejów; na miesiąc przed wybuchem nowej wojny światowej autor kończy bowiem swoje dzieło triumfalnym okrzykiem, że „wszystkie te niezrównane sukcesy osiągnięte zostały bez rozlania jednej kropli krwi”, i straszliwie złowieszczym porównaniem: Rzesza Niemiecka „wznosi się z nurtów czasu jak ostoja niewzruszonej stałości, jak świetlista obietnica na przyszłość, podobna budowlom Adolfa Hitlera”. Farba drukarska mojego egzemplarza zapewne jeszcze dobrze nie wyschła, kiedy już pierwsze spośród tych budowli, „które w swej imponującej, przejrzyście rozczłonkowanej zwartości uosabiają symbolicznie siłę i spokój w ich wspaniałym zespoleniu” („zwróć uwagę na architektoniczną ostentację siły, to też należy do LTI”) zaczęły się rozpadać pod bombami nieprzyjacielskich samolotów.

Książka Stievego jest jak dobra przynęta, co ma truciznę ukrytą w kąsku niewinnego jadła. Wśród pięciuset stron druku tego dzieła znajdują się długie rozdziały, które przy całym swoim patosie są jednak napisane z pewnym spokojem i bez rażących deformacji w stylu i treści, tak że nawet myślący czytelnik może nabrać do książki zaufania. Gdzie się natomiast nastręcza możliwość nazistowskiego zabarwienia, tam autor gra na wszystkich rejestrach LTI. Na wszystkich - co nie znaczy, że na wielu; LTI jest przecież uboga, nie chce i nie może być inna, a wzmocnienie swych efektów osiąga tylko przez powtarzanie, przez wbijanie w głowy ciągle tego samego.

W momentach uroczystych, zarówno natury pozytywnej, jak i negatywnej, nie może się oczywiście obyć bez krwi. Jeśli „nawet taki Goethe” odczuwał „bezzasadną cześć” dla Napoleona, to znaczy, że w nim „zanikł głos krwi”; występując przeciw austriackim narodowym socjalistom rząd Dollfussa zwraca się przeciwko „głosowi krwi”; a kiedy potem oddziały Hitlera wkraczają do Austrii, wybija wreszcie „godzina krwi”. Dzięki czemu dawna Marchia Wschodnia „odnajduje z powrotem drogę do ojczystego domu - do odwiecznych Niemiec”.

Marchia Wschodnia, „odwieczny” i „odnajdować drogę do ojczystego domu”: słowa same w sobie całkowicie neutralne, które wchodziły w skład języka niemieckiego na wiele stuleci przed nazizmem i będą do niego należeć przez całą przyszłość. A jednak w kontekście LTI są to słowa wybitnie nazistowskie, przynależne do pewnego szczególnego rejestru oraz charakterystyczne i reprezentatywne dla tego właśnie rejestru. Marchia Wschodnia zamiast Austria oznacza nawiązanie do tradycji, głęboką cześć dla przodków, na których słusznie czy niesłusznie powołujemy się, których - jak twierdzimy - dziedzictwa strzeżemy, których testament wypełniamy. Słowo „odwieczny” wskazuje ten sam kierunek: jesteśmy ogniwami łańcucha ciągnącego się od najbardziej zamierzchłych czasów, który poprzez nas ma biegnąć dalej w niezmierzoną dal - byliśmy zawsze i zawsze będziemy. „Odwieczny” to tylko najintensywniejszy szczególny przypadek nazistowskiego superlatywizmu liczb, a ten z kolei jest tylko szczególnym przypadkiem ogólnego superlatywizmu LTI. Zaś „odnajdować drogę do ojczystego domu” to jeden z tych zwrotów akcentujących uczucie, które najwcześniej zyskały złą sławę; wywodzi się z gloryfikacji krwi, a pociąga za sobą przerost superlatywizmu.

Tradycja i stałość to pojęcia dla historyka zbyt potoczne i elementarne, aby mogły nadawać jego stylowi jakieś szczególne piętno. Swoją wierność i ortodoksyjność narodowego socjalisty manifestuje natomiast Stieve obfitym słownictwem o charakterze emocjonalnym.

---

[117] Nieścisłość: do Rzeszy nie była wcielona cała Czechosłowacja, lecz tylko Czechy i Morawy.

„Niepohamowana” siła każe przeć naprzód Cymbrom i Teutonom, których wtargnięciem do Italii rozpoczyna się ta historia; „niepohamowana” żądza popycha Germanów „do walki ze wszystkimi”; „niepohamowana” namiętność tłumaczy, usprawiedliwia, a nawet uszlachetnia najgorsze rozpasanie Franków. *Furor teutonicus* jest uważany za tytuł do chwały „pierwotnych dzieci północy”. „Jakiż śmiały blask opromieniał ich niepowstrzymane parcie naprzód, które nie bacząc na podstępność dookolnego świata nastawione było całkowicie na potęgę przepełniającego ich uczucia, na potęgę tego wewnętrznego rozpędu, który kazał im krzyczeć, z radości, kiedy dochodziło do starcia z wrogiem”. Tylko mimochodem zwracam uwagę na słowo „nastawione”, którego zasadnicze znaczenie techniczne zatarło się nieco jeszcze przed pojawieniem się LTI. W każdym razie coś z nazistowskiej niewrażliwości na nagłe zestawianie ze sobą wyrażeń mechanistycznych i afektowanych czy zgoła pozytywnego zamiłowania do takiego stylistycznego chwytu można znaleźć też u Stievego; o NSDAP pisze on tak: „Partii przypadła funkcja potężnego motoru wewnątrz Niemiec, motoru duchowego wzlotu, motoru czynnego poświęcenia, motoru ustawicznego rozbudzania ku stworzonej na nowo Rzeszy”.

Ogólnie jednak biorąc, styl Stievego charakteryzuje się jednostronnym akcentem padającym na uczucie, absolutnie wszystko wyprowadza on bowiem z tej gloryfikowanej i uprzywilejowanej głównej cechy Germanów.

Decyduje ona o strukturze politycznej, ponieważ zdatność przywódcy mierzy się wielkością jego drużyny, ta zaś powstaje „jedynie na zasadzie dobrowolnej wewnętrznej uległości, jej organizacja jest więc wyraźnym dowodem tego, jak znaczną rolę odgrywało u Germanów uczucie”.

Uczucie obdarza Germanina fantazją, nadaje mu religijne usposobienie, każe mu oddawać cześć boską siłom przyrody, czyni go „bliskim ziemi”, nastraja go nieufnie względem intelektu.

Uczucie popycha go ku bezgraniczności - i oto mamy podstawową romantyczną skłonność germańskiego charakteru.

Uczucie czyni z niego zdobywcę, daje mu „niemiecką wiarę we własne powołanie do panowania nad światem”.

Przewaga uczucia ma jednak również ten skutek, „że z żądzą świata sąsiadowała bardzo blisko ucieczka od spraw świata”, z czego właśnie przy całym kulcie życia i aktywizmie wypływa szczególny pociąg do chrześcijaństwa.

Skoro tylko tok historii mu na to pozwala, Stieve jako wykrzywione przeciwieństwo człowieka uczuciowego wprowadza Żyda (fakt, że nie czyni tego na siłę już wcześniej, odróżnia go od czystych propagandystów jego partii). Od tego momentu pojawiają się masowo specyficzne zwroty nazistowskie, czy raczej są one uzupełniane w negatywnym kierunku. Słowem centralnym jest teraz „rozkład” [*Zersetzung*]. Zaczyna się to od Młodych Niemiec. „Dwaj żydowscy poeci, Heine i Lion Baruch, który po chrzcie przybrał miano Ludwig Börne”, są pierwszymi demagogami z szeregów narodu „wybranego”. (Uważam „wybrany” [*auserwählt*] za słowo, które dało początek cudzysłowowi ironicznemu LTI). Materialistyczny duch epoki sprzyja skłonnościom dziedzicznym i nabytym na emigracji cechom obcej rasy i jest przez nią wzmagany.

Teraz następuje prezentacja nazistowskiego słownika: „krytyka destrukcyjna”, „intelekt rozszczepiający włos na czworo”, „zabójcze zrównanie”, „rozkład”, „podkopywanie”,

„wykorzenianie", „przełamywanie bariery narodowej"; „marksizm" zamiast socjalizmu, bowiem prawdziwy socjalizm jest własnością hitleryzmu, więc trzeba fałszywy oznaczyć jako błędną doktrynę Żyda Karola Marksa, (Sposób mówienia: Żyd Marks, Żyd Heine, a nie samo tylko Marks czy Heine, jest szczególnym zastosowaniem metody wbijania do głowy pewnych treści, które występuje już w antycznym epitheton ornans).

Wzbogacenie tego działu LTI przynosi klęska w pierwszej wojnie światowej: teraz jest mowa o „diabelskich jadach rozkładu", o „czerwonych podżegaczach"...

Trzeci stopień nasilenia jest wynikiem pozycji bojowej zajętej wobec bolszewizmu i komunizmu: pojawiają się „ponure hordy" batalionów czerwonego frontu.

I wreszcie ukoronowanie całości i apogeum stylistycznych osiągnięć, pełna nazistowska kompozycja w zakresie sztuki języka: zjawia się zbawca, żołnierz nieznany, człowiek z Wielkich Niemiec, Führer. Teraz wszystkie hasła obu kierunków skupiają się na wąskiej przestrzeni. A finałem jest straszliwe sprostytuowanie języka Ewangelii w służbie LTI: „Ten, który stanął na czele, porywającą mocą swojej własnej wiary zdołał rozbudzić leżącego na ziemi chorego, przemawiając doń prastarym zaklęciem: «Wstań i stań się innym»„.

Nazwałem LTI językiem ubogim. Jakże jednak bogato prezentuje się ona u Stievego w porównaniu z kunsztem językowym Walthera Lindena w jego *Historii literatury niemieckiej*, którą niewątpliwie można uważać za dzieło reprezentatywne; wyszła ona mianowicie w popularnym wydawnictwie Reclam, przy sporej, pięciusetstronicowej objętości osiągnęła cztery wydania i zawiera zestawienie obowiązujących i obiegowych sądów literackich doby hitlerowskiej w tak przepisowym sformułowaniu, że na pewno stanowiła podstawowy podręcznik dla uczniów i studentów. Jej autor, na swoje szczęście zmarły jeszcze przed załamaniem się Trzeciej Rzeszy, był w Jatach dwudziestych wydawcą w pełni naukowego pisma „Zeitschrift für Deutschkunde", w którym sam opublikowałem kilka studiów. Potem dokonał gruntownej reorientacji swojej metody naukowej. Ułatwił sobie zresztą ten zabieg, interpretując wszystko pod jednym kątem widzenia i wyrażając za pomocą niewielu więcej niż dwóch słów, które przeważnie występują wspólnie, a przez LTI są uważane za nieomal identyczne (sama LTI powiedziałaby, że są „zglajchszaltowane").

Otóż każdy kierunek, każde dzieło, każdy autor jest u niego, albo też nie jest, *volkhaft* [związany z narodem, bliski pod względem narodowym] i *arthaft* [związany z danym gatunkiem, własny gatunkowo, rodzimy pod względem rasy][118]; komu Linden odmawia tego tytułu, temu przez to samo odmawia wartości etycznej i estetycznej, a nawet wszelkiego prawa do istnienia. Można to śledzić rozdział po rozdziale, a czasem niemal strona po stronie.

„W stanie rycerskim rodzi się po raz drugi, po germańskiej poezji bohaterskiej książęcych dworów, twórcza, rodzima rasowo, wysoka kultura".

„Humanizm poza Włochami stał się przeciwieństwem pierwiastka rodzimego i własnego pod względem gatunkowym".

---

[118] Przymiotniki volkhaft i arthaft (dosłownie: zawierający w sobie cechy narodu względnie gatunku) są neologizmami języka Trzeciej Rzeszy, których specyficznie rasistowskie zabarwienie jest nie do przetłumaczenia.

„Dopiero wiek osiemnasty przetworzył uzyskane bogactwo duchowe i myślowe w organiczną jedność i całość nowego, rasowo rodzimego życia: w narodowe odrodzenie Niemieckiego Ruchu od roku 1750”.

Leibniz jest „po niemiecku myślącym, rodzimym rasowo światowym filozofem”. (Jego następcy „wprowadzają w jego doktrynę obce elementy”).

„Germańskie rodzime rasowo poczucie samotności” u Klopstocka.

Winckelmannowska interpretacja antyku helleńskiego „zespoliła ze sobą dwa pokrewne rasowo ludy indogermańskie”.

W Götzu von Berlichingen „z ziemi wyrosła rasa narodu [*Volksart*], rodzime prawo” ulegają „nowemu, na niewolniczym poddaństwie opartemu, obcemu narodowo porządkowi”, wprowadzanemu za pomocą „obcego rasowo prawa rzymskiego...”.

„Löb Baruch (Ludwig Börne)” oraz tak samo ochrzczony Żyd „Jolson (Friedrich Ludwig Stahl)” - jeden liberał, drugi konserwatysta - ponoszą jednakową winę za rezygnację z myśli o germańskim ładzie”, za „odejście od rodzimej rasowo myśli państwowej”.

„Bliskie narodowi wiersze liryczne i ballady” Uhlanda przyczyniają się „do ponownego rozbudzenia świadomości rasowej”.

„W dojrzałym realizmie rodzime rasowo germańskie uczucie raz jeszcze bierze górę nad francuskim esprit i modną literaturą żydowsko-liberalną”.

Wilhelm Raabe walczy przeciwko „pozbawieniu narodu niemieckiego duszy przez obce gatunkowo wpływy”.

Wraz z powieściami Fontanego kończy się „realizm, rodzimy rasowo ruch niemiecki”; Paul de Lagarde stara się stworzyć „rodzimą rasowo niemiecką religię”; Houston Stewart Chamberlain jest jeszcze „prawdziwszy gatunkowo” niż Niemiec Rembrandtowski[119], przybliża on ponownie narodowi niemieckiemu „rodzimych rasowo herosów ducha”, budzi „germańską wizję życia, czyniąc z niej znów twórczą narodową siłę”; wszystko to jest stłoczone w sześćdziesięciu ledwie wierszach, przy czym pominąłem jeszcze „walkę między powierzchowną literaturą a wieczną, rodzimą rasowo twórczością”, a także starania o to, aby „ugruntować rodzime rasowo życie duchowe i tym samym zakorzenić kulturę bliską narodowi”.

Bartels i Linhard rozpoczynają około roku 1900 „bliski narodowi nurt odwrotny”. Skoro następnie przechodzimy do „wielkich prekursorów literatury bliskiej narodowi”, do Dietricha Eckarta i wszystkich innych, związanych bezpośrednio z narodowym socjalizmem, to trudno się dziwić, że tym bardziej teraz wszystko kręci się nieustannie wokół narodu, krwi i gatunku.

Gra na jednej, najbardziej rodzimej strunie LTI! Dźwięk jej prawdziwie *de profundis* słyszałem już na długo przed lekturą tej nazistowskiej historii literatury. - *Du artvergessenes Weib*! [Kobieto, która

---

[119] „Niemcem Rembrandtowskim" (der Rembrandtdeutsche) nazywano Juliusza Langbehna (1851-1907), niemieckiego pisarza i krytyka kultury; przydomek ten pochodzi od wydanej przez niego anonimowo książki *Rembrandt als Erzieher* (Rembrandt jako wychowawca), w której występuje on przeciwko materializmowi, industrializacji i niedouczeniu jako czynnikom powodującym upadek kultury narodu niemieckiego.

zapomniałaś o swojej rasie!] - mawiał Clemens Bandzior do mojej żony przy każdej rewizji, a Weser Pluja dodawał: - Czy nie wiesz, że już w Talmudzie jest napisane: „obca kobieta jest mniej warta od nierządnicy”? - Powtarzało się to za każdym razem dosłownie jak misja posłańca u Homera. *Du artvergessenes Weib*! Czy nie wiesz...

W tych latach, a ze szczególną intensywnością podczas tygodni spędzonych w Falkenstein, zadawałem sobie ciągle to samo pytanie, na które do dziś nie potrafię odpowiedzieć: Jak to było możliwe, że ludzie wykształceni popełnili taką zdradę wobec wszelkich wartości duchowych, wobec całej kultury, całej ludzkości?

Bandzior i Pluja to były prymitywne bestie (jakkolwiek w randze oficerskiej); coś takiego trzeba znosić, dopóki nie można inaczej. Nie warto jednak sobie nad tym łamać głowy. Ale człowiek uczony, jak ten historyk literatury! A spoza niego wyłania się tłum literatów, poetów, dziennikarzy, tłum ludzi z wyższym wykształceniem. Zdrada wszędzie, gdzie tylko wzrok sięga.

Oto taki Ulitz pisze opowieść o dręczonym żydowskim maturzyście i dedykuje ją swemu przyjacielowi Stefanowi Zweigowi, a potem, w momencie największej udręki Żydów, szkicuje karykaturę żydowskiego lichwiarza, aby wykazać swoją gorliwość wobec panującego kierunku. Oto taki Dwinger w swojej powieści mającej za temat rosyjską niewolę i rosyjską rewolucję nie mówi ani słowem o jakimś decydującym żydowskim wpływie czy o żydowskim okrucieństwie; jedynie w całej trylogii dwie wzmianki o Żydach ukazują raczej zachowania przyjazne ludziom - raz pewnej Żydówki, drugi raz żydowskiego kupca: a potem, w erze Hitlera, pojawia się krwiożerczy żydowski komisarz. Oto saski parodysta Hans Reimann odkrywa - znalazłem to w pewnym numerze będących dawniej na bezwzględnie dobrym poziomie „Velhagen-und-Klasing-Hefte” (rocznik 1944) - cechy Żydów w ogóle i ich dowcipu w szczególności: „Wiara Żydów jest zabobonem, ich świątynia lokalem klubowym, a ich Bóg wszechmocnym właścicielem domu towarowego... Skłonność do licytowania się tak owładnęła żydowskim umysłem, że często trudno jest rozróżnić płody zbutwiałego intelektualizmu od platfusowatej bzdury”. (Warto zwrócić uwagę na ten naprzemienny prysznic zawarty w bardzo ciasnych ramach przestrzennych: zbutwiały intelektualizm i platfusowata bzdura!)

Napomykam tylko pobieżnie o lekturze, którą przerzuciłem w dniach pobytu w Falkenstein. Może bardziej interesujące od tego ciągle powtarzanego i ciągle równie niepojętego upadku w zdradę, a przynajmniej bardziej zrozumiałe i tragiczniejsze - bo przypadki choroby umysłowej i nieoczekiwane czyny zbrodnicze same w sobie nie są jeszcze niczym tragicznym - jest na pół wolne od winy stopniowe ześlizgiwanie się w zdradę, jakie można obserwować na przykładzie Iny Seidel, która zaczyna w czystej intencji od romantycznych ciągot, a kończy na hymnicznych gratulacjach dla niemieckiego mesjasza Adolfa Hitlera, całego już wtedy splamionego krwią. Ale z tym problemem nie mogę się rozprawiać w swoim notatniku, trzeba go będzie kiedyś przestudiować gruntownie...

Wśród zdrajców spotkałem też starego dobrego znajomego z czasów pierwszej wojny światowej - Paula Harmsa, którego nazwisko cieszyło się kiedyś szacunkiem w kręgach niemieckich dziennikarzy politycznych, zarówno wśród przyjaciół, jak i przeciwników. Pamiętam nasze godzinami ciągnące się dyskusje w „Café Merkur”, ówczesnej lipskiej kawiarni literackiej. Harms zboczył wtedy akurat od „Berliner Tageblatt” ku „Leipziger Neueste Nachrichten”, o parę stopni w prawo, ale nie był żadnym podżegaczem, a wszelkie maniactwo było mu obce. I był człowiekiem w pełni uczciwym, i wiele się nauczył, i miał jasno w głowie. I wiedział, co to znaczy wojna, i potrafił bardzo dobrze ocenić obłędność niemieckich planów podboju świata, mierzoną siłami strony przeciwnej. Potem przez wiele

lat nic o nim nie słyszałem, zagrzebany bowiem w swojej dziedzinie, ograniczyłem lekturę prasy do miejscowej gazety. Bliższy osiemdziesiątki niż siedemdziesiątki, Harms - jeśli w ogóle jeszcze żył - musiał być od dawna na emeryturze. I oto znowu zacząłem dostawać do rąk „Leipziger Neueste". A w nich co trzy, cztery dni artykuł polityczny sygnowany dawnym P. H. Ale to już nie był „Paul Harms", to był tylko jeden z wielu setek wariantów, w jakich cotygodniowy tekst Goebbelsa pojawiał się przez wszystkie dni tygodnia we wszystkich wielkoniemieckich dziennikach, to było światowe żydostwo i step, to była brytyjska zdrada wobec Europy, to był żywioł germański walczący bezinteresownie o wolność Zachodu i świata, to była cała LTI - a dla mnie próba sprawdzająca. Próba dla mnie smutna, bo wiersze te przemawiały do mnie głosem osobistym, tak bardzo mi znaną intonacją, dosłyszalną spoza słów nie oczekiwanych z tych ust, choć również, i to aż nadto dobrze, znanych. Kiedy potem, najbliższego lata, dowiedziałem się, że Harms umarł w Zehlendorf na kilka dni przed wkroczeniem Rosjan, odczułem to niemal jak ulgę; został naprawdę w ostatniej minucie, jak mówi pobożne powiedzenie, odjęty ziemskiemu sędziemu.

LTI napierała na mnie nie tylko z książek i gazet, i nie tylko ze słów zasłyszanych przelotnie w restauracji, gdzie pobyt kosztował zawsze bardzo dużo nerwów: posługiwało się nią nagminnie solidne mieszczaństwo z mego farmaceutycznego otoczenia. Nasz przyjaciel, z upływem lat nazbyt skłonny traktować sprawy codzienne, nawet te najokropniejsze, z pewną lekko wzgardliwą pobłażliwością jako mało ważne wobec wieczności, nie zadawał sobie trudu unikania trującego żargonu; dla jego zaś traktowanej jak córka pomocnicy nie był to żargon, lecz ciągle jeszcze język wiary, w której wzrosła i w której nikt nie zdołałby jej zachwiać, nawet gdyby mu taki ryzykowny zamiar przyszedł do głowy. Podobnie było z młodą aptekarką z Litwy - ale o niej mówiłem już w *Wojnie żydowskiej*.

A raz podczas pełnego alarmu - nad dachami przycupniętego miasteczka znowu zaszumiały skrzydła śmierci, z zakrzepłych ram frazesu przywołane do rzeczywistością i zaraz potem dał się słyszeć łoskot bomb spadających na Plauen - zatrzymał się u nas weterynarz okręgowy. Był to jegomość rozmowny, chociaż nie gaduła, mówiono, że jest człowiekiem bardzo porządnym, a i dobrodusznym. Teraz próbował złagodzić trwogę zaskoczonych alarmem klientów przez odwrócenie ich uwagi. Opowiadał o nowej broni - nie, o nowych broniach, które są już gotowe i na pewno w kwietniu zostaną użyte i sprawę rozstrzygną. - Jednoosobowy samolot, przewyższa jeszcze znacznie V2, taki sobie na pewno da radę z największymi eskadrami bombowymi; leci tak fantastycznie szybko, że może strzelać tylko do tyłu, bo jest szybszy od pocisku i strąca nieprzyjacielskie bombowce, zanim jeszcze zdążą zrzucić bomby; zakończono właśnie ostatnie próby i produkcja seryjna jest już w toku. - Naprawdę, opowiadał to dokładnie tak, jak tutaj powtarzani, a w jego głosie dało się wyczuć wiarę w tę bajkę, po twarzach zaś słuchaczy można było poznacie temu bajarzowi wierzą - przynajmniej przez parę godzin.

- Czy uważasz, że on świadomie kłamie - zapytałem potem naszego przyjaciela - i czy jesteś przynajmniej sam całkowicie przekonany o tym, że to są bajki?

- Nie - odrzekł Hans - to człowiek uczciwy, na pewno słyszał coś o tej broni - zresztą dlaczego nie miałoby w tym być coś z prawdy? I dlaczego ludzie nie mieliby w tym szukać pociechy?

Następnego dnia pokazał mi list, jaki właśnie przyszedł od jednego z jego przyjaciół, dyrektora gimnazjum gdzieś w okolicy Hamburga: ten mi się bardziej spodoba, mówił, niż wczorajszy weterynarz, jest to wytrawny filozof i czysty idealista, w pełni oddany ideom humanizmu i w żadnym wypadku nie można by go nazwać czcicielem Hitlera. Zapomniałem dodać, że weterynarz mówił

poprzedniego dnia nie tylko o cudownej broni, lecz także - z tym samym przekonaniem - o wielokrotnie zaobserwowanym zjawisku polegającym na tym, iż z całkowicie zburzonych domów pozostawała nie naruszona tylko „ściana z portretem Hitlera”. Przyjaciel filozof i antynazista spod Hamburga nie wierzył zatem w żadne bronie i żadne legendy i wypowiadał się bardzo pesymistycznie. „Atoli (pisał) przy całej beznadziejności sytuacji chciałoby się jeszcze wierzyć w jakiś przełom, w jakiś cud, bo to przecież niemożliwe, aby nasza kultura i nasz idealizm uległy naporowi zjednoczonego światowego materializmu!”

- Brakuje tylko najazdu stepu! - powiedziałem. - Ale czy nie odnosisz wrażenia, że twój przyjaciel jest w znacznym stopniu pogodzony z obecnymi Niemcami? Jeśli ktoś się spodziewa przełomu na korzyść Hitlera - „przełom” to ulubione słowo hitleryzmu!

Mieszczańska sfera apteki w Falkenstein leży na mapie naszej ucieczki pomiędzy dwoma rejonami chłopskimi. Najpierw udaliśmy się do łużyckiej wsi Piskowitz koło Kamenz. Mieszkała tam jako wdowa z dwojgiem dzieci nasza wierna Agnes, która służyła u nas przez szereg lat, a później posyłała nam regularnie ze swej okolicy następczynie, kiedy kolejna dziewczyna wychodziła za mąż. Było zupełnie pewne, że przyjmie nas serdecznie, i było w najwyższym stopniu prawdopodobne, że ani ona, ani nikt we wsi nie wie o tym, że dotyczą mnie ustawy norymberskie. Z ostrożności chcieliśmy jej to teraz wyjawić, pewni, że tym troskliwiej będzie strzec naszego bezpieczeństwa. Jeśli się nie wydarzy coś szczególnie pechowego, powinno nam się udać zapaść w tym ustroniu bez śladu. Tym bardziej że - jak dobrze wiedzieliśmy - ludność była nastrojona mocno antynazistowsko. Gdyby dostateczną tego przyczyną nie był jej żarliwy katolicyzm, to niewątpliwie uodporniła ją przeciw hitleryzmowi jej serbołużycka narodowość: ludzie ci byli przywiązani do swego słowiańskiego języka, którego nazizm chciał ich pozbawić w dziedzinie kultu i nauki religii; czuli się spokrewnieni z narodami słowiańskimi i urażeni germańskim samouwielbieniem nazistów - słyszeliśmy to aż nadto często od Agnes i jej następczyń. A poza tym Rosjanie stali pod Zgorzelcem; można było sądzić, że już wkrótce będą w Piskowitz albo że nam się uda do nich przedostać.

Mój optymizm miał swoje źródło w radosnym poczuciu cudownego ocalenia oraz w płonącym stosie gruzu, jaki przedstawiało sobą Drezno, kiedyśmy je opuszczali; pod wrażeniem tego obrazu zniszczenia sądziliśmy bowiem, że koniec wojny jest tuż-tuż. Optymizm ten doznał pierwszego ciosu, a nawet zmienił się w coś zgoła przeciwnego, kiedy miejscowy sołtys - moje dokumenty były oczywiście „spalone” - zapytał mnie, czy nie jestem spokrewniony z jakimiś nie-Aryjczykami. Z największym wysiłkiem wydobyłem z siebie obojętne „nie” - byłem prawie pewny, że powziął jakieś podejrzenie. Potem dowiedziałem się, że było to obowiązkowe stereotypowe pytanie - i rzeczywiście, człowiek ten przez cały czas nie okazywał wobec nas żadnej nieufności. Ja sam jednak od tej chwili - a w Falkenstein uczucie to było jeszcze dokuczliwsze, ustąpiło zaś dopiero w dniu, kiedy w Bawarii ogarnęli nas Amerykanie - miałem nieustannie w uszach, raz mocniejszy, raz słabszy, obrzydliwy syk i szmer, jaki poznałem w roku 1915, gdy ponad nami, leżącymi, przechodziła seria z karabinów maszynowych, a który bardziej dawał mi się we znaki niż uczciwy huk granatów. Tym, czego się lękałem, nie była bomba ani samolot szturmowy, nie była też śmierć - lecz zawsze tylko Gestapo. Zawsze tylko strach, że ktoś może iść za mną, że ktoś może mi zastąpić drogę, że ktoś może czekać na mnie w domu - ktoś, kto mnie chce zabrać.

(„Zabrać!” - Teraz i ja mówię już tym językiem!) Żeby tylko nie wpaść w ręce wrogów! - brzmiał mój codzienny akt strzelisty.

Ale i w Piskowitz trafiały się spokojne godziny, był to bowiem cichy świat, zamknięty w sobie, i to świat na wskroś antynazistowski - nawet sołtys sprawiał na mnie wrażenie, że rad by się już nieco odsunął od swojej partii i rządu.

Oczywiście nazistowska doktryna państwowa wtargnęła i tutaj. Na maleńkim biurku w izbie mieszkalnej niewielkiego szachulcowego domu leżały pośród różnych rachunków, korespondencji rodzinnej i kilku kopert z papierem listowym także książki szkolne dzieci.

Przede wszystkim niemiecki atlas szkolny, który Philipp Bouhler, człowiek Kancelarii Rzeszy, wydał z facsimile podpisu we wrześniu 1942 roku dla wszystkich szkół niemieckich i który dotarł do każdej bez wyjątku wsi. Cała pycha tego przedsięwzięcia staje się wyraźna dopiero wtedy, kiedy się uwzględni jego późną datę: wymarzone niemieckie zwycięstwo przeszło już w sferę nierealności, gra idzie już tylko o uniknięcie kompletnej klęski - a tymczasem daje się dzieciom do ręki zestaw map, gdzie „Wielkie Niemcy jako przestrzeń życiowa” obejmują „Generalną Gubernię z Warszawą i dystryktem lwowskim”, „Komisariat Rzeszy Ostland” i „Komisariat Rzeszy Ukrainę”, gdzie Czechosłowacja jako „Protektorat Czech i Moraw”[120] oraz „Kraj Sudecki” są oznaczone specjalnym kolorem jako bezpośrednie posiadłości Rzeszy, gdzie miasta niemieckie pysznią się swymi nazistowskimi tytułami honorowymi - obok Stolicy Ruchu i Miasta Zjazdów Partii” jest tam też „Graz, Miasto Powstania Narodowego”, „Stuttgart, Miasto Niemców na Obczyźnie”, „Sąd Najwyższy Rzeszy do spraw gospodarstw dziedzicznych Celle”[121] ' itd” gdzie zamiast Jugosławii figuruje „Rejon Dowództwa Wojskowego Serbia”, gdzie jedna mapa przedstawia podział Rzeszy na okręgi partyjne [*Gau*], a inna niemieckie kolonie, i tylko maleńkimi literami umieszczona jest na jej dolnym brzegu (w nawiasie) uwaga: „Pod zarządem mandatowym”. Jakże musi dzisiaj świat wyglądać w głowie, w której wszystko to odciśnięto na kolorowo we wczesnym i bezbronnym dzieciństwie!

Obok atlasu, stanowiącego pod względem językowym bogaty specjalistyczny słownik LTI był tam niemiecki podręcznik do nauki rachunków z zadaniami o tematach zaczerpniętych z „dyktatu wersalskiego” i „zapewnienia pracy przez Führera” oraz niemiecka książka z czytankami, w której sentymentalne opowiastki sławiły miłość do zwierząt i do dzieci pełnego ojcowskich uczuć Adolfa Hitlera.

Ale w tym samym ciasnym pomieszczeniu znajdowały się też odtrutki. Był tam taki nabożny kącik, gdzie krucyfiks (jak wszystkie prawie krzyże przy wiejskich drogach) miął napis w języku serbołużyckim i gdzie leżała też Biblia w tym języku. Gdyby nie to przywiązanie do własnego języka, to nie wiem, czy sam katolicyzm wystarczyłby jako całkowicie niezawodna odtrutka. Otóż główną lekturę, jaką obok Biblii i podręczników szkolnych znalazłem w tym domu, stanowił bardzo zaczytany gruby tom in folio zatytułowany *Miasto Boże*. Było to ilustrowane „pismo dla ludu katolickiego” z lat 1893/94. Obfitowało ono w ataki na „zażydzoną lożę”, na „wolnomyślnych i socjaldemokratycznych

---

[120] Nieścisłość: nie było „dystryktu lwowskiego”, tylko „dystrykt Galicja”, a „Protektorat” nie obejmował terenu całej Czechosłowacji, lecz tylko - jak wskazuje jego pełna nazwa - Czechy i Morawy.

[121] Ustawa z 29 września 1933 i o „gospodarstwach dziedzicznych” (*Reichserbhofgesetz*), stanowiąca, że gospodarstwa wielkości 7,5-12,5 ha nie mogą być sprzedawane ani dzielone, zmierzała do stworzenia nowej warstwy „chłopskiej arystokracji”; najwyższa instancja sądowa dla spraw wynikających z tej ustawy miała siedzibę w mieście Celle niedaleko Hanoweru.

żydowskich pachołków", broniło sprawy Ahlwardta[122], dopóki to tylko było możliwe, i dystansowało się od niego dopiero w ostatnim momencie. Tyle że wszystko to nie miało nic wspólnego z antysemityzmem na podłożu rasowym - w każdym razie znowu sobie uświadomiłem, jak trafnie pod względem demagogicznym (albo - żeby to wyrazić jego językiem jak *volksnah*, z jakim wyczuciem instynktu narodu) działał Führer, czyniąc z problemu żydowskiego klamrę spinającą całe mnóstwo wrogich sobie czynników.

Ale z antysemityzmu kręgów katolickich lat dziewięćdziesiątych nie miałem prawa wnioskować o podobnym ich nastawieniu w chwili obecnej. Kto brał poważnie swój katolicyzm, ten stał teraz ramię w ramię z Żydami, w takiej samej śmiertelnej wrogości wobec Hitlera.

A zresztą domowa biblioteczka dysponowała jeszcze jednym, tak samo starym, grubym i zaczytanym tomem, z którego politycznego stanowiska również nie można było absolutnie wysnuwać wniosków co do obecnego nastawienia mieszkańców tego domu. Zmarły gospodarz był zapalonym pszczelarzem, a wspomniane dzieło to rocznik poświęcony pszczelarstwu, wydany przez barona Augusta von Berlepsch. Autor, który swój wstęp datuje: Coburg, 15 sierpnia 1868, był najwyraźniej nie tylko fachowcem w tej dziedzinie, lecz ponadto moralistą i świadomym obywatelem. „Znam wielu ludzi - pisał - którzy, nim zostali pszczelarzami, korzystali z każdej wolnej chwili (a nawet znajdowali sobie wolnych chwil ponad miarę), aby lecieć do gospody, pić, grać w karty albo roznamiętniać się bezsensownym politykierstwem. Skoro tylko zostali pszczelarzami, poczęli przesiadywać w domu z rodziną, w pogodne dni spędzali wolny czas przy pszczołach, a w porach niepogody czytali książki pszczelarskie, szykowali ule, naprawiali sprzęt pszczelarski - słowem, pokochali dom i pracę. «Siedzieć w domu» - oto dewiza dobrego obywatela..."

Agnes oraz jej sąsiedzi i sąsiadki byli w tej kwestii całkiem innego zdania. Każdego bowiem wieczoru to, co nazywaliśmy łużycką porządną izbą i dokąd wprowadzenie oznaczało najwyższy dowód zaufania do nas, było pełne ludzi. Schodzono się u szwagra Agnes, człowieka o rozległych zainteresowaniach, który, mówiąc nawiasem, pomimo swego katolicyzmu i żarliwego serbołużyckiego patriotyzmu - „siedzieliśmy aż po Rugię, aż hen tam kraj ten powinien być właściwie nasz!" - należał do Stahlhelmu, jakkolwiek tylko do momentu jego wchłonięcia przez NSDAP. W ciepłej i obszernej kuchni mieszkalnej trwał nieustanny ruch ludzi wchodzących i wychodzących; kobiety siedziały nad swoimi robótkami, mężczyźni stali dookoła, ćmiąc papierosy, dzieci wbiegały i wybiegały. Punktem centralnym był okazały aparat radiowy, wokół którego tłoczyła się zawsze jakaś grupka. Ktoś wyszukiwał stację, inni wysuwali różne propozycje, dyskutowali o tym, co właśnie usłyszeli, domagali się też energicznie ciszy, jeśli akurat nadawano albo miano nadawać coś ważnego.

Kiedyśmy tam weszli po raz pierwszy, panował dość duży hałas i nie było widać jakiegoś szczególnego szacunku dla nadawanej audycji. Szwagier, jakby usprawiedliwiając się, powiedział: - To tylko Goebbels, któregośmy tymczasem złapali, ten inny będzie dopiero za dziesięć minut.

Wtedy właśnie, 28 lutego, słyszałem doktora po raz ostatni. Pod względem treści było to to samo, co we wszystkich jego mowach i artykułach z ostatniego okresu: brutalne obrazki sportowe i ostateczne zwycięstwo, i źle ukrywane zwątpienie. Ale sposób jego mówienia wydał mi się zmieniony. Doktor zrezygnował z modulacji głosu; bardzo powoli, dobitnie, niemal jednostajnie akcentując, takt za

---

[122] Ahlwardt - wojujący niemiecki antysemita z końca XIX w., bohater słynnej wówczas afery oszczerczej przeciwko pewnej żydowskiej fabryce karabinów.

taktem, pauza za pauzą, wyrzucał z siebie poszczególne słowa, które padały, jak padają uderzenia mechanicznego młota.

„Ten inny" to było ogólne, zbiorcze określenie wszystkich zakazanych audycji; Beromünster, Londynu i Moskwy (które nadawały wiadomości w języku niemieckim), stacji Soldatensender i Freiheitssender, i wszystkich innych nielegalnych stacji, jakie tam jeszcze były. Ludzie ci wykazywali doskonałą biegłość w tym karą śmierci zagrożonym nasłuchu, znali czas i falę, i specjalność poszczególnych stacji, i uważali nas za dosyć oderwanych od życia, jako że nie mieliśmy dotąd żadnego kontaktu z tym „innym". Nikomu też nie przychodziło na myśl kryć się przed nami z tym zakazanym słuchaniem czy w ogóle stwarzać wokół niego jakąś atmosferę tajemniczości! ostrożności. Poprzez naszą Agnes należeliśmy do wsi, a postawa wsi była całkowicie jednolita: wszyscy czekali na niezawodny koniec hitleryzmu, wszyscy czekali na Rosjan.

Poszczególne sukcesy, posunięcia i plany aliantów były dokładnie omawiane, nawet dzieci miały na ten temat coś do powiedzenia; nie były one zresztą zdane wyłącznie na audycje, „innego", lecz przynosiły też do domu nowości z zewnątrz. Tutaj bowiem z nieba spadał nie tylko, jak później w Falkenstein, staniol, który zaśnieżonym jeszcze, jodłowo-sosnowym lasom nadawał wygląd bardziej bożonarodzeniowy niż pączkującemu już mieszanemu drzewostanowi Rudaw, lecz także ulotki, gorliwie zbierane i studiowane. Zawierały one w zasadzie to samo, co audycje „innego": wezwania do odżegnania się od zbrodniczego i obłąkańczego reżimu, który nieodwołalnie przegraną wojnę chce prowadzić aż do całkowitego zniszczenia Niemiec. Oczywiście mówiono dzieciom, że zbieranie tych ulotek jest surowo zabronione, ale kończyło się na samym tylko powtarzaniu zakazu i wszyscy chciwie i z aprobatą czytali, co tam było napisane. Kiedyś Juri, syn Agnes, przyszedł wymachując jawnie jakimś zeszycikiem: - Ale tego nie potrzebujemy palić, takie same dostaliśmy w szkole! - Była to broszura: Artykuły wojenne Goebbelsa, z typowo nazistowską głową wojownika (pół orzeł, pół rzezimieszek) na okładce. Po lewej stronie znajdowały się twierdzenia, które w szkole wtłaczano uczniom do głowy, a po prawej były one punkt po punkcie zbijane przez aliantów. Szczególnie dokładnie była tam wyłuszczona odpowiedź na twierdzenie, iż wojna została miłującemu pokój Führerowi „narzucona". (Narzucona wojna należy do czołowych stereotypowych zwrotów LTI).

Były jeszcze dwa inne źródła, z których wieś czerpała orientację co do stanu rzeczy: żałosne kolumny uciekinierów ze Śląska, którym pozwolono zatrzymać się na krótko w „dziewczęcym obozie" - pomalowanym na zielono obszernym baraku byłej żeńskiej służby pracy - oraz grupa bawarskich artylerzystów, którzy ze swymi końmi, ale bez armat, wracali z frontu i udało im się znaleźć tu chwilę wytchnienia.

W te całkiem współczesne komentarze wplatał się głos zupełnie innej natury: cytowano wersety biblijne - stary, ale bardzo jeszcze krzepki ojciec Agnes mówił długo i szeroko o królowej Sabie - które w sposób niewątpliwy przepowiadały wkroczenie Rosjan. Początkowo skłonny byłem uważać ten biblijny wtręt w LTI za specyficznie wiejski, ale w porę przypomniała mi się nasza topola z Babisnau, a do tego powszechne wśród ludzi i w kręgach rządzących upodobanie do astrologii.

Tak więc nastrój w Piskowitz był daleki od rozpaczy. Ludzie nie ucierpieli dotąd szczególnie wskutek wojny, na niepozorną wioskę nie spadła ani jedna bomba, nie było tam nawet własnej syreny; jeśli zaś dochodził z dala sygnał alarmu, co zdarzało się często i we dnie, i w nocy, to nocą nikt sobie z tego powodu nie przerywał snu, a we dnie obserwowano z zainteresowaniem piękne w sensie czysto estetycznym widowisko: na ogromnej wysokości sunęły po błękitnym niebie roje srebrnych strzał

długości palca, wyłaniające się z chmur i znikające w chmurach. Zawsze, dosłownie zawsze, któryś z widzów przypominał wtedy: - A Herman powiedział, że niech się nazywa Meier, jeśli jeden nieprzyjacielski samolot przyleci nad Niemcy! - A ktoś inny dodawał: - A Adolf chciał wymazać z mapy angielskie miasta!

Rzeczywiście, te dwa zdania przetrwały jednakowo w mieście i na wsi, gdy inne aktualne powiedzonka, przekręcenia, dowcipy musiały się zadowolić sławą jednodniówki; również i tutaj, to znaczy pod względem ich rozpowszechnienia, występuje przy tym różnica czasowa między wsią a miastem.

Podobnie jak w innych gospodarstwach, było u nas świniobicie; jakkolwiek bowiem ludzie nie żywili przed Rosjanami obawy, to jednak woleli zjeść sami świnię, na którą akurat przyszedł czas, niż oddawać ją wyzwolicielom. Oglądacz sanitarny badał mięso pod mikroskopem, rzeźnik i jego pomocnik robili kiełbasy, sąsiedzi wpadali na chwilę, żeby oceniać i porównywać, a przy tym w zatłoczonym pokoju opowiadano sobie dowcipy i dawano zagadki; Przy tej okazji uczyniłem podobne spostrzeżenie jak w czasie pierwszej wojny światowej: wtedy, w roku 1915, usłyszałem w pewnej flandryjskiej wsi ten sam szlagier *Sous les ponts de Paris*, który dwa lata przedtem śpiewano w Paryżu jako najnowszy przebój sezonu i który tymczasem w stolicy został wyparty przez nowsze piosenki. Tak samo mieszkańcy Piskowitz i ich oglądacz mięsa zabawiali się teraz zagadką, którą w Dreźnie i zapewne też w innych niemieckich miastach szeptano sobie na ucho zraz po rozpoczęciu wojny z Rosją: Co oznacza marka papierosów Ramses? Odpowiedź: *Russlands Armeemacht schlapp Ende September* [Armia rosyjska załamie się do końca września]. Ale czytane na wspak: *Sollte England siegen, muss Adolf raus*! [Jeśli Anglia zwycięży, Adolf musi iść precz!] Zanotowałem sobie, że trzeba by zbadać takie wędrówki poprzez czas, przestrzeń i warstwy społeczne. Opowiadał mi ktoś, że Gestapo puściło kiedyś w Berlinie jakąś plotkę, a potem sprawdzało, po jakim czasie i jaką drogą dotarła do Monachium.

Dla mnie samego świniobicie to upłynęło w nastroju bardzo przygnębiającym i - jakkolwiek sam siebie z tego powodu wyśmiewałem - poniekąd zabobonnym. Otóż świnia miała być bita już tydzień wcześniej; alianci stali wtedy 20 kilometrów przed Kolonią, a Rosjanie gotowali się do zajęcia Wrocławia. Zawalony zamówieniami rzeźnik musiał odmówić i świnia została przy życiu. Przyjąłem to jako wróżbę dla siebie; powiedziałem sobie: jeśli świnia przeżyje Kolonię i Wrocław, to ty przeżyjesz koniec wojny i swoich rzeźników. Teraz piękna gotowana wieprzowina była dla mnie zaprawiona żółcią, bo Kolonia i Wrocław ciągle się jeszcze trzymały.

Następnego dnia akurat jedliśmy znowu na obiad świeżą wieprzowinę, kiedy zjawił się sołtys: właśnie nadszedł rozkaz, żeby do wieczora wyprawić ze wsi wszystkich obcych, bo już jutro mają tu być zakwaterowane oddziały frontowe; o piątej wóz zawiezie nas do Kamenz, skąd transport uchodźców odchodzi w okolice Bayreuth. Kiedyśmy wtedy stali stłoczeni wśród mężczyzn, kobiet i dzieci na otwartym drabiniastym wozie, w deszczu zmieszanym ze śniegiem, wydało mi się, że jesteśmy już w sytuacji całkiem beznadziejnej; ale rzeczywiście beznadziejna była nasza sytuacja dopiero w trzy tygodnie później. W Kamenz bowiem mogliśmy jeszcze przy kasie biletowej powiedzieć: - Zbombardowani na kwaterę prywatną do Falkenstein - rzeczywiście był jeszcze ktoś, na kogo mogliśmy liczyć, żałosne, ale zawsze jakoś tam pocieszające, znamienne dla konającej Trzeciej Rzeszy pojęcie *Auffangstelle* [punkt opieki nad uchodźcami] miało i dla nas jeszcze pewne znaczenie. Kiedy jednak potem musieliśmy się wynieść także i z Falkenstein - Hansa zmuszono do przyjęcia dwóch

farmaceutek z Drezna, które tam też studiowały i mogły mnie znać, niebezpieczeństwo dekonspiracji było zbyt duże, a wojna ciągle się jeszcze nie kończyła - to gdzie mogła się jeszcze dla nas znaleźć bezpieczna *Auffangstelle*? Wszędzie wisiała nad nami groźba zdemaskowania.

Następnych dwanaście dni ucieczki wypełniały po brzegi rozmaite trudy, głód, spanie na gołej kamiennej podłodze hali dworcowej, bomby zrzucane na jadący pociąg, na poczekalnię, w której wreszcie miało być coś do zjedzenia, nocne wędrówki wzdłuż zniszczonego toru kolejowego, przechodzenie w bród przez strumienie obok strzaskanych mostów, kucanie w bunkrach, pocenie się, marznięcie i drżenie w przemoczonych butach, trzask serii karabinowych z samolotów szturmowych - ale gorzej od tego wszystkiego i w sposób okrutnie nieprzerwany męczył mnie strach przed kontrolą, przed aresztowaniem. W pieniądze i inne środki Hans zaopatrzył nas obficie, ale trucizny, o którą tak usilnie go prosiłem na wypadek ostateczności - „Nie pozwól nam wpaść w ręce naszych wrogów, oni są stokroć okrutniejsi od każdej śmierci!"- trucizny nam odmówił.

W końcu jednak znaleźliśmy się tak daleko od naszego Drezna, w końcu Niemcy były już tak dalece sparaliżowane i rozkawałkowane, w końcu ostateczny kres Trzeciej Rzeszy był już tak bliski, że lęk przed odkryciem zmalał. We wsi Unterbernbach koło Aichach, gdzie nas skierowano jako uchodźców i gdzie osobliwym trafem nie było zakwaterowanych żadnych Saksończyków, tylko sami Ślązacy i berlińczycy, pozostawało nam, podobnie jak wszystkim innym mieszkańcom, lękać się już tylko ciągłych nalotów oraz dnia, w którym przetoczą się po nas posuwający się w kierunku Augsburga Amerykanie. Myślę, że słowo „przetoczyć się" [*überrollen*] było ostatnim neologizmem z dziedziny militarnej, na jaki natrafiłem. Wiąże się on zapewne z decydującym znaczeniem oddziałów zmotoryzowanych.

W sierpniu 1939 widzieliśmy w Dreźnie, jak armia niegodnie, chyłkiem się zbierała; teraz patrzyliśmy na to, jak niegodnie, chyłkiem topniała. Z będącego w rozkładzie frontu wykruszały się grupki i pojedynczy żołnierze, wychodzili ukradkiem z lasów, skradali się przez wieś, szukali czegoś do zjedzenia, szukali cywilnego ubrania, szukali wytchnienia na jedną noc. Niektórzy z nich ciągle jeszcze przy tym wierzyli w zwycięstwo. Inni byli w pełni przekonani, że wszystko już zmierza ku końcowi, lecz w tym, co mówili, pojawiały się jednak pojedyncze okruchy dawnego języka zwycięzców.

Ale wśród uchodźców tutaj zakwaterowanych oraz wśród stałych mieszkańców nie było już nikogo, kto by w najmniejszym bodaj stopniu wierzył w zwycięstwo Hitlera albo w dalsze istnienie jego władzy. Jeśli chodzi o całkowite i zaciekłe potępienie nazizmu, chłopi z Unterbernbach ani na jotę nie różnili się od chłopów z Piskowitz. Tyle tylko, że Łużyczanie okazywali tę wrogość od samego początku, gdy tymczasem chłopi bawarscy początkowo przysięgali na swojego Führera. Przecież tyle im obiecywał, a pewnych obietnic nawet dotrzymał. Ale teraz już od tak dawna spadały na nich same tylko rozczarowania. Ci z Unterbernbach mogli byli przyjść do łużyckiej porządnej izby, a tamci z Piskowitz do Unterbernbach: swojej mowy by wzajemnie nie rozumieli, choćby piskowiczanie mówili po niemiecku (czego między sobą nigdy nie czynili), ale co do przekonań porozumieliby się bardzo szybko: wszyscy oni nie chcieli mieć z Trzecią Rzeszą nic wspólnego.

Wśród chłopów z Unterbernbach stwierdziłem wielkie różnice pod względem moralnym i zanotowałem ze skruchą: „Nie mów nigdy uogólniająco «chłop» czy «chłop bawarski», pomyśl

zawsze o uogólnieniach «Polak», «Żyd»!", Miejscowy „przywódca chłopski"[123], który od dawna już wyzbył się miłości do partii, ale z funkcji nie mógł zrezygnować, swoją nieustanną gotowością pomocy i dobroczynnością wobec każdego uchodźcy, czy to w cywilu, czy w mundurze, odpowiadał co do joty przykładowi dobroci opisanemu przez proboszcza w niedzielnym kazaniu (notatka na temat kazania 22 kwietnia: *Stet Cruxdum volvitur orbis*. Tak ponadczasowe, że nie do zaczepienia, a zarazem jakaż rozprawa z nazistami! Oddzielne zadanie: kazania w Trzeciej Rzeszy, mówienie w sposób zawoalowany i wprost, pokrewieństwo ze stylem encyklopedii). - A z drugiej strony ten drab, do którego skierowano nas na pierwszą noc i który odmówił nam wody do mycia; że niby pompa w stajni zepsuta (było to kłamstwo, jak się potem okazało) i powinniśmy starać się jak najszybciej wynieść. A między tymi dwoma przypadkami krańcowymi pełno stopni pośrednich - w tym nasi gospodarze, bliżsi złego niż dobrego krańca.

Ale jeśli chodzi o LTI, wszędzie było to samo: złorzecząc nazizmowi, wszyscy czynili to w jego własnym języku. Czy w tonie nadziei, czy beznadziejności, poważnie czy drwiąco, zawsze mówiło się o przełomie, każdy opowiadał się za czymś fanatycznie itd., itd. No i oczywiście wszyscy komentowali ostatni apel Führera do żołnierzy frontu wschodniego i cytowali z niego słowa o „niezliczonych nowych jednostkach" i o bolszewikach, którzy wymordowali waszych „starców i dzieci, zhańbili wasze kobiety i dziewczęta, czyniąc z nich dziewki koszarowe - resztę pognali na Sybir".

Nie, cokolwiek jeszcze było mi dane przeżyć - przeżyć rzeczywiście, a nie tylko w zakłamanym hitlerowskim sensie tego słowa - w tych ostatnich dniach wojny (i później w powrotnej wędrówce), niczego to nie dodało ani nie zmieniło w tym obrazie LTI, jaki sobie tak długo tworzyłem w ciasnej przestrzeni naszej udręki. Była ona rzeczywiście totalna, otoczyła zwartą skorupą i zakaziła całe Wielkie Niemcy.

Wspomnę tu jeszcze tylko o dwóch widocznych symbolach kresu jej panowania.

28 kwietnia krążyły przez cały dzień alarmujące pogłoski, że Amerykanie są tuż-tuż; pod wieczór wyniosły się wszystkie oddziały, jakie jeszcze były we wsi i w jej bezpośredniej okolicy - głównie HJ, raczej gromada zdemoralizowanych wyrostków niż żołnierze, do tego jakiś wyższy sztab, który zajmował ładny nowoczesny budynek urzędu gminnego u południowego skraju miejscowości. W nocy trwał przez godzinę silny ogień artyleryjski, ponad wsią przelatywały, świszcząc, granaty. Następnego ranka znalazłem w ustępie, rozerwany na dwa kawałki, dokument sporządzony artystycznym pismem w kolorze czarnym i czerwonym; leżał tam przez wiele godzin, jako że był za twardy dla swego nowego przeznaczenia. Było to należące do naszego gospodarza świadectwo przysięgi. Stwierdzało, że „Tyroller Michel przysiągł na Placu Królewskim w Monachium wobec zastępcy Führera, Rudolfa Heßa, bezwzględne posłuszeństwo Führerowi Adolfowi Hitlerowi oraz wyznaczonym przez niego przywódcom. Monachium, sporządzono w Okręgu Tradycji, dnia 26 kwietnia 1936 roku".

Nastąpiło jeszcze kilka pełnych grozy godzin południowych, od skraju lasu dochodził od czasu do czasu huk, niekiedy słychać było gwizd przelatujących blisko kul karabinowych, gdzieś musiała jeszcze trwać potyczka. Potem na szosie, biegnącej obok naszej miejscowości, pokazała się bardzo długa kolumna czołgów i samochodów - a więc „przetoczyli się" po nas.

---

[123] Ortsbauernführer (miejscowy przywódca chłopski) - funkcjonariusz najniższego szczebla organizacji Reichsnährstand (Stanu Żywicieli Rzeszy), przy której pomocy NSDAP realizowała swoją politykę rolną.

Następnego dnia poczciwy Flamensbeck, któremu znowu poskarżyliśmy się na swoją przykrą sytuację mieszkaniowo-kuchenną, poradził nam przenieść się do zwolnionego budynku gminy. Prawie w każdym pokoju, mówił, jest tam żelazny piecyk, na którym można przyrządzić śniadanie, szyszki jodłowe na opał znajdziemy w lesie, a obiadu dla nas starczy u niego. Jeszcze tego samego popołudnia odbyły się uroczyste przenosiny na nowe mieszkanie. Oprócz innych wygód dostarczyło nam ono pewnej całkiem szczególnej radości. Otóż przez cały tydzień nie potrzebowaliśmy się troszczyć o szyszki ani chrust, bo na miejscu był lepszy materiał opałowy. W budynku tym mianowicie miało swoją siedzibę w lepszych dla nazistów czasach HJ i inna temu podobna hołota i wszystkie pomieszczenia pełne były portretów Hitlera w pięknych ramach, ściennych tablic z hasłami ruchu, flag, drewnianych swastyk. Wszystko to oraz wielką swastykę znad bramy, a także gablotkę na „Stürmera”[124] z sieni wyniesiono na strych, gdzie zrobił się z tego ogromny bezładny stos. Była tam też jasna mansarda, którą wybraliśmy sobie na mieszkanie i gdzie spędziliśmy jeszcze parę tygodni. Przez cały pierwszy tydzień paliłem tutaj portretami Hitlera, ramami od portretów Hitlera i swastykami, i flagami ze swastyką, i znowu portretami Hitlera, nieustannie doznając przy tym błogiej satysfakcji.

Kiedy ogień pochłonął ostatni portret, przyszła kolej na gablotkę na „Stürmera”. Ale była ona zrobiona z ciężkich, grubych desek i ani wysiłek ramienia, ani nogi na nic się nie zdały. Znalazłem w domu siekierkę i ręczną piłkę. Próbowałem siekierką, próbowałem piłką, ale rama nie puszczała. Drewno było zbyt grube i mocne, a po wszystkim, co przeszedłem, moje serce nie wytrzymywało już dużego wysiłku. - Lepiej nazbierajmy szyszek w lesie - powiedziała moja żona - będzie przyjemniej i zdrowiej. - Tak więc przeszliśmy na inne paliwo, a gablotka na „Stürmera” pozostała cała. Czasem, kiedy dostaję teraz listy z Bawarii, przypomina mi się ona...

„Z powodu wyrazów”
Posłowie

Z chwilą gdy znikło gniotące nas brzemię i było już tylko kwestią czasu, kiedy będę mógł powrócić do swego zawodu, myśl moją poczęło zaprzątać pytanie, za jaką pracę powinienem się zabrać najpierw. W tamtym, najgorszym, okresie wytrącono mi z ręki mój osiemnasty wiek. I to, i dzienniki uratowała moja żona, wywożąc je do naszej przyjaciółki do Pirny; może ta przyjaciółka przeżyła, może te rękopisy ocalały - były nawet podstawy dla takiej nadziei, jako że szpitale są bądź co bądź w miarę możliwości oszczędzane, a o jakichś wielkich bombardowaniach Pirny się nie słyszało. Ale skąd wezmę zaraz materiały biblioteczne, niezbędne do dalszej pracy nad moimi Francuzami? A poza tym tak przecież byłem wewnętrznie pełen spraw okresu hitlerowskiego, które mnie pod niejednym względem przemieniły. Może i ja widziałem dawniej za często Niemców i Francuzów w sposób uogólniający, zamiast myśleć o różnorodności konkretnych Niemców i Francuzów? Może to był luksus i egoizm, że się zakopałem wyłącznie w nauce i omijałem bolesne sprawy polityczne? Moje dzienniki zawierały niejeden znak zapytania, niejedną obserwację, niejedno przeżycie, z których można się było tego i owego nauczyć. Może powinienem się najpierw zająć tym, co nagromadziłem w sobie w latach

[124] Na każdym budynku publicznym znajdowała się gablotka, w której wystawiano aktualny numer antysemickiego tygodnika „Der Stürmer”.

cierpień? A może są to plany wynikające z próżności i zarozumialstwa? Ilekroć nad tym myślałem, przy zbieraniu szyszek czy przysiadając dla odpoczynku na napełnionym plecaku, zawsze w moich wspomnieniach pojawiało się dwoje ludzi, z których każde popychało mnie ku innej decyzji.

Najpierw była tam Käthchen Sara, postać tragikomiczna - właściwie początkowo zupełnie komiczna, a nawet pod koniec, kiedy szala jej losu przechyliła się już całkiem na stronę tragiczną, spowita jeszcze lekką mgiełką komizmu. Rzeczywiście było jej na imię Käthchen (zdrobnienie od Katharina, a więc odpowiednik polskiego Kasia); w tej właśnie formie imię jej było zapisane w aktach stanu cywilnego i w świadectwie chrztu, któremu wbrew narzuconej sobie gwieździe żydowskiej i dodatkowi „Sara" dotrzymywała ostentacyjnie wierności, nosząc stale na szyi krzyżyk. To pieszczotliwe zdrobnienie wcale nawet nie było takie zupełnie nieodpowiednie dla sześćdziesięcioletniej kobiety o nieco otłuszczonym sercu, bowiem śmiech i łzy pojawiały się u niej tak łatwo i tak szybko po sobie następowały jak u dziecka, którego pamięć jest jakby tabliczką dającą się łatwo zmazywać. Przez dwa złe lata dzieliliśmy z Käthchen Sarą przymusowo mieszkanie i co najmniej raz na dzień wpadała ona bez pukania do naszego pokoju, a w niedzielę rano, kiedyśmy się budzili, nieraz siedziała już na naszym łóżku, a zawsze chodziło jej o jedno: - Niech pan to zapisze - musi pan to zapisać! - Potem następowała, wygłaszana z taką samą afektacją, informacja o najnowszej rewizji, o najnowszym samobójstwie, o najnowszym zmniejszeniu racji żywnościowej.

Wierzyła w moje posłannictwo kronikarza i w swoim dziecięcym umyśle zdawała się wyobrażać sobie, że nie ocaleje żaden inny kronikarz tych czasów, tylko właśnie ja, którego tak często widziała siedzącego przy biurku.

Ale zaraz po dziecinnie przejętym głosie Käthchen wyłaniał się w mojej pamięci na pół współczujący, na pół drwiący głos dzielnego Stühlera, z którym razem stłoczono nas w innym z kolei mieszkaniu. Nastąpiło to o wiele później, kiedy Käthchen Sara dawno przepadła bez śladu w Polsce. Także Stühler nie dożył dnia wybawienia. Wprawdzie dane mu było pozostać w kraju i umrzeć bez udziału Gestapo, na naturalną chorobę, ale i on był ofiarą Trzeciej Rzeszy, bo gdyby nie poprzedzający czas udręki, ten młody człowiek miałby przecież w sobie więcej odporności. A cierpiał bardziej niż biedna Käthchen, bo jego dusza nie była dającą się łatwo ścierać tabliczką i zadręczyła go troska o żonę i syna, chłopca wielkich zdolności, którego nazistowskie ustawodawstwo pozbawiło jakichkolwiek szans wykształcenia. - Niechże pan zostawi tę pisaninę i lepiej pośpi godzinę dłużej - mawiał zawsze, kiedy widział, że zbyt wcześnie wstaję. - Tylko się pan tymi zapisanymi kartkami naraża. I wydaje się panu, że pan przeżywa coś szczególnego? Nie wie pan, że tysiące innych ludzi przeżywa rzeczy tysiąc razy gorsze? I nie sądzi pan, że do opisania tego wszystkiego znajdzie się aż nadto historyków? Ludzi z lepszym materiałem i lepszą możliwością orientacji niż pan? Cóż pan widzi, co pan może dostrzec w tym swoim ciasnym kącie? Chodzić do fabryki musi każdy, cięgi obrywa wielu, a że kogoś oplują, to rzecz tak normalna, że nie warto nawet o niej wspominać... - I często mówił tak długo, kiedyśmy w wolnym czasie stali w kuchni i pomagali swoim żonom przy wycieraniu naczyń albo obieraniu jarzyn.

Nie dałem się wtedy zbić z tropu, wstawałem każdego rana o pół do czwartej i notowałem wydarzenia z poprzedniego dnia. Mówiłem sobie: słuchasz własnymi uszami, wsłuchujesz się w dzień powszedni, właśnie w dzień powszedni, w to, co zwykłe i przeciętne, w to, co pozbawione blasku i heroizmu... A poza tym: trzymałem przecież swój drążek balansowy, a on trzymał mnie...

Ale teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, a przede mną otwarło się nowe życie, pytałem siebie jednak, czym powinienem je najpierw wypełnić i czy nie będzie to próżnością i marnowaniem czasu, jeśli się zagłębię w opasłe dzienniki. I tak oto Käthchen i Stühler spierali się o mnie.

Aż wreszcie szalę mojej decyzji przechyliło jedno słowo.

Wśród uchodźców we wsi była też pewna robotnica z Berlina z dwiema córeczkami. Nie wiem, jak do tego doszło, że jeszcze przed wejściem Amerykanów nawiązaliśmy rozmowę. Już od paru dni czułem wyraźną przyjemność, kiedy przypadkowo przechodząc obok niej, w samym sercu Górnej Bawarii słyszałem najczystszy dialekt berliński. Kobieta była usłużna i natychmiast wyczuła w nas powinowactwo politycznego usposobienia. Wkrótce opowiedziała nam, że jej mąż był długo więziony jako komunista, a teraz jest w batalionie karnym, Bóg wie gdzie, jeśli w ogóle jeszcze żyje. Ona sama, opowiadała dalej z dumą, odsiedziała jeden rok i byłaby siedziała do dzisiaj, gdyby nie to, że więzienia były przepełnione i że jej potrzebowali jako robotnicy.

- A z jakiegoż powodu pani siedziała? - zapytałem. - No, z powodu wyrazów... (Obraziła Führera, symbole i instytucje Trzeciej Rzeszy).

To było dla mnie olśnienie. Na dźwięk tego słowa ujrzałem wszystko jasno. Z powodu wyrazów. Wiedziałem już, że z tego samego powodu i dla tego samego celu zabiorę się do dziennika. Chciałem wydzielić z całej reszty drążek balansowy i naszkicować jeszcze tylko trzymające go dłonie. Tak powstała ta książka - myślę, że nie tyle z próżności, co z powodu wyrazów.

Od tłumacza

Gdyby podtytuł tej książki: *Notatnik filologa*, określał bez reszty jej treść, to zamiar jej przekładu można byłoby uważać za nader problematyczny. Mielibyśmy wtedy bowiem do czynienia wyłącznie lub prawie wyłącznie niejako z cząstkami elementarnymi słownego przekazu, z samym jego podstawowym tworzywem, które z natury rzeczy właściwie przełożyć się nie daje.

Na szczęście jednak - na szczęście dla szans przekładu - rzecz ma się inaczej. Pod owym podtytułem ukrywa się mianowicie treść znacznie bardziej rozległa i różnorodna niż ta, której pozwalałby się on domyślać. Jest to notatnik nie tylko filologa, ale także socjologa, psychologa, badacza literatury i innych dziedzin kultury, doktryn społecznych i politycznych, bacznego i bystrego obserwatora wszystkich nieomal sfer otaczającego go życia, które jego wejrzeniu były dostępne (a dostęp ten, jak wiemy, był ogromnie utrudniony i ograniczony). We wszystkich tych bowiem sferach ujawniał się w jakiś sposób naczelny pasjonujący autora motyw: język Trzeciej Rzeszy - język pojmowany już nie sensu stricto, ale bardzo szeroko, jako zespół wszystkich form i dróg przekazywania pewnych treści. Książka Klemperera jest luźnym zbiorem krótkich esejów na takie właśnie najprzeróżniejsze tematy, przeplatanych refleksjami czysto osobistymi i fragmentami dziennika pisanego w tamtych tak dramatycznych dla autora latach. Bardzo różna jest - zwłaszcza dla dzisiejszego czytelnika - wartość poznawcza owych rozważań: obok partii uderzających swoją trafnością, ogromnie myślowo zapładniających i do dziś żywo aktualnych znajdujemy tam miejsca merytorycznie bardzo dyskusyjne albo wyblakłe pod działaniem czasu, albo nawet zgoła rażące naiwnością widzenia, zresztą w pełni

zrozumiałą na tle ówczesnej psychicznej sytuacji autora. W każdym razie nieporozumieniem byłoby doszukiwać się w tej książce cech dojrzałej rozprawy naukowej i według takich kryteriów ją oceniać. Sam Klemperer widzi w niej przecież jedynie „pracę pierwszej godziny” - substrat przydatny przyszłym badaczom, jedną z cegiełek, jakich wiele jeszcze trzeba będzie zgromadzić, „zanim jakiś śmiały i wszechstronny umysł odważy się przedstawić Linguam Tertii Imperii w jej całości, pełnej ubóstwa i bogactwa zarazem”. O tym zaś, że jest to cegiełka niepośledniej wagi, świadczy między innymi rezonans, jaki książka ta w świecie wzbudziła. Złożył się na to zarówno talent badawczy i pisarski autora, jak i jego szczególne stanowisko obserwacyjne: pozycja kogoś formalnie żyjącego w społeczeństwie, w którym opisywane przezeń procesy się rozgrywają, a zarazem wypchniętego poza ramy tego społeczeństwa, sytuacja człowieka „wypędzonego z kraju swojej miłości”. Jest to jakby stopień pośredni między obserwacją uczestniczącą a stanowiskiem outsidera. Wszystko to sprawia, że książka Klemperera stanowi niezwykle cenny dokument tego epizodu dziejów Niemiec, a i całej Europy, któremu było na imię Trzecia Rzesza.

Ale jest ona również „notatnikiem filologa” w ścisłym znaczeniu tego słowa i w tej swojej części stanowi niewątpliwie źródło translatorskich trudności, o których była mowa na wstępie. Są one oczywiście bardzo zróżnicowane, w zależności od typu słów czy wyrażeń będących przedmiotem autorskiego opisu czy analizy. To ich zróżnicowanie było również miarodajne dla wyboru odpowiednich sposobów przekładu.

Stosunkowo najmniej trudności sprawiają słowa i zwroty usytuowane na dwóch przeciwnych krańcach: z jednej strony te (często i w niemczyźnie, i w polszczyźnie) zapożyczone z innego, trzeciego języka, które można przełożyć w sposób zupełnie lub niemal zupełnie przystawalny (np. system, akt państwowy, obóz koncentracyjny, totalny, fanatyczny, historyczny); z drugiej strony takie, które całkowicie przyjęły się w języku polskim w swoim oryginalnym niemieckim brzmienia, są powszechnie zrozumiałe, natomiast mało zrozumiałe byłyby ich ewentualne spolszczenia (np. Gestapo, Wehrmacht, esesman, gauleiter).

Pomiędzy tymi dwoma przypadkami krańcowymi znajduje się cały wachlarz słów i wyrażeń, których przekładalność jest mniej lub bardziej ograniczona. Oto ich podstawowe typy:

- słowa wieloznaczne, których poszczególne znaczenia mają w języku polskim swoje oddzielne odpowiedniki, wskutek czego pewnych konstrukcji stylistycznych, uzyskanych przy ich pomocy w dziele oryginalnym, nie można w przekładzie oddać (*aufziehen, Gefolgschaft, Reich, zackig*);
- słowa złożone, których siła wyrazu, wynikająca ze specyficznej zwartości tej niemieckiej konstrukcji gramatycznej i często w języku Trzeciej Rzeszy świadomie wykorzystywana, ulega w przekładzie znacznemu osłabieniu (*Endsieg, Greuelpropaganda, Weltjudentum, Endlösung, Fahrjuden*);
- słowa, którym narodowy socjalizm nadał swoiste - czy to dodatnie, czy ujemne - znaczenie czy też zgoła je stworzył jako własne neologizmy (tutaj należy w szczególności cała rodzina słów pochodzących od *Volk, Rasse, Art* - np. *Volksgemeinschaft, völkisch, artnah, artfremd* itp);
- słowa nie mające w języku polskim konkretnego odpowiednika (np. *Treck*);
- skróty środowiskowe (Pg, Knif).

Wyłonił się oczywiście problem, w jaki sposób przekładać miejsca tekstu zawierające tego rodzaju słowa. Wychodząc z założenia, że głównym walorem książki Klemperera jest jej wartość dokumentalna, pragnąłem kosztem płynności tekstu jak najbardziej przybliżyć Czytelnikowi aurę znaczeniową tych konkretnych słów i wyrażeń. W praktyce oznacza to częste równoległe stosowanie określeń polskich i niemieckich oraz liczne wtręty w postaci nawiasów kwadratowych, które zawierają pochodzące od tłumacza objaśnienia, czasem nawet coś w rodzaju mini-komentarza. Kolejność wersji językowych (tzn. czy w tekście właściwym jest słowo polskie, a w nawiasie niemieckie, czy też odwrotnie) zależy przy tym od tego, która z nich w danym miejscu pełni lepiej funkcję główną, a która pomocniczą.

Tam natomiast, gdzie zdawało się być potrzebne objaśnienie nieco szersze, zostało ono umieszczone w przypisie. Obok takich przypisów o charakterze czysto językowym inną, liczniejszą grupę stanowią przypisy rzeczowe. Dotyczą one głównie realiów związanych z narodowym socjalizmem i Trzecią Rzeszą, po części również z innymi dziedzinami będącymi przedmiotem obszerniejszych refleksji autora. W objaśnieniach pominięte zostały zarówno realia dość powszechnie znane, jak i mało istotne lub marginalne w tym kontekście, a uwzględnione te, które zajmują miejsce pośrednie między obiema tymi kategoriami. Motywem takiej właśnie selekcji była chęć ułatwienia lektury tej książki Czytelnikom średnio zorientowanym w jej temacie.

Tytuł oryginału: LTI. Notizbuch eines Philologen
O Verlag Philipp Reclam jun., Leipzig 1975

Opracowanie graficzne Lech Majewski
Redaktor wydania drugiego Grzegorz Prokop
Redaktor techniczny Mirosława Bokus
Korekta Weronika Mogilska.
ISBN 83-203-2498-x
RSW „Prasa-Książka-Ruch” Młodzieżowa Agencja Wydawnicza Warszawa 1989 r. Wydanie II. Nakład 1700 + 300 egz. Ark. wyd. 18,40. Ark. druk. 19,25. RSW Z.G. Warszawa, ul. Srebrna 16. Zam. 5409/89. K-5.

